

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 3(47)/2009

Choć sama zabudowa miasta poniosła tylko niewielkie szkody w wyniku bezpośrednich działań wojennych, to straty wojenne Łodzi obliczone bardzo ostrożnie przez zespół naukowców, ocenia się na około 40 miliardów złotych.

15,00

PR



ci 120013/2009

W dniu 2 października 2009 r. zmarł

Marek Edelman

Honorowy Obywatel Miasta Łodzi

Był bohaterem Powstania w Getcie Warszawskim i zasłużonym lekarzem kardiologiem. Odszedł twardy, uparty Polak i Żyd wspierający przez lata swoim doświadczeniem opozycję antykomunistyczną a potem demokratyczne przemiany w Polsce – Jego jedynej Ojczyźnie.
Przeżył 90 lat.

Redakcja
„Kroniki Miasta Łodzi”



EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSZAŁKA
JOZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŁODZI

1W/dk/449/2009

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 3(47)/2009

Łódź 2009

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny
Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Współpraca – Małgorzata Golicka-Jabłońska, Barbara Gortat

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko
Skład – Jerzy Ledzion

Druk: 2K s.c.
93-134 Łódź, ul. Płocka 35/43

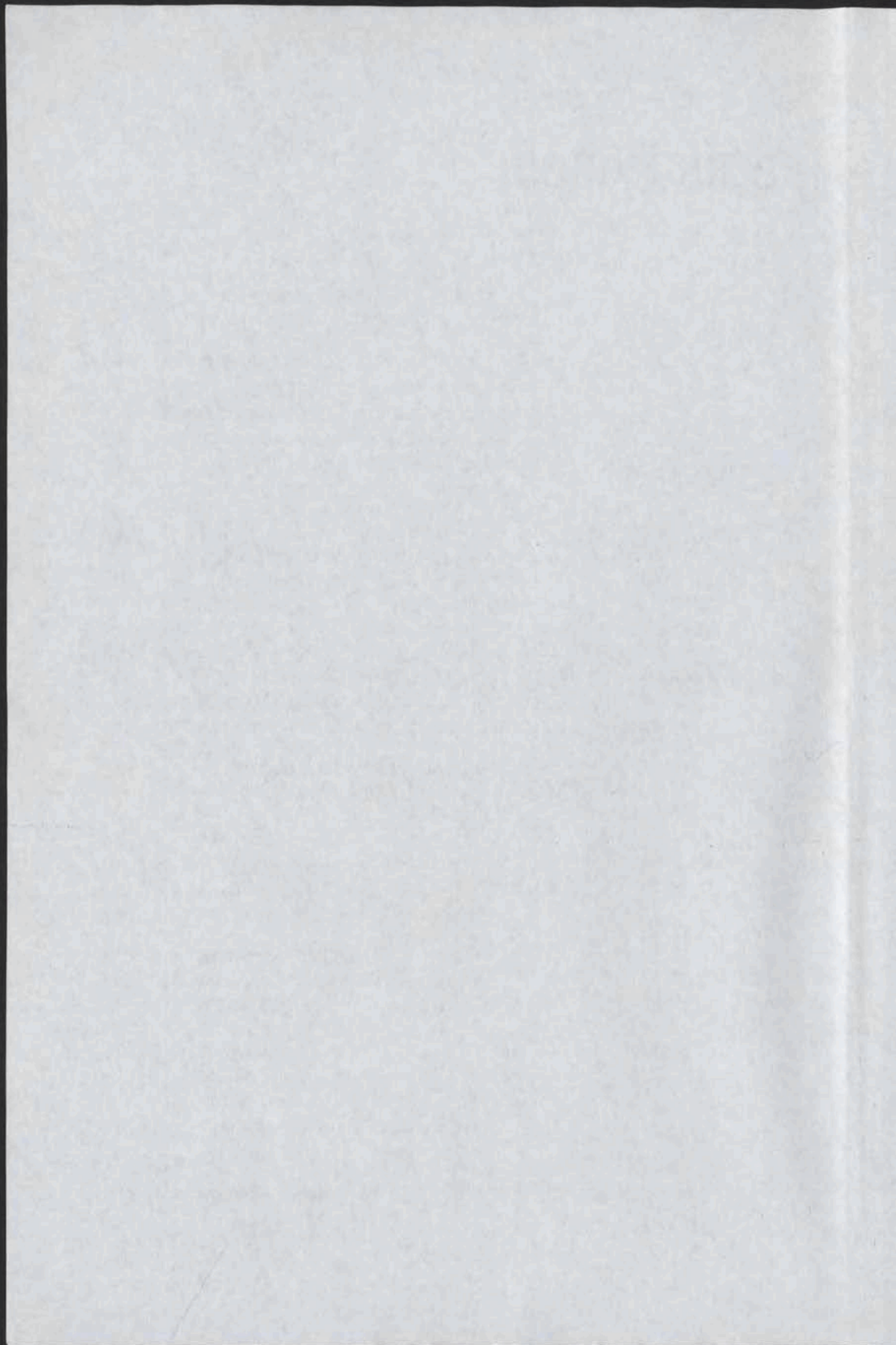
Wydawca: Urząd Miasta Łodzi
Biuro Analiz Medialnych i Wydawnictw

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, 90-004 Łódź
tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Spis treści

<i>Marcin Kieruzel, Uroczystość na miarę historii</i>	5
pierwsze kolumny	17
<i>Gustaw Romanowski, Niedokończony bilans</i>	19
<i>Przemysław Waingertner, Przed katastrofą</i>	23
<i>Joanna Żelazko, Fakty i kontrowersje</i>	32
<i>Artur Ossowski, Niemieckie samoloty nad Łodzią</i>	42
<i>M. Magdalena Starzycka, Żołnierska historia</i>	57
kultura	69
<i>Gustaw Romanowski, Osamotniony i zapomniany</i>	71
<i>Marek Strąkowski, Społeczeństwo sztuki</i>	85
<i>Marek Strąkowski, Laboratorium śmiechu</i>	95
historia	103
<i>Joanna Mikosz, Nowe tytuły, stare nawyki</i>	105
<i>Włodzimierz Kupisz, Łodzianin z morzem związany</i>	115
<i>Irena Jaworska, Zapomniane zasługi Mariana Dienstl-Dąbrowy</i>	124
z cyklu: czarne dziury, białe plamy	143
<i>Marcin Kieruzel, Przeszedłem przez Litzmannstadt Ghetto</i>	145
łodzianie	153
<i>Danuta K. Gruszczyńska, Primadonna</i>	155
<i>Krystyna Lewicka, Twórca łódzkiego bibliotekarstwa</i>	✓ 160
<i>Monika Nowakowska, Artysta wielu pytań</i>	167
osiedla, domy, ulice	173
<i>Dariusz Kędziński, Ulica kultury i rozrywki</i>	175
<i>Krystyna Krygier, Rozważania architekta</i>	195
recenzje	201
<i>Andrzej Kempa, Wspomnienia Aleksandra Mogilnickiego</i>	203
<i>Andrzej Kempa, Ambasador polskiej kultury</i>	207
<i>Gustaw Romanowski, Manufaktura pamięci</i>	211
<i>Gustaw Romanowski, Łódź żydowska</i>	215
z łódzkiego raptularza	219



Uroczystość na miarę historii

Uczciwie i bez kompleksów

*Ty! Jesteś w Europie, poważny Narodzie Żydowski,
jak pomnik strzaskany na Wschodzie.*

[C.K. Norwid]

Coraz głębiej i z coraz większą uwagą spłacamy dług pamięci o Żydach, naszych współmieszkańcach. Staramy się naprawić grzech zaniechania, który narastał w Polsce przez lata, raniąc tych, którzy cudem uniknęli Zagłady, a przy okazji wykoślawiając polską świadomość historyczną. A przecież z tej świadomości nie da się usunąć wiedzy o kilkusetletniej obecności w Polsce żydowskiej diaspory, największej przecież w Europie. Tak jak nie da się usunąć z pamięci hekatombi Holocaustu, która dokonała się na ziemiach polskich.

W spłacie tego moralnego długu Łódź podczas ostatnich kilku lat zrobiła najwięcej.

Kiedy przed siedmiu laty prezydent Jerzy Kropiwnicki rozpoczynał śmiały projekt upamiętnienia ofiar Litzmannstadt Ghetto, potomkowie Ocalałych wyrażali do Łodzi pretensje przede wszystkim o milczenie: *Jedna trzecia mieszkańców waszego miasta została starta z powierzchni ziemi, a reszta zachowuje się tak jakby nic się nie stało* – mówili z głębokim żalem. Bo 60. Rocznica Likwidacji Litzmannstadt Ghetto w 2004 r. stała się pewnym przełomem i to przełomem o znaczeniu przede wszystkim moralnym. Pierwszy raz po roku 1945 prezydent Łodzi w imieniu jego mieszkańców – głośno i dobitnie – wołał podczas uroczystości przy memoriale Radegast Bahnhof: *Dla mojego miasta, w tym miejscu, wobec tej zbrodni tak nazwanej nie ma innego wyboru moralnego – stanąć po stronie ofiar i krzyżeć razem z nimi. Krzyżeć, żeby ten krzyż nigdy nie przeminął, żeby usłyszano go nie tylko tam na niebiosach, gdzie nawet szept dociera, ale także tu – na ziemi. I to jest cała tajemnica spotkania, które dzisiaj się odbywa.* To wołanie słyszano nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Gest Łodzi w kierunku jej byłych żydowskich mieszkańców był bezprecedensowy w historii, również dlatego, że stawał w poprzek stereotypów, szczególnie tych, które powinny nas najbardziej boleć – stereotypów polskiego antysemityzmu, formułowanych zwłaszcza na zachodzie. Po tym dostrzeżonym także za granicą sygnale płynącym z Łodzi przez pięć następnych lat

bardzo wiele zrobiono w mieście dla utrwalenia żywej pamięci o dawnych żydowskich mieszkańcach miasta. Łódź umocniła kontakt z Ocalałymi, organizacjami żydowskimi na świecie oraz z władzami państwa Izrael. Dzięki temu tegoroczna ważna dla wspólnej pamięci 65. rocznica stała się świadectwem mądrze pielęgnowanej zażyłości Łodzi z jej żydowską historią.

* * *

Szacuje się, że na całym świecie około 13 tys. rodzin ma bądź miało wśród swoich bliskich Ocalałych z Litzmannstadt Ghetto. Ponad dwustu z nich udało się przyjechać do Łodzi na tegoroczne obchody 65. rocznicy; przyjechali ze swoimi dziećmi, wnukami i prawnukami, o których mówią: *to nasza odpowiedź na Holocaust; nasza zemsta na Hitlerze i Biebowie*. Obchody rocznicowe przeznaczone są przede wszystkim właśnie dla Ocalałych – w Łodzi spędzili swoje lata młodości lub dzieciństwa, z Łodzią związane są ich pierwsze wspomnienia, tu znajdują się groby ich zmarłych – wreszcie, w Łodzi doświadczyli tragedii Zagłady. Było pierwotną intencją inspiratora obchodów prof. Władysława Bartoszewskiego, by stworzyć im godne warunki dla odwiedzenia ich rodzinnego miasta i spotkania się w gronie tych, których dotknął taki sam tragiczny los.

I rzeczywiście udało się zrealizować tę ideę. Przybyli byli wyraźnie wzruszeni, okazywali też radość ze spotkania. Szybko zdano sobie także sprawę, że te ważne uroczystości muszą mieć również znaczenie dla mieszkańców Łodzi, często niestety nieświadomych faktu, że w ich mieście żyło kiedyś blisko ćwierć miliona Żydów. Zwrócono się także szeroko do opinii publicznej, tej w Polsce i za granicą. Dlatego główne uroczystości z udziałem Ocalałych nie są pomyślane jako kulminacja kończąca rocznicowe obchody. Rozciągnięte w czasie na cały rok i trwające niezależnie od głównych uroczystości imprezy przeznaczone są przede wszystkim dla współczesnych łodzian i przyjezdnych. Odbyły się już dziesiątki wydarzeń kulturalnych, projekcji filmowych, wystaw, festiwali, konferencji naukowych, spektakli i koncertów. Jeszcze przed sierpniowymi uroczystościami dwie ogólnopolskie gazety wydały specjalne dodatki na temat obchodów, a telewizje prezentowały filmy dokumentalne o historii getta. Muzeum Sztuki przygotowało na październik otwarcie spektakularnej wystawy *Polak, Żyd, artysta. Tożsamość a awangarda*. Wystawę połączono z konferencją naukową z udziałem wybitnych znawców artystycznej awangardy oraz jidyszystów z całego świata. Warto w tym miejscu nadmienić, że wielkim osiągnięciem organizatorów 65. rocznicy jest fakt, iż potrafili jej nadać interdyscyplinarny charakter – pokazując społeczność byłych żydowskich mieszkańców Łodzi z różnych punktów widzenia oraz zaprosić do współtworzenia obchodów różne środowiska.

* * *

Główne obchody rozpoczęły się 26 sierpnia 2009 roku od upamiętnienia podobozu dla Romów w getcie oraz spotkaniem przy pomniku „pękniętego serca” w parku Szarych

Szeregów. Tego samego dnia wieczorem, na cmentarzu żydowskim, współorganizator obchodów, przewodniczący Gminy Żydowskiej w Łodzi – rabin Symcha Keller oficjalnie rozpoczął uroczystości rocznicowe, powitawszy Ocalałych, ich rodziny, władze miasta oraz zaproszonych gości. Modlitwę poprowadzili światowej sławy kantorzy – Benzion Miller oraz Moshe Schulhof, zaś sam kadisz odmówił silnym głosem ocalały z getta sędziwy – Jehuda Widawski. Przedstawiciele niemieckich miast Leer i Emden, z których w czasie wojny deportowano Żydów do Litzmannstadt Ghetto, odsłoniли na murze cmentarza tablice upamiętniające swoich rodaków zamordowanych w tutejszym getcie i w Auschwitz.





* * *

Najważniejsze słowa padły następnego dnia – 27 sierpnia – na stacji Radegast i w Parku Ocalałych. Trzeba od razu zaznaczyć, iż 65. rocznica miała swoją myśl przewodnią – uczczenia już nie tylko ofiar getta oraz Ocalałych, ale i tych, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów podczas wojny. A byli wśród nich zarówno postacie tak powszechnie znane jak Henryk Sławik, Irena Sendler, czy prof. Rudolf Weigl, ale i prawie bezimienne, których pełnej listy nigdy prawdopodobnie już się nie da ustalić. Każda ze wspomnianych grup: ofiary, Ocalali i ci, którzy z narażeniem życia ratowali bliźnich, ma w Łodzi swoje miejsce pamięci: odpowiednio – Memoriał Radegast Bahnhof, park Ocalałych oraz umieszczony w nim Pomnik Polaków Ratujących Żydów. To właśnie na ten ostatni położono w tym roku największy nacisk – uwypuklając jego moralną wymowę. Jerzy Kropiwnicki w swoim przemówieniu na stacji Radegast zacytował trzy dokumenty: obwieszczenie gubernatora Fischera z 1941 r. o bezwzględnym, usankcjonowanym karą śmierci zakazie jakiegokolwiek pomocy Żydom, potem słowa z przedmowy do książki *Pianista* Władysława Szpilmana o tym, iż kary śmierci w okupowanej przez Niemców Polsce rzeczywiście egzekwowano bezwzględnie. I to nie tylko na pomagających, ale również wobec ich rodzin i najbliższych sąsiadów. Tego nie było w okupowanej Francji, Danii czy Holandii. Wreszcie przywołał prezydent Łodzi dokument szczególnie – wojenny apel działaczki katolickiej i współtwórczyni Rady Pomocy Żydom „Żegota” Zofii Kossak-Szczuckiej wydrukowany w podziemnej prasie. Warto tutaj zacytować fragment przytoczony przez prezydenta Kropiwnickiego: *Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować, lecz protestujemy z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota, zważywszy się człowiekiem, ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych wola o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem. Protestujemy równocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odnieść mogła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. W upartym milczeniu międzynarodowego żydowstwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej już teraz zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i... Polaków, wyczuwamy planowanie wrogiej dla nas akcji. Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich, może snadnie wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno mordować bliźnich bezkarnie. Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałyby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego – nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem.*

* * *

Po złożeniu kwiatów i zapaleniu zniczy zebrani na stacji Radegast utworzyli korowód i na dźwięk dzwonka rozpoczęli przemarsz ulicami Ofiar Litzmannstadt Ghetto, Zagajnikową, Sporną i Wojska Polskiego w kierunku parku Ocalałych. Kulminacją programu było

odstąpienie przez gościa honorowego obchodów – prezydenta Lecha Kaczyńskiego w asyście prezydenta Łodzi, Pomnika Polaków Ratujących Żydów – pierwszego i jedyne takiego pomnika w Polsce. Ten memoriał pamięci o Sprawiedliwych, zaprojektowany przez Czesława Bieleckiego, przedstawia umieszczoną w przestrzeni parku gwiazdę (a właściwie tarczę) Dawida z wpisanymi w jej ramionach tabliczkami z nazwiskami Polaków ratujących swoich żydowskich współobywateli. Zwieńczeniem gwiazdy jest statua orła – wspólny symbol Polaków i Żydów. Warto tutaj wspomnieć o pozostałych gościach tego wydarzenia na czele z Yuli Edelsteinem – ministrem ds. diaspory państwa Izrael, amerykańskim ministrem ds. Holocaustu – Christianem J. Kennedym, ambasadorami Izraela, Austrii, Czech i Niemiec, burmistrzem Tel Awiwu, miasta partnerskiego Łodzi – Ronem Huldai, prezesem IPN – Januszem Kurtyką oraz władzami samorządowymi miasta i województwa. Głos, obok prezydenta Rzeczypospolitej i prezydenta miasta Łodzi, zabrała także Wanda Folman. Ocalała, która odczytała list od Zvi Bergmana, przewodniczącego Stowarzyszenia Byłych Łodzian w Izraelu – list pełen emocji i wspomnień. Przemówił także ze wzruszeniem Mordechaj Zisser – żydowski biznesmen, którego rodzina wywodzi się z Łodzi. Zisser, mówiąc o swoich korzeniach, wspominał swojego brata; *Dwuletni Jakub Chaim został wyrwany z objęć ojca i wsadzony do pociągu, krzyczał z całych sił „Dlaczego?”. Żaden dokument, żadna książka, żadna analiza nie opisuje lepiej tragedii Holocaustu niż niewinne pytanie dwuletniego chłopca „Dlaczego?”. Placz dziecka zdenerwował Niemców, którzy wydarli je z objęć ojca i utopili w wiadrze z zimną wodą. Dziecko zmarło na miejscu. To dziecko to był mój brat, ten którego nigdy nie znałem, ten który powinien być moim starszym bratem, ale który już na zawsze pozostanie moim małym braciszkiem.* Mordechaj Zisser przekazał Prezydentowi Miasta Łodzi dokumentację planowanej budowy Centrum Dialogu na terenie parku Ocalałych. Centrum, które w dużej mierze finansuje i które ma być hołdem jego i jego rodziny dla Łodzi.

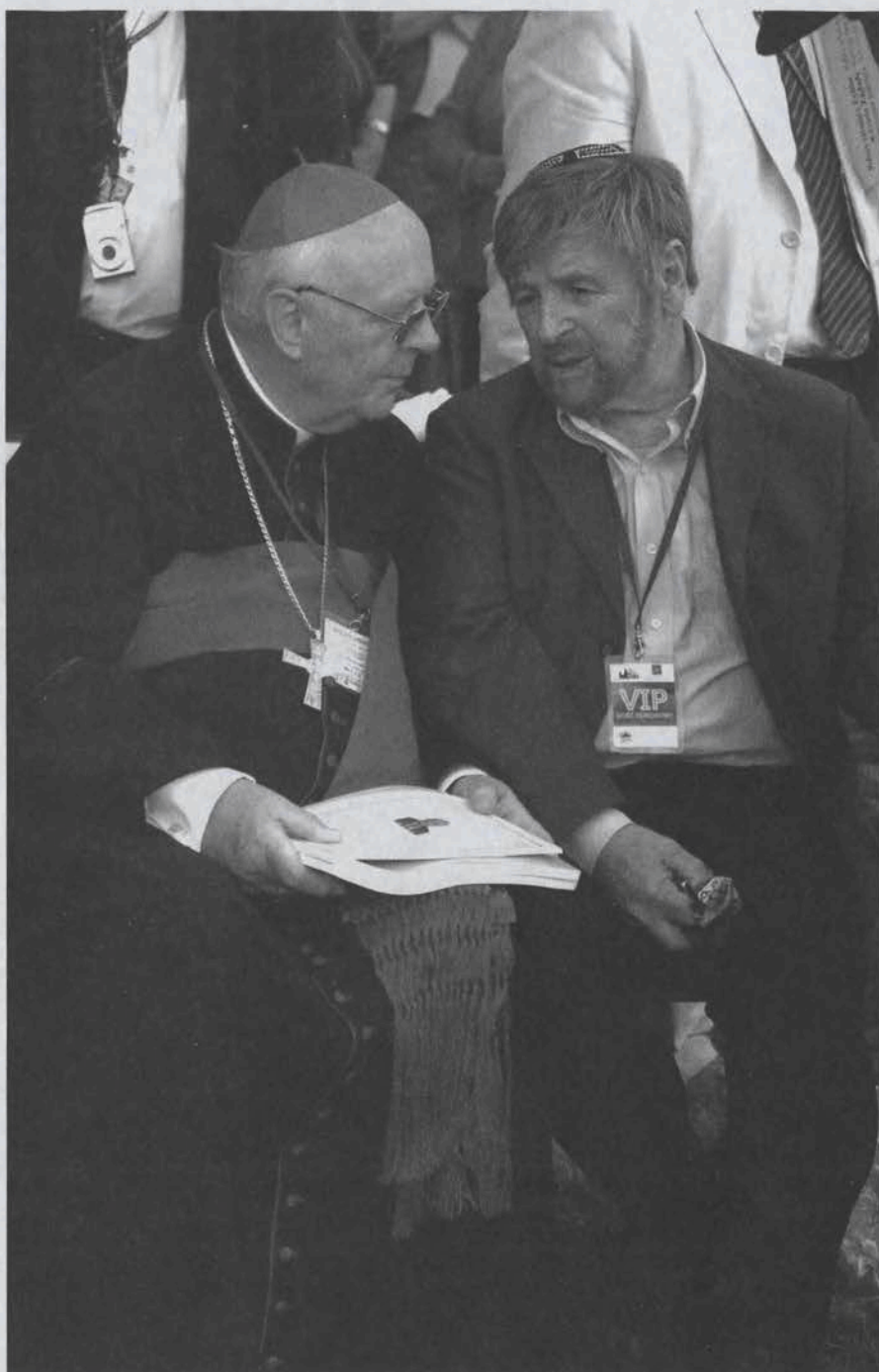
W loży honorowej oprócz wspomnianych gości zasiedli także Ci, którym odstąpiony pomnik jest dedykowany – Polacy, którzy ratowali Żydów. Prezydent RP uhonorował ponad 50. z nich Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Faktem – który, podkreślano szczególnie podczas tegorocznych uroczystości – jest, że Polacy o wiele częściej ratowali swoich żydowskich współobywateli niż mieszkańcy innych okupowanych przez hitlerowskie Niemcy terenów i to w sytuacji, gdy groziły im za to dotkliwsze niż w jakimkolwiek innym kraju sankcje. Szacuje się, że nawet około 300–400 tys. Polaków udzielało w czasie wojny pomocy Żydom, ponad 6 tys. naszych rodaków zostało odznaczonych przez Instytut Yad-Vashem medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata (co stanowi trzecią część wszystkich uhonorowanych tym odznaczeniem).

* * *

Trzeciego dnia głównych uroczystości – 28 sierpnia – podczas zorganizowanej na Wydziale Prawa i Administracji UŁ konferencji naukowej *Rząd RP na uchodźstwie i Delegatura Rządu na Kraj wobec zagłady Żydów* powrócono do tematu Polaków ratu-



jących Żydów. Prof. Grzegorz Berendt przedstawił referat zdający sprawę z jego badań nad *sprawiedliwymi*. Tak jak już wspomniano w tym tekście byli wśród nich ludzie rozpoznawalni dzisiaj dla opinii publicznej, także międzynarodowej jak: Irena Sendler, Władysław Bartoszewski czy w trochę mniejszym stopniu Zofia Kossak-Szczucka, Henryk Sławik, prof. Rudolf Weigl, ale i ludzie prości. Według prof. Berendta to przede wszystkim oni – polska wieś i mieszkańcy małych miasteczek ratowali Żydów, ratowali tych, których znali przed wojną, z którymi łączyły ich stosunki sąsiedzkie. W niewielu przypadkach była to pomoc zorganizowana, jak w wypadku „Żegoty” – której, zresztą



poświęcono obelisk w parku Ocalałych, ufundowany przez rodzinę Skrzydlewskich. To jedyny pomnik na świecie upamiętniający tę wyjątkową organizację polskiego państwa podziemnego. Referat prof. Berendta nie był oczywiście jedynym podczas konferencji. Głos zabrał także rektor uniwersytetu – prof. Włodzimierz Nykiel, wypowiadali się profesorowie: Wiesław Puś, Szewach Weiss oraz naukowcy młodszego pokolenia. Zorganizowane równolegle przez UŁ, Archiwum Państwowe w Łodzi oraz Uniwersytet w Giessen seminarium badawcze *Ghetto Litzmannstadt – źródła i projekty badawcze*, dało asumpt do podsumowania dorobku naukowego i planowania dalszych projektów badawczych w dziedzinie historii getta.

Piątkowe uroczystości – również z racji zbliżającego się szabat – ograniczyły się do bardziej kameralnego spotkania Ocalałych w Pałacu Poznańskim. Prezydent Kropiwnicki podsumował obchody 65. rocznicy, a także ogłosił – zaplanowany na 26 i 27 maja 2010 roku – Światowy Zjazd Łodzian, zapraszając na niego zebranych. Z kolei do prezydenta Łodzi skierowane były podziękowania ocalałych, a Ocalały – Eliezer Lolek Grynfeld wyraził wdzięczność za *odnowienie pamięci dla łódzkich Żydów* oraz przeczytał wiersz swojego przyrodniego brata, zamordowanego w Auschwitz. To Abramek Koplowicz, ten sam, którego rysunek stał się logo wszystkich obchodów rocznicowych. Wdzięczność wyraził także inny Ocalały – Chaim Kozienicki.

Po zapadnięciu zmierzchu – w łódzkich synagogach, przy ul. Pomorskiej i Rewolucji – odbyły się modlitwy szabatowe. Tego wieczoru można było sobie choć trochę wyobrazić, jak musiał wyglądać piątkowy wieczór w przedwojennej Łodzi, pełen krzątających się w pośpiechu po mieście Żydów w odświętnych ubraniach zmierzających do synagogi i pozdrawiających się słowami: *Szabat Szalom*.

* * *

Ostatni dzień obchodów – 29 sierpnia – zwieńczył koncert w Teatrze Wielkim w Łodzi. Zanim o koncercie, trzeba jednak wspomnieć o wydarzeniu może mniej spektakularnym, ale z całą pewnością nie mniej ważnym. W Teatrze Nowym w Łodzi odbyła się premiera filmu Sławomira Grünberga pt. *Perecowicze*. To doskonale zrealizowany dokument przedstawiający losy uczniów szkoły im. Icchoka Lejby Pereca w Łodzi – najlepszej żydowskiej szkoły powszechnej w powojennej Polsce. Szkoła, która dla pokolenia dzieci po Holocauście stała się niemal drugim domem i – jak sami wspominają – wtedy ich *całym światem*. Film zdaje relację ze wspomnień Perecowiczów – choć rozrzuconych po całym świecie to utrzymujących ze sobą bliskie i ciepłe relacje – z perspektywy wydarzeń 1968 roku, w wyniku których musieli z Polski emigrować.

Wieczorem w Teatrze Wielkim po odmówieniu przez kantorów *Hawdali* (Modlitwy na zakończenie szabat) oraz przemówieniu prezydenta miasta, Krzysztof Penderecki w asyście połączonych chórów gospodarza koncertu – Filharmonii im. A. Rubinsteina oraz Opery i Filharmonii Podlaskiej dyrygował specjalnie skomponowanym przez siebie na ten wieczór utworem pt. *Kadisz. Łódzkim Abramkom, którzy chcieli żyć*.

Polakom, którzy ratowali Żydów. Utworem w swojej warstwie tematycznej opartym na *Lamentacjach proroka Jeremiasza* oraz na wierszu młodziutkiego gettowego poety, zamordowanego przez Niemców w Auschwitz – Abramka Cytryna. Wiersz został odnaleziony przez siostrę chłopca – Lucie Bialer, obecną zresztą w Teatrze Wielkim – w ich gettowym mieszkaniu przy ul. Starosikawskiej 12, krótko po wojnie.

Głównym punktem koncertu był wykonanie VII Symfonii Pendereckiego *Siedem Bram Jerozolimy* – utworu przygotowanego na trzytysięczny jubileusz Jerozolimy. Obok audytorium na sali Teatru Wielkiego koncertu mogli wysłuchać również łodzianie zgromadzeni na placu przed Teatrem, gdzie przygotowano scenę z telebimami i głośnikami.

* * *

Prof. Szewach Weiss podczas wspomnianej już konferencji *Rząd Polski na uchodźstwie, Delegatura Rządu na Kraj wobec zagłady Żydów* mówił o silnych emocjach wiążących Polaków i Żydów i to emocjach często ambiwalentnych, rozpiętych między miłością i niechęcią. Warto zadać sobie pytanie o te relacje w kontekście obchodów, które obok swojego najbardziej oczywistego celu – uczczenia ofiar i ocalałych z Litzmannstadt Ghetto oraz odnowienia historycznej pamięci – mają też znaczenie bardziej ogólne, wpisujące się w kontekst dyskusji o relacjach polsko-żydowskich. Dyskusji wyjątkowo trudnej, spotykają się w niej bowiem dwa narody o wyjątkowo silnym poczuciu dumy, ale i być może równie ogromnym poczuciu krzywdy i zdrady. Jak trudny jest to teren wiedzą bardzo dobrze organizatorzy 60. i 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto. Bo jest to wciąż teren, na którym – nawet mając dobre intencje – łatwo urazić drugą stronę. Ambivalencja uczuć, o jakiej mówił prof. Weiss, nie jest jedynie truizmem i to po obu stronach; mamy i mieliśmy w Polsce do czynienia z antysemityzmem; w naszych relacjach z Żydami kładą się cieniem wydarzenia z Przytyku, Jedwabnego, Kielc, getto ławkowe czy wreszcie rok 1968 – jedyny moment w historii Polski, kiedy antysemityzm stał się oficjalną polityką władz państwowych. Ale z drugiej strony, o czym dały świadectwo obchody 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto – coraz częściej są manifestowane, zwłaszcza przez młodzież, wyrazy solidarności i sympatii do narodu żydowskiego. W tym miejscu trzeba podkreślić jeszcze raz, że gros Polaków – Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata to mieszkańcy wsi i małych miasteczek. Ich udział w ratowaniu swoich żydowskich sąsiadów jest wciąż zbyt mało znany. Warto też przywołać opinie najwybitniejszych z wybitnych o szczególnym potencjale intelektualnym i artystycznym, który zauważali wśród przedstawicieli środowiska żydowskiego. Witold Gombrowicz pisał to z pewną emocją w swoich *Dziennikach*: *Nie ma narodu bardziej oczywiście genialnego – i mówię to nie tylko dlatego, że oni zawarli w sobie najważniejsze inspiracje świata, że co chwilę wybuchają jakimś wiekopomnym nazwiskiem, że wycisnęli pieczęć swoją na dziejach. Geniusz żydowski jest oczywisty w samej swej strukturze, to jest w tym, że podobnie jak genialność indywidualna, jest najściślej*



połączony z chorobą, upadkiem, poniżeniem. Genialny, dlatego, że chory. Wyższy, gdyż poniżony. Twórczy, bo anormalny. Ten naród jak Michał Anioł, Chopin czy Beethoven, jest dekadencją, która przetwarza się w twórczość i postęp. Ten naród nie ma łatwego dostępu do życia, jest w niezgodzie z życiem – dlatego staje się kulturą. Te słowa – choć wyrażają podziw – muszą się dzisiaj wydawać kontrowersyjne, zmieniają jednak znaczenie, kiedy odniesiemy je do kontekstu, w jakim zostały użyte. Gombrowicz pisał powyższy tekst, drukowany później w paryskiej „Kulturze”, na usilną prośbę Jerzego Giedroycia, w 1952 r., kiedy rozpoczęła się na dobre – na kanwie tzw. spisku lekarzy kremlowskich – antysemicka nagonka w bloku sowieckim. Nagonka, której pogłębionym echem były wydarzenia 1968 roku w Polsce.

Ale jeszcze jeden aspekt jest tutaj ważny – aspekt, który w języku Gombrowicza można nazwać wyższością albo starszeństwem. Blisko tysiąclecia historia stosunków polsko-żydowskich to historia relacji kultury starszej – *bo gdyś był nicość, ja mleko już ssałem Naturę znam dawniej* [C.K. Norwid] – do młodszej. Kultury silnie zorganizowanej i poważnej do kultury żywiolowej i emocjonalnej. Kultur, które żyły właściwie razem, ale jednak w dużym stopniu obok siebie.

Można, a nawet trzeba, w takim kontekście zaryzykować stwierdzenie, że w pewnym sensie nasz stosunek do Żydów i naszej wspólnej historii, również tej tragicznej, jest miarą naszej tożsamości narodowej. Miarą tego, czy nasza polskość potrafi być uczciwa, silna i pozbawiona kompleksów. 65. Rocznica Likwidacji Litzmannstadt Ghetto była dowodem, że potrafi.

Marcin Kieruzel
– publicysta

Fot. Marcin Kieruzel i Adam Gregorek

pierwsze kolumny

Niedokończony bilans

70 lat temu wybuchła wojna

Gustaw Romanowski

str. 19

Przed katastrofą

Sytuacja społeczno-polityczna w Łodzi w 1939 roku

Przemysław Waingertner

str.23

Fakty i kontrowersje

Pierwsze bomby na Wieluń

Joanna Żelazko

str. 32

Niemieckie samoloty nad Łodzią

Luftwaffe i propaganda

Artur Ossowski

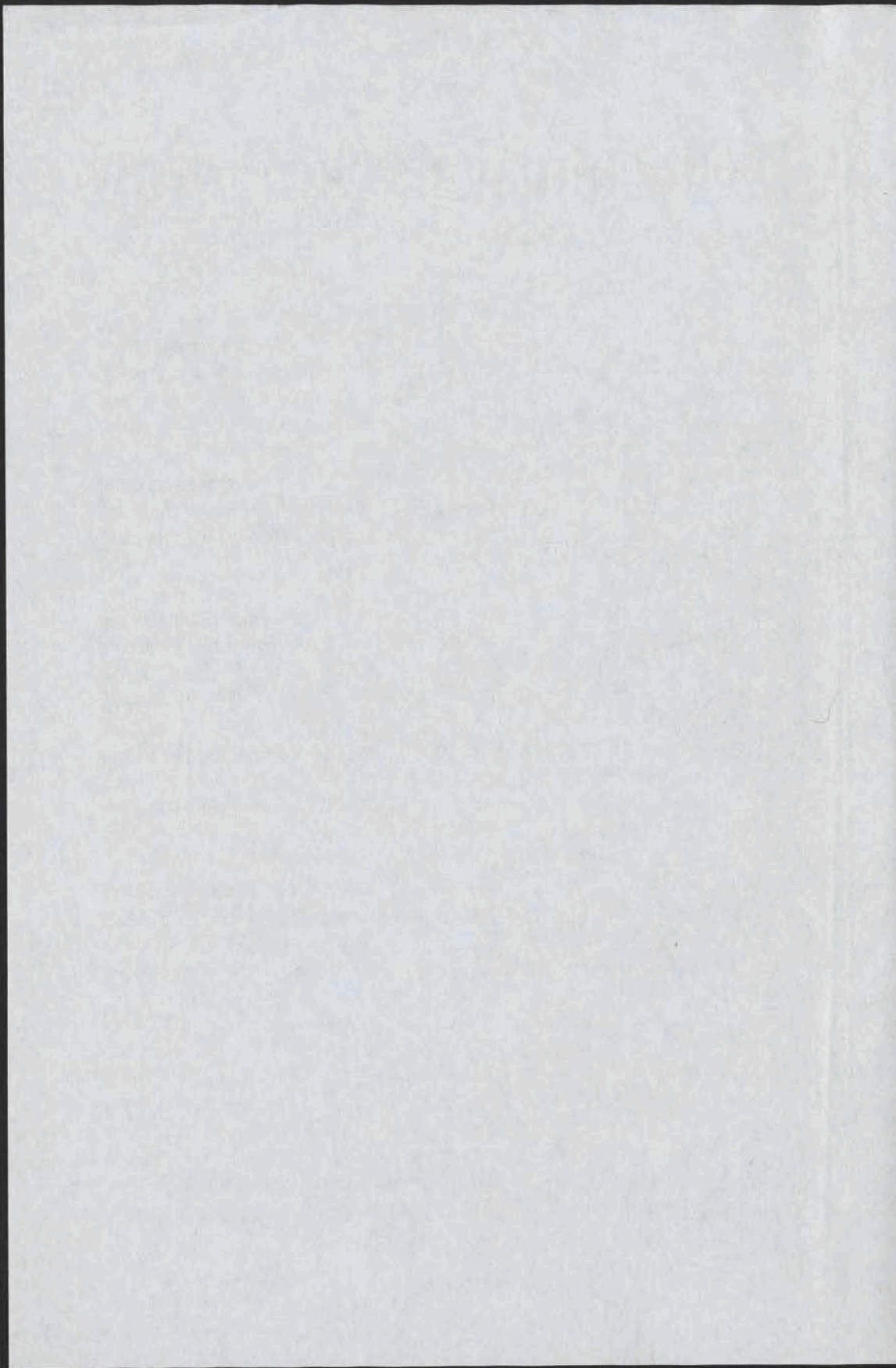
str. 42

Żołnierska historia

Wrześniowa kampania Kazimierza Cichosza (1909–1992)

M. Magdalena Starzycka

str. 57



Niedokończony bilans

70 lat temu wybuchła wojna

pierwsze kolumny

II wojna światowa nadeszła ze strony hitlerowskich Niemiec, ale udział w jej przygotowaniu i podziale pierwszych łupów wziął na siebie rządzony przez Stalina Związek Sowiecki. We wrześniu 1939 r. Polska walczyła osamotniona, bo mimo, że łączyły ją paktów sojusznicze z Francją i Wielką Brytanią, mocarstwa te – choć wypowiedziały wojnę III Rzeszy – nie podjęły niezwłocznie działań militarnych, aby wspomóc gasnący opór zaprzyjaźnionego państwa.

Polskie społeczeństwo mogło spodziewać się wojny z Niemcami. Już w 1938 r. było widać, że faszystowskie Niemcy zaczynają rozpychać się w Europie a rządy europejskich mocarstw starają się im w tym nie przeszkadzać. Najpierw więc bez międzynarodowych protestów została włączona do III Rzeszy Austria, potem zdradzona i wydana na grabież swego terytorium Czechosłowacja, która pierwsza doznała goryczy osamotnienia wśród zadowolonych z siebie państwa Europy. Zadowolonych, że unikają wybuchu wojny, albo ten wybuch tylko na jakiś inny czas odkładają. Żądania Hitlera wobec Polski zgłoszone w 1939 r. – i te terytorialne i te polityczne – nie pozostawiały już złudzeń. Wojna musiała nadejść i tylko nieznana była ta godzina „0”.

Jeśli były w Polsce wtedy jakieś złudzenia, to opierały się na romantycznym przekonaniu w siłę naszej armii i roztropność naszych władz państwowych. Armia zdała egzamin z patriotyzmu i dzielności, walcząc desperacko do końca zgodnie żołnierską przysięgą. Ale władze II Rzeczypospolitej tego egzaminu nie zdały a sromotna ucieczka za granicę prezydenta i rządu, zarówno dla zdeorientowanego społeczeństwa, jak i walczących wciąż na froncie polskich żołnierzy, była wstrząsem niespodziewanym. Do dziś nie policzono – i pewnie już nikt nie policzy – ilu polskich oficerów w obliczu tej moralnej traumy odebrało sobie życie. A samobójstwa te wobec klęski militarnej i poczucia – zwłaszcza po wkroczeniu od wschodu Armii Czerwonej – dookolnej zdrady, były już tylko ostatnim symbolicznym aktem żołnierskiego honoru.

Czy społeczeństwo Łodzi – położonej wówczas znacznie bliżej granicy niemieckiej niż dzisiaj – było w 1939 r. przygotowane na wybuch wojny? Jeśli mierzyć to wielką ofiarnością łodzian na Fundusz Obrony Narodowej, to na pewno tak. Jeśli mierzyć to zdolnością przewidywania skutków wybuchu tej wojny zarówno dla mieszkańców tego wielonarodowego miasta, jak i dla państwa polskiego – a w dalszej konsekwencji także dla świata – to na pewno nie. Niewątpliwie znaczna część łódzkich Niemców z rosnącą nadzieją przyjmowała kolejne ekspansjonistyczne posunięcia Hitlera. Wiadomo też, że prohitlerowskie organizacje niemieckie w Łodzi przygotowywały się nie

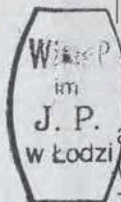


tylko emocjonalnie na wkroczenie armii i administracji III Rzeszy do tego bądź co bądź polskiego miasta, w którym ich dziadkom дано kiedyś sąsiedzką gościnę. Wiadomo, że niektórzy bardziej świadomi niebezpieczeństwa hitlerowskiego łódzcy Żydzi – widząc już bezwzględne antysemityczne poczynania w Niemczech – zdecydowali się spieniężyć majątek i wyjechać z Polski do innego – ich zdaniem – bezpieczniejszego kraju. Nie były to jednak liczne decyzje. Kiedy zaś toczyła się już wojna, społeczeństwo Łodzi – a w tym i jego żydowska część – z ufnością wierzyła w rychły jej i pomyślny koniec dzięki spodziewanej rychło interwencji zachodnich aliantów napadniętej Polski. W tym numerze „Kroniki Miasta Łodzi” jeden z Ocalałych z Litzmannstadt Ghetto wspomina, jak płynąca z Londynu propaganda radia BBC, apelująca do Polaków o kilka tygodni cierpliwości, wstrzymywała jego rodzinę przed ucieczką na wschód, co pozwoliłoby im uniknąć zagłady.

Niemiecki plan podboju Europy wsparty faszystowską ideologią zmienił Łódź w sposób tak radykalny, że jej obraz

przed 70. lat i wizerunek zastany pięć lat później, mówią już o dwóch zupełnie innych miastach. Choć domy, mury i ulice pozostały te same.

Ale statystyki się nie mylą. W 1939 r. ludność Łodzi wynosiła 680 tys. mieszkańców, w tym 388 tys. Polaków, 230 tys. Żydów, 60 tys. Niemców i 2 tys. osób innych narodowości. W 1945 r. w mieście mieszkało już tylko 488 tys. mieszkańców czyli o 312 tys. mniej niż ledwie pięć lat wcześniej. Z miasta znikła cała społeczność żydowska a liczba Polaków zmniejszyła się o ponad 130 tys. W 1945 roku w mieście pozostało jeszcze blisko 34 tys. Niemców. Drugie tyle uciekło z miasta wraz z cofającą się armią niemiecką. Ci Niemcy, którzy zostali mogli nie czuć się winni za hitlerowski plan podboju i jego ponure skutki. Nie mieli też innej ojczyzny, ale nic już nie mogło być takie same jak przed wrześniem 1939 r. Dlatego do 1957 r. opuścili Łódź prawie wszyscy niemieccy jego mieszkańcy, emigrując zrazu do Niemiec Wschodnich (NRD), a potem też do Republiki Federalnej Niemiec. Również tuż po wojnie ponad tysiąc –



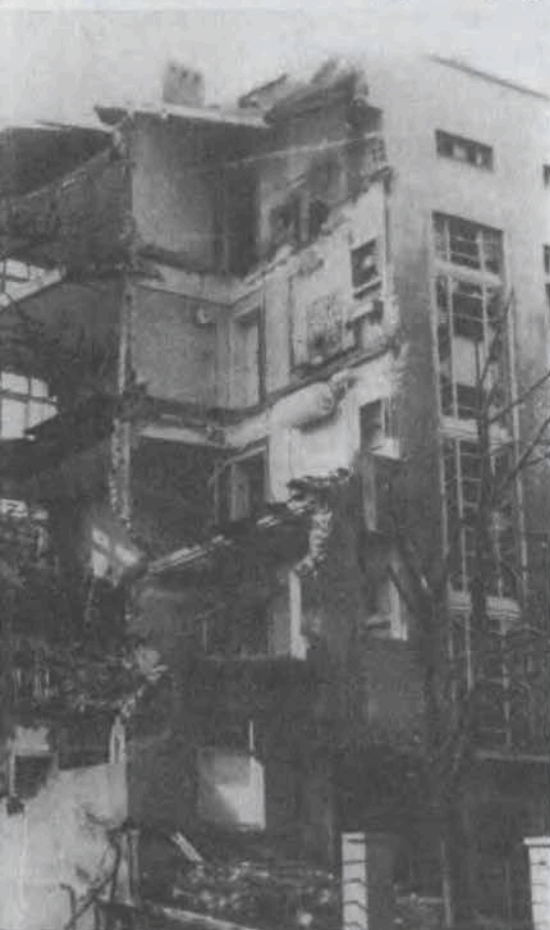
10671-A

może nawet więcej – Rosjan mieszkających w Łodzi od dwóch lub trzech pokoleń wyjechało z miasta. Byli wywożeni bądź przymusowo bądź pod różnymi naciskami do ZSRR.

II wojna światowa zamknęła bezpowrotnie ten unikatowy na ziemiach centralnej Polski wielonarodowy charakter Łodzi, wielkiego przemysłowego miasta. Choć sama zabudowa miasta poniosła tylko niewielkie szkody w wyniku bezpośrednich działań wojennych – bo w planach Hitlera Litzmannstadt miał stać się prawie natychmiast miastem niemieckim włączonym do III Rzeszy – to straty wojenne Łodzi obliczone bardzo ostrożnie przez zespół naukowców, ocenia się na około 40 miliardów złotych. Udokumentowany szacunek tych strat przedstawili w 2006 r. Julian Baranowski, Krzysztof Baranowski, Lechosław Berliński, Andrzej Lech, Franciszek Sitkiewicz, autorzy *Raportu z oszacowania strat i szkód poniesionych przez miasto Łódź wskutek wybuchu i trwania II wojny światowej oraz wynikłych z organizacji i funkcjonowania Litzmannstadt*

Getto. Są to straty materialne całej cywilizacyjnej struktury miasta. A więc przemysłu, handlu, komunikacji, budownictwa, instytucji bankowych i ubezpieczeniowych. Są to straty powstałe w wyniku grabieży i zorganizowanego niszczenia różnych dóbr kultury. Trzeba do tego dołączyć straty osobiste ponoszone przez ludność w wyniku świadczenia pracy niewolniczej: wykonywanej w warunkach skrajnego wycisku i wynagradzanej znacznie poniżej jej wartości. A przecież wysiedlenia i rekwizycje spowodowały także inne niepowetowane straty. W wyniku działań wojennych a potem zarządzeń niemieckiej administracji łodzianie tracili domy, mieszkania, dobytek ruchomy. Autorzy powołanego wyżej raportu oceniają, że nawet najostrożniej licząc, straty materialne poniesione bezpośrednio przez mieszkańców Łodzi wyniosły około 3,2 miliarda złotych. Praktycznie niepoliczalne są straty i szkody wynikłe z organizacji i funkcjonowania Litzmannstadt Ghetto. Niezależnie bowiem od martyrologii społeczności żydowskiej przeznaczonej do fizycznej eksterminacji, zorganizowana grabież mienia żydowskiego i skrajny wycisk – w utworzonej w tutejszym getcie wielobran-

pierwsze kolumny



żowej strukturze produkcyjnej, mającej charakter obozu pracy – stanowią straty trudne do oszacowania w liczbach bezwzględnych. Znawca historii Litzmannstadt Ghetto Julian Baranowski szacuje straty żydowskiej ludności Łodzi tylko z tytułu samej pracy niewolniczej na prawie 9,5 miliarda złotych.

Nie wiadomo jak wyglądałaby Łódź, gdyby wojna nie wybuchła. Według przedwojennych szacunków demografów ludność miasta w 1945 roku miała przekroczyć 700 tysięcy osób. Żyłyby zapewne nadal w miarę zgodnej koegzystencji trzy narodowe społeczności. Postępowałby też zapewne dalszy proces polonizacji, zwłaszcza wśród ludności żydowskiej. Miasto zyskałoby jakieś nowe inwestycje, bo kapitał miejscowy i zagraniczny miał już dobrze za sobą wcześniejszy światowy kryzys gospodarczy.

Ale nic z tych przypuszczeń się nie spełniło. Demograficznie Łódź w 1945 roku wracała do stanu z początków XX wieku. Wraz ze stratą ważnej części jej ludności ulatywał niepowtarzalny charakter tego miasta różnych kultur, tradycji i aspiracji. A odbudowie życia publicznego i powrotowi do normalności tych mieszkańców miasta, którzy przetrwali tę wojnę towarzyszyły już inne udręki wynikające z narzuconego ponad głowę Polaków pojałtańskiego porządku. To jednak inny już temat na inną z pewnością rocznicę.

Gustaw Romanowski

Korzystałem z opracowania pt. „Straty wojenne Łodzi” wykonanego przez zespół autorski Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego Oddział w Łodzi (mgr Julian Baranowski, prof. dr hab. Krzysztof Baranowski, dr Lechosław Berliński, dr Franciszek Sitkiewicz). Wydawca: Urząd Miasta Łodzi, Biblioteka „Kroniki Miasta Łodzi” tom 3, 2006.

Fotografie pochodzą z publikacji pt. „Straty wojenne Łodzi”.

Przed katastrofą

Sytuacja społeczno-polityczna w Łodzi w 1939 roku

Przełom lat 1938 i 1939 przyniósł gwałtowne pogorszenie międzynarodowego położenia Polski. Najpierw w wyniku konferencji monachijskiej we wrześniu 1938 roku ofiarą bezwzględnego dyktatu czterech mocarstw – Trzeciej Rzeszy, Włoch, Wielkiej Brytanii i Francji – padła Czechosłowacja, która jesienią 1938 roku utraciła na rzecz Niemiec Sudety (a wraz z nimi znaczną część umocnień obronnych i potencjału zbrojeniowego oraz faktyczne możliwości skutecznej obrony przed agresją niemiecką), a wiosną 1939 roku przestała istnieć. Następnym celem Hitlera miała okazać się Polska.

Początkowo kanclerz widział dla państwa polskiego miejsce u boku Trzeciej Rzeszy – oczywiście w roli nierównoprawnego, zwasalizowanego sojusznika, uznającego niemiecki prymat w Europie Środkowowschodniej, czego wyrazem miało być przyjęcie przez Warszawę propozycji przyłączenia się do Paktu Antykominternowskiego, włączenia Wolnego Miasta do Rzeszy i przeprowadzenia przez polski „korytarz” eksterytorialnej linii komunikacyjnych (autostrady i torów kolejowych) z niemieckiego Pomorza do Prus Wschodnich. Wobec zdecydowanej postawy polskich władz, które odrzuciły żądania niemieckie i zostały w swym oporze wobec Niemiec wsparte przez Londyn – poprzez udzielenie 30 marca 1939 roku jednostronnych gwarancji brytyjskich dla „polskiej niezależności”, zamienionych kilka dni później w system gwarancji dwustronnych – Hitler porzucił ostatecznie koncepcję politycznego uzależnienia Polski od Niemiec, decydując się na agresję zbrojną.

W odpowiedzi na wypowiedzenie przez Berlin polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy ze stycznia 1934 roku i powrót Hitlera do rewizjonistycznej retoryki, minister spraw zagranicznych – Józef Beck wygłosił 5 maja w Sejmie historyczne przemówienie, podsumowane słowami: *My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedyna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest rzeczą bezcenną. Tą rzeczą jest honor.* Równocześnie w coraz bardziej napiętej międzynarodowej atmosferze ruszyły angielsko-francusko-sowieckie negocjacje – rzekomo w celu stworzenia systemu sojuszy, mającego zabezpieczyć państwa Europy Środkowowschodniej, leżące pomiędzy Bałtykiem i Morzem Czarnym przed agresją ze strony Trzeciej Rzeszy. W rzeczywistości rozmowy te traktowane przez Londyn i Paryż jako ostrzeżenie wobec Berlina potraktowane zostały przez Moskwę jako środek nacisku na Niemcy, by te sformułowały w końcu ofertę współpracy, dotyczącą korzystnych dla Kremla zmian terytorialnych w regionie.

Kiedy 23 sierpnia zostało podpisane sowiecko-niemieckie porozumienie znane jako pakt Ribbentrop-Mołotow, wyznaczające granicę stref interesów Trzeciej Rzeszy i Związku Sowieckiego, przebiegającą przez terytorium państwa polskiego, niemiecki atak na II Rzeczpospolitą był przesądzony. Nie powstrzymało go – a jedynie odwlokło w czasie – nawet podpisanie 25 sierpnia polsko-brytyjskiego układu o pomocy wzajemnej. Wojna, która miała okazać się konfliktem światowym, zrujnować Europę, a ostatecznie ułatwić triumfującemu w niej (tym razem po stronie Koalicji Antyhitlerowskiej) Związkowi Sowieckiemu stworzenie na wschodzie Starego Kontynentu własnej strefy wpływów – w której do schyłku ubiegłego wieku pozostawała niesuwerenna Polska Rzeczpospolita Ludowa – wybuchła już tydzień później, 1 września 1939 roku.

Ewentualnego konfliktu zbrojnego z Niemcami polskie społeczeństwo zasadniczo oczekiwało ze spokojem. Przekonani o skuteczności polsko-brytyjskich i polsko-francuskich sojuszniczych układów oraz o potęgze zachodnich mocarstw, pewni siły militarnej Rzeczypospolitej, głoszonej przez obóz rządzący, a zarazem rzekomego „przereklamowania” możliwości armii niemieckich przez hitlerowską propagandę, Polacy liczyli na wycofanie się III Rzeszy z agresywnych planów lub też szybkie i zdecydowane zwycięstwo polsko-brytyjsko-francuskiego sojuszu nad niemieckimi armiami. Patriotyczne nastroje przejawiały się między innymi w ogólnonarodowej akcji zbierania funduszy na potrzeby polskiej armii, z których finansowano zakup uzbrojenia dla wojska.

Polityczne animozje

Przyjrzyjmy się jak przed tym zbliżającym się kataklizmem wyglądały ostatnie miesiące pokoju w Łodzi. Widmo nadchodzącej wojny zaktywizowało działające w mieście partie i organizacje społeczno-polityczne. Piłsudczykowski Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN) propagował przede wszystkim hasło konsolidacji ogólnonarodowej wokół rządu, Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i Wodza Naczelnego – marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza oraz armii. Jednak aktywność propagandowa OZN w Łodzi – organizacji ustępującej w mieście popularnością i rozmachem działania najważniejszym partiom opozycyjnym: Stronnictwu Narodowemu (SN) i Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) – trudno uznać za imponującą. Z kolei objawem populistycznej postawy, nieświadczącym najlepiej o racjonalności działań, jakie gotowe było podjąć OZN, aby zbudować swą popularność w społeczeństwie z wykorzystaniem antyniemieckiego resentymetu, była akcja rugowania niemieckich robotników i urzędników z zajmowanych przez nich stanowisk. Zastępowano ich wprawdzie Polakami, jednakże bez zwracania przy tym specjalnej uwagi na to czy, zwalniani przejawiali lojalną, czy też krytyczną postawę wobec państwa polskiego.

W takiej sytuacji ciężar prorządowej propagandy spoczął przede wszystkim na barkach Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny (FPZO),

która organizowała demonstracje, wiece i zebrania, przekonując w ich trakcie do idei zjednoczenia narodu wokół rządu i armii, mobilizując łodzian do pomocy finansowej dla wojska oraz głosząc hasła pełnego poparcia dla polityki zagranicznej Józefa Becka. Hasłom tym wtórowano na zebraniach propiśsudczykowskiemu Związku Legionistów i Związku Rezerwistów¹.

Najsilniejszą partią w Łodzi w miesiącach poprzedzających wybuch wojny – jak pokazały ostatnie w niepodległej Polsce wybory samorządowe – była Polska Partia Socjalistyczna. Antyhitlerowskie nastawienie, występujące w artykułach, ukazujących się na łamach łódzkiego socjalistycznego „Łodzianina” oraz ujawniające się w mowach wygłaszanych podczas organizowanych przez PPS zgromadzeń i wieców, było jednak dla socjalistów przede wszystkim punktem wyjścia do ostrej krytyki obozu pomajowego oraz głównych politycznych rywali na łódzkim gruncie – narodowców. Piśsudczykom socjaliści zarzucali błędną, rzekomo proniemiecką, politykę zagraniczną, a przedstawicielom obozu narodowego – pobłażliwość wobec polityki wewnętrznej Hitlera, polegającej na rządach dyktatorskich, stosowaniu bezwzględnych represji wobec opozycji i prześladowaniu Żydów. Ponadto socjaliści zasadnie dowodzili, iż głoszenie przez polskich narodowców haseł antysemickich wzmacnia środowiska prohitlerowskie wśród mniejszości niemieckiej w Łodzi.

Równocześnie socjaliści, stosując demagogiczną retorykę, domagali się przejęcia władzy w Polsce przez *masy robotnicze, chłopów i inteligencję pracującą*. Widzieli w tym alternatywę dla nieudolnych – ich zdaniem – rządów pomajowych, bądź ewentualnego przejęcia rządów przez endecję. Niekiedy, zamiast wezwań do sformowania gabinetu „robotniczo-chłopskiego”, pojawiały się w wypowiedziach prasowych i wystąpieniach wiecowych socjalistów bardziej umiarkowane i realistyczne hasła powołania do życia ponadpartyjnego rządu obrony narodowej.

W Łodzi zarysowała się także bliska współpraca PPS i Polskiego Stronnictwa Ludowego, nakierowana na pełną mobilizację społeczeństwa w obliczu wojennego zagrożenia. Podczas organizowanych wspólnie mityngów socjaliści i ludowcy podkreślali determinację Polaków do obrony integralności terytorialnej i suwerenności państwa oraz podkreślali potęgę militarną sojuszników Polski – Wielkiej Brytanii i Francji, wzywając równocześnie zachodnie społeczeństwa do zerwania ze szkodliwą postawą pacyfizmu i ustępliwości wobec agresywnej polityki Berlina².

Hasła i kamienie

W antyniemieckiej, ale także antypiśsudczykowskiej retoryce licytowali się z socjalistami narodowcy. Podczas zgromadzeń partyjnych Stronnictwa Narodowego z niewątpliwą przesadą czyniono z rządu polskiego wprost głównego współsprawcę dotychczasowych politycznych i wojskowych sukcesów III Rzeszy. Odpowiedzią na zajęcie przez Niemcy 22 marca 1939 roku litewskiej Kłajpedy stało się jeszcze tego samego dnia specjalne zebranie SN, podczas którego wezwano do ustąpienia Józefa Becka ze stanowiska

ministra spraw zagranicznych. Radykalnym okrzykiem zebranych „Precz z Beckiem!”, „Na szubienicę!”, „Na hak!” towarzyszyły oficjalne apele mówców o udanie się pod konsulát niemiecki w Łodzi nie tylko z nośnym hasłem: „Precz z polityką Hitlera!”, ale także z... kamieniami.

Z kolei według ocen jednego z liderów obozu narodowego w Łodzi – Kazimierza Kowalskiego, który przedstawił je 2 kwietnia 1939 roku podczas zebrania zarządów kół łódzkich SN, Stary Kontynent a wraz z nim i Polska zmierzały nieuchronnie ku wojnie, do której parły z determinacją Niemcy. W odróżnieniu od innych działaczy narodowych, Kowalski w swym wystąpieniu zajął się nie tyle krytyką błędów polskiej dyplomacji, mających przybliżyć konflikt, ile raczej międzynarodowymi przesłankami wzrostu napięcia w Europie. Dostrzegał je w imperialnych dążeniach Trzeciej Rzeszy, ale także w słabości i niekonsekwencji zapisów Traktatu Wersalskiego oraz w niestabilności utworzonego na jego podstawie ładu europejskiego. Przewidując wybuch wojny, ale i porażkę Niemiec, postulował zdecydowanie przesunięcie granicy Rzeczypospolitej na linię dolnej Odry i Sudetów, na „dawną granicę piastowską”.

Równocześnie Zarząd Okręgowy SN zobligował członków stronnictwa do akcji malowania na płotach i ścianach hasel antyniemieckich. Krytykując agresywną politykę zagraniczną Trzeciej Rzeszy, narodowcy podkreślali również prohitlerowskie i nielojalne wobec państwa polskiego postawy, występujące wśród Niemców łódzkich.

Z bardziej wyważonymi wobec obozu rządzącego w Polsce, a zarazem jednoznacznie antyhitlerowskimi enuncjacjami występowali w tym czasie przedstawiciele żydowskich ugrupowań politycznych. Podczas łódzkich zebrań socjalistycznego Bundu oraz ugrupowań syjonistycznych ostrzeżeniem przed prohitlerowską działalnością mniejszości niemieckiej w Polsce i w Łodzi towarzyszyła przede wszystkim krytyka polityki uległości wobec dążeń Hitlera, prowadzonej przez zachodnie mocarstwa. W obliczu nadciągającej wojny jednoznacznie propolskie stanowisko wśród politycznych ugrupowań, reprezentujących mniejszość niemiecką w Łodzi, zajęła Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy, która zapowiadała w ogłaszanych rezolucjach, iż jej członkowie są gotowi stanąć w obronie Rzeczypospolitej, zagrożonej przez Trzecią Rzeszę. Jednak już działacze Niemieckiego Związku Ludowego na łamach periodyku tej organizacji „Der Deutsche Weg” wypowiedali się na temat sporu pomiędzy Niemcami a Polską i racji obydwu stron w sposób dalece niejednoznaczny, jeśli nie wręcz antypolski³.

Dojrzałe społeczeństwo

W odróżnieniu od wielkich polskich partii politycznych, które – akcentując zagrożenie wojną generowane przez agresywną politykę Berlina – nie zapomniały również o rozgrywaniu argumentu tego niebezpieczeństwa na wewnętrznej scenie politycznej, znacznie bardziej jednolitą postawę przyjmowało w 1939 r. łódzkie społeczeństwo. Przejawiała się ona przede wszystkim w ofiarności okazywanej przez łódzian w zbiórkach pieniędzy

na rzecz dobrojenia polskiej armii, bądź zakupywaniu wojskowego sprzętu i przekazywaniu go armii. I choć OZN usiłował taką postawę charakteryzować w kategoriach politycznego poparcia dla obozu rządzącego, to w rzeczywistości wynikała ona, jak się zdaje, przede wszystkim z głębokiego patriotycznego poczucia współodpowiedzialności Polaków za „swoje” państwo – rządzone co prawda od 1926 r. metodami autorytarnymi przez tylko jeden obóz polityczny – dla ogromnej większości Polaków stanowiące „najwyższe dobro wspólne”.

Warto przytoczyć choćby niektóre z przykładów ofiarności łodzian na rzecz wojska. W marcu 1939 roku w „Zjednoczonych Zakładach Włókienniczych K. Scheiblera i L. Grohmana” przeprowadzono zbiórkę pieniędzy na mundury dla polskiej armii, w trakcie której zgromadzono pokaźną sumę 2 tysięcy złotych. Fundusz Obrony Narodowej (FON) zasiłały również wpłaty z innych wielkich łódzkich przedsiębiorstw, między innymi: „I.K. Poznański”, „Krucze i Ender”, „Union Textile”, „N. Eitingon i S-ka” i „Allart Rousseau i S-ka”. Również w marcu 1939 roku Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Łodzi wzięła udział w ogólnokrajowej zbiórce pieniędzy na zakup samochodów dla armii, wpłacając niebagatelną sumę 10 tysięcy złotych i podejmując decyzję o opodatkowaniu się na ten cel w wysokości 1 procenta od miesięcznych wynagrodzeń przez następnych 5 miesięcy. Natomiast pracownicy firmy „John” niemal w przededniu wojny w sierpniu 1939 roku przekazali na rzecz obrony państwa ślubne złote obrączki, zadowolając się w zamian pamiątkowymi – żelaznymi.

Z ciekawą inicjatywą społeczną, mającą na celu dobrojenie armii, wystąpili właściciele apteki przy placu Wolności, wpłacając 200 złotych na FON, ale przede wszystkim wzywając na łamach „Kurieria Łódzkiego” do podobnego kroku dwie sąsiednie apteki, które z kolei miałyby zaapelować do następnych. Z kolei Bracia Albertyni ofiarowali na cel dobrojenia armii zagraniczne monety o dużej wartości numizmatycznej i wezwali do podobnych ofiar innych łódzkich zbieraczy. Drobne sumy i dary rzeczowe na rzecz armii składali również najmłodszy łodzianin, wśród nich wychowanek Żydowskiego Domu Sierot przy ulicy Północnej, którzy przekazali wojsku 40 złotych. W zbiórkach pieniędzy uczestniczyli nawet skazani osadzeni w łódzkich więzieniach.

Patriotyczna ofiarność

O ofiarności łodzian może świadczyć fakt, iż kiedy w lipcu 1939 roku udała się do Warszawy delegacja łódzkiego grodzkiego komitetu FON, aby złożyć zebrane środki w centrali funduszu, wiozła ze sobą prawdziwy majątek – prawie 10 kilogramów złota i 90 kilogramów srebra⁴.

A pamiętać należy, że zbiórka na FON nie była jedyną, w której w 1939 r. uczestniczyli łodzianie. Wykazali oni również ofiarność, uczestnicząc w akcji gromadzenia środków na zakup morskiego ściąacza. Akcji tej patronowała początkowo Liga Morska i Kolonialna Okręgu Łódzkiego, ale wkrótce przejęły ją władze admini-

stracyjnie, rozpropagowując szeroko ideę „łódzkiego okrętu wojennego” w lokalnym społeczeństwie. Efekty zbiórki dalece przerosły plany i ambicje jej pomysłodawców i organizatorów. Jeszcze w grudniu Komitet Grodzki Zbiórki szacował, że w jej wyniku do września 1939 roku zostanie zebranych w Łodzi 600 tysięcy złotych z sumy miliona stu tysięcy złotych, jaką miano przeznaczyć na zakup tej jednostki morskiej (pozostałe pół miliona złotych miało spłynąć z terenu województwa). Tymczasem już w maju 1939 roku stan konta Funduszu Obrony Morskiej, na który wpływały dary, wynosił prawie 430 tysięcy złotych, a dodatkową wpłatę w wysokości 300 tysięcy zapowiedzieli łódzcy przedsiębiorcy. Organizatorzy akcji mogli zatem skonstatować, iż mając do dyspozycji jeszcze połowę zakładanego na zbiórkę czasu zadeklarowali 2/3 potrzebnej na zakup ścigacza sumy. Ostateczna suma przekazana jeszcze w sierpniu 1939 roku władzom centralnym wyniosła prawie milion trzysta tysięcy złotych⁵.

Łodzianie wykazali się również ofiarnością na rzecz rozbudowy i unowocześnienia polskiego lotnictwa wojskowego. Uczestniczyli między innymi w subskrypcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, ogłoszonej 30 marca 1939 roku. Już 3 kwietnia powstał w Łodzi Miejski Komitet Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej pod przewodnictwem ówczesnego prezydenta Łodzi, socjalisty – Jana Kwapińskiego. Zaapelował on do łodzian o udział w subskrypcji. Jej ideę propagowali również w swych zakładach przedsiębiorcy, popularyzowali ją liczne instytucje publiczne, stowarzyszenia i związki, łódzka rozgłośnia radiowa oraz lokalna prasa polska i żydowska: „Kurier Łódzki”, „Republika”, „Głos Poranny” i „Majer Folksblatt”. Ostatecznie w Łodzi zasubskrybowano łącznie nieco ponad 20,3 mln zł, natomiast wpłacono około 19,8 mln zł. Łódzkie firmy, organizacje społeczno-zawodowe i postacie publiczne – między innymi „Zjednoczone Zakłady Włókiennicze K. Scheiblera i L. Grohmana”, Angielsko-Polski Przemysł Gumowy „Gentleman”, Stowarzyszenie Polskich Kupców i Przemysłowców Chrześcijan w Łodzi, a spośród pojedynczych ofiarodawców – generał Feliks Maciszewski – ufundowały 13 samolotów szkoleniowych lotniczej szkole, która powstała w Łodzi w maju 1939 roku⁶.

Środki na dozbrojenie armii uzyskiwano również z licznych organizowanych w Łodzi w 1939 r. imprez sportowych, artystycznych i towarzyskich – zawodów, wystaw, koncertów, rautów i odczytów.

Apele o jedność

Łodzianie dokumentowali swój patriotyzm nie tylko poprzez udział w zbiórkach pieniężnych, ale również bezpośrednio uczestnicząc w przygotowaniach do obrony miasta. Kiedy 25 sierpnia 1939 roku prezydent Jan Kwapiński wezwał mieszkańców Łodzi do wzięcia udziału w akcji kopania rowów przeciwlotniczych, apel ten podchwyciły i rozpropagowały partie polityczne, stowarzyszenia i związki zawodowe. Odezwy popierające apel prezydenta wydały: PPS, Stronnictwo i Klub Demokratyczny, FPZOO, Związek Legionistów, Związek Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski, Syndykat

Dziennikarzy Łódzkich, Unia Związków Pracowników Umysłowych, Stowarzyszenie Aplikantów Adwokackich, a nawet... Cech Fryzjerów.

Z kolei prezes łódzkiej gminy żydowskiej, a zarazem poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej – Lajb Minberg po apelu prezydenta wydał w imieniu całej gminy żydowskiej odezwę, w której stwierdzał: *Zarząd gminy wyznaniowej żydowskiej poczuwa się do obowiązku zwrócić się z apelem do obywateli Żydów, by przez gremialny udział w robotach jeszcze raz zadokumentowali swoją gotowość do wykonania wszelkich obowiązków obywatelskich. Obywatele Żydzi! Wzywamy was, by w tej, tak doniosłej dla Ojczyzny chwili, nie zabrakło nikogo, zdolnego do wykonania pracy fizycznej w szeregach budujących okopy przeciwlotnicze.*

Ostatecznie w akcji kopania rowów uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy osób. W odpowiedzi na zaangażowanie społeczeństwa prezydent Kwapiński wydał specjalną odezwę, w której dziękował za tak żywą reakcję na jego wezwanie⁷.

Niełojalni Niemcy

Poważną rysą na tym niemal idealnym wizerunku patriotyzmu łodzian, udokumentowanym ich ofiarnością i poświęceniem na rzecz obronności kraju, była postawa części mniejszości niemieckiej, zamieszkującej miasto. W wielu łódzkich fabrykach dochodziło do kłótni i bójek pomiędzy polskimi i niemieckimi robotnikami – zwolennikami Hitlera – prowokowanych zwykle przez tych drugich. Niektórzy łódzcy Niemcy, między innymi właściciele i pracownicy łódzkich firm, kin, teatrów, restauracji i kawiarni, celowo używali języka niemieckiego wobec Polaków – robotników, interesantów i klientów. Wzbierająca na sile aktywność zwolenników Hitlera wśród łódzkich Niemców polegała również na szerzeniu antypolskiej i defetystycznej propagandy. Niemcy urągali publicznie polskim władzom, obrażali naród i państwo polskie.

Jednak znacznie poważniejszym zagrożeniem dla porządku w mieście i bezpieczeństwa państwa były ucieczki polskich obywateli narodowości niemieckiej do Trzeciej Rzeszy oraz akcje szpiegowskie, dywersyjne i terrorystyczne, organizowane przez hitlerowskie podziemie w Łodzi. Tylko w czerwcu uciekło z Łodzi do Niemiec przez „zieloną granicę” prawie 900 osób – w tym przedstawiciele niemieckiej finansjery, sfer przemysłowych i kupieckich i działacze niemieckich partii i organizacji społecznych oraz związków. O rozmiarach procederu przemytu ludzi do Niemiec świadczyć może fakt, iż kiedy policja łódzka, zaalarmowana rozmiarami tych ucieczek, rozpoczęła energiczną akcję, mającą na celu zwalczanie organizacji wyspecjalizowanych w przetrzucaniu uciekinierów przez granicę, zatrzymała na terenie miasta ponad 60 osób, zaangażowanych w tę nielegalną działalność – oczywiście w większości Niemców.

Policja wykrywała również próby prowadzenia przez przedstawicieli mniejszości niemieckiej działań o charakterze szpiegowskim – dotyczących zarówno łódzkiego przemysłu, jak i kwestii wojska i obronności. Natomiast rewizje, przeprowadzane w mieszkaniach obywateli polskich narodowości niemieckiej, ale także w lo-

kalach, należących do niemieckich instytucji publicznych, stowarzyszeń i związków, prowadziły niekiedy do odkrycia prawdziwych arsenałów, w których zgromadzona była broń palna długa i krótka, amunicja, granaty oraz materiały wybuchowe. Te sukcesy policji w walce z niemieckim podziemiem hitlerowskim w Łodzi były tyleż krzepiące, co niepokojące – wskazywały bowiem zarówno na przekonanie części łódzkich Niemców co do nieuchronności wojny, jak też na ich gotowość do zbrojnego wystąpienia po stronie najeźdźcy⁸.

Informacje o przykładach nielojalności Niemców łódzkich wobec państwa polskiego tworzyły oczywiście niechętnie im nastroje wśród polskich mieszkańców Łodzi. W maju 1939 roku Stowarzyszenie Zawodowych Sprzedawców i Pracowników Pism w Łodzi uchwaliło bojkot niemieckich gazet. Dochodziło również do aktów niszczenia przychodzących do Łodzi przez Dworzec Kaliski ładunków, zawierających niemieckie gazety, periodyki i książki. Ogłaszano bojkoty niemieckich filmów, sprowadzanych przez właścicieli łódzkich kin. Bojkotowano również te sklepy, lokale gastronomiczne i warsztaty rzemieślnicze, które prowadzili Niemcy.

Innym przejawem niechęci łódzian-Polaków do ich niemieckich sąsiadów był antyniemiecki charakter organizowanych w 1939 r. imprez, manifestacji i wieców. Hasła antyniemieckie wznosili zebrani na uroczystościach „Dni Morza”, zorganizowanych w dniach 24 czerwca–2 lipca 1939 roku w Łodzi. Podobny wydźwięk miała wielka demonstracja, która odbyła się na placu Wolności 15 lipca, w 529. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Na transparentach, przyniesionych przez jej uczestników oraz w mowach wygłoszonych w jej trakcie zapowiadano, że ponowny konflikt zbrojny pomiędzy Polską a „żywołem germańskim” przyniesie Niemcom kolejny pogrom na miarę klęski poniesionej przez Zakon Krzyżacki. Wzywano również do wyłączenia hitleryzmu w mieście i w całym kraju⁹.

Kres wielonarodowej Łodzi

Gwoli sprawiedliwości należy stwierdzić, iż zbliżająca się wojna ujawniała niekiedy również ciemne strony charakteru zamieszkujących w Łodzi Polaków. Niepokój łódzian i niepewność jutra skutkowałą wykupywaniem żywności w łódzkich sklepach. Gotowość klientów do zapłacenia za artykuły żywnościowe nawet wygórowanych sum skłoniła niektórych sklepikarzy do drastycznego podnoszenia cen bez żadnego uzasadnienia. Z tym przejawem chciwości, niemającym nic wspólnego z poczuciem narodowej i obywatelskiej solidarności, zaczęła walczyć Komisja Aprowizacyjna, powołana przez władze miejskie i uprawniona do przeprowadzania inspekcji sklepów.

Były to już ostatnie dni wolnej Łodzi. Niemiecka agresja na Polskę, która rozpoczęła się 1 września 1939 roku oznaczała początek końca II Rzeczypospolitej, która po krótkim okresie międzywojennego dwudziestolecia padła ofiarą zaborczości III Rzeszy i Związku Sowieckiego. Wojna odmieniła także oblicze Łodzi. Wielonarodowa metropolia – która narodziła się w XIX wieku, przetrwała I wojnę światową i pozostała

„tygłem narodowości” również w latach Polski międzywojennej – odeszła w przeszłość. Najpierw dokonał się los łódzkiej społeczności żydowskiej, bestialsko zlikwidowanej przez hitlerowskiego okupanta. Następnie odeszli z Łodzi Niemcy, uchodząc przede wszystkim przed wojskami sowieckimi, ale obawiając się również gniewnego odwetu ze strony polskiej. Dziś ten dawny wielonarodowościowy „polski Manchester” żyje już tylko w pamięci sędziwych łódzian, w łódzkich zabytkach, na kartach pamiętników i historycznych ksiązek.

Przemysław Waingertner
– dr hab. historii, prof. UŁ

pierwsze kolumny

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przypisy:

1. O działalności propagandowej obozu rządzącego w Łodzi przed wybuchem II wojny światowej informował obszernie „Kurier Łódzki” zwłaszcza w marcu, kwietniu i maju 1939 roku.
2. Artykuły przynoszące informacje o poczynaniach PPS w obliczu wojennego zagrożenia publikował przede wszystkim „Łódzianin”.
3. O aktywności propagandowej SN, ugrupowań żydowskich i niemieckich w Łodzi w 1939 r. w: Archiwum Państwowe w Łodzi [dalej: APŁ], Komenda Policji Państwowej w Łodzi, Meldunki doraźne.
4. Por. doniesienia „Kuriera Łódzkiego”: 25 III 1939 nr 84, s. 4–5; 30 III 1939 nr 89, s. 5; 5 IV 1939 nr 95, s. 9; 13 IV 1939 nr 103, s. 6; 6 V 1939 nr 124, s. 5; 12 V 1939 nr 130, s. 5; 27 VIII 1939 nr 236, s. 13. Patrz też: J. Wałaszek, *Spoleczeństwo Łodzi wobec zagrożenia wojną* (wrzesień 1938–sierpień 1939), mps w zbiorach Katedry Historii Polski Najnowszej Uniwersytetu Łódzkiego, s. 46-49.
5. Ibidem, s. 49–52.
6. Zob. m.in.: APŁ, Urząd Wojewódzki Łódzki [dalej: UWŁ], Sprawozdanie wojewody za miesiąc kwiecień 1939 r., s. 1–3; APŁ, UWŁ, Sprawozdania starostów powiatowych z akcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, s. 40; „Kurier Łódzki” (4 IV 1939 nr 94, s. 2; 26 IV 1939 nr 114, s. 7; 3 V 1939 nr 121, s. 5) i „Dzienniki Zarządu Miejskiego w Łodzi” (15 V 1939 z. 4, s. 600–603; 15 VI 1939 z. 5, s. 612).
7. O akcji kopania rowów donosił w ostatnich sierpniowych numerach „Głos Poranny”.
8. M. Cygański, *Mniejszość niemiecka w Polsce centralnej w latach 1919–1939*, Łódź 1962, s. 110–112, 115, 123–128, 131; L. Meissner, *Niemieckie partie antyhitlerowskie na Śląsku i w Łodzi 1933–1939*, Warszawa 1964, s. 256–259.
9. Por. doniesienia m.in. „Kuriera Łódzkiego” (15 V 1939 nr 132, s. 3; 26 VI 1939 nr 174, s. 3; 30 VI 1939 nr 178, s. 5); „Republiki” (3 VII 1939 nr 181, s. 3) i „Głosu Porannego” (16 VIII 1939 nr 226, s. 6).

Fakty i kontrowersje

Pierwsze bomby na Wieluń

1 września 1939 roku o godz. 4.45 niemiecki pancernik Schleswig-Holstein wystrzelił pierwsze pociski w kierunku Westerplatte. Przez całe dziesięciolecie nie budziło niczyjej wątpliwości, że atak ten był początkiem II wojny światowej, pomimo informacji o aktach prowokacji ze strony Niemców, które miały miejsce przed tą godziną na różnych odcinkach granicy. W ostatnich latach pojawiły się jednak opinie, że godzinę wcześniej nastąpiło bombardowanie Wielunia i to właśnie wydarzenie powinno zostać uznane za początek agresji niemieckiej na Polskę. Warto porównać argumenty obu stron i przyjrzeć się okolicznościom ataku na Wieluń, aby móc ocenić zasadność nowej tezy.

Mimo upływu dziesiątek lat od ataku niemieckiego lotnictwa na Wieluń w dniu 1 września 1939 roku, nadal istnieją spory na temat godziny pierwszego nalotu na miasto, ich ogólnej ilości oraz przyczyn¹. Różnice zdań dotyczą również obecności na terenie Wielunia polskiego wojska. Wątpliwości budzi także liczba śmiertelnych ofiar nalotów.

Miasto w przededniu wojny

Przed wybuchem II wojny światowej granica z III Rzeszą przebiegała w odległości ok. 30 km od Wielunia. W ostatnich tygodniach pokoju atmosfera w mieście była podobna do tej, jaka panowała w całej Polsce. Przekonanie o dobrym przygotowaniu do ewentualnego konfliktu oraz wiara w sojusze wojskowe z Wielką Brytanią i Francją pozwalały sądzić, iż Polska poradzi sobie, jeśli dojdzie do agresji niemieckiej. Ponieważ obawiano się wybuchu wojny, czynione były do niej przygotowania. Mieszkańcy Wielunia aktywnie uczestniczyli w akcjach na rzecz dozbrajania polskiego wojska, poprzez zbiórki pieniędzy i kosztowności, przeznaczanych na zakup broni oraz sprzętu. Wspierali Fundusz Obrony Narodowej (FON), a także Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej (POP), które gromadziły środki finansowe na potrzeby rodzimej armii. Do maja 1939 roku, wielunianie zadeklarowali 500 tys. zł na POP, z czego połowa została wpłacona w gotówce, zebrali również 80 tys. zł na FON. Pieniądże często deklarowane były na konkretne cele, np. budowę ścigacza dla Marynarki Wojennej lub uzupełnienie uzbrojenia dla poszczególnych oddziałów wojsk lądowych.

W mieście czyniono przygotowania do ochrony ludności cywilnej, w przypadku niemieckiego ataku. W sierpniu 1939 roku zorganizowane zostało dla mieszkańców szkolenie w zakresie obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Aby zwiększyć stan bezpieczeństwa ludności cywilnej, utworzony został kontrolny punkt dozoru obrony przeciwlotniczej. Osoby w nim czuwające miały za zadanie informo-

wać o pojawianiu się obcych samolotów, naruszających polską przestrzeń powietrzną. Miało to dać czas ludności cywilnej na ukrycie się i tym samym zminimalizować straty spowodowane atakiem. W rzeczywistości, ze względu na bliskość granicy polsko-niemieckiej, system ten nie mógł spełnić swojej roli. Nawet gdyby samoloty agresora zostały wcześniej dostrzeżone, nie wystarczyłoby czasu na zaalarmowanie i ukrycie się mieszkańców Wielunia w schronach. Podobne zadanie ostrzegawcze miały również posterunki umieszczone wzdłuż linii granicznej. Na wypadek wojny wydzielone zostały cztery punkty medyczne, w których poszkodowani mogliby otrzymać fachową pomoc. W każdym z nich pomoc miał nieść lekarz i sześć sanitariuszek.

Pogarszająca się sytuacja międzynarodowa i wzrost napięcia pomiędzy Polską a III Rzeszą spowodowały, że 10 maja 1939 roku rozpoczęto formowanie dwóch wieluńskich batalionów Obrony Narodowej (ON): „Wieluń I” i „Wieluń II”. Wchodziły one w skład Sieradzkiej Brygady ON, dowodzonej przez płk. Jerzego Grobickiego². W połowie 1939 r. do rejonu granicznego, jakim był powiat wieluński, kierowane były jednostki wojskowe. W czerwcu 1939 roku w okolice miasta przesunięty został 1. Pułk Kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), wchodzący w skład Oddziału Wydzielonego (OW) nr 2 10. Dywizji Piechoty (DP) gen. bryg. Franciszka Dindorf-Ankowicza z Armii „Łódź”. Dowództwo pułku usytuowano na terenie cukrowni w Niedzielsku w pobliżu Wielunia, a poszczególne szwadrony w: Kadłupie, Raczynie, Dąbrowie, Czarnożyłach, Opatowie i Grabowie. Pod koniec sierpnia pododdziały pułku przesunięte zostały bliżej granicy, choć dowództwo nadal pozostało w zabudowaniach cukrowni. Przez Wieluń przechodziły też oddziały 28. DP przesuwane z Widawy w kierunku granicy niemieckiej. 30 sierpnia rano do stacji kolejowej w Widawie przybył III batalion 36. pp Legii Akademickiej. Przemieszczał się on z Widawy przez Wolę Wiązową, Mierzyn, Osjaków i Wieluń do miejscowości Gaszyna, gdzie zajęł stanowiska obronne. Informacje o tym przemieszczaniu się polskiego wojska w rejonu bliższe granicy państwowej docierały zapewne do niemieckiego wywiadu.

15 sierpnia 1939 roku w Wieluniu, w defiladzie z okazji Święta Żołnierza Polskiego, uczestniczył 1. Pułk Kawalerii KOP oraz obydwa wieluńskie bataliony ON. Uroczystości uświetnił swoim przybyciem gen. dyw. Juliusz Rómmel, dowódca Armii „Łódź”. To właśnie tego dnia Niemcy szpiedzy mogli zobaczyć na terenie miasta wojsko, co zapewne przekazali swoim służbom specjalnym. O sytuacji i nastrojach w Polsce informował Niemców nie tylko ich wywiad, ale również uciekinierzy, którzy licznie przekraczali granicę z III Rzeszą. Wiosną i latem 1939 roku na niemiecką stronę granicy przechodzili również Polacy. Ze względu na pogarszającą się sytuację międzynarodową, wielu mieszkańców terenów przygranicznych nie mogło oficjalnie skorzystać z możliwości podjęcia pracy w Rzeszy. Robili więc to nielegalnie. Urząd Wojewódzki w Łodzi szacował, że wiosną 1939 roku przez tzw. zieloną granicę przeszło ok. 2000 osób poszukujących pracy. Niektórzy z nich mogli – nawet w sposób nieświadomy – stać się źródłem informacji o sytuacji w Polsce.

Zagrożenie agresją ze strony III Rzeszy spowodowało, iż 29 sierpnia 1939 roku rząd polski ogłosił powszechną mobilizację. Jednak już wkrótce, pod naciskiem zachodnich sojuszników, została ona odwołana. Mieszkańcy Wielunia podlegający rekrutacji stawili się do punktów zbornych w mieście, a następnie zostali przewiezieni do jednostki wojskowej w Sieradzu. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku ewakuowały się z Wielunia w głąb kraju niektóre urzędy i część rodzin urzędników. Wiele osób obawiało się bowiem, że w przypadku niemieckiej agresji nie wystarczy czasu na wyjazd wszystkich chętnych do odleglejszych – uchodzących wtedy za bezpieczniejsze – rejonów Polski.

Zaskoczeni we śnie

31 sierpnia 1939 roku w Wieluniu powszechnie powtarzano wiadomość, iż następnego dnia ma zostać przeprowadzony próbny alarm przeciwlotniczy dla członków LOPP. Informacja o planowanym szkoleniu spowodowała, że pierwsze odgłosy syren alarmowych wielu mieszkańców Wielunia potraktowało początkowo jako element wspomnianych ćwiczeń. Kazimiera Jędrasik, która odbywała w tym czasie praktykę pielęgniarską w wielunińskim szpitalu, wspominała, że na odgłos zbliżających się samolotów pobiegła zapytać inne pielęgniarki, czy rozpoczęła się wojna. Otrzymała odpowiedź, że to jedynie próba alarmu przeciwgazowego, więc należy zamknąć okna. Przekonanie o przeprowadzaniu tego dnia ćwiczeń sprawiło, że część z osób z opóźnieniem zareagowała na atak wroga, zmniejszając tym samym swoje szanse na uratowanie życia.

Bezsprecznym faktem jest, że 1 września 1939 roku, we wczesnych godzinach rannych, na uśpione miasto spadły bomby zrzucone przez lotników z niemieckiego I dywizjonu 76. pułku bombowców nurkujących dowodzonego przez kpt. Waltera Sigela. Wieluń zaatakowało 29 samolotów „Junkers Ju 87B Stuka”, popularnie nazywanych „sztukasami”. Były to: dwa samoloty dowodzenia oraz trzy eskadry po dziewięć samolotów, które dysponowały 29. bombami o wadze 500 kg (zawieszanymi pod kadłubem samolotu) oraz 116. bombami po 50 kg każda (umieszczonymi pod skrzydłami).

Świadcami tych wydarzeń byli mieszkańcy Wielunia. Dr Zygmunt Patryn tak wspominał tę chwilę: *[...] obudził mnie huk nisko lecących samolotów. W chwilę później usłyszałem przeraźliwy świst i wybuch bomby na terenie ogrodu szpitalnego. Była to pierwsza bomba, która spadła na Wieluń. [...] Zobaczyłem nawracające samoloty. [...] znów zrzuciły na szpital bomby burzące i zapalające. Budynek został trafiony i zaczął się palić³. Według Władysławy Musielak: *Słysząc było straszny ryk samolotów. [...] Zarówno ja, jak i siostry zakonne sądziłyśmy, że jest to ów próby nalot [...]. Nagle jednak zaczęły spadać bomby, mury szpitala zaczęły się walić⁴. Pamięć do tamtych strasznych wydarzeń wróciła też Kazimiera Zawadzka: *Wszystkie budynki [szpitala] płonęły, bo napastnicy używali bomb zapalających i burzących. W przerwach między nalotami staraliśmy się rozpoznać liczbę zabitych i rannych. Przystąpiliśmy***

również do udzielania pomocy chorym i rannym. W tym czasie płonęło także całe miasto⁵ oraz Józef Sobański: *Widziałem rannych i wołających pomocy, słyszałem płacz niemowląt. [...] spod gruzów [wydobywano] zwłoki zmasakrowane, spalone, trudne do rozpoznania⁶.*

Spór o godzinę ataku

Zgodnie z precyzyjnymi informacjami zawartymi w meldunku kpt. W. Sigela, do którego odwołują się wszyscy badacze tematu, przebieg wydarzeń miał wyglądać następująco: samoloty wystartowały z lotniska polowego w miejscowości Nieder-Ellguth (obecnie Ligota Dolna, we wrześniu 1939 roku – miejscowość ta znajdowała się poza granicami Polski) o godzinie 5.02. Do pokonania miały około 100 km, ponieważ nie leciały w linii prostej. Nad Wieluniem znalazły się o godz. 5.40 i dokonały ataku. Samo zrzucenie ładunków trwało kilkadziesiąt sekund. O godz. 6.05 eskadra powróciła na lotnisko w Nieder-Ellguth.

Godziny podane w raporcie pokrywają się z obliczeniami poczynionymi na podstawie prędkości przelotu tych samolotów, z uwzględnieniem posiadanego obciążenia ładunkami wybuchowymi. Powołując się na powyższy raport, zwolennicy tezy o wcześniejszym ataku na Wieluń twierdzą, że istniała godzinna różnica czasu pomiędzy III Rzeszą a Polską. Jednak cykliczne zmiany czasu z zimowego na letni i odwrotnie zostały wprowadzone w Rzeszy dopiero od 1 kwietnia 1940 roku.⁷ Nie mogły więc dotyczyć wydarzeń z jesieni 1939 roku. Ponadto wszelkie meldunki i raporty z tego samego dnia, dotyczące aktów agresji niemieckiej w innych miejscach na granicy polsko-niemieckiej, które zwierają godzinę, nie budzą wątpliwości badaczy.

Nawet zeznania świadków wydarzeń nie są zgodne. W składanych współcześnie relacjach podawana jest najczęściej godzina 4.35–4.40, za wiarygodną uznaje ją również prof. Tadeusz Olejnik⁸. Jednak w zebranych przez prof. Olejnika w połowie lat siedemdziesiątych, a więc w zdecydowanie krótszym odstępie czasu od opisywanych wydarzeń niż obecnie, w wypowiedziach świadków pojawiają się zróżnicowane informacje na temat tego samego wydarzenia. Dr Zygmunt Patryn – dyrektor szpitala w Wieluniu – wskazuje na czas pomiędzy godz. 4.00 a 5.00. Władysława Musielak – położna, która mieszkała wtedy w budynku szpitala – podała, że huk nadlatujących samolotów obudził ją o godz. 5.15. Natomiast Kazimiera Jędrasik – która w czasie odbywanych praktyk pielęgniarskich mieszkała na terenie wieluńskiego szpitala – zeznała, że nadlatujące samoloty usłyszała o godz. 5.00. Tą samą godzinę bombardowania wskazał Jan Sforca – dezynfektor w tymże szpitalu. Inni świadkowie mówili bardziej ogólnie, np. Stanisław Musiał wspominał, że działo się to wczesnym rankiem⁹. Wiele osób nie potrafiło precyzyjnie wskazać godziny bombardowania, ze względu na duże tempo i grozę wydarzeń.

W Okręgowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (OKŚZpNP) w Łodzi prowadzone było postępowanie dotyczące tragedii wieluń-

skiej. Opierając się na zeznaniach świadków oraz analizie dokumentów i informacjach zawartych w literaturze przedmiotu, prowadzący śledztwo prokurator Arkadiusz Gałąj ustalił, iż pierwszy nalot bombowy na Wieluń miał miejsce o godzinie 5.40.

Nalot za nalotem

1 września 1939 roku samoloty Luftwaffe najprawdopodobniej jeszcze trzy razy zrzuciły bomby na Wieluń, choć w literaturze przedmiotu pojawiają się informacje, że nalotów było więcej¹⁰. Następnym atak miał miejsce około godz. 6.10. Tuż przed nim nad miasto nadleciał rozpoznawczy „Dornier Do 17P” z II dywizjonu 77. pułku bombowców nurkujących pilotowany przez ppor. Dietricha Lehmana. Jego zadaniem było oszacowanie strat, jakie Wieluń poniósł w pierwszym ataku. Następnie miasto zaatakowało 20 samolotów z I dywizjonu 77. pułku bombowców nurkujących kpt. Friedricha-Karla barona von Dalwiga z Lichtenfels. Pomiędzy 8.00 a 9.00 kolejny nalot wykonał I dywizjon 2. pułku bombowców nurkujących, dowodzony przez mjr. Oskara Dinorta. Oslonę lotniczą stanowiło dla niego dziesięć „Messerschmittów Bf 109 E” z 3. eskadry I dywizjonu 76. pułku myśliwców. Pomiędzy godziną 13.00 a 14.00 nad Wieluniem pojawiło się 29 „sztukasów” z I dywizjonu 76. pułku bombowców, z których przynajmniej część zbombardowała miasto.

Atak Luftwaffe zupełnie zaskoczył mieszkańców miasta. Przekazane z punktów granicznych drogą telefoniczną informacje o nadlatujących niemieckich samolotach dawały zbyt mało czasu na podjęcie jakichkolwiek działań. Dodatkowo wczesna pora pierwszego ataku i brak obrony przeciwlotniczej sprawiły, że straty były ogromne. W wyniku nalotów zniszczone zostało ok. 70–75% zabudowy miasta, głównie w centrum. W gruzach leży nie tylko budynki mieszkalne, ale również miejski szpital oraz świątynie i liczne zabytki. Opisy zniszczeń pojawiają się nie tylko w zeznaniach polskich świadków wydarzeń, ale również niemieckich żołnierzy, biorących udział w nalotach, i urzędników, którzy przejmowali – w imieniu III Rzeszy – władzę w mieście: *Na ulicach leżą gruzy, kamienie, poprzewracane słupy elektryczne i telefoniczne. W jasnym świetle dziennym można zobaczyć wszystkie skutki bombardowania. Śródmieście jest całkiem zdruzgotane. Domy zostały tu wypalone, zapadły się zmiażdżone przez bomby albo zostały przez nie zmiecione. [...] Bomby podziurawiły ulice i place, zorały połączenie ziemi, duże i mniejsze niewypały leżą na ulicach. [...] Studnie zostały uszkodzone i zanieczyszczone. Przed domami leżą zwłoki*¹¹. Skalę zniszczeń dokumentują również zdjęcia, zrobione przez Niemców w latach 1939–1940.

Szpital, kościoły, cerkiew, synagoga

Podczas tych bombardowań zniszczone zostały między innymi: katolicki kościół farny z początku XIV w. oraz klasycystyczna synagoga wybudowana w połowie XIX wieku. Bomby spadły także na zabytkowe budynki w śródmieściu, okolice Starego i Nowego Rynku, zabudowania klasztoru Księży Misjonarzy św. Rodziny oraz jedno ze skrzydeł

byłego zamku królewskiego, będące siedzibą sądu pokoju i starostwa powiatowego. Zburzonych zostało również kilkanaście zabytkowych kamieniczek mieszczańskich, między innymi najstarszy dom mieszkalny w Wieluniu u zbiegu ulic Okólnej i Barycz. W gruzach legło ogółem 300 budynków mieszkalnych położonych przy około 30 ulicach, 10 budynków użyteczności publicznej, 5 kompleksów zabudowań klasztornych, 7 kościołów, cerkiew i synagoga.

Już podczas pierwszego nalotu niemieccy lotnicy zbombardowali miejski szpital pw. Wszystkich Świętych. Ponieważ na kilka dni przed wybuchem wojny – z obawy przed pogarszającą się sytuacją w stosunkach z III Rzeszą – dyrektor szpitala, dr Zygmunt Patryn, zwolnił do domów blisko połowę chorych, pozwoliło to na zmniejszenie liczby ofiar na terenie tej placówki. Na skutek wybuchu bomb i późniejszego pożaru szpital został w dużej części zniszczony. Zginęło w nim 26 chorych oraz 6 osób niosących im pomoc. Życie stracili przede wszystkim najciężej chorzy, którzy ze względu na stan zdrowia nie mogli opuścić budynku. W wyniku nalotów uszkodzony został również pawilon, w którym znajdowali się zakaźnie chorzy.

Sprawę zbombardowania szpitala, który zgodnie z Konwencją Haską z 1907 r. nie powinien być atakowany, komplikuje fakt, iż nie ma zgodności w zeznaniach świadków, czy miał on odpowiednie oznakowanie symbolem Czerwonego Krzyża. Według dyr. Patryna: *Znaku Czerwonego Krzyża na szpitalu nie było, gdyż wojna nie była Polsce wypowiedziana oraz [Landrat] pytał mnie, dlaczego nie oznakowaliśmy szpitala. Odpowiedziałem, iż wojna Polsce nie została wypowiedziana i z tej racji nie było potrzeby oznakowania szpitala*¹². W sprawozdaniu członków niemieckiej grupy operacyjnej, która wkroczyła do zbombardowanego Wielunia, zapisano: *Szpital jest zdruzgotany. Nie był on oznaczony*¹³. Inaczej zeznał Jan Soforka, który w 1939 r. był dezynfektorem w wielunińskim szpitalu: *dr Zygmunt Patryn polecił mi, abym zabezpieczył szpital przed ewentualnym bombardowaniem lotniczym przez wymalowanie znaków Czerwonego Krzyża*¹⁴. Ponieważ nie mamy do tego zagadnienia innych źródeł, pozostają jedynie te – sprzeczne ze sobą – informacje.

Po wkroczeniu do miasta, Niemcy nakazali pozostałym w nim mieszkańcom uporządkowanie terenu. W zorganizowanych przez okupanta grupach pracowało ponad 2 tys. osób. Ludność żydowska miała obowiązek grzebać ciała ofiar nalotów odnajdywane w gruzach. Ponadto, wspólnie z Polakami, porządkowała gruzowiska. Mimo intensywności prac w pierwszym okresie po ustanowieniu niemieckiej administracji, ze względu na skalę zniszczeń, prowadzone były one jeszcze w latach następnych.

Hekatomba śródmieścia

Najwięcej mieszkańców Wielunia zginęło w śródmieściu. W zwartej zabudowie centrum, zaskoczeni we śnie ludzie tracili życie w ruinach własnych domów. Ponieważ w tym obszarze zamieszkiwało wiele osób pochodzenia żydowskiego, gros ofiar było spośród tej

społeczności. Ci, którzy ocaleli, często zdecydowali się na opuszczenie miasta. Zabierali minimum dobytku i wyruszali w kierunku wschodnim, sądząc, że uda im się opuścić rejon walk. Liczba ofiar nigdy nie została dokładnie ustalona.

W publikacjach na temat strat osobowych poniesionych w czasie bombardowania Wielunia najczęściej podawana jest liczba 1200 zabitych¹⁵. Niestety, stwierdzona jedynie na podstawie przybliżonych szacunków, poczynionych przez członka Technische Nothilfe¹⁶ i przekazana w rozmowie dyr. Patrynowi¹⁷. Żadnego uzasadnienia oraz potwierdzenia w źródłach nie znajduje natomiast liczba 2169 zabitych, która została podana w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej¹⁸. W relacji znajdującej się w Zbiorach Instytutu Zachodniego dr Patryn podał jeszcze inną informację, odnośnie liczby zabitych podczas bombardowania Wielunia. Stwierdził w niej, iż w piśmie skierowanym do Ministra Spraw Wewnętrznych III Rzeszy z 23 lutego 1942 roku starosta niemiecki (*landrat*) powiatu wieluńskiego wymienił liczbę około 650 ofiar pogrzebanych pod gruzami zbombardowanego miasta. Ponieważ ciała ofiar grzebano najczęściej w zbiorowych mogiłach, bez wcześniejszej identyfikacji i rejestracji zgonu, niemożliwe jest dokonanie precyzyjnych obliczeń, w oparciu o materiały urzędów stanu cywilnego oraz parafii. Można jednak przypuszczać, iż liczba podana przez niemieckiego starostę była próbą policzenia zabitych bezpośrednio po tragedii i z tej właśnie przyczyny wydaje się być najbardziej zbliżona do rzeczywistych strat¹⁹. Prawdopodobnie zwłoki pojedynczych ofiar pochowano również w miejscach ich znalezienia, a dopiero później ekshumowano je, przewożąc na cmentarz. Ciała, które udało się zidentyfikować często zabierali członkowie rodziny, dokonując ich pochówku na cmentarzach w miejscowościach, z których pochodzili. Ponadto część osób, która została ranna podczas nalotów, straciła życie od poniesionych obrażeń nie od razu, ale dopiero po jakimś czasie. Niektórzy poszkodowani opuścili miasto i zmarli podczas ucieczki na wschód. To sprawia, że podanie dokładnej liczby ofiar bombardowania Wielunia w dniu 1 września 1939 roku wydaje się bardzo trudne.

Dlaczego Wieluń?

Kontrowersje wśród badaczy tematu wzbudza kwestia obecności na terenie Wielunia oddziałów Wojska Polskiego, co było dla Niemców pretekstem do przeprowadzenia bombardowania. W zachowanych meldunkach pojawiają się informacje o obecności polskich oddziałów na terenie miasta, co zdaniem napastników, uzasadniało atak²⁰. Tego typu zapisy w niemieckich materiałach wojskowych były zapewne efektem zbierania danych przez komórki wywiadu jeszcze przed rozpoczęciem II wojny światowej. A ponieważ odpowiadały one propagandzie niemieckiej, jako wytłumaczenie ataku na Wieluń, mogły być później powielane.

Pozyskanie informacji o obecności wojska na terenie miasta i powiatu nie było trudne, ponieważ od wiosny 1939 roku przemieszczały się po tym rejonie różne formacje wojskowe. W maju Wieluń został wyznaczony na miejsce postoju I kompanii batalionu Obrony Narodowej (ON) „Wieluń II” wchodzącej w skład Sieradzkiej

Brygady ON oraz jej sztabu. Eskalacja manewrów nastąpiła naturalnie w momencie pogarszania się sytuacji międzynarodowej i wzrostu napięcia pomiędzy Polską a III Rzeszą, czyli w drugiej połowie sierpnia 1939 roku. 25 sierpnia w Wieluniu znalazł się sztab Sieradzkiej Brygady ON. Natomiast w pobliżu miasta ulokowane zostały dwa bataliony ON i cztery szwadrony z 1 Pułku Kawalerii KOP. Kilka dni później – 29 sierpnia – oddziały płk. Grobickiego opuściły rejon Wielunia, choć w mieście pozostał jeszcze jego sztab. Już następnego dnia, zgodnie z decyzją gen. bryg. Władysława Bończy-Uzdowskiego – dowódcy 28 DP, obszar ten przejął 36 pp Legii Akademickiej dowodzony przez ppłk. dypl. Karola Ziemskiego. Generał Bończy sugerował, aby ppłk Ziemiński umieścił sztab w tym samym miejscu, gdzie jego poprzednik. Jednak ten uznał, że bezpieczniej będzie przenieść go poza miasto. Ostatecznie sztab 36 pp Legii Akademickiej znalazł się w pobliskim Gaszynie. Niestety w dokumentacji – również polskiej – istnieją dwie opinie na temat lokalizacji sztabu 28 DP. Jedna wskazuje na Wieluń, prawdopodobnie w zabudowaniach cukrowni na obrzeżach miasta, zaś druga mówi o miejscowości Wielgie²¹. 30 sierpnia 1939 roku w godzinach popołudniowych I i II bataliony, a wkrótce i III batalion 36 pp przemaszzerowały przez Wieluń i zajęły pozycje bojowe w odległości 4–5 km od miasta, osłaniając kierunek południowo-zachodni i południowy. Jak wynika z ustaleń śledztwa prowadzonego w OKŚZpNP w Łodzi, w nocy z 30 na 31 sierpnia 1939 roku w Wieluniu nie było żadnych oddziałów WP²².

Mimo tego, Niemcy lotnicy zbombardowali miasto. Nie można wykluczyć, że ze względu na wcześniejsze dane wywiadu byli przekonani o obecności wojsk polskich w Wieluniu, albo że informacji takich dostarczyli im przełożeni, aby utwierdzić ich w przekonaniu o konieczności przeprowadzenia akcji. Wydaje się jednak, iż znajdowanie uzasadnień lub usprawiedliwień nie było żołnierzom Luftwaffe potrzebne. *Personel latający stanowił w wojskach lotniczych dość odrębną kategorię. [...] Był on bodaj najsilniej „oddolnie zhitleryzowany”. Składał się w ogromnym procencie z najbardziej sfanatyzowanej części młodzieży niemieckiej, urabianej od dziecka w organizacjach „Jungvolk” i „Fliege-Hitlerjugend” w duchu szowinizmu mocarstwowego, bezkrytycznego posłuszeństwa wszelkim – nawet jaskrawo zbrodniczym – rozkazom. Dwudziestoletni młodzi ludzie [...] siedzący za sterami maszyn Luftwaffe, czy obsługujący sprzężone karabiny maszynowe – byli w swej masie idealnym elementem Luftwaffe, jako narzędzie terroru²³.* Tacy żołnierze bez zastrzeżeń i wahania realizowali wytyczne Hitlera. To jego agresywna polityka i szaleńcze idee oraz wytyczne, nakazujące bezlitosne i brutalne prowadzenie wojny, z czym identyfikowały się tysiące Niemców – zdecydowały o charakterze tego konfliktu zbrojnego. Na decyzji o bombardowaniu Wielunia zaważyła zapewne chęć zastraszenia ludności cywilnej, bo przecież wiadomości o ataku i jego skali przekazywane były dalej. Dodatkowo przerażeni mieszkańcy, nie tylko Wielunia, ale i okolic, zaczęli uciekać w kierunku wschodnim. Wzbudzało to panikę w innych miejscowościach, siało strach wśród ludności i poprzez blokowanie dróg utrudniało przemieszczanie polskich oddziałów.

Oprócz przyczyn militarnych i chęci zastraszenia ludności celem ataku na Wieluń mogło być również wypróbowanie możliwości technicznych samolotu „Ju 78B” (Junkers) i umożliwienie niemieckim pilotom nabrania doświadczenia, które miało im się przydać w następnych etapach wojny.

Westerplatte nadal pozostaje symbolem początku II wojny światowej, choć nie ulega wątpliwości, że Wieluń był pierwszym celem cywilnym tak dotkliwie zniszczonym na skutek nalotów Luftwaffe. Agresorzy byli winni nie tylko śmierci setek ludzi, ale również paniki wśród pozostałych przy życiu i strat materialnych. Kontrowersje dotyczące godziny ataku oraz dokładnej liczby zabitych nie umniejszają w niczym faktu, że poniesione straty były dotkliwe i rzutowały na dalsze losy miasta i jego mieszkańców. Wielunianie stali się celem nieuzasadnionego niszczycielskiego ataku, który był zwiastunem sposobu dalszego bezwzględnego i okrutnego prowadzenia wojny przez III Rzeszę.

dr Joanna Żelazko

– historyk, pracownik IPN Oddział w Łodzi

Przypisy:

1. G. Bębniak, *O Wieluniu głos przeciwny*, „Arcana historii” maj–sierpień 2008; B. Bojarska, *Zniszczenie miasta Wielunia w dniu 1 września 1939 r.* *Materiały*, „Przegląd Zachodni” 1962, nr 2, s. 305–317; eadem, *Napaść hitlerowskiego lotnictwa na Wieluń*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce”, t. XXVII, 1977, s. 13–25; M. Emmerling, *Luftwaffe nad Polską 1939*, Gdynia, cz. I – *Jagdflieger*, 2002, cz. II – *Kampflieger*, 2005, cz. III – *Stukaflieger*, 2007; T. Olejnik, *Wieluń. Zniszczenie miasta – destruction of the town 1 IX 1939*, Wieluń, [1995]; idem, *Zniszczenie Wielunia przez hitlerowskie lotnictwo 1 IX 1939 r.* [w:] *Problematyka bombardowania miast otwartych w latach 1939–1945*. Materiały z konferencji, Wieluń 1989; idem, *Szpital w Wieluniu – jego dzieje i zniszczenie 1 IX 1939 r.*, Wieluń 1991; idem, *Wieluń. Dzieje miasta 1793–1945*, Łódź – Wieluń 2008; idem, *Wieluń polska Guernica das polnische Guernica*, Wieluń 2004; *Wieluń był pierwszy. Bombardowania lotnicze miast regionu łódzkiego we wrześniu 1939 r.*, red. J. Wróbel, Łódź 2009 (w druku); śledztwo OKŚZpNP w Łodzi o sygn. S 10/04/Zn, dotyczące zamordowania przez lotników hitlerowskich w dniu 1 IX 1939 r., podczas bombardowania miasta 32 pacjentów szpitala w Wieluniu; a także liczne publikacje prasowe.
2. Płk Jerzy Grobicki był jednocześnie dowódcą Oddziału Wydzielonego „Wieluń” oraz Sieradzkiej Brygady Obrony Narodowej.
3. T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu...*, s. 33.
4. Ibidem, s. 35.
5. Ibidem, s. 37.
6. Ibidem, s. 43.
7. Informacje te potwierdzają placówki naukowo-badawcze, jakimi są: Federalny Instytut Fizykalno-Techniczny oraz Niemiecki Instytut Hydrograficzny w Berlinie.
8. T. Olejnik, *Wieluń polska...*, s. 17.
9. Idem, *Szpital w Wieluniu...*, s. 34, 35, 40, 41.
10. B. Bojarska, *Zniszczenie miasta Wielunia...*, s. 306.

11. Cytat za: T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 338.
12. T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu...*, s. 34 i 35.
13. Cytat za: T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 338.
14. T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu...*, s. 41.
15. B. Bojarska, *Zniszczenie miasta Wielunia...*, s. 312; T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 340–341.
16. Technische Nothilfe (Techniczna Pomoc Doraźna) – niemiecka formacja pomocy technicznej.
17. T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu...*, s. 34.
18. *Wielka Encyklopedia Powszechna*, t. 12, Warszawa 1969, s. 289.
19. S. Abramowicz, *Wieluń był pierwszy...*
20. G. Bębnik, *O Wieluniu głos przeciwny*, „Arcana historii” maj–sierpień 2008, s. 196–202.
21. Zgodnie z rozkazem operacyjnym nr 1 z 30 sierpnia 1939 r. gen. broni Juliusza Rómmla, dowódcy Armii „Łódź”, sztab 28 DP miał zostać umieszczony w Wieluniu.
22. OKŚZpNP w Łodzi, sygn. S 10/04/Zn, Akta śledztwa dotyczące zamordowania przez lotników hitlerowskich w dniu 1 IX 1939 r., podczas bombardowania miasta, 32 pacjentów szpitala w Wieluniu.
23. A. Rzepniewski, *Wojna powietrzna w Polsce 1939 r. na tle rozwoju lotnictwa Polski i Niemiec*, Warszawa 1970, s. 49.

Niemieckie samoloty nad Łodzią

Luftwaffe i propaganda

Wśród wstrząsających scen konfliktu, zatrzymanych w kadrze przez operatorów i fotografów, szczególnie bolesny jest widok ofiar ataków lotniczych Luftwaffe. W wielu publikacjach na temat wojny obronnej 1939 r. widoczne są również zdjęcia, które obrazują zniszczenia naszego kraju. Roztrzaskane i wypalone przez bomby budynki i zagruzowane ulice to efekty niemieckiej doktryny wojennej – Blitzkriegu. Z nią zmagala się jako pierwsza armia polska, która uległa przewadze Wehrmachtu i – według propagandy nazistowskiej – było to łatwe i szybkie zwycięstwo.

Od początku agresji forpocztą niemieckich sił zbrojnych było lotnictwo. W myśl słów Adolfa Hitlera, które nadał 1 września 1939 roku, odpłacać ono miało „bombą za bombę” i rzekomo miało zakaz walki przeciwko kobietom i dzieciom. Führer, przemawiając godzinę w Reichstagu oświadczył też, że w przypadku zastosowania przez polskie oddziały niedozwolonych metod walki i środków, riposta niemiecka odbierze słuch i wzrok przeciwnikowi. Pierwsze niemieckie komunikaty z frontu powtarzały, że prowadzi się aktywną ochronę III Rzeszy, dążąc jedynie do odparcia „polskiej agresji”.

Jednocześnie niemiecki *chargé d'affaires* w Londynie, Theodor Kordt zapewniał rząd brytyjski o pokojowych intencjach swojego państwa. Sugerował nawet, że *Polacy wielokrotnie strzelali w nocy przez granicę i od rana my zaczęliśmy strzelać w odpowiedzi*¹. W ten sposób nazistowska dyplomacja czyniła propagandowe wybiegi, mające złagodzić międzynarodową reakcję na agresję zachodniego sąsiada Polski. Berlin podejmował więc wszelkie środki zaradcze, aby odwlec zagrożenie wojny na dwóch frontach i nie dawać dodatkowych pretekstów Francji oraz Wielkiej Brytanii. Jednak wieść o ataku na Polskę obiegła w ciągu kilku godzin świat i zelektryzowała opinię publiczną. Wraz z tym komunikatem, rozsypała się ostatecznie chwiejna od jakiegoś czasu równowaga sił na świecie. Nadwąliły ją już znacząco wcześniejsze konflikty, chociażby sprawa Chin, atakowanych od kilku lat przez Cesarstwo Japonii, czy też niedawno zakończona wojna domowa w Hiszpanii. Dlatego prezydent Stanów Zjednoczonych – Franklin Delano Roosevelt, który starał się czynić wysiłki na rzecz zachowania pokoju – postanowił teraz wysłać apel do walczących stron oraz do rzą-

dów Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Celem apelu było powstrzymanie przeciwników przed bombardowaniem lotniczym miast i miejscowości, w których nieprowadzona jest obrona wojskowa. *Okrutne bombardowania powietrzne ludności cywilnej w ośrodkach nieufortyfikowanych podczas działań wojennych, szalejące w różnych częściach kuli ziemskiej w czasie ostatnich lat, których skutkiem było kalectwo i śmierć tysięcy bezbronnych kobiet i dzieci, zraniły serce wszystkich mężczyzn i kobiet cywilizowanych i głęboko wstrząsnęły sumieniem ludzkości.*

[...] Dlatego kieruję niniejszy apel do Rządów, które mogą zostać wciągnięte w działania nieprzyjacielskie, by każdy z nich stwierdził publicznie swoją decyzję, że w żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach nie przystąpi do bombardowania powietrznego ludności cywilnej albo miast nieufortyfikowanych, przy czym rozumie się, że identycznych reguł prowadzenia wojny będą ściśle przestrzegać wszyscy ich przeciwnicy. Proszę o niezwłoczną odpowiedź.

Jako pierwszy odpowiedział minister spraw zagranicznych III Rzeszy – Joachim von Ribbentrop. Zapewnił amerykańskiego *chargé d'affaires* w Berlinie – Alexandra C. Kirka, iż niemieckie siły powietrzne otrzymały rozkaz ograniczenia operacji zbrojnych wyłącznie do celów wojskowych³. Gdy wymieniano tu noty dyplomatyczne, Luftwaffe zrealizowała już pierwsze ataki na polskie niebronione cele cywilne. Wśród nich był również Wieluń, który o świcie zniszczyły eskadry bombowców nurkowych Ju-87 Stuka, przynosząc śmierć blisko tysiącu mieszkańców tego miasta.

Wieluń, Sulejów i inne miasta

Łącznie pierwszego dnia wojny nieprzyjacielskie lotnictwo zniszczyło blisko 60 miast na terytorium naszego państwa. Wiele celów Luftwaffe systematycznie bombardowało przez kolejne dni wojny obronnej, a ataki nie zakończyły się jednym nalotem. Ogółem w Polsce niemieckie lotnictwo zbombardowało 160 aglomeracji, z których aż 27 znajdowało się w przedwojennym woj. łódzkim. Trudne do oszacowania są również skutki ataków na ludność cywilną. Na drogach Września rozegrało się wiele dramatów polskiej armii, bo pod gradem bomb i serii z karabinów maszynowych w rozsypkę szły oddziały WP, przepadały tabory oraz ginęły wielkie grupy uchodźców. Do dantejskich scen doszło też m.in. na drogach w okolicach Łodzi, Brzezin i Strykowa. W sumie w przedwojennym woj. łódzkim za sprawą wrogiego lotnictwa śmierć poniosło ok. 3,3 tys. cywili. Ogółem straty we wrześniu 1939 roku były jednak o wiele większe, gdyż w woj. łódzkim niemieckie siły lądowe zniszczyły 16 miast i 201 wsi. Dokonały również ok. 150 egzekucji, w których zamordowano prawie 2,2 tys. osób. W wojnie obronnej doszczętnie zrujnowano 40 proc. miast w Łódzkiem, a niemal 70 proc. z nich odczuło poważnie skutki nalotów. W ich wyniku niemal doszczętnie zniszczono Wieluń i Sulejów. Były to duże straty, zważywszy, że działania powietrzne w regionie prowadzono do 17 września 1939 roku, czyli do zakończenia nalotów na resztki oddziałów polskich w dorzeczu Bzury oraz Wisły. W kolejnych dniach samoloty niemieckie, wykorzystując lotniska polowe

w Łódzkiem, podrywały się do lotów nad Warszawę. Wspomagały również oddziały Wehrmachtu walczące w drugiej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim⁴.

Z tych pobieżnych danych wyłania się okrucieństwo wojny totalnej, zapoczątkowanej przez III Rzeszę, w której nie było już miejsca na ochronę ludności cywilnej i obiekty moralne. Najtragiczniejszy był właśnie los cywilów, ponieważ stawali się oni celem nalotów Luftwaffe. Niemieccy piloci ufni w najnowsze zdobycze techniki, czuli się bezkarni, atakując polskie miasta. Natomiast propaganda niemiecka nierzadko przyrównywała ludzi w bombardowanych aglomeracjach do „kłębowiska” i „mrowia”. To odczłowieczało wojnę i ułatwiało im zabijanie⁵.

Należy podkreślić, że w swych działaniach niemieccy lotnicy byli metodyczni i skrupulatni, ponieważ rozkazy wykonywali drobiazgowo. Dysponowali także sprzętem, którego nie posiadał ich przeciwnik. Jednak w przypadku atakowanych miast polskich, dziwnym trafem dokładność bombardowań zawodziła, ustępując miejsca ponurej skuteczności. Wieluń, Działoszyn, Radomsko, Sulejów zniszczono, nie wyszukując nawet konkretnych celów wojskowych. Nadrzędną zasadą było zastraszenie i sterroryzowanie ludności cywilnej oraz osłabienie woli oporu polskich żołnierzy. Poza świstem spadających bomb i ich ogłuszającymi eksplozjami, do uszu mieszkańców dochodził również dźwięk lotniczych syren bombowców nurkowych Ju-87 Stuka. W żargonie niemieckich lotników były to „trąby jerychońskie”, które potęgowały wrażenie grozy u atakowanych i były elementem wojny psychologicznej. Dodatkowo do bomb przenoszonych przez ten typ samolotu dodawano kartonowe rurki. Nadawały one bombie charakterystyczny świst, który działał destrukcyjnie na ofiary nalotów. Ogółem w wojnie z Polską wykorzystywano bojowo 336 samolotów Ju-87 Stuka, łącząc je w dziewięć grup bombowców nurkujących⁶.

Nie one jednak dominowały nad Łodzią. Większość zadań lotnictwo niemieckie wykonywało siłami cięższych bombowców Heinkel (He-111) i Dornier (Do-17), które uzbrojono w niewielkie bomby zapalające oraz burzące. W sumie wrogie siły powietrzne wykonały nad miastem kilka rajdów oraz ataków, które przeprowadzano do 6 września 1939 roku. Skala zniszczeń był jednak ograniczona, ponieważ działania Luftwaffe były jedynie demonstracją siły. Nie chciano również czynić większych strat w zabudowie Łodzi, by nie powodować szkód liczącej ponad 60 tys. mniejszości niemieckiej.

Trudna obrona Łodzi

Dodatkowym czynnikiem absorbującym powietrznych napastników była obrona przeciwlotnicza miasta. Pomimo szczupłości środków i braku ich efektywności, polska artyleria przeciwlotnicza pełniła rolę odstraszącą i dezorganizowała większość nalotów. Wspomagającym ogniwem systemu przeciwlotniczego w mieście były Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (LOPP) oraz Organizacja Przysposobienia Wojskowego Kobiet, Pogotowie Harcerek i żeńskie drużyny Związku Strzeleckiego. Komendę OPL

umieszczono w gmachu gimnazjum niemieckiego przy al. Tadeusza Kościuszki 69, zaś obok pod numerem 71 ześrodkowano komendę miejskiego garnizonu. Stąd dozоровano punkty obserwacyjne w mieście, dysponując centralą telefoniczną. Nadzór nad przygotowaniami do obrony powietrznej Łodzi sprawował komendant garnizonu łódzkiego – płk dypl. Kazimierz Dziuszyński⁷. Z końcem sierpnia zawieszono ruch samolotów nad lotniskiem Lublinek i wojskowe maszyny przebazowano do Pabianic na lotnisko polowe Widzew-Żdźdźary. Niebawem odesłano na nie także 161 (d-ca kpt pil. Władysław Szczęśniewski) i 162 (d-ca kpt pil. Bernard Groszewski) eskadrę Lwowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, który przegrupował nań 20 samolotów PZL P-11⁸. Od 3 września dla Armii „Łódź” zaczęło również działać lotnisko Kuciny-Dzierżanów nieopodal Aleksandrowa Łódzkiego, w odległości 24 km na północny zachód od Łodzi. Stacjonowały na nim samoloty 210 (X) Dywizjonu Bombowego ppłk. pil. Józefa Werakso, dysponujące 18 samolotami PZL-37 „Łoś” oraz czterema maszynami pomocniczymi Fokker F-VII i RWD-8 „Czapla”⁹. Działały jeszcze na rzecz Armii „Łódź” trzy eskadry rozpoznawcze: 32, 63 i 66. Do dyspozycji pozostawiono im trzy lotniska: Męcka Wola, Łękawa i Dłutów, na których bazowało 46 maszyn. Jednak dwa pierwsze lotniska zostały wyłączone z walk już 2 września 1939 roku. Najcięższe jednak straty poniosły polskie bombowce, kiedy 4 września atakowały kolumny pancerne wroga na szosie Wieluń–Radom. Do bazy nie wróciło wówczas siedem „Łosi”. Tego samego dnia nastąpił odwet przeciwnika, którego samoloty bombardowały lotnisko Kuciny-Dzierżanów. Doszczętnie spalono magazyny paliw i smarów oraz składnicę bomb. Na pasie startowym zniszczono również jednego PZL-37 „Łosia” oraz transportowego Fokkera. Po 4 września ocalałe bombowce polskie lądowały już na lotnisku pod Dęblinem, by stąd przelecieć na lotnisko Gnojno nieopodal Włodzimierza Wołyńskiego¹⁰. Do 6 września na placu boju pozostały nieliczne myśliwce polskie, które startując z bazy pabianickiej, podejmowały jeszcze samotne loty bojowe w okolice Koła i Bełchatowa. Ogółem można uznać, że lotnictwo Armii „Łódź” przestało istnieć po kilku dniach starć, ponieważ z walki zostało wyłączonych prawie 56 proc. jego maszyn.

Ataki Luftwaffe, pomimo przewagi, nie wyrządziły jednak poważniejszych szkód w Łodzi. Głównym celem hitlerowskich samolotów było opustoszałe lotnisko Lublinek oraz dworzec PKP Łódź-Kaliska. Wielu mieszkańców Łodzi obserwowało natomiast 1 września niemieckie bombowce lecące nad Warszawę. Część śmiertelnie niebezpiecznego ładunku zrzuciły one, niszcząc magazyny wojskowe w GałkóWKu¹¹. Ostatecznie odwrót Armii „Łódź” z nadgranicznych pozycji obronnych wyczerpał możliwości zaczepne jej jednostek. W kolejnych dniach napastnicy sforsowali prowizoryczną obronę na linii Konstantynów Łódzki – Pabianice – Rzgów – Tuszyń i od południa zaczęli podchodzić do Łodzi.

Obserwując wycofujących się żołnierzy polskich, łódzki prezydent – Jan Kwapiński – nadal nie tracił nadziei. Dlatego wciąż wywierał naciski na dowódcę Armii „Łódź”, gen. dyw. Juliusza Rómmla, by ten zezwolił ludności na rozbudowę wokół

miasta pozycji obronnych. W planach wojska aglomeracja miała być jednak niebroniona. Dodatkowo sytuację komplikowało rozbieżności dowództwa Armii „Łódź”, które ulokowano w wojewódzkim urzędzie, mieszczącym się wówczas w reprezentacyjnym pałacu Heinzla w parku Julianowskim. 6 września 1939 roku nalot Ju-87 Stuka uszkodził budynek i dezorganizował pracę sztabu. Dowodzący armią gen. dyw. Rómmel wyprzedził w odwrocie nawet własne jednostki i dotarł przed nimi do Warszawy. W tych warunkach komendę nad oddziałami przejął gen. bryg. Wiktor Thommeé, który próbował nadać im zbieżny kierunek odwrotu. W nalocie na pałac Heinzla w parku Julianowskim zginęło kilku wyższych oficerów sztabowych, zniszczono także centralę telekomunikacyjną armii oraz samochód z mapami sztabowymi. W tych warunkach bezskutecznie starano się odtworzyć dowództwo armii w Mszczonowie (84 km na wschód od Łodzi). Zadziwiającym pozostaje jednak wybór miejsca dyslokacji sztabu, gdyż w mieście, w którym mniejszość niemiecka liczyła ok. 68 tys. osób, trudno było zachować to w tajemnicy. Przed wybuchem wojny internowano wprawdzie 600 miejscowych Niemców, co i tak nie przyczyniło się do utajnienia działań obronnych. Ostatecznie dywersanci niemieccy, komunikując się przez radiostację, podali Luftwaffe dokładne namiary celu. Zadziwiający był jednak brak stosownych reakcji strony polskiej. Ostrzeżeniem były przecież wcześniejsze naloty na miasto, które rozpoczęły się 2 września 1939 roku. W Łodzi zawyły wówczas syreny zakładowe, podające sygnał alarmu przeciwlotniczego. Na łódzkich ulicach megafonów nie zdążono zainstalować, wobec tego wykorzystywano prywatne głośniki i odbiorniki radiowe. W następnych dniach bombardowania były już intensywniejsze, a liczbę celów zwiększono. Bomby spadły na stację PKP Łódź-Widzew, gazownię, elektrownię „Niciarnię” i Łódzką Fabrykę Nici na Pogórze. Uszkodzono również kilka domów w centrum przy ul. ks. Bandurskiego, Mikołaja Kopernika i Karolewskiej, gdy atakowano Dworzec Łódź-Kaliska.

Ostatni większy atak powietrzny miał miejsce 5 września, a jego celem było ponownie lotnisko Lublinek. Polska artyleria przeciwlotnicza milczała, a większość jej baterii z akcji zaczepnych dość szybko zostało wyłączonych. Główną przeszkodą był brak amunicji. Jedynie najbardziej rozbudowane stanowiska artylerii przeciwlotniczej znajdowały się na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej. Z nich też najdłużej prowadzono ostrzał wrogich samolotów.

Zbrodnie i ofiary

Ogółem w nalotach śmierć poniosło ok. 350 osób, w większości byli to łodzianie, a ich ciała spoczęły na dwóch cmentarzach katolickich: Doły i Kurczaki. Natomiast rany odniosło niemal 1,5 tys. osób, choć wielu poszkodowanych dowieziono z okolic Łodzi. Niemieckie lotnictwo zapłaciło jednak niewielką cenę za działania nad miastem, tracąc od ognia artylerii przeciwlotniczej jedynie dwa bombowce. Kilka maszyn strąciły również polskie myśliwce, które wrogie samoloty przechwytywały kilkadziesiąt kilometrów od miasta, gdy ich celem były oddziały Wojska Polskiego w rejonie Bełchatowa i Łasku¹².

Polscy żołnierze na powyższym zdjęciu napewno powrócą do domu rodzinnego, gdzie uwitają ojca i matkę.



Czy Twoi rodzice mają przelewać łzy tylko z tego powodu, że życie Twoje poniechać musisz za sprawę straconą? Żaden żołnierz francuski dotychczas nie przekroczył granic niemieckich! Ty tylko walczyć musisz, a rząd panów Becków okłamuje Cię w bezczelny sposób; rząd, który zmykł do Lublina, jakoteż, i Wasz osławiony marzałek Rydz-Śmigły, który ucieka przed odpowiedzialnością a który się już podał do dymisji.

Złóż dlatego broń a chodź do nas!

Po twarzach Twoich kolegów poznać możesz, że bardzo dobrze się z nimi obchodzimy.

pierwsze kolumny

Przerażenie Łodzian potęgowały również wieści o zbrodniach niemieckich jednostek lądowych, wśród których prym wiodli żołnierze 1. Dywizji Pancerniej. Wzmogło to bardzo panikę w mieście, do którego zaczęli docierać uchodźcy. Znaleźli oni schronienie w łódzkich halach fabrycznych, ponieważ od 3 września w zakładach włókienniczych wstrzymano produkcję. W Łodzi przestały także działać urzędy i zamarł transport publiczny oraz komunalny. Pogorszyła się tym samym aprowizacja i zanotowano przypadki spekulacji. Chcąc temu przeciwdziałać, powołano jako ciało doradcze Miejski Komitet Apropowizacyjny oraz Okręgowy Łódzki Komitet Społeczny Niesienia Pomocy Żołnierzom i ich Rodzinom¹³. Patronat nad nim objął ordynariusz diecezji łódzkiej ks. bp Włodzimierz Jasiński. Najwięcej starań wykazano względem rannych żołnierzy WP, których kolejną, ciężarówkami oraz wozami konnymi dowożono do miasta. Niebawem zapętniły się łódzkie szpitale, które przyjmowały także poszkodowaną ludność cywilną. Wobec tego na potrzeby sanitarne „adoptowano” szkoły, hale fabryczne i prywatne domy. Mieszkańcy sami przygarniali lekko rannych żołnierzy, aby ci zwolnili łóżka dla ciężiej poszkodowanych.

Do miasta wciąż przybywała coraz większa rzesza uciekinierów z obszarów przyfrontowych, którzy potrzebowali żywności i schronienia, co bardzo pogorszyło sytuację aprowizacyjną miasta. Najbardziej przygnębiający był jednak widok dużej ilości rannych z rozbitego 1 września ok. godz. 12.30 pod Kutnem transportu kolejowego. Dokonała tego Luftwaffe, która nie respektowała międzynarodowych znaków Czerwonego Krzyża. Choć płachty ze znakami krzyża rozpostarto na dachach wagonów, nie uchroniło to pociągu przed bombardowaniem. Zginęło kilkanaście osób, w większości były to kobiety i dzieci. O skutkach bombardowania, a zwłaszcza o ofiarach i ich poważnych obrażeniach, zadanych bombami lotniczymi oraz pociskami karabinów maszynowych, wspominał sieradzki lekarz ppłk Mieczysław Kowalski, który badał także poszkodowanych wielunian. Jako szef sanitarny 10. Dywizji Piechoty pozostawił on wiele rzetelnych informacji, co do obrażeń i środków użytych przez niemieckiego agresora¹⁴.

Dzień później ucierpiał także transport kolejowy z Wielkopolski, gdy ewakuacyjny pociąg zaatakowały samoloty niemieckie w okolicach Koła. Cały skład kolejowy został zniszczony, a liczbę zabitych szacowano na ok. 250 osób. I w tym przypadku pomocy udzieliły łódzkie placówki medyczne¹⁵.

Cały czas działała także łódzka rozgłośnia radiowa i na bieżąco informowała o sytuacji na froncie. W eter szły apele o ofiarność i odwagę, a zarazem miasto opuszczali fabrykanci oraz kadra urzędnicza. Do 6 września zakończono ewakuację administracji. Z Łodzi wyjechał wówczas wojewoda – Henryk Józewski, starosta grodzki – dr Henryk Mostowski i prezydent – Jan Kwapiński. W drodze towarzyszyli im nie tylko urzędnicy z magistratu, ale też policjanci, strażacy i wojskowi oraz pracownicy cywilni Dowództwa Okręgu Korpusu Nr IV. Łącznie dwudniowa ewakuacja doprowadziła do wyjścia z miasta ok. 60 tys. osób, choć większość z nich, poruszając się pieszo,

dotarła jedynie do Brzezin, Skierniewic i Sochaczewa. Dalszą drogę zagroziły im siły niemieckie¹⁶.

W innych miastach na zachód od Łodzi czyniono to samo. Zagarniano cały transport samochodowy, nie wyłączając z niego wozów straży pożarnej, ambulansów oraz autobusów. Nie było woli, aby pojazdy pozostawić i niektóre z nich chociażby odesłać na front do punktów sanitarnych Wojska Polskiego. Nawet w warunkach dominacji wrogiego lotnictwa wciąż utrzymywano łączność drogową. Z Brzezin do łódzkiej szpitali nadal dostarczano rannych, a oddziały liniowe, chcąc wspomóc miejscową ludność, użyczały jej niekiedy własny, nieliczny transport medyczny¹⁷.

W tych warunkach na uznanie zasługuje postawa hierarchów diecezji łódzkiej, którzy tknęli nadzieję w serca dezorientowanych mieszkańców. Dla nich – 5 września 1939 roku – ks. bp Jasiński wygłosił orędzie patriotyczne w Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia. Przyrównał najazd hitlerowski do hord krzyżackich, pustoszących niegdyś ziemie Królestwa Polskiego i Litwy¹⁸. Wzywał również do dalszego oporu i wytrwania w wierze, a łódzki sufragan – ks. bp Kazimierz Tomczak stwierdził: *Naszym obowiązkiem jest zostać z ludem, nieść mu pomoc i dawać przykład*. Spełnieniem jego deklaracji było włączenie się do działań Komitetu Obywatelskiego Miasta Łodzi i przyjęcie roli reprezentanta wobec zbliżających się jednostek Wehrmachtu¹⁹.

Największą jednak bolączką miasta nie były bombardowania, lecz pogłębiające się trudności w zaopatrzeniu w żywność i lekarstwa. Stąd jedyną szansą było przejęcie pozostawionych przez wojsko magazynów i zapobieżenie ich okradaniu oraz niszczeniu. Ostatniej nocy przed wkroczeniem Niemców do Łodzi dotarł do miasta duży transport rannych ze Strykowa. Było to ogółem 100 osób, które zostały poszkodowane w nalocie i bez opieki medycznej przebywały przez kilka godzin w jednym ze strykowskiach kościołów²⁰.

W dniach 8–9 września 1939 roku Niemcy zajęli Łódź, obsadzając początkowo wyłącznie centrum a dopiero drugiego dnia anektowali również peryferia miasta. Akcję nadzorował dowódca XIII Korpusu Armii – gen. kaw. Maksymilian Weichs. Jego jednostka była częścią 8. Armii niemieckiej i podlegała rozkazom gen. piech. Johanna Blaskowitza. Wciąż jednak łódzki komitet, wybrany spośród obywateli miasta, pełnił swą funkcję i dopiero z początkiem listopada 1939 roku zawieszono jego działalność. Do tego czasu w Łodzi rozpętał się już terror niemiecki, a wysiedlenia i aresztowania stały się chlebem powszednim zniewolonego narodu²¹.

Po zajęciu Łodzi uaktywniło się środowisko miejscowych Niemców, którzy wydatnie wsparli hitlerowski aparat policyjny. Nie uczestniczyli jedynie w działaniach propagandowych, gdyż te realizowały wyspecjalizowane jednostki armii niemieckiej. Od 13 września 1939 roku w Łodzi niemiecki ośrodek propagandy wydawał pismo „Gazeta Żołnierska Armii Śląskiej” („Soldaten-Zeitung der Schlesischen Armee”), które było organem prasowym 8. Armii niemieckiej²². Nie była to akcja jednostkowa, ale element skrupulatnie zaplanowanego planu. Jego celem było rozbięcie spójności armii

Wezwanie!

Polacy!

Niemiecka armia doszła już do linii

Białystok - Brześć - Włodomierz - Lwów - Stryj

Miasto te zwane, tak samo wszystkie fortyfikacje polskie, są zajęte przez wojsko niemieckie.

Gdynia jest zdobyta. **Warszawa**, zupełnie okrążona, natychmiast poddać się musi.

Flota polska jest zupełnie zniszczona, armia polska pobita do szczętu.

Oddziały polskie, okrążone koło Kutna dostali się do niewoli.

Rząd polski i Marszałek Śmigły-Rydz uciekli do Rumunii!

Rosyjska armia

dn. 17. 9. 1939 r. o godzinie 6-tej rano przekroczyła wschodnią granicę polską na całej linii i **atakuje Polskę.**

Wasi wodzowie obiecali Wam, że Anglia i Francja zaatakują Niemców. A co czynią Wasi tak zwani sojusznicy dla Was? Nic a nic! Okłamał Was więc Rząd polski, oszukali Was Wasi sojusznicy.

Polacy!

Walczyście bez nadziei, bez celu. **Na co umrzeć? Niemcy traktują jeńców dobrze i po rycersku.** Żony i dzieci, oczekują Was. Wkrótce będziecie znowu mogli pracować dla rodziny.

Dlatego: **Złóżcie broń! Niech żyje pokój!**

polskiej i wywołanie w jej szeregach defetyzmu. Dlatego do każdej z armii dołączono kompanię propagandową Wehrmachtu, która dysponowała specjalistycznymi pojazdami i liczyła ok. 155 osób. W jej dowództwie było 22 oficerów, którzy nadzorowali pracę personelu cywilnego. Do obydwu flot powietrznych atakujących Polskę, przydzielono dwie Propaganda-Kompanie der Luftwaffe nr 1 mjr. Cranza i nr 4 por. Giese. W ich dyspozycji było ok. 100 różnych druków propagandowych, które powielano w ilości nawet 2 mln sztuk. Łącznie nad terytorium II Rzeczypospolitej Luftwaffe zrzuciła ok. 200 mln propagandowych druków, napisanych w języku polskim, ukraińskim i białoruskim²³.

Niemiecka wojna ulotkowa

Dowództwo sił niemieckich w Polsce we wrześniu 1939 roku z dużym rozmachem wykorzystywało ulotki jako oręż. Był to element wojny psychologicznej, która miała złamać ducha oporu oraz nieść defetyzm w szeregach przeciwnika.

W przypadku Warszawy były to konkretne groźby, które realizowano poprzez systematyczne naloty i ostrzał artyleryjski. Najdotkliwiej mieszkańcy stolicy odczuli zmasowany nalot z 25 września 1939 roku. W burzy pożarów wzniesionych przez bomby oraz pociski artyleryjskie, warszawiacy nie zauważyli dziesiątków tysięcy niemieckich ulotek, które spłynęły na oblegane od 16 dni miasto. Większość druków zniósł wiatr, inne spaliły się w rumowiskach budynków, a tylko nieliczne podniesiono i przeczytano. W ulotce informowano o odcięciu stolicy ze wszystkich stron oraz o bezskuteczności dalszego oporu. Podawano również lakoniczną informację, którą wyłożono w iście terrorystyczny sposób. [...] *Kogo się zastanie z bronią, będzie rozstrzelany. Za każdego niemieckiego żołnierza, który padnie w Warszawie, zostanie rozstrzelanych dwudziestu z was! [...]*²⁴. Dalej były warunki, które należało spełnić. Na szosie prowadzącej do Raszyna, pojawić się miała delegacja polska z pełnomocnictwami do kapitulacji stolicy. Tego domagano się w ulotce, którą niemiecki samolot z lotniska na Lublinku dotransportował nad Warszawę. Z Łodzi maszyna wystartowała ok. godz. 14.00 i po pół godzinie była już nad obleganym miastem. Wyżsi wojskowi zaakceptowali treść odezwy, wydanej przez Urząd Propagandy Rzeszy nr 1, który funkcjonował jako konglomerat wyspecjalizowanych oddziałów informacyjnych przy poszczególnych związkach taktycznych i operacyjnych Grupy Armii „Południe”. Jednym z czołowych jego propagandzistów był niejaki Theo Matejko, autor plakatu *Anglia! Twoje dzieło!*, na którym ranny żołnierz Wojska Polskiego z bezsilnością przygląda się zbombardowanemu domowi i zabitym. Według przekazu wizualnego odbiorcą skargi żołnierza miał być premier Wielkiej Brytanii – Neville Chamberlain. Był to zresztą opracowany materiał propagandowy, którego autor „dojrzał” jako korespondent „Die Wehrmacht” w wojnie domowej w Hiszpanii.

Kolportaż ulotek drogą powietrzną pozostawiono Brytyjczykom, których samoloty wraz z wypowiedzeniem 3 września 1939 roku wojny Niemcom przez kolejne dni nadlatywały nad Berlin oraz inne miasta Rzeszy i zrzuciły materiał propa-



gandowy zamiast bomb. W poufnych raportach brytyjskich dyplomatów w Polsce, napływały do Londynu informacje o ciągłym bombardowaniu polskich miast oraz wsi. Podkreślano, że atakowane przez Luftwaffe miejscowości nie są celami wojskowymi, a działania niemieckie powodowały duże straty wśród cywilnej ludności, co było gwałtem i naruszało zasady prawa międzynarodowego. Dyplomacja brytyjska ubolewała i słała Polakom słowa otuchy, jednak jej siły nie reagowały. Honoru Albionu broniła jedynie marynarka, którą do działań przymusiły prowokacje niemieckiej floty podwodnej²⁵.

Nie lepiej wiodło się Francuzom, choć podjęli działania zaczepne przeciwko Niemcom i w nocy z 6 na 7 września 1939 roku przystąpili do działań. Przekraczając granicę niemiecką, nacierali głównie siłami 4. Armii francuskiej, która do 11 września ugrzęzła na niemieckich polach minowych przed Saarbrücken. Ogółem straty wojsk francuskich wyniosły w zabitych i rannych ok. 1,6 tys. żołnierzy. Następnego dnia w Abbeville podjęto decyzję, że *kontynuowanie wysiłku ofensywnego na rzecz Polski jest bezcelowe*. Czyniono to na przekór wcześniejszym deklaracjom, nie racząc nawet poinformować o zmianie planów swego wschodniego sojusznika²⁶.

W tym czasie w Polsce wciąż toczyły się działania zbrojne, a ich zaciętość była widoczna w zwrocie zaczepnym armii polskiej nad Bzurą. W dniach 9–12 września inicjatywa pozostawała po polskiej stronie, a siły niemieckie zmuszone były przegrupować swoje armie i zmienić kierunek natarcia. Powstrzymanie 8 września czołgów niemieckich na Woli dało czas do obrony stolicy, którą ogłoszono obszarem warownym. Odparcie ataku agresora na Warszawę pokazało również dużą odporność miast, które w oparciu o nieliczną obronę mogły wiązać silniejszego przeciwnika i zadawać mu duże straty. Dotyczyło to zwłaszcza jednostek pancernych, które próbowały wdrzeć się na warszawskie ulice bez osłony piechoty. Jednocześnie propaganda niemiecka podsyciała nastroje pesymistyczne wśród polskiego społeczeństwa, rozpoczynając ofensywę radiową 9 września wraz ze zniszczeniem nadajnika w Raszynie. Odtąd zamilkła rozgłośnia Warszawa I, a wróg dostroił się na jej fale i zaczął nadawać apele oraz komunikaty. Ich styl gloryfikował niemiecką ofensywę: [...] *nastąpiła nieprawdopodobna dezorganizacja, potworny chaos, spowodowane isticie apokaliptycznym tempem wydarzeń wojennych – piorunująca szybkość działań niemieckich na lądzie – i bombardowaniami lotnictwa. [...] Lotnictwo i dywizje pancerne odegrały w pierwszym etapie działań niemieckich olbrzymią rolę. [...] Działania niemieckie idą w tempie nieznanym dotychczas w historii wojen, po 50–100 kilometrów dziennie! [...]*²⁷. Była to prawda w sytuacji, kiedy zupełnej dezorganizacji uległ sztab Naczelnego Wodza, który w rozprężeniu ewakuacyjnym przepadł wraz personelem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ku wschodnim rubieżom Rzeczypospolitej ciągnęły eszelony z rannymi, składnice uzbrojenia, amunicji, paliw oraz tysiące cywilnych uchodźców. W wielu miejscowościach pozafrontowych od nowa należało organizować administrację i opanować defetyzm²⁸.

W tych warunkach niemieckie ulotki propagandowe, zrzucane z samolotów Luftwaffe były skutecznym orężem i dezorganizowały polską obronę na wschód od linii Bugu. Propaganda agresorów trafiała także do mniejszości narodowościowych, których postawa niekiedy była chwiejna.

Na uwagę zasługuje tu jeszcze rola łódzkiego lotniska na Lublinku, z którego korzystały wrogie samoloty transportujące swój ładunek nie tylko nad Warszawę, ale też i nad twierdzę Modlin. Oprócz bomb w swych kadłubach przenosiły one ulotki, które po 17 września zaczęły spadać na Modlin i okalające go forty. Oto frag-

ment jednej z nich: [...] *Wezwanie! Polacy! Niemiecka armia doszła do linii Białystok – Brześć – Włodzimierz – Lwów – Stryj. Miasta te, tak samo jak wszystkie fortyfikacje polskie, są zajęte przez wojska niemieckie. Gdynia jest zdobyta. Warszawa zupełnie okrążona, natychmiast poddać się musi. Flota polska zupełnie zniszczona, armie polskie pobite do szczętu. Oddziały wojskowe, okrążone koło Kutna i koło Warszawy, dostaną się wkrótce do niewoli, bo przełom jest niemożliwy. Rząd Polski uciekł do Rumunii! Marszałek Rydz-Śmigły pobity na wszystkich frontach i straciwszy chęć pozostania Wodzem Naczelnym, proponował ustąpienie. Rosyjska armia dnia 17 IX 1939 r. o godz. 6-tej rano przekroczyła wschodnią granicę polską, na całej linii atakując Polskę. Wasi wodzowie obiecali Wam, że Anglia i Francja zaatakują Niemcy. A co czynią Wasi tak zwani sojusznicy dla Was? Nic a nic! Okłamali Was... oszukali Was, Wasi sojusznicy. Polacy! Walczycie bez nadziei, bez celu. Na co umierać? Niemcy traktują jeńców po rycersku. Żony i dzieci oczekują Was. Wkrótce będziecie mogli znowu pracować dla rodziny. Dlatego: Złóżcie broń! Niech żyje pokój! [...]*²⁹.

Oczywiście takich druków było więcej, a wiele odbitek wykonywano w łódzkich drukarniach. Transportowano je natychmiast na lotnisko Lublinek, które – pomimo bombardowań niemieckich we wrześniu 1939 roku – zachowało większość swej infrastruktury. Powstało ono w 1925 r. i gdy wybuchła wojna dysponowało pasem startowym o długości 1200 m i szerokości 60 m. Dlatego tak istotna była jego rola w kampanii wrześniowej, jak też w późniejszych zmaganiach na froncie wschodnim. Przez całą wojnę Niemcy rozbudowywali je, wykorzystując do pracy jeńców Armii Czerwonej. 19 stycznia 1945 roku lotnisko przejęły wojska sowieckie. Ich samoloty bazowały na nim do połowy 1945 roku. Następnie zarząd lotniska przejęło Wojsko Polskie, które do końca 1946 roku siłami samodzielnego batalionu budowy lotnisk rozbudowało pas startowy. Dziś jest to ponownie cywilne lotnisko im. Władysława Reymonta, pełniące rolę portu międzynarodowego, a jego wojenna historia jest już daleką przeszłością.

Artur Ossowski

– historyk; pracownik Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przypisy:

1. N. Bethell, *Zwycięska wojna Hitlera wrzesień 1939 r.*, Warszawa 1997, s. 13–15.
2. H. Batowski, *Agonia pokoju i początek wojny (sierpień–wrzesień 1939)*, Poznań 1979, s. 242–243, 449–450.
3. J. Wróbel, *Region łódzki w przededniu wojny*, [w:] *Wieluń był pierwszy. Bombardowania lotnicze miast regionu łódzkiego we wrześniu 1939 r.*, pod red. Janusza Wróbla, Łódź 2009, s. 43–47.

4. R. Mik, *Zbrodnie Wehrmachtu w Łódzkiem*, „Biuletyn Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi”, 1989, nr 1, s. 8–9; Sz. Datner, *55 Dni Wehrmachtu w Polsce (1 IX–25 X 1939)*, Warszawa 1967, s. 94. Por.: R. Szubański, *Przestępstwa wojenne Luftwaffe*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1965, nr 1, s. 81–86; *Mały Rocznik Statystyczny Polski (wrzesień 1939–czerwiec 1941)*, Warszawa 1990, s. 5–12.
5. B. Bojarska, *Zniszczenie Wielunia w dniu 1 września 1939 r.*, „Przegląd Zachodni” 1962, nr 2, s. 305–317.
6. W. Bączkowski, *Samolot bombowy nurkujący Ju 87, A-C Stuka*, Warszawa 1990.
7. M. Cygański, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1939–1945*, Łódź 1965, s. 15, 238; W. Jarno, *Okręg Korpusu Wojska Polskiego Nr IV Łódź 1918–1939*, Łódź 2001, s. 341–342.
8. J. Pawlak, *Polskie eskadry w Wojnie Obronnej 1939*, Warszawa 1982, s. 87–97; A. Gramasz, *Dzieje Pabianic. Kalendarium okresu okupacji 1939–1945*, Łódź 2006, s. 7; A. Kurowski, *Lotnictwo polskie w 1939 r.*, Warszawa 1962, s. 67. Mobilizację 161. i 162. Eskadry Myśliwskiej przeprowadzono na macierzystym lotnisku Skniłów we Lwowie. 31 sierpnia 1939 r. przesłano samoloty na polowe lotnisko Widzew-Żdźdźary koło Łodzi. Miało ono dwa pola wzlotów i dla lepszego maskowania pozostawiono na nim sterty zboża. Wykorzystywano również łądowiska w Zduńskiej Woli oraz Łasku. Poza atakami niemieckimi na infrastrukturę lotniska polskiemu personelowi technicznemu doskwierał też brak części zamiennych oraz paliwa. Niebezpieczny był również ogień własnej artylerii przeciwlotniczej, która dwukrotnie zestrzeliła polskie maszyny. 7 września 1939 r. przesunięto obydwie eskadry do Matczyna koło Lublina i dołączono do ewakuowanej z Warszawy Brygady Pościgowej.
9. W skład dywizjonu wchodziły dwie eskadry: 211 (11) (d-ca kpt. pil. Franciszek Omylak) i 212 (12) (d-ca kpt. pil. Stanisław Taras-Wołkowiński). Przed wybuchem wojny zmieniono oznaczenia poszczególnych pułków lotniczych i eskadr.
10. Sz. Datner, op. cit., s. 169–170.
11. A. Ossowski, *Luftwaffe – przeciw ludności cywilnej regionu łódzkiego (1–17 września 1939 r.)*, [w:] *Wieluń był pierwszy...*, s. 182–185.
12. M. Cygański, *Komitet Obywatelski miasta Łodzi 6 IX–9 XI 1939 r.*, „Rocznik Łódzki” 1959, t. 2, s. 71–90; T. Czaplicki, *Komitet Obrony Miasta Łodzi*, „Rocznik Łódzki” 1969, t. 13, s. 71–85; T. Bogalecki, *Zaplecze Armii „Łódź” w pierwszym tygodniu kampanii wrześniowej 1939 r.*, „Kronika Miasta Łodzi” 2001, nr 2, s. 17–29.
13. M. Kowalski, *Moja kampania wrześniowa*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1989, nr 2, s. 234.
14. Cz. Krzemiński, *Zbrodnie Luftwaffe w Polsce we wrześniu 1939 r.*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1979, t. 19, s. 32.
15. J. Fijałek, J. Indulski, *Opieka zdrowotna w Łodzi do roku 1945. Studium organizacyjno-historyczne*, Łódź 1990, s. 430–431.
16. M. Cygański, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi...*, s. 9–18; T. Bojanowski, *Łódź pod okupacją niemiecką w latach II wojny światowej (1939–1945)*, Łódź 1992, s. 14–19.
17. *Mały Rocznik Statystyczny...*, s. 148; C. Krzemiński, *Wojna powietrzna w Europie 1939–1945*, Warszawa 1989, s. 32–33. Łódzka Rozgłośnia Radiowa rozpoczęła emisję 2 lutego 1930 r. i jej zasięg wynosił ok. 20 km. Luftwaffe bezskutecznie próbowało ją zniszczyć 2 września 1939 r. Por. M. Emmerling, *Luftwaffe nad Polską 1939. cz. 1 Jagdflieger*, Gdynia 2002, s. 35–37.
18. M. Budziarek, *Diecezja łódzka*, [w:] *Życie religijne pod okupacją hitlerowską 1939–1945*, s. 380–405; *Idem, Łódź. Lodsche. Litzmannstadt. Wycinek z życia mieszkańców okupowanego miasta*, Łódź 2003, s. 9–26;

- G. Kobojeck, *Historia rzymskokatolickiej Łodzi w datach*, Łódź 2006, s. 26–27.
20. J. Fijałek, J. Indulski, op. cit., s. 432–433. W grudniu 1939 r. w łódzkich szpitalach przebywało jeszcze ok. 370 ciężko rannych cywili i żołnierzy Wojska Polskiego.
 21. Obrzeża miasta przez kilka godzin ostrzeliwała także artyleria wroga. T. Bojanowski, op. cit., s. 35–37; Idem, *Polityka okupacyjnych władz hitlerowskich wobec Łodzi (1939–1945)*, Łódź 1973, s. 9–28; M. Cygański, op. cit., s. 19–24; Z. Piechota, *Eksterminacja inteligencji oraz grup przywódczych w Łodzi i okręgu łódzkim w latach 1939–1940*, „Biuletyn Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi” 1989, t. 1, s. 12–23; E. Rosset, *Problemy demograficzne Łodzi*, [w:] *Łódź jako przedmiot badań naukowych. Materiały z sesji z 17–18 stycznia 1962 r.*, Łódź 1964, s. 97–107.
 22. Cz. Łuczak, *Dzień po dniu w okupowanej Wielkopolsce i Ziemi Łódzkiej (Kraj Warty)*, Poznań 1993, s. 11.
 23. E.C. Król, *Polska i Polacy w propagandzie narodowego socjalizmu w Niemczech 1919–1945*, Warszawa 2006, s. 249–270.
 24. K. Pospieszalski, *Materiały. Nieznana odezwa Wehrmachtu do mieszkańców Warszawy z września 1939 r.*, „Przegląd Zachodni” 1961, nr 4, s. 335–337. Ulotkę opublikowano w Łodzi w niemieckiej okupacyjnej gazecie „Litzmannstädter Zeitung” z 6 października 1940 r.
 25. N. Bethell, op. cit., s. 56; N. Davies, *Europa walczy 1939–1945. Nie takie proste zwycięstwo*, Kraków 2008, s. 101–106.
 26. W. Biegański, *Z genezy „dziwnej wojny”*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1965, nr 1–2, s. 612–652; Kevin R. Austr, *Operation Saar. A lost Opportunity*, „World War II” September 1999, s. 42–48.
 27. L. Mitkiewicz, *Wspomnienia kowieńskie 1938–1939*, Warszawa 1989, s. 298.
 28. W. Stachewicz, *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1936 oraz kampania 1939 r. w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Generalnego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998, s. 520–523; J. Izdebski, *Sytuacja militarna między Wisłą a Bugiem po 15. 9. 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1991, nr 2, s. 71–80; W. Włodarkiewicz, *Przedmoście rumuńskie w wojnie 1939 roku.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1996, nr 4, s. 43–64.
 29. M. Bielski, *Grupa Operacyjna „Piotrków”*, Warszawa 1991, s. 309–310.

Żołnierska historia

Wrześniowa kampania

Kazimierza Cichosza (1909–1992)

pierwsze kolumny

Pisanie bywa przyjemnością, niekiedy wewnętrzną koniecznością a nawet radością. Bywa i tak, że za pióro chwytają ludzie nie nawykli do przelewania na papier uczuć i obrazów. Robią tak, ponieważ odczuwają konieczność dania świadectwa prawdzie, szczególnie wówczas, gdy tej prawdy nie można wypowiedzieć głośno. Myślę, że taki był przypadek decyzji Kazimierza Cichosza doprowadzającej do pisania, z czego zachowało się, zapisanych drobnym pismem, siedemnaście stron z zeszytowych. Pisał, bo odczuwał konieczność przekazania tej prawdy najbliższym. Mówię tu o siedemnastu stronach, bo jedynie tyle przetrwało do dziś.

Kazimierz Cichosz urodził się w 1909 r. we wsi Koźle, leżącej blisko Strykowa. W rodzinnej wiosce skończył szkołę, a kiedy dorósł wstąpił do wojska. W 1931 r. ukończył z wynikiem „zupełnie dobrym” Szkołę Podoficerską przy II Pułku Pancernym w Żurawicy i został mianowany starszym strzelcem pancernym. Wykształcenie wojskowe przydało mu się potem w cywilu: został kierowcą samochodu ciężarowego, pracował tak w Warszawie przez jakiś czas. To pozwoliło mu zebrać pewną sumę pieniędzy i urucomić, już w Łodzi, mały sklep spożywczy u zbiegu ulic Biegańskiego i Pogodnej na Julianowie. Stabilizacja wyraziła się też ożenkiem i narodzinami córki na początku 1939 roku. To wymarzone, spokojne życie zostało nagle przerwane wybuchem wojny.

Przeżycia frontowe Kazimierza Cichosza wylaniają się z jego opisów. Są dość obrazowe i podczas lektury odczuwa się to, co czuł autor: śmiertelne zagrożenie, poczucie nieuniknionej tragedii i końca.

W tekście trzeba było jedynie dokonać pewnej korekty dotyczącej pisowni, szyku zdania i podobnych zmian, niezbędnych dla przygotowania tekstu do druku.

Opis autora pokazuje pierwszą fazę wojny: powołanie do wojska, jego losy w kampanii, dostanie się do niewoli rosyjskiej oraz pobyt w Kozielsku. Potem nagle się urywa.

Od syna i córek mogłam dowiedzieć się, jakie były dalsze jego losy. Został wymieniony przez Rosjan jako jeńiec i oddany w ręce Niemców. Utrzymywano wówczas, że jadą do domu, ale oni więzieni w bydłowych wagonach jedynie przejechali Polskę i dostali się do obozu jenieckiego na terenie Niemiec. Stamtąd byli kierowani na roboty do *bauera*. Cichosz trafił do Bietingen, gdzie pracował w gospodarstwie rolnym od 15 sierpnia 1940 roku.

BUREAU DE RAPATRIEMENT
P. D. R.
NATIONS UNIES

CERTIFICAT D'IDENTITE
CERTIFICATE OF IDENTITY

Le porteur du present Certificat s'est présenté ce jour au Bureau de Rapatriement P. D. R.
The bearer of this Certificate has to-day presented himself in the Allied Board for
Repatriation.

Jl nous a déclaré être sans papiers et nous a fait les déclarations suivantes:
He has said to be without papers making to us the following declaration:



Signature

Nom Cichosz Prénom Kazimierz
Name christian name
né 22.2.1909. à Koźle (Brzeziny)
born
ressortissant de Polonais
nationality
Taille: petite
visage: ovale
yeux: bleus
cheveux: bruns

TEMOINAGE
WITNESSES



Le SECRETAIRE-DELEGUE

[Signature]
Doit se présenter à la S.M.

Uebdingen
Ravensbourg, le 21. 7. 1945.

BUREAU DE RAPATRIEMENT P.D.R.

Le Capitaine Lacoste
chef de Service
[Signature]

Oberschw. Verlagsanstalt Ravensburg

Utrzymywał w tym czasie korespondencję z żoną, a jego listy są przechowywane starannie przez rodzinę. Wyziera z nich tęsknota a także bunt przeciw upokorzeniom, których w tych okolicznościach musiał doznawać. Píše nawet wiersze. Działa też w miejscowym Czerwonym Krzyżu powołanym przez Polaków pracujących w okolicy. Pomagają sobie wzajemnie, opiekują się młodocianymi i chorymi. Mają status na wpół wolny, muszą się tylko poddać pewnym ograniczeniom i nosić oznaczenie w kształcie litery P (Polen).

W tych okolicznościach zdarzyła się rzecz niezwykła: Cichosz dostał tydzień urlopu i pojechał do żony. Na miejscu okazało się, że zastał żonę z wezwaniem do wyjazdu na teren okupowanej Francji też do *bauera*. W miejscowym urzędzie niemieckim udało mu się zamienić to przeznaczenie na miejsce w Bietingen, w tym samym gospodarstwie. Można przypuszczać, że przywiózł z sobą odpowiednie papiery z tamtejszego urzędu, a może od swojego „bauera”. Odtąd Cichoszowie mogli być już razem. Najstarsza córka Maria dziś Konczarek niewiele pamięta z tamtego okresu, dobrze natomiast pamięta podróż powrotną w 1946 r. i pociąg wiozący Polaków z tej okolicy do Polski w czasie Zielonych Świątek. Wagony Czerwonego Krzyża były umajone zielenią, co wyglądało niezwykle dla dziecka, tak jak i cała wyprawa – była bajeczna. Jechali długo, bo Bietingen znajdowało się przy granicy ze Szwajcarią, w pobliżu jeziora Bodeńskiego. Siostra Krystyna, dziś Piątek, urodzona w 1945 r., nie mogła pamiętać niczego, ale to też i jej historia.

Ich najmłodszy brat – Paweł, urodzony po wojnie, pamięta, że ilekroć odwiedzał rodziców, kiedy byli już starzy, ojciec ciągle coś pisał i pisał. Potem, już pod koniec życia w latach osiemdziesiątych palił papiery, mówiąc, że przeszłość trzeba spalić. Dlaczego to robił? Trudno powiedzieć, czy uważał to palenie za magiczny zabieg – zabicia złej przeszłości, czy z jakiegoś lęku – nie odpowiemy dziś na to pytanie. W każdym razie pamiętnik z września wywiera wrażenie swoim autentyzmem, widać w nim też prawdziwego człowieka: dobrego, usiłującego służyć swojej ojczyźnie, wielokrotnie oszukiwanego, wystawianego do odegrania roli znacznie go przerastającej. Niektóre obrazy wydają się bardzo plastyczne, oddają chaos, bezmiar klęski i rozpacz prostych ludzi. Reszta wspomnień zapewne została zniszczona przez samego autora i nie odpowiemy dziś na pytanie dlaczego, warto jednak utrwalić choć ten fragment – wojnę widzianą przez starszego strzelca pancernego bez pancерnej broni. Ciąg dalszy losów można wyczytać jedynie z listów, dokumentów i zdjęć.

M. Magdalena Starzycka
– pisarka, tłumaczka literatury portugalskiej

Kazimierz Cichosz

pierwsze kolumny

Rok 1939. Wojna

Plakaty ponaklejane na mury, przechodnie przystają, czytają: osiemnaście roczników rezerwistów ma się stawić w wyznaczonych miejscach mobilizacyjnych. Czytam, przecieram oczy, aby dokładnie zobaczyć, bo nie wierzę, ale tak – rok 1939, więc mam się stawić natychmiast (29 sierpnia), jadę do RKU. Jestem przydzielony do jednostki samochodowej. W niedzielę, kto z nas ma blisko, dostaje przepustkę do domu, aby zostawić cywilne ubranie i pożegnać się z rodziną. Mam mój ulubiony obiad – zupę pomidorową z ryżem, którą bardzo lubię, a jej smaku nie zapomniałem przez długie lata wojny. Pożegnanie było krótkie, aby łez nie pokazywać: półtora roku byliśmy po ślubie, a córeczka moja ukochana miała siedem miesięcy.

Dnia następnego wyjechaliśmy z Łodzi. Jechaliśmy w kolumnie stu dwudziestu samochodów różnego rodzaju, pochodziły z mobilizacji, jak i my – ciężarowe. Dowódca nasz, w stopniu majora, wydał ostatni rozkaz – mamy jechać w kierunku miejscowości Regny, tam są magazyny z amunicją, załadujemy ją na samochody i dalej pod linię frontu – Wieluń. Żołdu nam teraz nie wypłaca, gdyż jest mało czasu, więc żołd i suchy prowiant wyda nam w drodze, to jest przypuszczalnie w Regnach. Wyjechał pierwszy swoim samochodem, my mieliśmy jechać za nim w przepisowym szyku i stało się tak, że już go więcej na oczy nie zobaczyliśmy. Dowiedzieliśmy się, że był i zostawił zlecenie, co nam mają wydać, a były to skrzynie z granatami i różnego typu amunicja. Na każdym wozie było nas trzech, to jest kierowca, pomocnik i dowódca; wyposażenie to bagnet dla każdego, karabin starego typu, z pierwszej wojny światowej, do którego dostaliśmy po dziesięć naboji. W magazynach była piękna, krótka broń, ale nie było rozkazu, aby nam wydać, więc tak zostaliśmy wyposażeni na wojnę. Nocą wyjechaliśmy, a potem wkrótce magazyny w Regnach zostały wysadzone w powietrze zgodnie z rozkazem. Nam nie chcieli wydać broni, żebyśmy byli uzbrojeni na wojnę, bo nie było rozkazu, a wysadzić w powietrze trzeba było, aby nie dostała się w ręce nieprzyjaciela, gdyż taki był rozkaz. Dojechaliśmy do Brzezin i tu już zobaczyliśmy początek piekła, czyli wojny. Wszystkie drogi były przepełnione uciekinierami z dobytkiem żywym i martwym, na wozach i wózkach, na rowerach i pieszo, z tobołami i tobołkami, co kto mógł udźwignąć ze swojego mienia. I tak parł ten tłum przeplatany bezładnie wojskiem wycofującym się z linii frontu, naprzód na Warszawę, na wschód, aby dalej od frontu, od wroga, który siał spustoszenie, palił wieś i miasta, bombardował, zabijał, rozstrzeliwał bezlitośnie. Oddział nasz też już był w rozsypce, przecież byliśmy rezerwistami, w dodatku z różnych formacji, niezgrani, bez dowódcy, bo ten nas opuścił i poszedł na swoją rękę, zabierając z sobą nasze pieniądze i prowiant (prawdopodobnie był to szpieg niemiecki), pogodziliśmy się z tym, bo takich było wielu w naszej armii. Na przedmieściach Brzezin ujrzeliśmy zbiegowisko cywili i kilku żołnierzy – trzymali człowieka, który udzielał błędnych informacji, później udawał niemowę, a gdy zdarli z niego płaszcz, okazał się być w niemieckim mundurze. Natenczas nadeszła grupa wojskowych i kapitan stwierdziwszy, że jest to dywersant niemiecki wydał wyrok

i na miejscu był zastrzelony. Ja zwróciłem się do tego kapitana, aby objął dowództwo nad nami, bo ja byłem tylko podoficerem (kapralem), więc nie miałem wielkiego wpływu na kolegów. Zgodził się, a było nas niewielu: siedemnaście samochodów, gdyż inni jeszcze nie dojechali lub też utknęli gdzieś na dobre, bo jazda w tych warunkach i w ciemności na drodze pełnej przeszkód nie była łatwa. Wystarczyło, że jeden przyhamował, a jadący za nim nie zauważył, wjechał na niego i już trzeba było wozy takie naprawiać, w miarę możliwości przy pomocy innych albo zepchnąć do rowu, żeby nie tarasowały drogi i jechać dalej. Nasz przybrany dowódca – kapitan zdecydował, żeby jechać do Skierniewic, ale ponieważ zaraz za miastem był most i opodal zarośla i ludzie mówili, że tam jest umieszczony karabin maszynowy, który ostrzeliwuje ten most i jest tam dużo trupów, więc postanowiono, że będziemy puszczać po trzy samochody, w samochodzie tylko kierowca, reszta załogi spieszona, po obu stronach szosy tyralierą. Nasz dowódca szedł pierwszy z rewolwerem w rękę, po kilkunastu minutach usłyszeliśmy serię z karabinu maszynowego i wkrótce przybiegł goniec z meldunkiem, że nasz kapitan zginął. Kilka samochodów przejechało, ja zdecydowałem jechać na Stryków i tamtą szosą na Warszawę, więc trzema samochodami udaliśmy się w lewo do Strykowa. Ja się przesiadłem na tył wozu, aby się trochę przespać, gdyż czułem się strasznie wyczerpany i pomyślałem sobie, że jeżeli w Strykowie się obudzę, to po prostu zdezerteruję i pójdę do brata, który tam mieszkał, a jeśli się nie obudzę, to przeznaczeniem moim będzie kontynuowanie dalej tej tułaczki w nieznaną. Obudziłem się i zaczęło świtać, pytam kolegów:

– *Gdzie jesteście?*

– *Domaniewice.*

Na wschód

Tak więc moim przeznaczeniem jest iść dalej. Wraz ze słońcem pokazały się samoloty bombardujące. Jazda dalej okazała się niemożliwa. Skręciliśmy w lewo, do wioski, zamaskowaliśmy samochód pod drzewami, sami rozbiegliśmy się, leżąc w redlinach kartofli, przyglądaliśmy się jak odrywają się od samolotów bomby i lecąc z szumem spełniają swoją rolę niszczenia. Po takim nalocie pozostają na szosie leje, które uniemożliwiają dalszą jazdę, pozostają porozrywane ciała ludzkie i końskie, wozy i samochody. Jedna taka bomba upadła obok naszego samochodu, pod ścianą domu przysypana kobieta z dzieckiem, ciała ich drgały jeszcze porozrzucane, a krew spływała po ścianie białonego domu. Przeczekaliśmy tak do zmierzchu i udaliśmy się w dalszą drogę. Dzień się zaczął, gdy wjechaliśmy do Warszawy. Jadąc ulicą Wolską, zauważyliśmy, że sklepiki są już pootwierane, aby można było coś kupić, a publiczność była tak serdecznie gościnna, że co kto miał – częstował. Napoje, woda gorąca czy herbata, bułki, chleb, suchy czy smarowany, jak kogo było stać, a nawet ziemniaki świeżo ugotowane w mundurkach lub pieczone w popiele. Z wielkim apetytem zjadłem ich kilka. I tak dobrnęliśmy w pobliże Ogrodu Saskiego, postawiliśmy samochód w cieniu drzew i poszliśmy szukać komendy miasta po dalsze rozkazy. Wyszedł do nas oficer w stopniu majora i polecił, abyśmy

wjechali do parku, tam jest służba informacyjna i wskażą nam, gdzie mamy rozładować samochody. Okazało się, że już tam dużo samochodów rozładowali, było kilkaset skrzyń z amunicją. Nim skończyliśmy ten rozładunek, musieliśmy kilkanaście razy przerywać prace i skakać w rowy, gdyż syreny alarmowe oznajmiały nalot. Podczas jednego z takich nalotów kolega został uderzony odłamkiem w bok i pękły mu dwa żebra. Natychmiast znalazły się anioły opiekuńcze w białych fartuszkach, nasze kochane warszawianki, które były tam, gdzie bomby się sypały, aby udzielić pomocy potrzebującym. Obandażowały kolegę Raźniewskiego i pobiegły dalej, gdzie słychać jęki czy wołanie o pomoc. Na ulicy Wolskiej zaczęto robić barykady, przez parę godzin pracowaliśmy przy wywracaniu tramwajów, kopaniu rowów. Następnego dnia udaliśmy się znowu do dowództwa po rozkazy. Polecono nam opuścić Warszawę, dokąd mosty są jeszcze przejezdne. Z Warszawy do Miłosnej kilka kilometrów jechaliśmy osiem godzin, taka była trudna jazda. Postanowiliśmy odpocząć, kierowca mój zwariował, zaczął wygadywać różne głupstwa. Zasnęliśmy. Po przebudzeniu już go nie było z nami, poszedł z falą uciekinierów, z czego byliśmy zadowoleni, gdyż z rannym jest kłopot, ale z wariatem? Jechaliśmy dalej naprzód byle dalej od domu, od frontu, bez nadziei czy się jeszcze komuś przydamy. Zabieraliśmy zmęczonych z tobołkami i dobytkiem – cywili i wojskowych. Rozpoczął się handel wymienny, żołnierze wyzbywali się mundurów, przebierali się za cywili i odwrotnie, gdzie kto chciał to wsiadał lub też wysiadał. I tak dojechaliśmy do Siedlec. Niedawno był tu nalot, palił się duży dom, w blasku tego ognia ujrzeliśmy kapliczkę przydrożną, gdzie smukła postać Matki Boskiej unosiła się wśród tych strzelających w górę snopów ognia. Opanowały nas westchnienia, modlitwy i żądza zemsty jednocześnie.

Benzyna, czyli skarb

Przybiegł chłopiec, może czternaście lat i prosi, żeby zabrać go stąd.

– *Skąd masz tyle kiełbasy?* – pytam.

– *Tam panie, na dworcu, jest dużo. Bomba rozwalila magazyn pocztowy.*

Zdobyliśmy też trochę zapasu dla zaspokojenia głodu, bo zmęczeni byliśmy strasznie, ale i głodni. Jechaliśmy dalej. W samochodzie mieliśmy już tylko trzech pasażerów (chłopak, ten z kiełbasą, już dawno wysiadł) – było to dwóch podoficerów rezerwy i porucznik, prosili, żeby ich zabrać, bo mieli nogi pościerane. Za Siedlcami trafiliśmy na mały lasek, ostry zakręt. Zatrzymał się tu dnia poprzedniego ambulans, był nalot lotniczy i personel wskoczył w lasek, wozy zostały, nalot jeden za drugim tłuł strasznie z karabinów maszynowych i bomb. Zastaliśmy ciała ludzkie i odzież w strzępkach, jakby porozwieszane na drzewach, wozy zniszczone, ale o dziwo, pożaru nie było, bo na jednym wozie znaleźliśmy dwie beczki z benzyną. To dla nas skarb, przerzucenie ich na nasz samochód trwało dość długo, bo naloty były tak częste, że odpędzały nas od wykonania zadania. Kręcili się dwaj cywile z sąsiedniej wioski, odpędziłem ich, żeby sobie odeszli, ale ciekawi, co robią wojskowi, nie posłuchali i stało się. Kolejny nalot. Widziano nas kryjących się w lesie, okrążyli i zaczęli puszczać „pigułki” parę metrów

przede mną. Porucznik położył się pod grubym drzewem, owinął sobie głowę płaszczem, ja położyłem się na plecach, tak abym mógł widzieć te śmiercionośne „pigułki”, za mną ci dwaj cywile i ich rowery. Pierwsza uderzyła dwa metry przed porucznikiem, ziemia go przysypała, ale jemu nic się nie stało, widzę drugą – leci prosto na mnie, staram się leżeć bokiem, zdaje mi się, że strzepy mojego ciała lecą do nieba, ale nic nie czuję, tylko widzę na gałęziach strzepy ciał tych cywili. Tak zaspokoili swoją ciekawość. Poderwaliśmy się i do dzieła: przetoczyliśmy te dwie beczki paliwa na nasz samochód i dalej w drogę. Tułaliśmy się tak prawie dwa tygodnie, przeżywając różne przygody. Gdy wjechaliśmy do Łucka, weszliśmy do restauracji, bo jeszcze coś tam można było zjeść. Zajechał Żyd wozem naładowanym różnym towarem, od takiego handlu „talerzyki za gałgany”, dał koniowi trochę siana i wszedł do restauracji. Zaraz też pokazały się samoloty, zrzuciły kilka bomb i odleciały. Jedna trafiła w ten wóz, zabijając konia i cały sklepik żydowski przestał istnieć. Jak się darł ten Żyd, gdy wyskoczył z lokalu:

– *Policja, policja! – krzyczał. Zabijcie tego Hitlera, co on mi narobił, aj, aj gewalt!*

Do Zaleszczyk mieliśmy jeszcze jakieś 150 kilometrów. Zatrzymał nas patrol. Dowódca major powiedział nam, że jego zadaniem jest zabierać samochody, które tylko napotka i pod jego dowództwem przekroczy granicę rumuńską, gdyż prawdopodobnie do Rumunii zostały przywiezione nasze polskie czołgi „teki”. Te, które były krótko przed wojną, wywiezione do Anglii, a teraz zostały przywiezione do Rumunii, skąd my je mamy jutro otrzymać i wyruszyć na front. Radość moja nie miała granic, bo raz, to broń, w której służyłem, no i nareszcie coś się zacznie dziać.

Porucznik rezerwy, który od kilku dni z nami jechał z dwoma podoficerami, zaczął mnie namawiać, żeby zmienić kierunek i jechać do granicy węgierskiej. Powiada:

– *Benzyny nam starczy, a ja mam dużo pieniędzy, to się przedostaniemy do Węgier.*

Odmówiłem jednak, gdyż czułem obowiązek jechać tam, gdzie mają być nasze „teki” i będę mógł walczyć na froncie. Więc rozstaliśmy się, oni poszli pieszo w obrany kierunek, a ja pod rozkazami owego majora mieliśmy jechać do Rumunii. Jechaliśmy tak całą noc. Gdy zaczął się dzień, posłyszeliśmy straszny turkot. Wkrótce z ogromnych tumanów kurzu wyłoniły się sylwetki czołgów. Nie trzeba było pytać czyje, gdyż ogromne gwiazdy na pancerzu świadczyły o ich przynależności. Dowódca nasz zjechał na bok i zatrzymał samochód. Za nim zaczęliśmy się wszyscy zatrzymywać.

Krótkie braterstwo broni

Ich dowódca wysiadł z czołgu, dopadł do naszego. Zaczęli się całować jak bracia, którzy się dawno nie widzieli, a i my za przykładem serdeczności, było *mnogo* częstowania papierosami. Mówili:

– *My idiom wam pomoszcz oswobodzić was i okończył wojnu –*

i pojechali w pole.

Nasz dowódca uradowany zrobił nam zbiórkę i wydał rozkazy, ponieważ do granicy Rumunii blisko:

– *Kucharze – gotować obiad, wszyscy golić się, oczyścić z kurzu, po krótkim odpoczynku wjedziemy do Rumunii. Ponieważ z tych stu dwudziestu wozów zostało nawet nie sto, więc na ochotnika jeden samochód niech weźmie części zamienne i podrzuci parę kilometrów i wróci, aby podciągnąć te, które niewiele uszkodzone. Kto na ochotnika?*

No i ja jak do wszystkiego i teraz się wyrwałem, no i daleko nie ujechałem. Po czterech kilometrach rzeczka i tam nasi zakładają miny na most i porucznik powiada:

– *Za piętnaście minut ten most wysadzamy, bo już mam wiadomość, że za rzeką nas rozbijają.*

Po tym, co widziałem, trudno mi było uwierzyć, ale powiedziałem, że zaraz wrócimy. Ujechaliśmy jakieś trzy czy cztery kilometry i stało się. Zapamiętałem tylko polsko-ukraińską wioskę Horodenka i mrowie krasnoarmiejców z krzykiem:

– *Wychadi s maszyny, ruki wwierch!* – I rewizja.

Mordę drze, ja nie wiedziałem, czego on chce ode mnie, dopiero jeden z naszych oficerów krzyknął:

– *Rzuć bagnet!*

Zaczyna mnie rewidować, a ja zapomniałem, że w kieszeniach mam amunicję, a ten mi zaraz bagnetem na brzuch naciska. Gdy wyrzuciłem naboje, portfel i pieniądze, zabrał portfel i pieniądze, a zdjęcia i prawo jazdy wdeptał w błoto, po czym ładowali nas po dziesięciu do samochodów, ile wlezie i powieźli coraz dalej i dalej od domu, od rodziny.

Od ojczyzny czy na zawsze? Gdzie nam przyjdzie złożyć kości?

Pierwszą noc spędziliśmy, leżąc na kamieniach rzeki Dniestr, której opadłe wody stworzyły dla nas miejsce noclegu. Gdy nastał dzień, wożono nas lub pędzono bez celu, gdy nastał wieczór, pognali nas, gdzie nad szosą stała duża a pusta stodoła. Zapędzili nas do tej stodoły aż trzeszczały dechy, bo było nas ponad dwa tysiące. Na szosie ruch niesamowity, jechały ciężkie czołgi, zaopatrzenie, rozładunek i załadunek beczek z benzyną. Jeden z nas powiada, że rozumie ich mowę. Mają oblać stodołę i spalić nas żywcem. Co się zaczęło dziać! Płacz, modlitwa i jęki i tak do rana, gdy nareszcie rano otworzyli wrota i kazali wychodzić, a my patrzyli jeden na drugiego, było kilku czarnych a wyszli biali jak staruszkowie przez te parę godzin.

Potem policzyli nas po *piat*, po *dziesiąt* i dalej. Już trzeci dzień a my ani kropli wody, ani jeść. Oni mówią, że też nie jedli, gdyż kuchnie nie mogą trafić i tak dopędzili nas do Zaleszczyk i tu pozwolono nam rozgościć się w pokojach opróżnionych przez urzędników. Organizowali pomoc Ukraińcy z czerwonymi opaskami, rozdzielali z koszy i wiader. Co kto mógł, złapał, ale każdy coś dostał. Ja zasnąłem i śni mi się, że widzę

jak Mania w białym płaszczu przepycha się do mnie i na talerzyku ma biały ser, więc chce mnie nakarmić. Obudziłem się i opowiadam, że sen ten wróży, że dziś pożegnamy się z Polską i faktycznie stało się. Załadowali nas na samochody i jedziemy na Wschód. Ludzie – Ukraińcy, dorośli i dzieci lecą za nami, a ponieważ droga piaszczysta, więc ta karawana wolno się posuwała. Rozmawiamy. Pytam, co tam jest. Odpowiadają, że tytoń tak się suszy jak chmiel, ja na to – dajcie – i już chłopaki niosą całe pęki tego tytoniu. Ja jako dobry organizator, jak spaliśmy w Zaleszczykach, to zdobyłem siennik. Słomę wyrzuciliśmy a siennik naładowaliśmy tym tytoniem. Oj, przydał się i bardzo. Braliśmy liście do kieszeni, to się suszyło i kruszyło i było palenie i na wymianę, na parę tygodni starczyło. I tak nas dopędzili do swoich granic, gdzie nas liczyli od rana do wieczora po pięciu albo dziesięciu, a równina była taka, że gdzie spojrzeć tam nie widziało się ani chaty, ani drzewa, takie to ogromne stepy ukraińskie. Mnie stale na myśl przychodził obraz, jak to po pierwszej wojnie światowej w naszym domu w Koźlu była szkoła i na pół ściany wisiał obraz: długi szpaler ludzi – niewolników pędzonych na Sybir za cara, a do pilnowania tego wielotysięcznego szpaleru skazańców byli co parę kroków żołdacy uzbrojeni po zęby w broń palną i nahajki do poganiania opieszłych i wycierńczonych. A który padł, był rozrywany przez psy czekające na okazję, a nad głowami stada kruków, które i teraz po tylu latach przypominają mi ten straszny obraz. I to, że czeka nas ten sam los, co tamtych, sprzed wielu lat.

Na moście

Tak nas dowieziono do Kamieńca Podolskiego, most długi na parę kilometrów. Naraz samochód nasz przybiera na szybkości i zaczyna ósemkować. Samochody jadące z przeciwnej strony zjeżdżały na bok, zrobił się popłoch, strażnicy zaczęli spadać, my również, połamali karabiny, ja wyskoczyłem, tylko ręce i kolana pościierałem. Samochód zaczął powoli hamować i zatrzymał się na ostatnim przęśle, inne samochody przystawały i zabierały poturbowanych do szpitala. Kierowcę zabrali, tłumaczył się, że hamulce przestały działać czy też chciał celowo spowodować straszny wypadek? Wszystko to trwało mniej więcej pół godziny i pojechaliśmy dalej przez centrum miasta. Staliśmy tam z godzinę. Pozwolili cywilom podchodzić do nas, rozmawiać a nawet częstować czem kto mógł. Ja miałem dziesięć rubli, które dał mi chłopak, jak dawali nam ten tytoń do siennika. Powiedział: *Przydadzą się panu i rzeczywiście przydały się teraz.*

Pytamy się:

– *Co można u was kupić? Takie ładne sklepy...*

I Rusek powiada:

– *Wszystko.*

To ja powiadam, żeby kupić kielbasę czy chleb i daję te ruble, ale on mówi, że w tych godzinach to nie ma.

– *A wódka jest?* – pytam.

– *Jest* – mówi.

Powiedziałem mu, żeby kupić i za parę minut przynosi pół litra i powiada,

że za mało tych pieniędzy. Ja na to, że więcej nie mam, to on powiedział: *Smacznego!*

Gdy nas wywieźli w pole, żeby znowu liczyć piątkami i dziesiątkami, tośmy tę wodę wypili, po małym łyyczku, żeby starczyło. Drugi koleś zapalił papierosa i każdy pociągnął, to wystarczyło, że się przewróciłem. Rusek powiada:

– *Pomar! Nie, to mu dać wody.*

I tak zbliżył się wieczór. Wprowadzili nas do koszar, dowolnie pozwolono odpoczywać. Zaczynam się rozglądać, gdzie by tu można spocząć, wtem ktoś pociągnął mnie do siebie i zaczyna wypytywać skąd jestem. Usiadłem na pryczy obok i myślę, i myślę, co mu powiedzieć.

– *Jestem z Łodzi, koło parku, a dalej nie pamiętam.*

On mnie poznał, bo był u nas w sklepie kilka razy i powiada, że on stąd ucieka, ma już przebranie za kolejarza, ale ja już go niewiele rozumiałem, gdyż byłem tak zmęczony i śpiący. Gdy rano się zbudziłem, jego już nie było. On jednak pierwszy był u mamy, opowiedział o mnie już po miesiącu. A nas wkrótce popędzili na dworzec kolejowy, załadowali na wagony. Nie wiem, jak długo jechaliśmy, ale na pewno dzień i noc. I tak dostaliśmy się do Kozielska. I tu się zaczęło nowe życie.

Zaczęto nas sortować, osobno oficerów i podoficerów i innych. Oficerów sprowadzono do dawnych chlewni, gdzie była dawniej hodowla świń, bo pozostał po nich gnój. Po kilku dniach przywieźli ciągnikiem dwa pełne wozy słomy i nikomu nie wiadomo było po co i dla kogo. Stupajka chodził wokół tych wozów, pilnując. A ponieważ każdy taki był dobrym politykiem i jak tylko miał słuchaczy to chętnie opowiadał, jaka to u nich kultura i jaki dobrobyt, panowie oficerowie zachęcali go do opowiadania, a inni w końcu wozu kradli słomę i robili sobie lepsze spanie. Gdy był sygnał do spania, to wszyscy się rozbiegli. Pilnowacz obszedł wóz dokoła i stwierdził, że słoma została rozkradziona. Wiedząc, że czeka go kara, powiesił się na tym wozie. Rano słomę rozdano oficerom, a wisielca zabrali i powiedzieli, że *pomar* na serce. On przeczuwał, jakie kary są za niewykonanie rozkazu.

I tak rozpoczęło się życie za drutami. Dostaliśmy cały rząd pokoików drewnianych, w których kiedyś mieszkały zakonnice, po cztery w jednym, a nas musiało się zmieścić sześćdziesięciu. Do spania kładliśmy się na bok lewy lub prawy, na wznak nie było miejsca. Rano biegiem do studni, by się trochę obmyć czy napić, bo nas było osiem tysięcy a studnia tylko jedna. Na śniadanie gorąca woda, bo herbatę i cukier dawali osobno z magazynu, chleb też. Chleba dawali codziennie dużo, po osiemset gram. Dużo, bo w naszym wojsku dawali też osiemset gram i nigdy nie brakowało, ale to było co innego. Ten chleb tutaj działał jak rycyna, trzy dni był z kukurydzy, a trzy dni z żyta. Był kwaśny i w żołądku długo nie leżał, prócz tego był to chleb z „odżywką”. Szło się wtedy z kocami do magazynu, bo zostawało sporo okruszków, do których wszy chętnie przylegały, a my, kto mógł, to garścią chwycił, nie zważając na nic... Zupę dostawaliśmy raz dziennie, jeśli to można nazwać zupą.

Mój Kozielsk



pierwsze kolumny

Ejonyrko Jan ~~F. A. Lautner~~
 Andrzejów ~~Sonowice~~
 Stanisław Fablik Korta Józef
 Kenty Kraków. Skalski
 A. Ciemiński
 Łojan. ~~Suronowicz~~
 Chodunow.

Muszę opisać ten Kozielsk. Był to kościół, wokół którego leżały stopy żelastwa i rusztowań. Jak mówili ludzie, był kryty złotą blachą i jak nastał komunizm, to złoto zdjęli a pokryli zwykłą blachą. W kościele umieścili około tysiąca ludzi, w podziemiach była hodowla szczurów, tam zamykali na noc takich, którzy grali w karty. Wokół kościoła rosło kilka ogromnych drzew, których liście służyły nam za papier toaletowy. Po kilku dniach uruchomili kantinę, można było kupić pastę do zębów, papierosy i machorkę, jeśli kto miał jakiegokolwiek

pieniądze lub za obrączki, złote zęby itp. Wolno nam było chodzić po terenie swobodnie. Niektórzy z tej blachy czy stali wykuwali coś w rodzaju noża lub nawet brzytwy i golili się tym doskonale. Ja należałem do czwórki takich równych sobie. Znaleźliśmy w podziemiach kościoła dzbanek kamienny o pojemności czterech litrów, który bardzo nam się przydał, był dobry na zupę i na wodę, tylko łyżki mieliśmy trzy, więc zawsze jeden odpoczywał.

Raz trafił nam się obiad, gdy wywozili policję, a było ich dwa tysiące. Naczelnik chciał ich nakarmić, chyba ostatni raz w życiu mieli jeść. To był wspaniały krupnik na wieprzowinie, ale gdy im ten obiad zawieźli na stację, to pociąg już odszedł, więc naczelnik kazał rozdać ten obiad *po wsiem*, czyli wszystkim. My podchodziliśmy cztery razy pod kocioł. Razem zjedliśmy cztery litry zupy, ale każdy był głodny i to wszystko przez nas przeleciało, bo taki krupnik nie utrzymał się w żołądku a i rzygaliśmy też. To był najwspanialszy obiad w Kozielsku, jaki pan naczelnik kazał zgotować na pożegnanie dwóch tysięcy policjantów. Obiadu tego oni już nie zjedli, gdyż pociąg odjechał wcześniej, niż nadjechał obiad. I do domu żaden z nich nie dojechał, gdyż zamiast do domu, jak im obiecywali, to zostali załadowani na okręt i prawdopodobnie wszyscy zostali zatopieni. Zostało jeszcze pięć kobiet, jedna była z dzieckiem lat może pięć i drugim w drodze, to była żona komendanta placówki KOP-u. Jej mąż dzielnie bronił placówki, ostatni granat zostawił dla siebie, dlatego już żywego nie mogli go wziąć, to zabrali żonę z dzieckiem. Druga z tych par była młoda, ładna i bardzo uczynna, kiedy chodziła po terenie tylko patrzyła, gdzie kto potrzebuje pomocy. Była to podobno żona jednego z oficerów lotnictwa, a sama też była oficerem lotnictwa. Był podobno też ksiądz, ale ja nie wiedziałem, podobno spowiadał i komunii udzielał, ale bardzo skrycie się to odbywało. W ogóle wszyscy byli tu nieufni, spłoszeni i wylęknieni.

Miałem dobre buty saperki, jak chciałem, żeby mi nogi wypoczęły, to na noc brałem je pod głowę zamiast poduszki, bo nie wiedziałem czy rano nie będę chodził boso. Trzeba było długo wypatrywać, żeby kogoś podobnego do siebie zjeść. Mając ten dzbanek, to już się w czterech trzymaliśmy razem i to było łatwiej czy to korzonków, czy chwastu jakiegoś, czy też przed magazynem jakiś listek kapusty się zaproszył, to się zupkę ugotowało. Prawie codziennie jak oficerów przywozili, tych, co karczowali las w Katyniu, to jeden znajomy przychodził obmyć się trochę i zupki pojeść, jak zostawiłem. A nawet raz poczęstowaliśmy operatora, który co tydzień wyświetlał nam film w kinie objazdowym, na które to stupajki wszystkich zaganiali – to była kultura dla nas. Raz był dobry film jak Hitler leży, a żołnierz Krasnej Armii stoi mu nogą na piersi i bagnietem się zamierza, żeby przebić żołnierza niemieckiego. I wtedy uwierzyliśmy, że będzie wojna z Niemcami. Radość panowała wielka, gazety też często przynosili w języku ukraińskim i stupajko czytał. Przeważnie pisali o bohaterach, jak we Lwowie na piętrze był jeden żołnierz z karabinem i tak długo kosił, aż się Iwan podczołgał i rzucił granat... Gazeta zaraz była podarta na kawałki do palenia.

(Śródtytuły pochodzą od redakcji.)

Fot. archiwum rodzinne

kultura

Osamotniony i zapomniany

70. rocznica śmierci Karola Hillera

Gustaw Romanowski

str. 71

Spółeczeństwo sztuki

Political/Minimal

Marek Strąkowski

str. 85

Laboratorium śmiechu

Fotofestiwal 2009

Marek Strąkowski

str. 95



Karol Hiller, Moskwa 1916 r.

Osamotniony i zapomniany

70. rocznica śmierci Karola Hillera

kultura

W grudniu 1939 roku został rozstrzelany w lućmierskich lasach Karol Hiller, zaliczany dziś przez znawców przedmiotu do najwybitniejszych artystów okresu międzywojennego – twórca wielu nowatorskich pomysłów w plastyce, znakomicie rozumiejący też społeczną rolę sztuki. Był to także wysokiej próby intelektualista, czuły na problemy ludzi, jeden z pierwszych w Łodzi obrońców praw człowieka. Zginął jako przedstawiciel polskiej inteligencji likwidowanej metodycznie przez niemiecką machinę represji w pierwszych miesiącach okupacji. Jednak siedemdziesiąt lat, jakie minęło od tamtych dni, to pewnie za mało, aby postać Hillera zagościła na trwałe w społecznym obiegu jako ważny wzór osobowy, z którego szczególnie Łodzianie powinni być dumni. Bo wiedza o tym, Łodzianinie, tak niezbędną dla utrwalania tożsamości miasta odwołującego się do wielokulturowej tradycji, jest wciąż zaskakująco niewielka.

Karol Hiller urodził się 1 grudnia 1891 roku w Łodzi w rodzinie o niemieckich korzeniach. Imię Karol otrzymał jako najstarszy syn po ojcu, mistrzu tkackim. Rękodzielnikiem tkackim był także dziadek przyszłego artysty – Johann Hiller, który w latach 40. XIX wieku przywędrował do Łodzi z Dolnego Śląska, dokonując wyboru małej ojczyzny dla następnych pokoleń swojej rodziny. W rodzinie tej panował kult pracowitości, ale w odróżnieniu od większości niemieckich osadników związanych z kościołem ewangelickim, Hillerowie byli katolikami. Zachował się w kościele pw. Podwyższenia Św. Krzyża wpis o chrzcie Karola w dniu 6 grudnia 1891 roku. Zgodnie z rodzinną tradycją również Karol miał zostać włókiennikiem tyle, że znającym się na farbiarstwie. Wysłano go więc do dobrze kształcącej zawodowo rosyjskiej Łódzkiej Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej (Łodzinskoje Manufakturno-Promyszennoje Ucziliszcze). Ukończył ją w 1910 r., otrzymując tytuł technika chemika z celującymi ocenami. Wzorowe świadectwo było zapewne zachętą do podjęcia studiów chemicznych w Wyższej Szkole Technicznej w Darmstadt w Niemczech. Studia te jednak szybko przerwał nie wiadomo, czy ze względu na brak wystarczających funduszy dla utrzymania się w Niemczech, czy też dlatego, że postanowił pogodzić swoje dalsze kształcenie z talentem plastycznym, który ujawnił się już w latach szkolnych.

W Moskwie i Kijowie

W 1912 r. Hiller postanowił, że zostanie architektem i rozpoczął studia na Wydziale Inżynieryjno-Budowlanym Instytutu Politechnicznego w Warszawie. Była to uczelnia rosyjska, więc kiedy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa, cały instytut wraz ze stu-

dentami został ewakuowany do Moskwy. Próbował wprawdzie w międzyczasie dostać się na studia artystyczne w Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, ale nie został tam przyjęty. Przypuszcza się, że przyczyną odmowy mogło być katolickie wyznanie Hillera niechętnie traktowane przez carską administrację jako jeden z wyróżników polskości.

Studia w Moskwie przerwał Hiller w 1916 r. z powodu kłopotów finansowych. Zmobilizowany do armii jako inżynier-saper trafił do wyspecjalizowanego oddziału hydrogeodezyjnego w Kijowie. Tam dosłużył się nawet stopnia kapitana, pracując przede wszystkim jako kartograf. W tym samym roku ożenił się z Jadwigą Morawską, wdową po poległym na froncie koledze. Ślubu udzielił ksiądz w kościele katolickim w Moskwie.

Kiedy w 1917 r. powstała w Kijowie Akademia Sztuk Pięknych, Hiller staje się jednym z pierwszych jej studentów. W Akademii – podobnie jak w całym ówczesnym Kijowie – panuje atmosfera sprzyjająca swobodnej wymianie poglądów, a profesorami są Ukraińcy, Rosjanie, Polacy, Żydzi. Hiller trafia do pracowni Michajła Bojczuka, wybitnego ukraińskiego malarza bizantynisty, świetnie wykształconego malarza, znakomicie obeznanego z tajnikami warsztatowymi sztuki europejskiej. Bojczuk zaszczepia w nim zamiłowanie do techniki temperowej i poważnego podejścia do sztuki ikony. W Kijowie Hiller uczęszcza do teatru polskiego, poznaje wybitną aktorkę dramatyczną – Stanisławę Wysoką, zaprzyjaźnia się ze Stefanem Jaraczem. Przyjaźń tę będzie kontynuował, kiedy po kilku latach spotkają się w Łodzi.

Powrót do rodzinnego miasta

W 1921 r. Hiller wraca do Łodzi wraz z żoną i jej 12-letnim synem – Stanisławem Morawskim pochodzącym z jej pierwszego małżeństwa. Do Polski przedostają się w pośpiechu przez „zieloną granicę”, uciekając przed falą prześladowań Polaków wzbierającą po przegranej przez Rosję Sowiecką wojnie z Polską. Pośpiech sprawia, że w Kijowie zostaje porzucony cały dotychczasowy dorobek malarski artysty, głównie symboliczne obrazy o treści religijnej.

W Łodzi zatrudnia się jako nauczyciel rysunku i robót ręcznych w nowo powstałym Społecznym Polskim Gimnazjum Męskim. Z przedmiotu mającego w programie szkolnictwa powszechnego znaczenie uboczne uczynił Hiller ważny obszar badań dziecięcej wyobraźni. Na kilka lat przed ukazaniem się fundamentalnej pracy Stefana Szumana, psychologa, filozofa i lekarza, traktującej o fenomenie dziecięcych rysunków, Hiller publikuje na łamach „Republiki” znamienny tekst. Wskazując na dogłębną analizę psychologiczną zjawiska, artysta tłumaczy swoje zafascynowanie czystą wyobraźnią dziecka: *Zasoby twórczego obrazowania u dziecka są na ogół tak poważne, że trudno byłoby dopuścić, aby były dobytkiem praktyki własnego jego życia, są raczej treścią stanów podświadomych, zasilonych odpowiednio w drodze atawistycznego przelania... Swego czasu zauważał Schopenhauer, że każdy człowiek*



w dzieciństwie ma swój okres genialny. Trzeba dopiero szeregu lat szkolnej tresury grubo płatnej, aby genialność z głowy dziecka wybić... Chodzi mi o to, że szkoła nowoczesna winna z większym uszanowaniem przystępować do gotowych już wartości i zdolności artystycznych dziecka, ułatwiając mu samodzielny rozwój kielkujących pierwiastków twórczych i nie narzucając mu miary ocen estetycznych wypracowanych przez starszych na podstawie naturalistycznego stosunku do świata. Nawet kanony estetyczne pięknej Hellady czasów Praksytelesa pod żadnym pozorem nie mogą być miarodajne, ponieważ prymitywna twórczość dziecięca, o walorach prawdziwej sztuki, zdradza instynktowne opanowanie piękna – częstokroć uderzająco przypomina, dajmy na to, zdobycze sztuki egipskiej, celtyckiej, to znów indyjskiej – sztuki tworzonej przez wysiłek całych pokoleń. Uważajmy więc za celowe urządzenie w Łodzi wystaw rysunków dziecięcych, jak ma to miejsce w Europie zachodniej i w Rosji...

W 1929 r. Hiller przestał uczyć w tym gimnazjum, mając tam stały kontakt z twórczością dzieci, inspirowanych zresztą przez niego do pracy twórczej. Był to kontakt z dziećmi a nie z kilkunastoletnią młodzieżą, bowiem ówczesny system szkolnictwa w Polsce składał się z klasy przedwstępnej, wstępnej i ośmiu klas gimnazjalnych. Artysta uczył w klasach młodszych i to pozwoliło mu dokonywać obserwacji twórczego instynktu dzieci i ich ujawniających się talentów. Dlatego nawet wtedy, kiedy większość czasu pochłaniała mu już własna twórczość, a także poważne prace redakcyjne związane z wydawaniem znakomitego na owe czasy czasopisma „Forma”, pozostał mu nawyk pedagoga chętnie poświęcającego swoją uwagę zdolnemu dziecku. Wybitny artysta grafik Leszek Rózga, tak dziś wspomina spotkanie z Hillerem – pedagogiem w 1936 roku. Rózga miał wówczas 12 lat: *Rysunki moje zainteresowały matkę Jasia (kolegi szkolnego – przyp. aut.) i kiedyś pokazała je zaprzyjaźnionemu artyście Hillerowi, który (...) na osiedlu naszym przy ul. Srebrzyńskiej mieszkał. Kiedyś zaprosił mnie z Jasiem do siebie. Pokazywał różne swoje*

obrazy, które wydawały mi się mało zrozumiałe. Czułem się nieswojo i zaniepokojony. Pan Hiller zapytał mnie, co widzę, patrząc na jego obraz... przy którym aktualnie pracowałem. Milczałem i zastanawiałem się, co powiedzieć. Wówczas pan Hiller powiedział, bym się nie bał i szczerze powiedział, co widzę. Powiedziałem, że to jest okno, za którym pada deszcz i po szybach spływają krople wody, że widzę też promienie światła.

„Bardzo dobrze, bardzo dobrze” – odrzekł. „Tak też ten obraz zatytułujemy” – śmiał się malarz.

Pani Hillerowa przyniosła ciastka z konfiturami i herbatę. Siedzieliśmy niecałą godzinkę.(...) Kontakty z tym malarzem wzbogaciły mnie i zacząłem inaczej do rysowania podchodzić. Rysowałem kolegów, rysowałem pejzażyki. Bywałem na wystawach. Oglądałem reprodukcje. Wielkie wrażenie wywarły na mnie wtedy obrazy Jankiela Adlera.

Odkrywca „egzotycznej” Łodzi

W 1922 r. wspólnie z poetą Witoldem Wandurskim inicjuje Hiller powstanie w Łodzi grupy artystycznej „Srebrny Wóz”. Inicjatywa ma integrować środowiska artystyczne miasta – pisarzy, plastyków, aktorów, reżyserów teatralnych. W grupie znaleźli się m.in. twórcy z byłego ugrupowania żydowskich awangardzistów „Jung Idysz”, twórcy Natan Szpigiel i Marek Schwarc, ale także Artur Szyk i Maurycy Trębacz. Przystąpili też do niej pisarze Józef Wittlin i Mieczysław Braun oraz wybijający się reżyser teatralny – Józef Mayen. Inicjatywa nie otrzymuje wsparcia ani od magistratu, ani od łódzkiego kapitału. Ludzie sztuki są niezamożni, trudno im o własnych siłach realizować większe artystyczne przedsięwzięcia. Wiedzą jednak, że u progu odzyskanej niepodległości nowa Polska musi przewartościowywać stare mity, odpowiedzieć na wyzwania unowocześniającego się świata. Także w sztuce. Hiller i Wandurski publikują na łamach „Głosu Polskiego” cykl artykułów zatytułowany „Sztuki plastyczne w Łodzi”. Próbują w tych tekstach zwracać uwagę na zaściankowość sztuki popieranej przez mieszczaństwo, na zastygłe XIX-wieczne gusty zamożniejszej części społeczeństwa, na wtórność i nieautentyczność powstającej w Polsce sztuki popieranej przez oficjalny mecenat. Szczególnie zauważają to w Łodzi, mieście wielu kontrastów, wskazując jednak na walory, które mogą świadczyć o jego oryginalnym kolorycie. *Miasta nowoczesne pozbawione są romantycznego patosu murów omszałych. Nie ma tu również miejsca na kaprys przypadkowości.(...) w rozplanowaniu ulic góruje zasada linii prostej i kąta prostego. Celowość i schematyczna prostota odbija się na kształcie i stylu zabudowań: przeważa sześcian, ostrosłup i walec.(...) Łódź nie należy wprawdzie do czystego typu nowoczesnych miast fabrycznych. Łódź jest raczej dziwacznym zlepkiem starej miściny polskiej, getta średniowiecznego, kolonii „webrów” niemieckich – i potężnego polipu przemysłu. Stąd groteskowy styl tego niezwykle miasta.*

Że tak jest przekonały nas wędrówki artystyczne po Łodzi. Śródmieście bije tętnem nerwowym amerykańizmu. Na krańcach jak Widzew, Górny Rynek,

odczuwa się rytm poważny pracy dawnych „fabrykantów” włókienniczych. Za placem Wolności rozpoczyna się ruchliwe getto. Stare Miasto, zwłaszcza Stary Rynek bardziej przypomina miasteczko powiatowe podczas jarmarku przed pięćdziesięciu laty. Wędrówki po Starym Mieście sprawiły nam prawdziwą radość estetyczną. Barwna egzotyka tej dzielnicy to nieopczęta jeszcze gleba dla pracy artystów. Już na ulicy Nowomiejskiej rozpoczyna się świat odrębny, zgoła inny niż w Śródmieściu. (...) Odrapane domki „tyków” i kamienice dawnych „obywateli” o tradycyjnych oknach ośmioszybowych, barwne dachy blaszane i dachówkowe z facjatkami, cudaczne podwórka z balkonikami, wyzierające przez bramy łukowe o gotyckim wycięciu w stylu Tudorów (!) – I perspektywa wąskiej uliczki z synagogą mauretańską w głębi... Na domkach gęste plastry zielonych szylców szynkowych i te czerwone z białymi gęsiami. Całe stada! (...) Malarzom szyldowym udało się właściwie utrwalić artystycznie pewien wysoce charakterystyczny dla Łodzi objaw. Przyjeźdnego człowieka uderza niewspółmierność nadzwyczajnej ruchliwości w gestach przeciętnego łodzianina z nieruchomością twarzy.

(...) Artyści malarze mieszkający w Łodzi nie wykorzystali dotychczas tego ciekawego fenomenu...

W tym odkrywaniu tajemnic swego miasta, wskazywaniu na wielką i – jak się okazało – niepowtarzalną jego urodę, pozostał jednak Hiller osamotniony. Jego zauroczenie kolorytem żydowskiej dzielnicy Łodzi, wyrażone choćby tym entuzjastycznym opisem, nie znalazło raczej wielu zwolenników. Mieszkający w Łodzi malarze dalej woleli malować uroki Kazimierza nad Wisłą i zabytków krakowskich niż wejść w egzotykę znajdującą się pod bokiem.

To zwracanie uwagi na niepowtarzalny charakter Łodzi i manifestowana racjonalnie troska o wyeliminowanie stereotypów utrudniających poważną dyskusję nad sposobami budzenia pomysłów, nad budowaniem tożsamości miasta, były cechą całej działalności Hillera i jako artysty, i jako wykazującego wysoki patriotyzm lokalny społecznika. Co ciekawe, Hiller mimo iż wywodził się z ro-



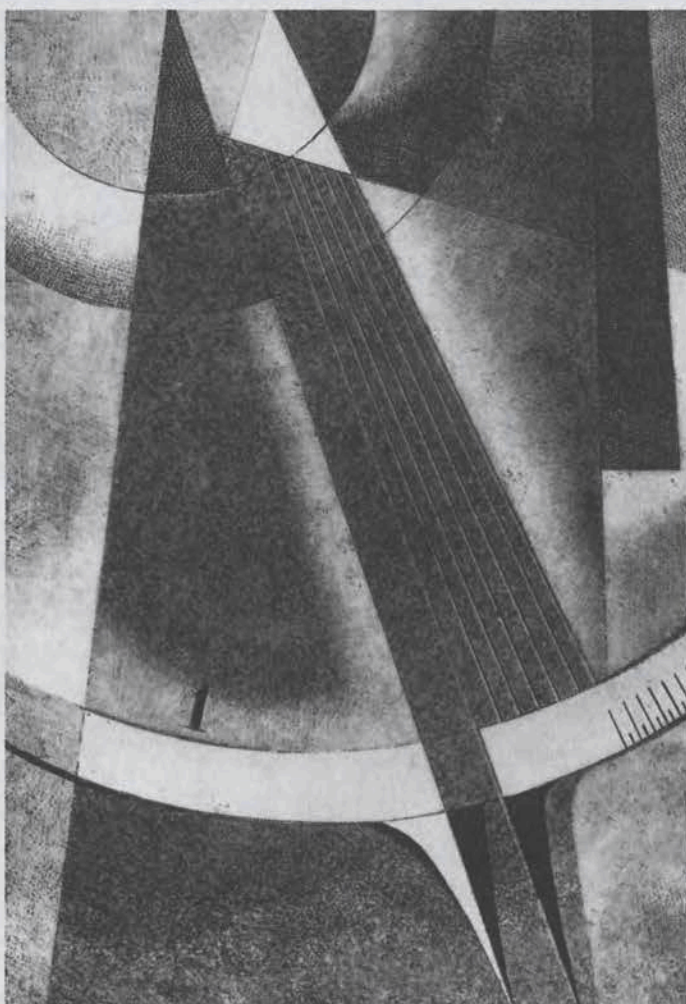
dziny o niemieckiej tradycji, choć już spolonizowanej, był wolny od kompleksów, które w okresie międzywojennym utrudniały poszczególnym grupom narodowościowym II Rzeczypospolitej zwyczajne zbliżenie do siebie i czyniły stale zbyt trudnym naturalny proces wzajemnego przenikania ludzi różnych tradycji, obyczajów i religii. Na nowoczesną, otwartą postawę artysty wpłynęły niewątpliwie jego doświadczenia życiowe. Już jako dziecko posługiwał się trzema językami – polskim, niemieckim i rosyjskim. Studiując w Niemczech, Rosji i na Ukrainie, stykał się na co dzień z przedstawicielami różnych narodowych kultur, uczył się w tych międzynarodowych najczęściej środowiskach artystycznych akceptacji i tolerancji dla innych. Stąd brało się zbliżenie Hillera do artystów i intelektualistów żydowskich i ożywione dyskusje z nimi, co budziło często niechęć wśród ludzi nastawionych na utrzymywanie „narodowego” dystansu.

Od malarstwa religijnego do etosu pracy

Jako artysta Karol Hiller po powrocie do Łodzi kontynuuje początkowo nurt malarstwa o silnym podłożu religijnym. Maluje temperą na desce lub tekturze postaci świętych. Powstały w 1923 r. tryptyk *Trójca Święta* jest pięknym przykładem połączenia tradycji ikony z ideą mistycznego poczucia wspólnoty „nowego Ducha”, co wskazywałoby na świetne odczytanie Hillera we wczesnych pismach katolickiego teologa Teilard de Chardina. Niestety zarówno to dzieło, jak i wiele innych z tego okresu zaginęły podczas wojny. Podobny los spotkał zresztą przeważającą część spuścizny artysty.

Około 1925 r. sztuka Hillera ewoluuje. Zaczyna malować uproszczone krajobrazy przemysłowego miasta i postaci jego mieszkańców. W 1926 r. powstaje obraz *Robotnik*, który został pomyślany jako krytyczna idea wielkoprzemysłowego pracownika. Wybitny poeta Mieczysław Jastrun, który w tym okresie parął się krytyką artystyczną napisał na łamach „Głosu Polskiego”, że w obrazie tym człowiek został *jakby przecięty w połowie korpusu przez żarłoczną maszynę*. Takich obrazów w pracowni Hillera powstaje wiele, ale są też inne bliższe konwencji realizmu, bo malowane na zamówienie znajomych. Ze względów czysto życiowych musi też bowiem dorobić do nauczycielskiej pensji i sprzedawać obrazy, które nie budzą rozterek estetycznych u przyzwyczajonego do sztuki tradycyjnej nabywcy. Hillerom w tym czasie nie powodzi się najlepiej. Przeprowadzają się z Łodzi na wieś do Witoni, gdzie jest lepsze powietrze, bowiem pasierb artysty – Stanisław choruje ciężko na gruźlicę. Umiera zresztą młodo w 1932 roku. W miejscowym kościele artysta tworzy wartościową polichromię. Maluje także portrety zaprzyjaźnionych ziemian.

W 1927 r. Hiller zwraca się w sztuce ku malarstwu nieprzedstawiającemu. Powstają konstruktywistyczne *Deska O* i *Deska ze spiralą*. Krytycy sztuki dostrzegają w tych dziełach skomplikowaną symbolikę treści. Zdaniem historyczki sztuki – Zenobii Karnickiej w „*Desce ze spiralą*” *tytułowa figura geometryczna uchodzi za schematyczny obraz nieskończoności Wszechświata i równocześnie aktywny symbol Słońca, a w przeciwieństwie do kwadratu (i podobnie jak koło) związana jest z czasem*.

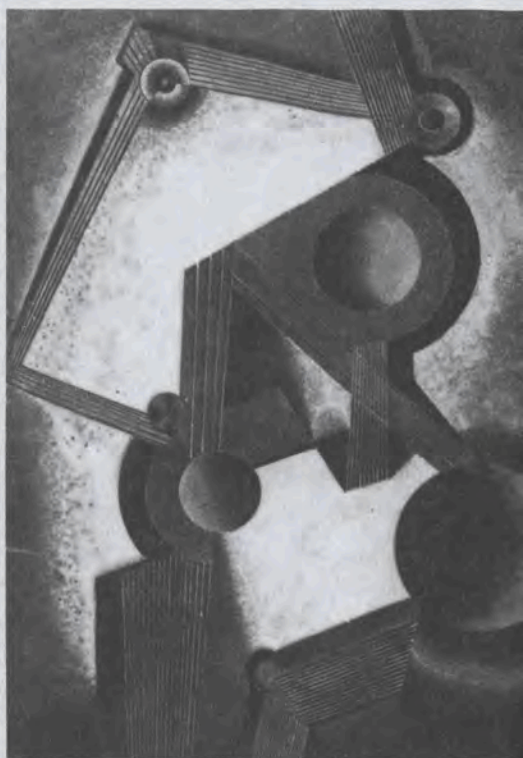


kultura

Te wyrafinowane formalnie obrazy artysta przekazuje jako swój dar dla Muzeum Sztuki. Wchodzą one w skład Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej grupy „a.r.”. Odtąd tworzy całe cykle obrazów nieprzedstawiających, ale podbudowanych głęboką symboliką przekazu. Poszukuje najlepszych środków wyrazu zarówno w formach geometrycznych, jak i płynnych biologicznych. Z czasem jednak, kiedy artysta zainteresuje się doświadczeniem surrealizmu, symbolika jego prac staje się bliższa formom pośrednim, kojarząc abstrakcję z aluzyjnością świata realnego.

Niewątpliwie, posługując się w swojej sztuce formami abstrakcji czy to geometrycznej, czy amorficznej wywiedzionej ze świata przyrody, Hiller nie ograniczał się do czysto formalnych eksperymentów „czystej sztuki” preferowanych przez sztandarowe postacie międzywojennej awangardy. Artysta rozumiał rewolucyjną

wartość tych eksperymentów zmaterializowanych chociażby w serii obrazów unistycznych Władysława Strzemińskiego, powstałych mniej więcej w tym samym czasie. Ale stale zdawał sobie sprawę, że sztuka może dać widzowi więcej niż tylko wzrokowe estetyczne przeżycie. Obrazy Hillera odwołują się więc do głębszych pokładów świadomości człowieka, do jego wiedzy, przeżyciu i fantazji. Ale inaczej niż to zakładali surrealiści, łódzki artysta nie oczekiwał rozwiązywania kodów znaczeniowych swojej sztuki głównie w podświadomości. W eseju *Nowe widzenia* opublikowanym we wspomnianym już czasopiśmie „Forma”, którego był współzałożycielem i redaktorem naczelnym, dostrzegając manowce surrealizmu pisał: *Uzyskana w opisie zewnętrznej kształtu ekonomia spotęgowała znacznie potencjał plastycznego fluidu, rozsiewanego przez kształty spotęgowane, co spowodowało w konsekwencji dalszy rozwój sztuki – przejście od malowania treści rzeczowych do treści psychicznych. Ostatni ten etap ewolucji, dotyczący malarstwa stanów psychicznych, musiałby doprowadzić do szybkiego wyjąłowania gruntu i zbyt subiektywnych rezultatów, gdyby podstawą istnienia tej sztuki nie było ciągle stadium zmienności życia (...)*



Twórca heliografiki

Jeszcze w 1928 r. Karol Hiller rozpoczął eksperymenty z nową techniką na pograniczu rysunku, fotografii i malarstwa. Wykorzystał zapewne w tych próbach prowadzących do zupełnie nowego typu grafiki swoją wiedzę techniczną, pochodzącą z dawnych studiów politechnicznych. Nową technikę nazwał heliografiką, ponieważ w procesie tworzenia gotowego dzieła sztuki stosowany był światłoczuły papier fotograficzny, a odbitka powstawała poprzez naświetlanie zamalowanej szyby lub kliszy. Heliografika okazała się bardzo ciekawym wynalazkiem formalnym, którego tajemnicę Hiller bynajmniej nie strzegł – tak jak to robią często inni artyści – ale dokładnie opisał cały proces dochodzenia do końcowego efektu, aby zachęcić innych artystów do podążania tą odkrytą przez niego metodą. W opublikowanym na łamach „Formy” w 1934 r. artykule *Heliografika jako nowy rozdział techniki graficznej* Hiller, instruując krok po kroku technologiczne meandry nowej techniki, zachęca artystów do wykorzystania tego nowego medium do szerokich poszukiwań kreatywnych: *Przy podjęciu tych prób przyświecała mi myśl, aby*

nie odtwarzając wzrokowych zjawisk w przyrodzie, stworzyć źródła do ich powstania bezpośrednio na kliszy. W przyrodzie zagęszczenia i rozrzedzenia materii w postaci plam ciemnych i jasnych w zależności od tła, na którym powstają, są skutkiem falowych ruchów światła, dźwięku, elektryczności, magnetyzmu i sił ciężenia ziemskiego. Podobne warunki istniejące w przyrodzie stworzyć możemy na kliszy (...). W ten sposób można bez trudu zrekonstruować niemal wszystkie plastyczne obrazy żywiołów w przyrodzie, wszystkie formy wegetacyjne i najprostsze formy animalistyczne. Przez zastosowanie metod naukowych artysta jest w stanie znacznie poszerzyć stan posiadania dzisiejszej grafiki (...)

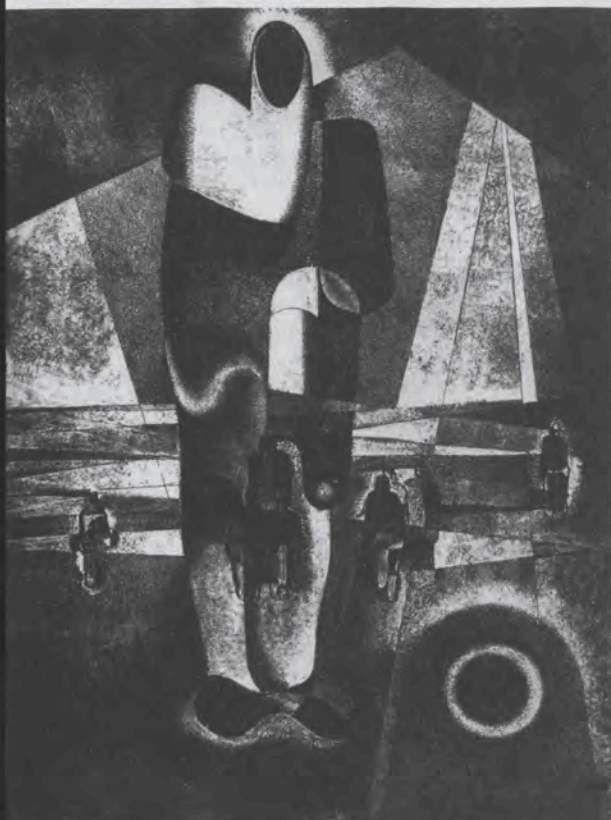
Spółecznik

Mimo czasu poświęconemu uprawianiu intensywnej pracy twórczej i stałych trosk o zapewnienie środków utrzymania dla rodziny, Hiller bezprzykładnie poświęca się także pracy społecznej. Po nieudanej próbie integracji środowisk artystycznych Łodzi w ramach grupy „Srebrny Wóz” Hiller tworzy w 1926 r. siedmioosobowy zespół malarzy łódzkich. Łączy ich tylko pewna postawa modernistyczna. Wspólnie w 1926 r. jako „Grupa Łódzka” otwierają dużą wystawę. Oprócz obrazów zwracających uwagę krytyków pokazał na niej Hiller również szkice do scenariusza filmowego, który napisał rok wcześniej. Scenariusz ten dziś zaginiony nosił tytuł *A kiedy ziemia ostygnie...* i mógł być zapowiedzią ambitnego filmu eksperymentalnego, którego artysta nie był w stanie zrealizować z braku funduszy.

W tym samym roku Hiller poznaje Przełęcia Smolika, osobę ważną dla rozwoju łódzkiej kultury i zaczyna z nim bliską współpracę w świeżo powstałym Towarzystwie Bibliofilów Łódzkich. Owocuje to nową pasją twórczą artysty, którą staje się ekslibris. Tych małych grafik, głównie w technice linorytu, Hiller wykonał kilkaset. Największy ich zbiór znajduje prawdopodobnie teraz w Muzeum im. Puszkina w Moskwie.

Na przełomie 1926/1927 roku zawiązuje się w Łodzi kolejna grupa artystyczna o nazwie „Start”. Hiller jest jej wiceprezesem. Bierze udział w pierwszej wystawie tej grupy, której większość członków stanowią artyści żydowscy, m.in.: Samuel Finkelstein, Izaak Hirszberg, Ignacy Hirszfang, Izrael Lejzerowicz, Dora Rawska-Kon, Dawid Rozenberg, Roman Rozental, Regina Szenbrunowa, Natan Szpigiel, Abraham Weinbaum, Ruth Weinsteinówna. Po pierwszej publicznej prezentacji, na której zestaw obrazów Hillera budzi zainteresowanie krytyki podkreślającej, że artysta *przekracza ramy realizmu i wchodzi w sferę metafizyki*, ugrupowanie „Start” organizuje następną prezentację. Wkrótce do tego stowarzyszenia wstępują także tacy artyści jak Konstanty Mickiewicz, Zenobiusz Poduszko, a nawet Władysław Strzemiński.

W 1931 r. Karol Hiller jest jednym z założycieli Zrzeszenia Artystów Plastyków (ZAP) w Łodzi. Jednak rok później po konflikcie w tym stowarzyszeniu wywołanym sporami i gorszącymi protestami spowodowanymi przyznaniem Nagrody



artystycznej m. Łodzi Władysławowi Strzemińskiemu, Hiller – współpracując wówczas ściśle z Katarzyną Kobro i Anielą Menkesową – dokonuje jego gruntownej reorganizacji. Sam ostro atakowany przez tradycjonalistów i zwolenników sztuki mieszczańskiej tworzy w 1933 r. Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków (ZZPAP) i staje na jego czele. W tym samym roku staje także na czele komitetu redakcyjnego czasopisma „Forma”, który oficjalnie jest organem związku, ale *de facto* służy jako nowoczesna trybuna wymiany poważnych poglądów na sztukę. Bardzo wysoki poziom tego czasopisma, którego ostatni numer wydany w 1939 r. zniszczyli Niemcy, może do dziś uchodzić za modelowy periodyk poświęcony sztuce.

Redakcją Hiller kieruje w sposób niezwykle demokratyczny. W każdym numerze czasopisma wiodący artykuł publikuje inny autor. Hiller za-

mieszcza także tam własne ważne teksty, ale nie narzuca prymatu swoich poglądów artystycznych czy filozoficznych. Kiedy w 1936 r. Strzemiński bez uzgodnienia z redaktorem naczelnym zamieszcza na łamach „Formy” niesygnowaną nazwiskiem krytyczną notatkę o dyrektorze Miejskiego Muzeum Marianie Minichu, Hiller zarzuca mu nielojalność i odchodzi z redakcji, którą w znacznym stopniu stworzył. Konflikt ten przenosi się na forum ZZPAP, gdzie Strzemiński i jego żona Katarzyna Kobro oskarżają Hillera o *złamanie dyscypliny związkowej*. Hiller nie daje się jednak sprowokować obojgu konfrontacyjnie nastawionym adwersarzom. Chcąc uniknąć spięć ze Strzemińskimi, występuje z łódzkiego oddziału ZZPAP i przenosi swoje członkostwo do oddziału warszawskiego. W dzienniku Miejskiego Muzeum znalazła się tylko notatka, iż Hiller wytknął wówczas Strzemińskiemu, że wprowadzają *swoiste stosunki* zarówno w związku plastyków, jak i w redakcji, *gromadząc wokół siebie oportunistycznych satelitów*. Sam sprawy tej jednak na szerszym forum nie nagłaśnia, nie chcąc pogłębiać konfliktów wewnątrz środowiska łódzkich twórców sztuki nowoczesnej, będących i tak obiektem ataków niechętniej im prasy. Konstany Mickiewicz, który o kilkadziesiąt lat przeżył wszystkich aktorów tego konfliktu, wspominając ten incydent w 1977 r., skwitował go dość charakterystyczną

sentencją: *Karol głowę nosił bardzo wysoko, ale tym się różnił od Strzeмиńskiego, że Hiller lubił ludzi.*

Obrońca praw człowieka i obywatela

Karol Hiller mimo tego incydentu, który zapewne musiał głęboko przeżyć, nie usunął się bynajmniej z życia artystycznego ani tym bardziej publicznego w Łodzi. Przygotowywał i wygłaszał odczyty w łódzkim Instytucie Propagandy Sztuki i Miejskim Muzeum. Jedną z takich prelekcji odbyła się podczas otwarcia wystawy malarstwa Jankiela Adlera w 1935 roku. Zaangażował się także w działalność w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela, udzielając pomocy więźniom politycznym Berezki Kartuskiej, zwłaszcza po procesie brzeskim. W działalności tej wspierała go żona Jadwiga, która w Łodzi zorganizowała w latach 30. XX wieku wiele ważnych akcji charytatywnych. W 1938 r. Karol Hiller był jednym z organizatorów Klubu Demokratycznego w Łodzi. Zaczął otwarcie występować przeciw hitleryzmowi i rodzimym tendencjom faszystowskim. Wiązało się to z serią napadów na Żydów w Łodzi przez młodych członków radykalnych organizacji skrajnej prawicy. W tym samym roku podpisał apel wzywający *Inteligencję Pracującą Miasta Łodzi* do głosowania na listę PPS i Klasowych Związków Zawodowych w wyborach 18 grudnia 1938 roku. Czołowymi kandydatami tej listy byli cenieni w Łodzi dr Stanisław Więckowski – pierwszy przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego oraz prof. Wincenty Tomaszewicz.

Hiller uprawiał także w tym okresie z powodzeniem grafikę wydawniczą, projektując układ typograficzny oraz okładki dla czasopism oraz dla bardzo znanego w okresie międzywojennym Instytutu Wydawniczego „Renaissance”. Książki i czasopisma wydane w jego oprawie plastycznej stanowią zbiór ponad stu pozycji. Sporo też wystawiał, ale w rodzinnej Łodzi po raz ostatni odbyło się to w 1936 r., co było zapewne konsekwencją jego urazu do Strzeмиńskiego w wyniku konfliktu w redakcji „Formy” i przykrej dla niego sytuacji w łódzkim oddziale ZZPAP.

Ostatnia wystawa

Karol Hiller miał wiele wystaw i w środowisku ludzi kultury był postacią znaną. Oprócz udziału w licznych pokazach sztuki nowoczesnej w różnych miastach kraju, miał cztery wystawy indywidualne. Pierwszą taką prezentacją była wystawa w warszawskiej „Zachęcie” w 1923 roku. Zebrał po niej pochlebne recenzje w stołecznej prasie. Drugą był retrospektywny pokaz twórczości w Miejskiej Galerii Sztuki w 1927 roku. Trzecia miała miejsce także w Łodzi w Instytucie Propagandy Sztuki w roku 1932. Oprócz obrazów artysta pokazał na niej znaczący zestaw heliografik. Ostatnią indywidualną wystawą, największą za życia Hillera, była retrospektywna prezentacja twórczości artysty w salach warszawskiego Instytutu Propagandy Sztuki. Pokazał tam 45 obrazów. Organizatorem wystawy był Marian Minich, dyrektor Miejskiego Muzeum Sztuki w Łodzi. Wystawa doczekała się bardzo dobrej oceny w prasie. Jerzy Hulewicz, znany i popularny w okresie międzywojennym malarz, grafik, pisarz i dramaturg pisał na

łamach warszawskiego „Kuriera Porannego”: *Jedno wydaje się pewne, Hiller zdystansował nas wszystkich w Polsce w poznaniu nowej prawdy artystycznej – zdystansował w malarskich możliwościach.*

Jestem Polakiem

Tragiczny był dla artysty rok 1939. Z odrazą patrzył na euforię łódzkich Niemców po wkroczeniu do Łodzi Wehrmachtu i zainstalowaniu się tu władzy okupacyjnej. Nigdy nie krył swego negatywnego stosunku do faszyzmu, a widok hitlerowskich flag ze swastyką na ulicach rodzinnego miasta napełniał go bezsilnym gniewem.

Ten ostatni okres życia artysty znany jest głównie z relacji poety Mieczysława Jastruna, z którym się przyjaźnił. Ostatnią, jak się okazało, pożegnalną rozmowę odbyli, kiedy Hiller otrzymał już wezwanie do stawienia się na gestapo. Hiller miał po ojcu i matce korzenie niemieckie i – jak pisze Jastrun – *można się było domyślać, że będą mu proponowali wpisanie się na folkslistę, ale można było z jeszcze większym prawdopodobieństwem przypuszczać, że będą go pytali o jego udział w organizacji demokratycznej w ostatnich latach przed wojną. Karol bowiem brał w owym czasie żywy udział w jej pracach, wygłaszał odczyty, zbierał składki. Dla mnie (...) sprawa przedstawiała*

się jasno. Karol powinien uciekać. Ale Karol, jak się okazało, był legalistą i myśl o przejściu w stan nielegalny była dla niego nieznośna. Czy spodziewał się wyjść stamtąd? Jeszcze nie było wiadomo, że stamtąd się nie wraca. Próbowałem odwieść Karola od jego (...) decyzji, ale nie chciał nawet słuchać moich argumentów. „Jeśli ucieknę do Warszawy” – mówił – „z fałszywymi dokumentami (...) wcześniej czy później złapią mnie. A wtedy nie będzie dla mnie ratunku. Znam Niemców, umieją być konsekwentni i logiczni także w zbrodniach. Po wtóre, taka ucieczka naruszałaby moją godność. (...) Wolę zmierzyć się z niebezpieczeństwem”.

Tak jak przypuszczał Jastrun, Hiller z gestapo już nie wrócił. Został osadzony w obozie przy ul. Liściastej. Władając znakomicie językiem niemieckim, podczas przesłuchań używał tylko polskiego. Być może gestapowcy początkowo proponowali mu podpisanie folkslisty, bo



była to masowa akcja władzy okupacyjnej prowadząca do szybkiej germanizacji Łodzi. Ale Hiller nie chciał nawet na ten temat rozmawiać, twierdząc, że jest Polakiem, bo taką narodowość sobie wybrał. Więc po parodii procesu przed niemieckim Sądem Specjalnym został 6 grudnia 1939 roku skazany na karę śmierci. Zginął kilkanaście dni później, prawdopodobnie 20 grudnia, rozstrzelany w masowej egzekucji dużej grupy polskiej inteligencji w lasach lućmierskich pod Łodzią. Powojenne ekshumacje nie pozwoliły na identyfikację szczątków artysty znajdujących się gdzieś w tej zbiorowej mogile.

Walka o pamięć

Postać Karola Hillera, mimo niewątpliwie bardzo znaczących jego dokonań w sztuce oraz znaczącego miejsca w społecznej historii rodzinnej Łodzi, jest praktycznie nieznaną. Łódzkie Muzeum Sztuki, które jest największym depozytariuszem spuścizny twórczej artysty, uczyniło niewątpliwie najwięcej, aby pamięć o tym wybitnym łodzianinie nie zginęła. Zarówno pierwsza pośmiertna wystawa artysty w 1967 r., jak i następna fundamentalna, porządkująca solidnie – choć nie do końca – cały dorobek twórcy Hillera przyczyniły się na pewno do wzbogacenia wiedzy o tym zapomnianym obywatelu Łodzi, z którego to miasto powinno być szczególnie dumne.

Ale odbudowywanie pamięci o Karolu Hillerze i nadanie mu należnego miejsca w świadomości łodzian było zawsze sprawą niezrozumiale trudną. Choć okazji nie brakowało. Pierwsza taka okazja zaistniała w 1946 r., kiedy Rada Miejska Łodzi przyznała artyście pośmiertnie Nagrodę plastyczną m. Łodzi. Nastąpiło to po apelu Władysława Strzeмиńskiego, odczuwającego zapewne jakieś wyrzuty sumienia wobec dawnego kolegi i współuczestnika bojów o kształt sztuki nowoczesnej. Nagrodę pieniężną w całości wdowa po artyście Jadwiga Hillerowa poleciła zamienić na dwa stypendia dla wybijających się studentów Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych. Nie wiadomo tylko dotąd dokładnie, jak to życzenie żony artysty zostało zrealizowane, ponieważ nie udało się do dziś ustalić, którzy ówczesni studenci skorzystali z tej donacji pani Hillerowej.

Nie została także zrealizowana ówczesna prośba Strzeмиńskiego, aby łódzkiej uczelni plastycznej nadać imię Karola Hillera. Przeciwny był temu Leon Ormezowski, dyrektor szkoły oraz część jej senatu.

W 1981 r. próbowałem kilku łodzian nakłonić do podjęcia pomysłu, aby na grobie żony artysty, która zmarła samotnie w 1962 r. i została pochowana na Starym Cmentarzu w Łodzi, postawić symboliczny nagrobek Karola Hillera. Do idei tej zapalił się Andrzej Gieraga, ówczesny prezes łódzkiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Wspólnie podjęliśmy starania, by pomocy w tym społecznym przedsięwzięciu udzielił wydział kultury ówczesnego magistratu. Kiedy trwały urzędnicze ustalenia, kim naprawdę był ten wybitny łodzianin, został ogłoszony stan wojenny. Rozwiązano ZPAP i prezes Gieraga przestał cokolwiek znaczyć, a ja nie miałem już nic do powiedzenia po politycznej weryfikacji dziennikarzy i zakazie wykonywania zawodu. Dzisiaj grobu Jadwigi Hillerowej już nie ma, a miejsce na cmentarzu zostało sprzedane na inny pochówek.

Karol Hiller nie ma więc do dziś w Łodzi żadnej materialnej pamiątki, która – poza kolekcją jego prac w muzeum – przypominałaby o tym wybitnym łodzianinie. Ale historia się na tym nie kończy. Podczas pierwszej kadencji odrodzonego samorządu dałem jednemu radnemu faktograficzną informację o Hillerze po to, aby pośród bardzo wielu pomysłów na nazwy ulic zastanowiono się nad nadaniem którejś z nich nazwiska tego zapewne wzorowego dla zbiorowej pamięci obywatela miasta Łodzi. Sprawa jednak nie nabrała nawet oddechu, bo – jak mi ten radny potem tłumaczył – ktoś zgłosił wątpliwość czy Hiller był... Polakiem.

Można więc powiedzieć, że Karol Hiller jest obywatelem niepamięci wśród dzisiejszych mieszkańców miasta. I może dziś już nie do końca, ale nadal jednak prawie proroczo brzmią słowa Mieczysława Jastruna, przyjaciela artysty, zawarte w jego napisanym w 1957 r. eseju pt. *Pamięci Karola Hillera: Zapomniałem o nim tak doszczętnie, że dopiero na widok reprodukcji coś we mnie drgnęło. Nikt nie wiedział zaraz po wojnie, jak zginął. Wiadomo tylko, że przebywał kolejno w dwóch albo trzech obozach zagłady i że stamtąd nie wrócił. Nikt już zresztą teraz nie pamięta o nim. (...) Ani jeden nekrolog, ani jedna wzmianka o nim nie ukazała się w o prasie. Z muzeum usunięto jego obrazy. Przepadł w niezliczonym tłumie widm (...), zniknął w ciemnościach tej samej bramy, która czyhała również na mnie, by mnie pochłonąć na zawsze.*

Niech łodzianie pamiętają o tym tak ważnym dla tożsamości swego miasta obywatelu.

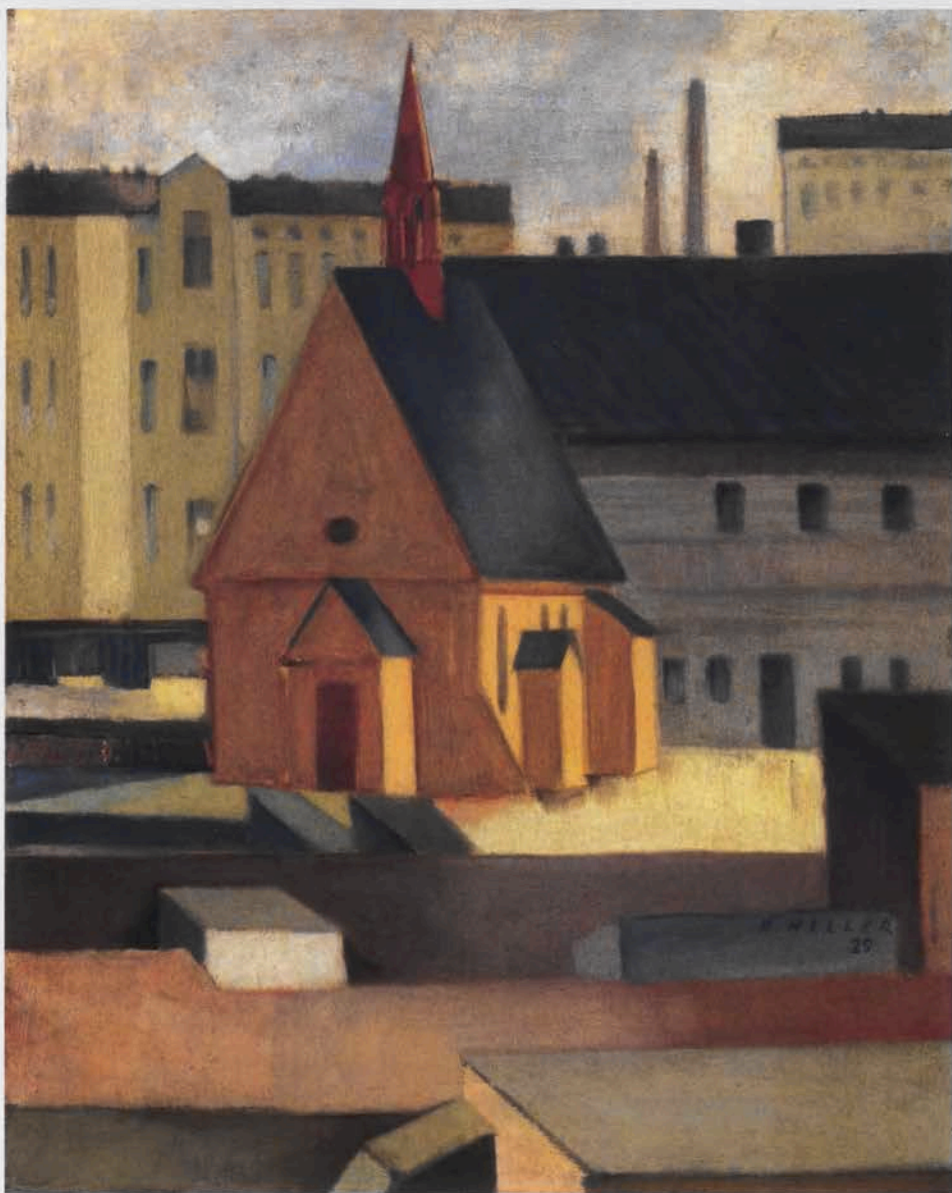
Gustaw Romanowski

Bibliografia:

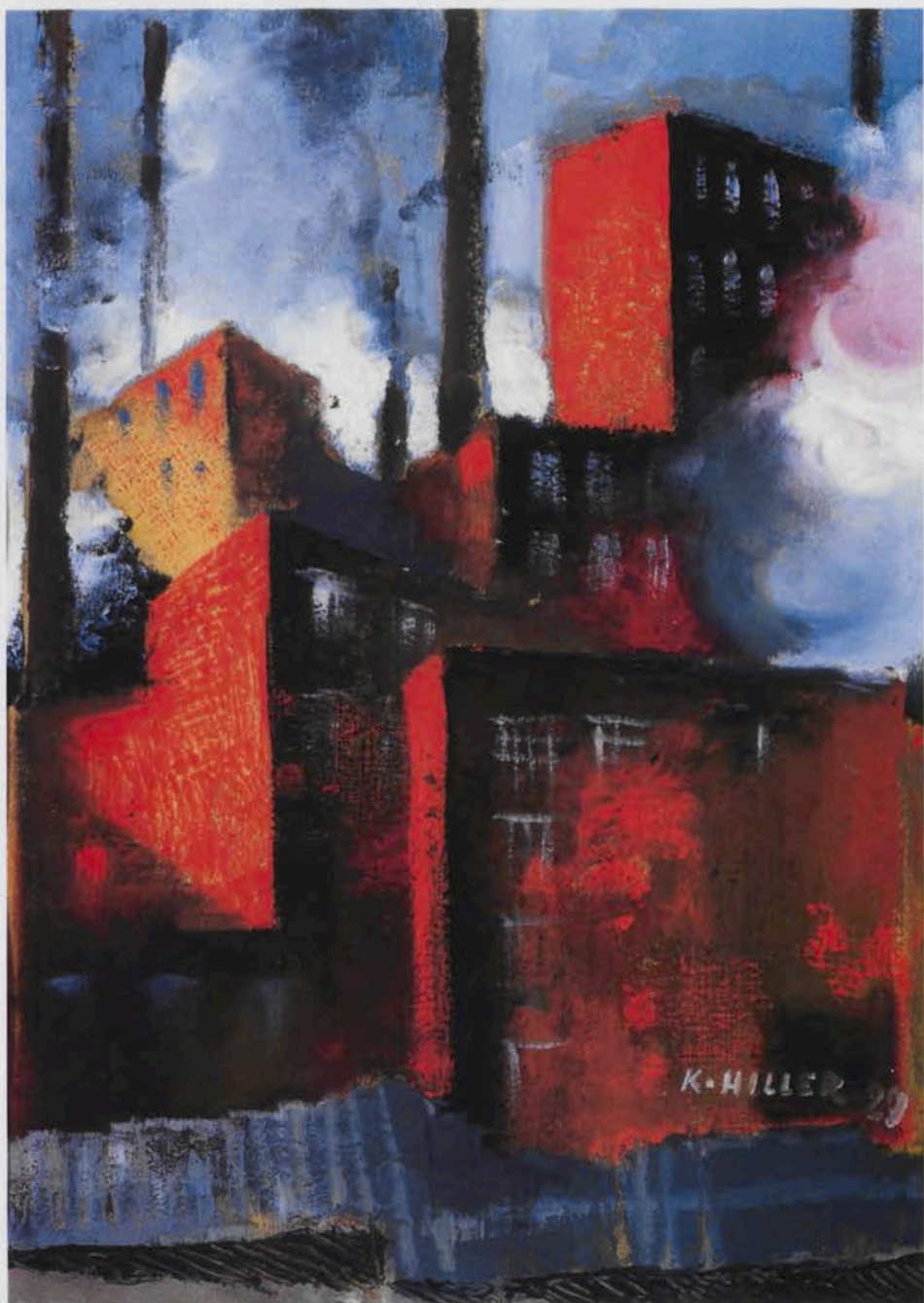
1. *Karol Hiller (1891–1939), Katalog wystawy*, Muzeum Sztuki 1967.
2. *Karol Hiller (1891–1939), Katalog wystawy*, Muzeum Sztuki 2002 (w tym Zenobia Karnicka – Karol Hiller – kalendarium życia i twórczości).
3. *Słownik Artystów Polskich*, Polska Akademia Nauk Instytut Sztuki, t. III, Warszawa 1979.
4. Mieczysław Jastrun, *Eseje*, PIW 1984.
5. *Publikacje prasowe („Głos Polski”, „Republika”, „Głos Poranny”, „Sztuki Piękne”, „Kurier Poranny” z lat 1926–1938 oraz „Dziennik Łódzki” i „Głos Robotniczy” z 1946 r.)*
6. Leszek Rózga, *Wspomnienia (rkp)*.
7. Relacja dr. Stefana Hillera.

Wszystkie reprodukcje prac Karola Hillera pochodzą ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi. Portrety artysty zaczerpnięte z katalogu wystawy z 2002 r.

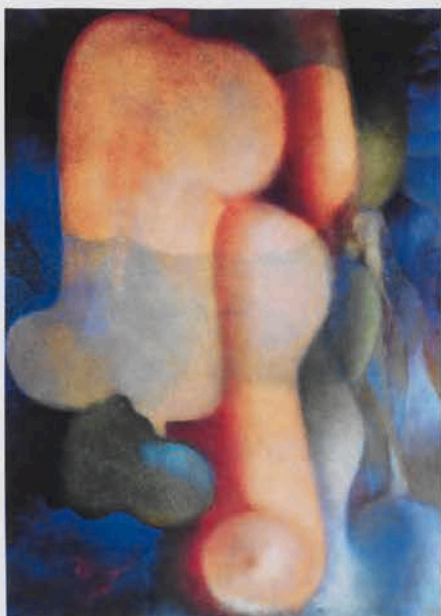
Osamotniony i zapomniany



Miasto fabryczne, 1929



Fabryki, 1929



Kobiecość, ok. 1938-1939



Na krze, ok. 1938-1939



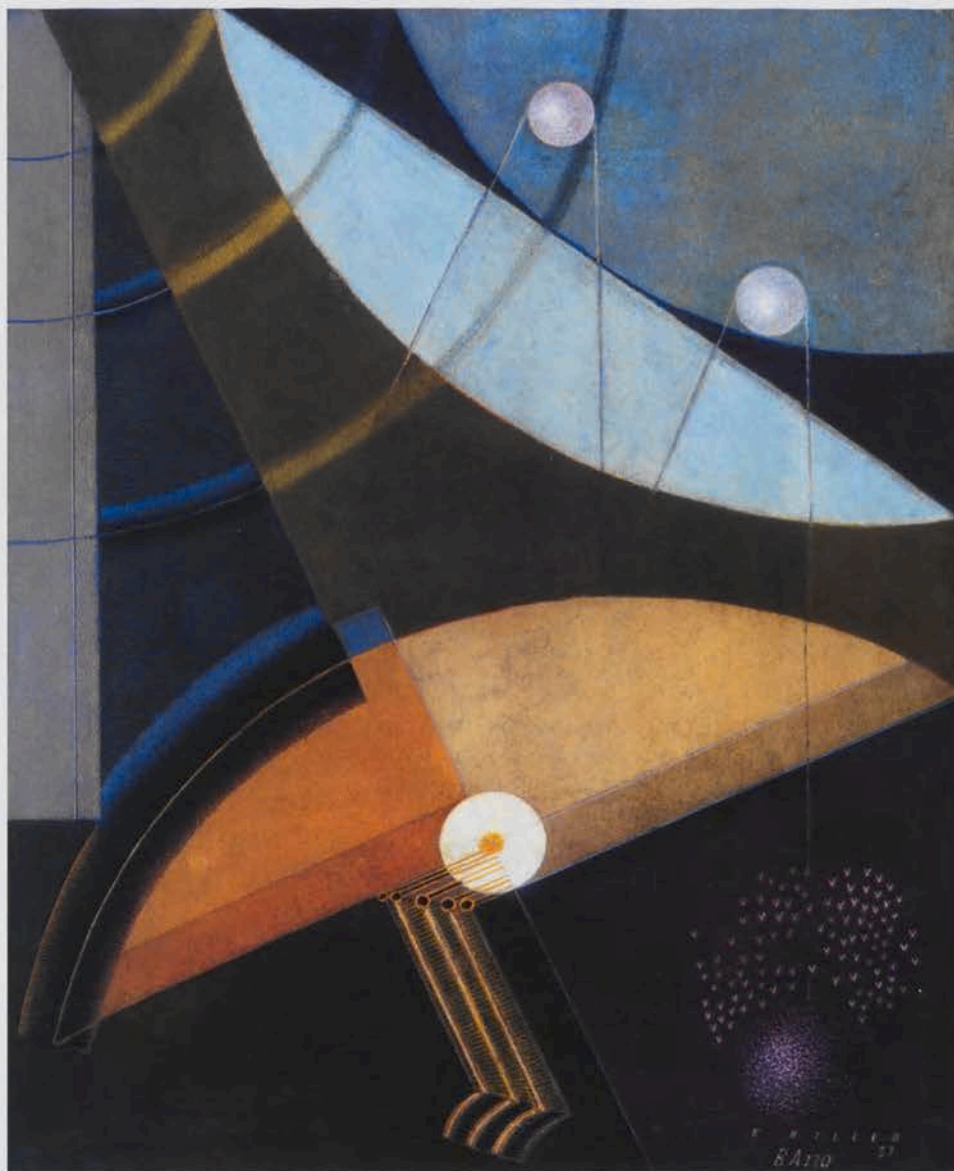
Święty Jur, 1923



Tkacz, ok.1922



Robotnik, 1926



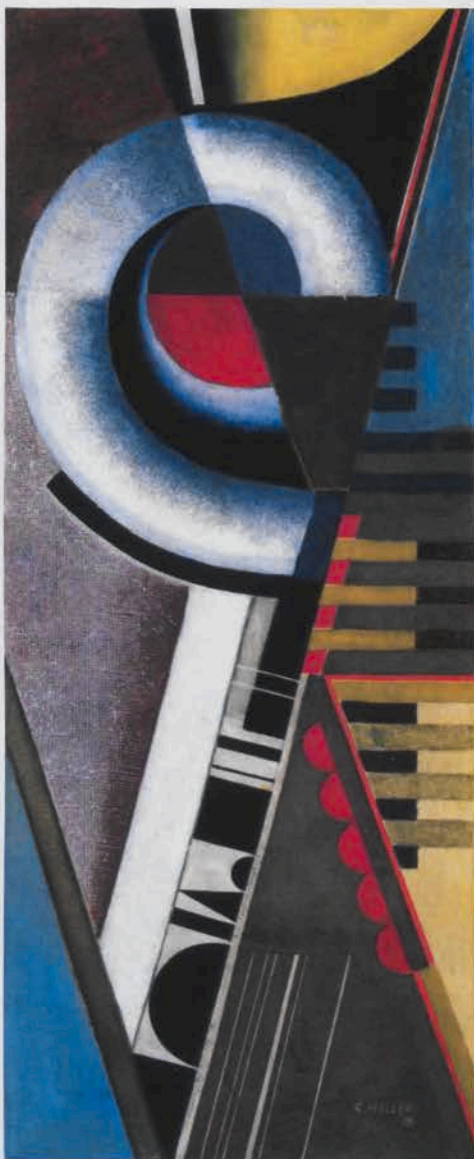
Kompozycja BA 220, 1937



Plaskorzeźba konstruktywistyczna, 1934



Deska O, 1928



Deska ze spiralą, 1928

Społeczeństwo sztuki

Political/Minimal

Ekspozycja pokazana w łódzkim Muzeum Sztuki – wcześniej prezentowana w berlińskim Kunst-Werke – dowodzi niezbicie, że w strukturze rozwoju sztuki, zaznaczonym wyraźnie w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, ukształtowana została grupa zjawisk artystycznych, która brała swój początek w nurcie konstruktywizmu i która – tak jak minimal art – znajdując się w tzw. „fazie przedmiotu” wciąż powiększa zakres swojego działania, bez pardonu wkraczając na tereny, na których musi prowadzić dialog z afirmatywną rzeczywistością. Często negując jej reprezentatywne kompetencje.

Minimalizm powstał w USA w latach 60. XX wieku jako jeden z kierunków sztuki współczesnej. Pod hasłem sztuki elementarnej ABC Art. wyrażał sprzeciw wobec agnozyjnego charakteru kultury burżuazyjnej. Komentując nowe zjawisko, Barbara Rose nazwała je – na łamach magazynu „Art in America” – „minimalizmem”. Październik 1965 roku wyznacza cezurę pojawienia się w „przemysle kulturowym” nowego produktu artystycznego. Minimaliści – podobnie jak artyści pop-artu – zerwali z ideałem dzieła sztuki, będącym środkiem do wyrażenia indywidualności artysty. Podstawowe i jedyne znaczenie dzieła minimalistycznego wynikało bezpośrednio z użytych do jego powstania materiałów, bądź też z samego procesu wytwarzania. W przeciwieństwie do twórców popartowych, którzy po prostu likwidowali znaczenie swoich dzieł poprzez zbanalizowanie przekazu – minimaliści redukowali treść swoich prac. Operowali abstrakcją prostej geometrii i takimi formami elementarnymi, które rezygnowały z osobistego przesłania. Tendencja minimalistyczna jest dzisiaj żywą kontynuacją i swoistą ewolucją nurtu nowoczesnego, który pozostawał za parawanem komercyjnego post-modernizmu. Rozwinięcie modernistycznych ideałów i inspiracji przez twórców minimal art wyznacza parafraza hasła Miesa van der Rohe. Słynne *less is more*, czyli ograniczenie się do esencji rzeczy stanowiącej wartość samą w sobie i kwintesencję artystycznych dociekań, zastąpiło dziś twierdzenie Alberto Baeza: *more with less* („więcej poprzez mniej”).

Zorganizowana w pofabrycznym budynku ms2 wystawa dobitnie zaświadcza o swojej konstruktywistycznej proweniencji. Polityczna narracja w przestrzeni o tak czytelnym rodowodzie dowodzi, że język estetyki miejsca i dzieła podporządkowany został nadrzędnemu celowi, jakim jest być może komunikat. Bo dokonana planowa



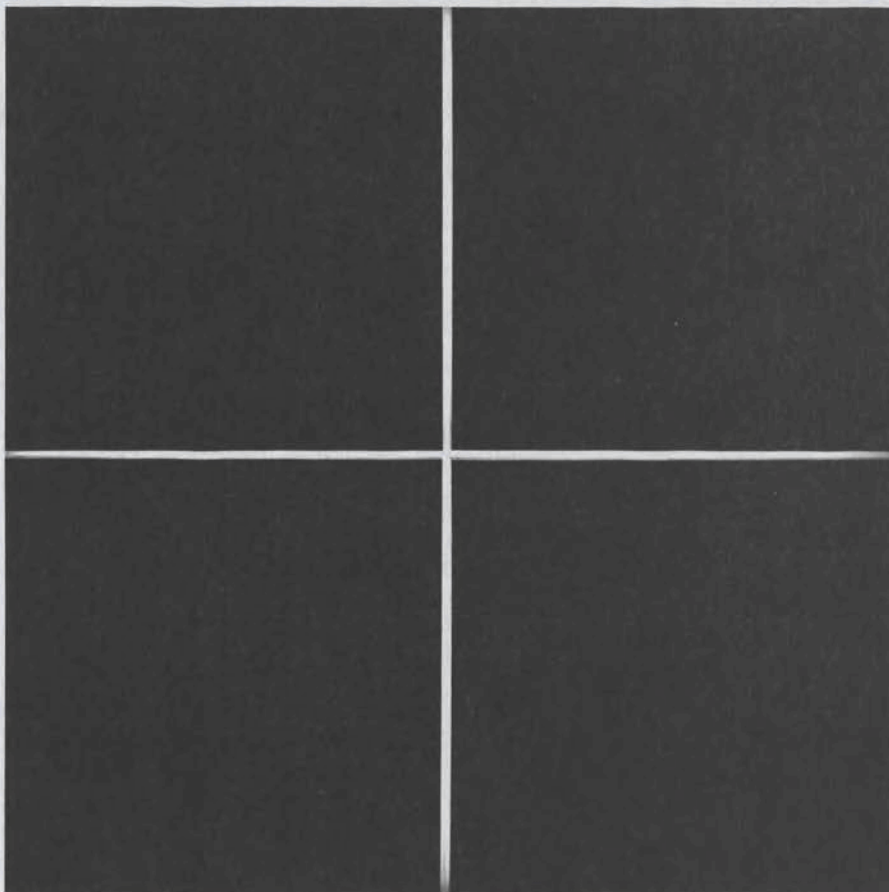
parcelacja dzieł sztuki w takiej przestrzeni wystawowej deautonomizuje pokazywane w niej obiekty, uwalniając je z rygoru monologu i zmuszając jednocześnie do wspólnej ideowej deklaracji. Wyrażna niemal we wszystkich pracach rezygnacja z podobieństwa do stosunków przyczynowych ujawnia proces reprezentacji znaków, w którym przeprowadzona zostaje analiza identyczności. I jeżeli – zgodnie z poglądem Hegla – sztuka uczestniczy w pięknie i jest zmysłową manifestacją idei, to jest również wyzwaniem. Wyzwaniem, w którym sztuka coraz częściej uwalnia się z muzealnych etykietek.

Sztuka angażująca politycznie przeczy pogładowi, że określone wydarzenia powodują jakiś szczególnie ważny moment, w którym warunkujące go fakty empiryczne stają się tak samo oczywiste dla wszystkich i implikują takie działania twórcze, które wyrażają się zastosowaniem przyjętych z góry kryteriów. Przyjmując za punkt wyjścia do analizy zjawiska krytykowaną przez Hegla zasadę „formalnego rozsądku”, można łatwo przeoczyć przedmiot dociekań, przyporządkowując mu rozpoznawczy emblemat. A przecież trudno odrzucić myśl czytelnie ewokującą twórczość

sztuki zaangażowanej, że moc ekspresji i istota tej twórczości polega na tym, aby przyjąć do wiadomości ogólnej uspołecniającą siłę tego rodzaju sztuki. *Sztuka wszak, która, podobnie jak poznanie, wszelkie swoje tworzywa, a ostatecznie również formy uzyskuje od rzeczywistości, rzeczywistości społecznej, po to, by je przekształcić, zostaje przez to wplątana w niedające się pogodzić sprzeczności* (Theodor W. Adorno).

Porządek sprzeczności New Moderns oparty jest na przyjętym modelu *illusio*, który w relacji między systemem dyspozycji dzieła sztuki a funkcjonalnym polem społecznego poznania tworzy wartość tego dzieła, obdarzając je *universum* wiary w moc sprawczą artysty. Przedmiot sztuki i jego symboliczne istnienie wyposażony zostaje w iluzoryczny świat obiektywny, w którym sztuka osiąga podwójne znaczenie: przekazuje własną prawdę i ustanawia wartość dzieła sztuki poprzez określenie wiary w jego wartość. Reguły minimal artu korzystają z rewolty artystycznej uznającej za uniwersalną taką formę poznania zmysłowego, która funduje związki artysty i przestrzeni społecznej w obszarze świadomej eksploracji formy. A forma jest formą intelektu.

kultura





Oglądając zgromadzone w ms2 artystyczne obiekty, łatwo wyodrębnić wspólną cechę wszystkich prac. Jest nią transpozycja przedmiotu sztuki ze sfery struktury fizycznej do sfery pojęciowej. Dzieło sztuki staje się zespołem koncepcji, dających nowy obraz świata. Zostaje sprowadzone do pozycji zadania spełniającego symboliczną reprezentację życia. Rzeczywistość materialna w tym przypadku nie ma żadnego znaczenia. Konkretyzacja tego zjawiska dokonuje się poprzez samodzielną interpretację jego charakteru estetycznego i semiotycznego. Niejednoznaczna tożsamość tych prac podlega więc zmienności prezentacji zależnie od subiektywnej możliwości odczytania wypełniających je idei. Jakość faktycznego doświadczenia odbiorcy i wiedzy wystawia mu świadectwo świadomości. *Świadomość rzeczy zależy od wiedzy o rzeczach, a postrzeganie odbywa się za pomocą rzeczy postrzeganych* (Maurice Merleau-Ponty). *Lecz widzenie – to nie tylko bierny odbiór doznań wzrokowych. Otrzymane doznania poddajemy*

analizie myślowej, konfrontujemy z odpowiadającymi im odcinkami rzeczywistości, wyjaśniamy sens powstałych stąd wzajemnych związków i przyczyn: jakie doznania i co mówią o obiektywnie istniejącym świecie. Istnieje więc nie tylko bierny, fizjologiczny odbiór doznań wzrokowych, lecz obok niego – czynna poznawcza praca naszego intelektu (Władysław Strzemiński).

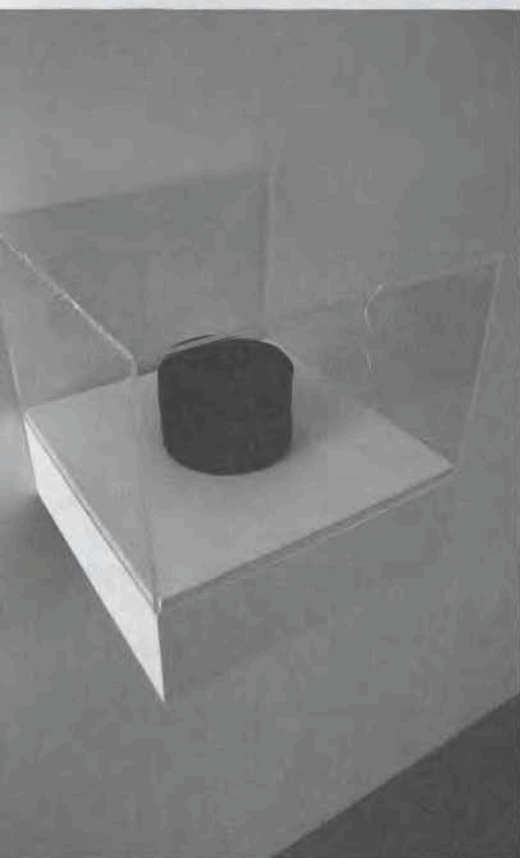
Warunkiem zrozumienia tej twórczości jest umiejętność praktycznych wartościowań, których tak unikał Max Weber. W przypadku analizy ideologicznych założeń sztuki minimalnej stają się one bezwzględnie konieczne. W sposób praktyczny określają wartości społeczne faktów, odwołując się do ich kulturowego i etycznego przesłania.

Koncepcja kuratora wystawy *Political/Minimal* Klausa Biesenbacha opiera się o pojęcie twórczości rozumianej jako efekt działania prowadzący do obiektywizacji stanów świadomości artysty. Sam akt twórczy jest formą procesu prowadzącego wprost do uświadomionej idei. Twórczość, będąc narzędziem do poznania świata i efektem jego komentowania, ustanawia jednocześnie określony stosunkiem przedmiotu

do podmiotu działania schemat epistemologiczny. Kryterium piękna wyrażone zostaje za pośrednictwem symbolu, który wciąż po heglowsku jest *mediacją między światem fizycznym a umysłem*, ale który jest jednocześnie znakiem lokującym sztukę w jej estetycznej i semiotycznej funkcji. Tym samym nie rezygnuje z zaproponowanego przez Hegla wyjaśnienia współzależności obu kategorii doświadczenia: *Toteż mówiąc o sztuce, nie wolno nam rozumieć symbolu jako takiej wzajemnej obojętności znaczenia i jego znaku, gdyż sztuka w ogóle polega właśnie na związku, pokrewieństwie i konkretnym zrośnięciu się znaczenia z jego zewnętrzną postacią.*

Związek sztuki z życiem i jego społecznymi przejawami jest tematem wszystkich prac pokazanych w ms2. Odkąd cechy sztuki przestały być wyprowadzane w prosty sposób z jej struktury widzialnej, stały się ściśle powiązane z jej funkcjami. Artyści minimalistyczni przyjmują istnienie funkcji zasadniczych dla swoich ideowych koncepcji. A funkcje te nie zależą już tylko od sposobu estetycznego opisu. Kryterium sygnatur ustala relacje zadaniowego podporządkowania: znamiona twórczości ustawione w sposób jak najbardziej widoczny noszą znak tego, co stanowi o ich istocie.

Istotą performansu *Paradoks praktyki* Francisa Alysa jest polemika z realnością. Realność pracy w postmodernistycznym świecie wyrażona zostaje stosunkiem człowieka do realności postmodernistycznego świata, który jest jedynym obszarem występowania realnych ludzkich doświadczeń egzystencjalnych. I jeżeli Jean Baudrillard poddaje w wątpliwość istnienie „realnego”, to dlatego, że nie znajduje w dzisiejszym świecie takich sposobów i form istnienia, które w swojej interpretacji świata zdołałyby odtworzyć wytworzoną ewolucyjnie rzeczywistość. Wytwory ludzkiego działania, nazywane pospolicie pracą, coraz częściej zajmują przestrzeń wirtualną. Efekty pracy sytuują ją poza obszarem rzeczy i przedmiotów fizycznie określonych. Artysta udowodnił tę tezę w przewrotny sposób: pchał ulicami Mexico City dużych rozmiarów bryłę lodu. Z upływem czasu i na skutek topnienia, blok lodu zmniejszał swoją wielkość, aż znikł całkowicie, pozostawiając po sobie niewielką kałużę. Wykonana praca fizyczna okazała się nieefektywna i niepotrzebna. Rzucając wyzwanie zdrowemu rozsądkowi, Francis Alys



nie udowodnił niczego ponad to, że wkład wysiłku w samą czynność pracy nie zawsze przynosi praktyczny i korzystny efekt finalny. Ale tym samym za pomocą ironii pokazał jak dalece język pojęć różni się od języka przedmiotów. A ponieważ świat jest wszystkim, co jest, więc praca nie jest w żaden sposób oddzielona od świata. Od świata coraz bardziej oddzielony jest człowiek.

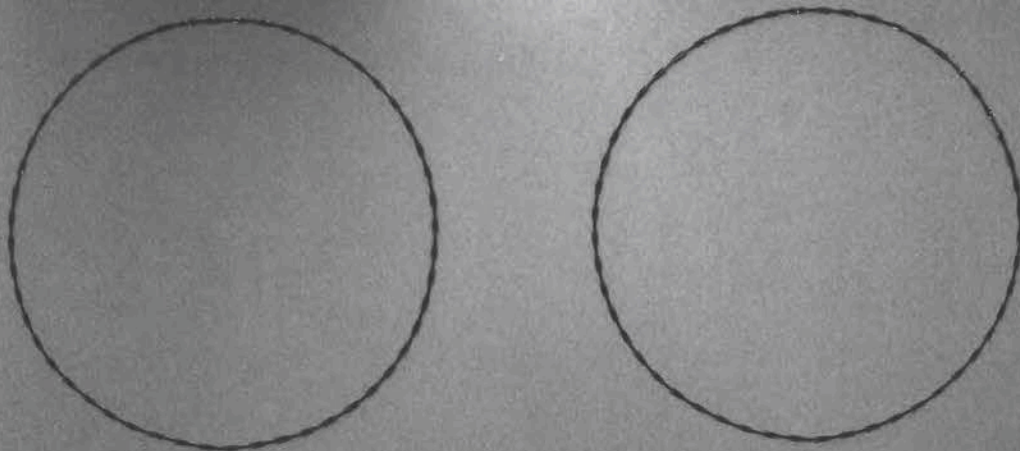
O wyizolowaniu jednostki mówi także film Dereka Jarmana pt. *Niebieski*. Osiemdziesięciominutowy obraz jest w warstwie wizualnej nieprzerwaną projekcją monochromatycznej barwy, której towarzyszą fragmenty pamiętnika artysty czytane przez lektorów. Kolor niebieski symbolizuje metafizyczność doznań, której jest skończoną materialnością. Ten film, pozbawiony przecież narracji wizualnej, nie przestaje opowiadać historii. Historii, która zawiera się w swojej funkcji epistemologicznej pomiędzy faktycznymi dziejami, niezależnymi od wiedzy na ich temat a historią pokazaną z punktu widzenia podmiotowego. Pojęcie prawdy przekazu w tak zorganizowanym komunikacie uzasadnia asercja sytuacji, której istnienie może być stwierdzone wyłącznie na podstawie imaginalności, choć jednocześnie zastosowanie doktryny logiczno-semantycznej Frege'a mówiącej, że *sensowi odpowiada określone znaczenie* czyni tę prawdę wartościową realistyczną. Jej realność, to realność umierania. Iluzoryczny świat doświadczenia zmysłowego sprawia, że przejście do świata prawdziwego może się dokonać w wyjściu poza jakąkolwiek fizyczność. Według religii chrześcijańskiej człowiek osiągnie prawdziwą rzeczywistość dopiero po śmierci: *Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz* (św. Paweł – *Pierwszy list do Koryntian*).

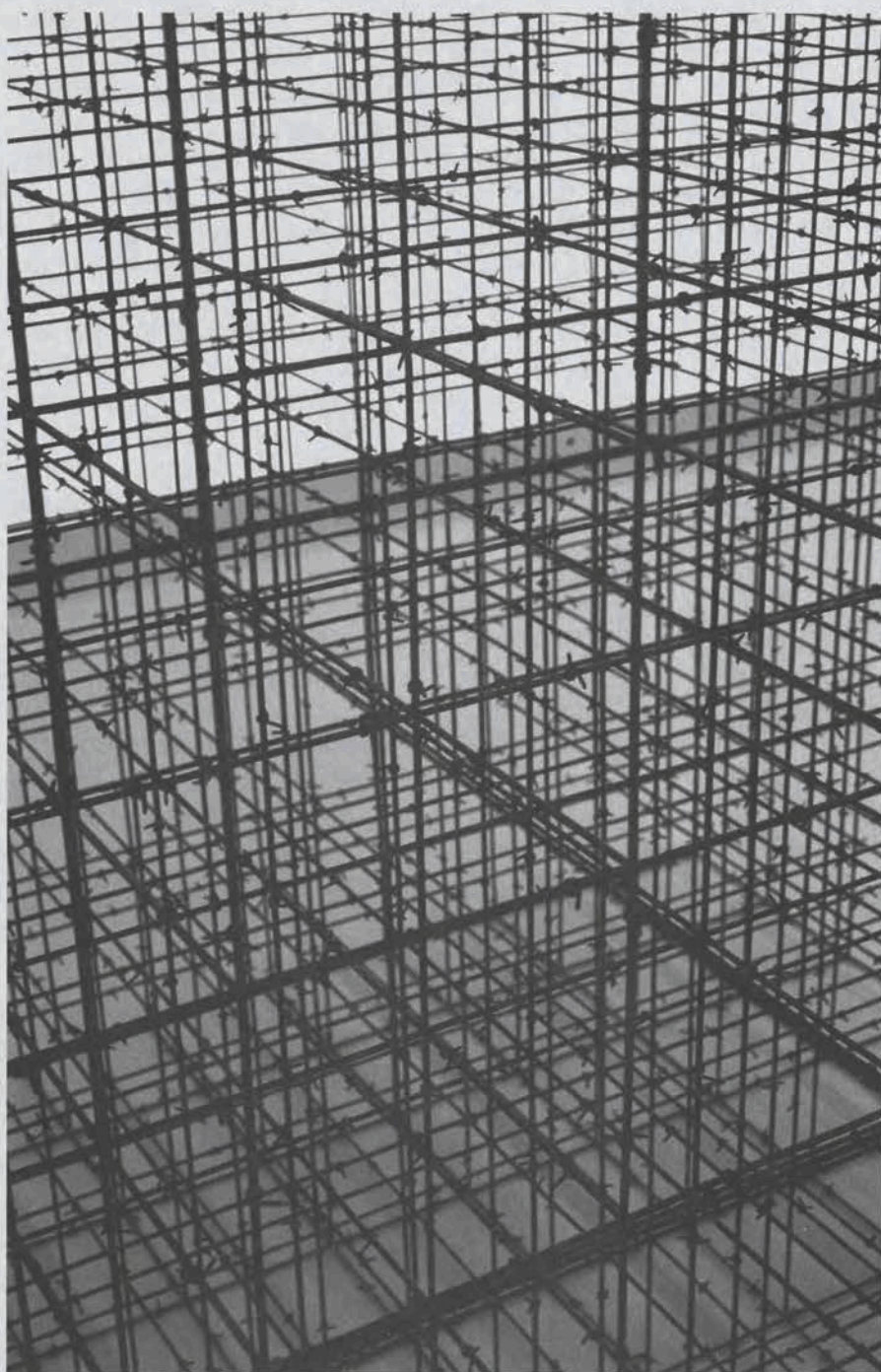
W zabawny sposób twarz międzynarodowej polityki prezentuje Sarah Ortmeyer w pracy pt. *Alianci (II) Związek Radziecki, Wielka Brytania, Francja, USA*. Artystka flagi państw okupujących Niemcy po II wojnie światowej pozbawiła wszystkich kolorów z wyjątkiem czerwonego. Symbol tej barwy, występującej na wszystkich czterech sztandarach, a w koncepcji obiektu sztuki sprowadzony do wspólnego przedmiotu, zmusza do interpretacji porównawczej. Interpretowany świat sztuki i porównywany z jego wymiarem światy rzeczywiste bądź fikcyjne przedstawiają w takim procesie myślowym to, co wyobrażone. Wyobrażone zostaje wszystko to, co kojarzy się z nadanymi czerwonemu kolorowi znaczeniami. Głównie politycznymi. *Metafora jest to przeniesienie nazwy jednej rzeczy na inną* (Arystoteles). Funkcją metafory powinno być mówienie o rzeczach nowych i zarazem prawdziwych. Szukanie podobieństw tam, gdzie pozornie ich nie ma, bądź nie zostały dotychczas zauważone. W przypadku tego dzieła świat sztuki nie jest tylko światem sztuki. Autorka wyposaża je w ciężar politycznej manifestacji. Polityczne znaczenie sztuki zależy od umiejętnego znalezienia takiego fragmentu świata, który odpowiada za cały świat i odnosi się bezpośrednio do sposobu życia, czyniąc z niego podstawowe zobowiązanie człowieka wobec wolności. Wolności, która ciągle jest figurą sztuczną, bo wywodzi swoje pochodzenie z niewoli. Sztuka, funkcjonując na poziomie uwarunkowań pozahistorycznych, może wcielać w życie zasadę wolności, ponieważ rządzące nią doraźne

sposoby ekspresji tworzenia stanowią tylko punkt wyjścia, nigdy – cel artystycznych przedsięwzięć.

Celem Algierczyka – Adela Abdessemeda jest znalezienie stosunku przyczynowego między jakością a pojęciem. Jego rzeźba zatytułowana *Koła 2* przedstawia dwa koła wykonane z drutu kolczastego. Niewątpliwie polityczny charakter pracy nadaje fakt, że w opisie materiału użytego do zrobienia obiektu, zostało napisane „wojskowy drut kolczasty”. Zestawienie czystej geometrii koła z przedmiotem – którego fizyczne przeznaczenie wprowadza w świat abstrakcji rezonans w widzeniu samej rzeczy, i które zostało już co prawda wyposażone w sens odpowiedzialny za efektywność doznawania wrażeń wzrokowych, ale które w relacji wynikających z różnic walorowych zawiązanych pomiędzy widzeniem a rozumieniem – wyprowadza każdorazowo bezpośrednio odniesienie do „podmiotu wcielonego”, jakim jest ludzkie ciało i jego delikatność. Kruchość i niestabilność ludzkiego życia wynika głównie z naiwnego przekonania o doskonałości gatunku. Gatunku, który z doznawania uczynił potrzebę komunikacji ze światem. Doznawanie jest intencją i celem poznania świata, pojmowanego jako środowisko życia. Życie ludzkie jest pojęciem, w którym konsystencja istnienia wyraża jakość refleksji nad jego przejawami.

„Metodyczną destrukcją doświadczenia” – pojęcie Waltera Benjamina – czyni przedmiotem swojej pracy Santiago Sierra (*3000 dołów, każdy o wymiarach 180x50x50*). W rejonie Vejer de la Frontera w Hiszpanii, położonym po drugiej stronie marokańskiego wybrzeża zatrudnieni przez artystę robotnicy z Afryki kopali doły o wymiarach zawartych w tytule. Oplacani przez hiszpański rząd emigranci wynagradzani byli





minimalną stawką wynoszącą 54 euro za osiem godzin pracy. Wykopane doły widziane z góry wyraźnie przypominają groby. Groby, w których z powodzeniem zmieści się ludzkie życie wraz z całym układem politycznych interakcji. Przysługująca każdemu „godność człowieka” jest wartością uniwersalną i zawsze pozostaje osadzona w konkretnych formach życia i ich etosie. Etos staje się w dzisiejszych czasach pojęciem abstrakcyjnym zredukowanym do systemu modelującego to słowo na użytek języka polityki, w którym miejsce człowieka wyznacza takie doświadczenie, które w społecznej hierarchii wartości ma wspólny mianownik z dialektyką korzyści. W dzisiejszym stanie upadku wszelkich wartości to wartość doświadczenia będzie stanowiła o sposobie międzyludzkiej narracji. A doświadczenie przekształcone w naukę będzie miało znaczenie o tyle, o ile narracja nie zostanie zamieniona na komunikację. Komunikat unika doświadczenia będącego sposobem przekazywania wiadomości. Wiadomość o społecznej niesprawiedliwości bulwersuje dzisiaj tylko pokrzywdzonych. Przeżycie estetyczne od fizycznego zaczyna wyróżniać stawka godzinowa. Znamieniem upadku staje się nie nitzscheańska równość, ale niemożność wyrównania poziomów wolności. Ekonomia zależności w stosunkach pracy kolonizuje, niestety nie tylko w przenośni, jednostkową suwerenność.

Zrobiony z drutu kolczastego sześcian Mony Hatoum (*Sześcian 9x9x9*) jest „ucieleśnieniem” idei minimalizmu. Posługując się pierwotną formą założeń koncepcyjnych tego kierunku – sześcianem, nadaje mu wymiary boków odpowiadające wysokości człowieka (182 cm). Artystka zestawia uporządkowany arystotelesowski model świata, przejawiający się w nastawieniu bezinteresownego obserwatora natury, z performatywnym charakterem społecznej natury człowieka. Oglądając dzieło Hatoum, można ulec wrażeniu, że człowiek wyłania się z tej uporządkowanej struktury drutów jako uprzywilejowana i pozytywna figura, poszerzająca wiedzę o sobie samym. W ten sposób myślenie przedmiotowe nabyło prawo do omówienia całego człowieka, łącznie z jego refleksją i świadomością cielesności. Parafrazując Michela Foucaulta, można uznać, że współczesność człowieka rozgrywa się na płaszczyźnie jego niemyślenia. Dopóki nie zrani sobie palca o kolec drutu.



* * *

Praktyka minimal artu nie jest sztuką pięknego pozoru. Mocno trzyma się rzeczywistości, w której praktycznym kontekście przeciwstawia estetykę etyce. *Tam, gdzie panuje sztuka, obowiązują prawa piękna, a granice rzeczywistości zostają przekroczone* (Hans-Georg Gadamer). Rzecz w tym, aby rzeczywiste granice sztuki nie oddzielały życia od ideału. A rzeczywistość nie musiała szukać w metasferze działań artystycznych środków na potwierdzenie obiektywnego istnienia. Wyswabdzając przedmiot artystyczny z przedmiotowości, minimalizm zwraca uwagę na jego procesualność, a nawet ewolucyjność. Rezygnując z oderwania od życia i zrywając etykietę sztuki pięknej, minimal art zabiera głos w sprawach dla człowieka fundamentalnych. Mówi o tym, czego nie można pokazać. Mówi po to, aby estetyka i etyka w doświadczeniu życia stały się jednością. Dzisiaj dzieło sztuki definiuje jego prawdziwość, nie prawda jego historii.

Marek Strąkowski

Political/Minimal – Muzeum Sztuki w Łodzi.**18 czerwca–23 sierpnia 2009 roku.****Bibliografia:**

1. Ludwig Wittgenstein, *Tractatus Logio-Philosophicus*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000.
2. Hans-Georg Gadamer, *Prawda i metoda*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004.
3. Michel Foucault, *Słowa i rzeczy*, Wydawnictwo słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2005.
4. Arnold Hauser, *Filozofia historii sztuki*, PIW, Warszawa 1970.
5. Richard Rorty, *Filozofia jako polityka kulturalna*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2009.
6. Herbert Read, *O pochodzeniu formy w sztuce*, PIW, Warszawa 1973.
7. Jean-Francois Lyotard, Jacques Monory, *The Assassination of Experience by Painting – Monory*, London 1998.
8. Walter Benjamin, *Experience (1913)*, Cambridge Mass., 1996.
9. Theodor W. Adorno, *Sztuka i sztuki*, PIW, Warszawa 1990.
10. Martin Seel, *Estetyka obecności fenomenalnej*, Universitas, Kraków 2008.
11. Joseph Margolis, *Czym, w gruncie rzeczy, jest dzieło sztuki?*, Universitas, Kraków 2004.
12. Georg Wilhelm Friedrich Hegel, *Estetyka*, PWN, Warszawa 1967

Społeczeństwo sztuki



Corey McCorkle – *Rozmieszczenie (Falanga)*, 2007



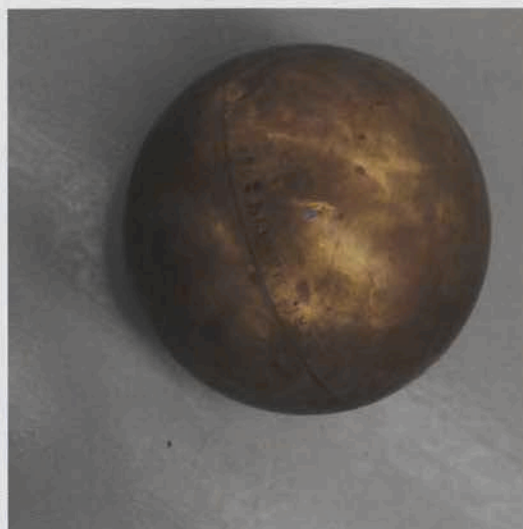
Santiago Sierra – 3000 dołów,
każdy o wymiarach 180x50x50 cm, 2002



Mona Hatoum – *Sześcian* (9x9x9), 2008



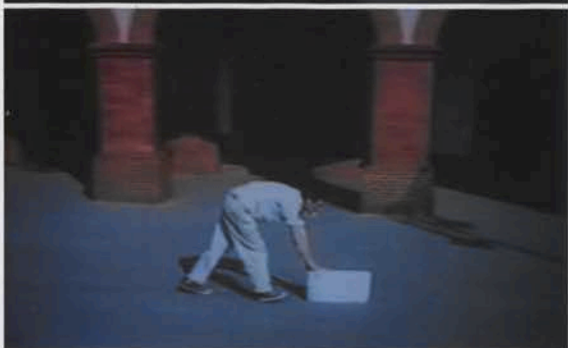
Sarah Ortmeyer – *Alianci (2)*, 2007



Jeppe Hein – *360' Obecność*, 2002

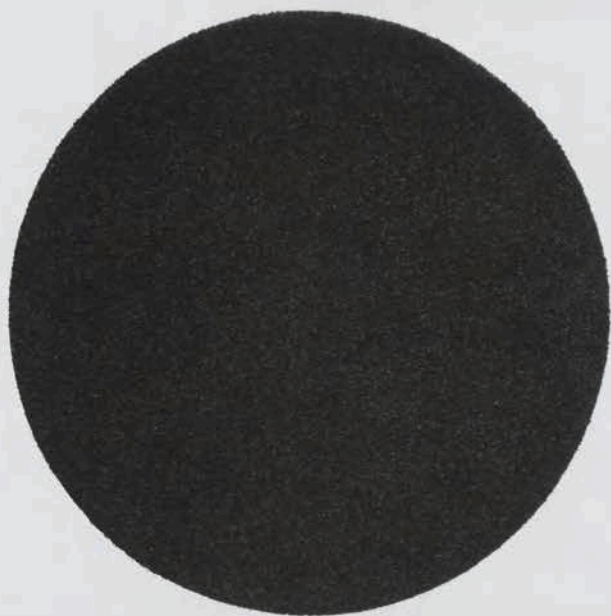


Edith Dekyndt – *Jedna sekunda ciszy*
(Część 01, Nowy York), 2008





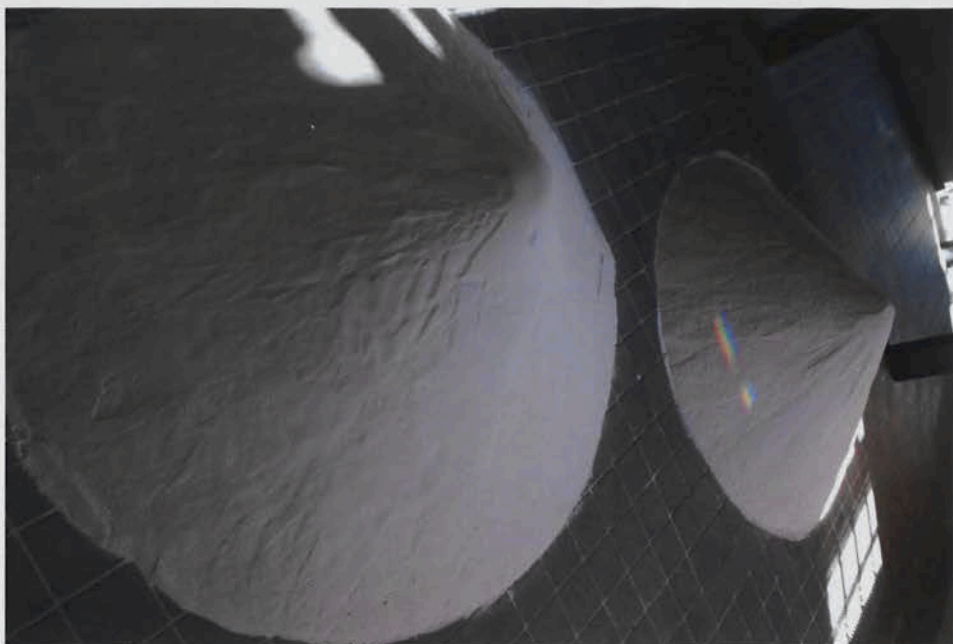
Francis Alys
– *Paradoks praktyki* (film, 5'), 1997
(kadry z filmu)



Damien Hirst – *Destrukcja*, 2008



Klara Liden – *Obraz plakatowy*, 2008



Aaron Young – *Przepraszam, że płaczę*, 2009

Laboratorium śmiechu

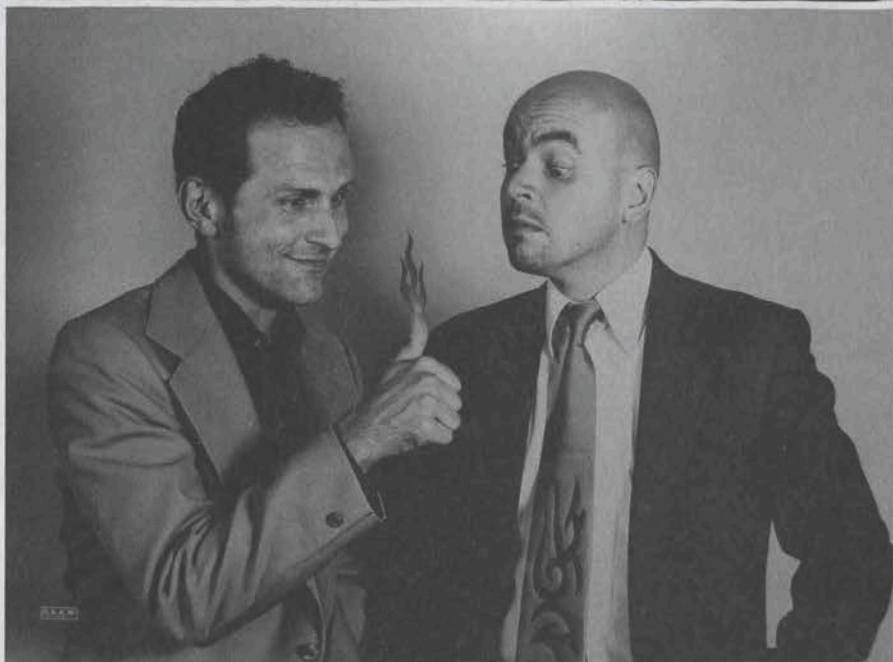
Fotofestiwal 2009

*Forma odwzorowania jest to możliwość, że rzeczy
tak się do siebie mają, jak elementy obrazu*

Ludwig Wittgenstein

kultura

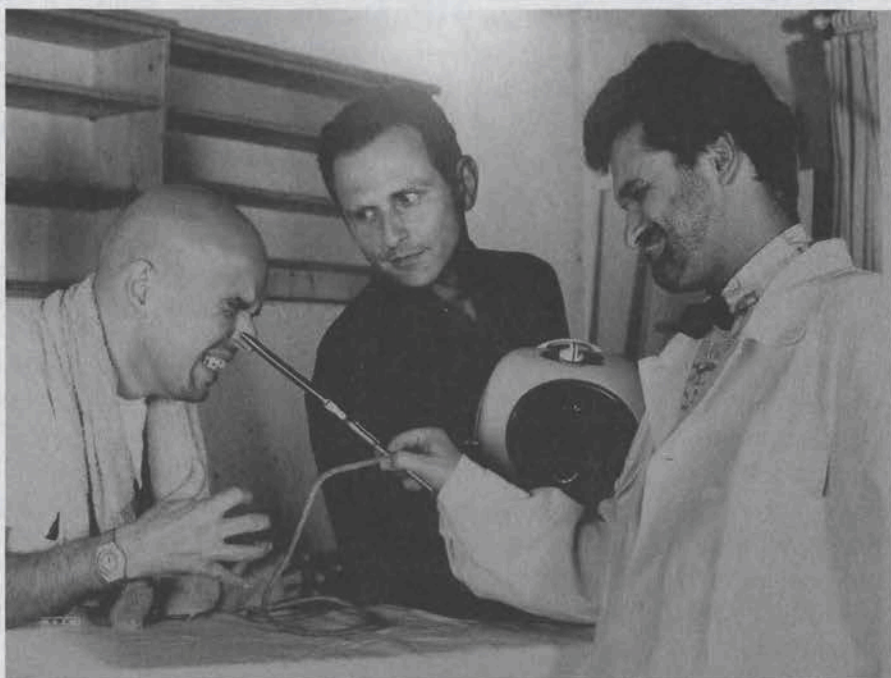
Motywy przewodnim tegorocznej, ósmej edycji łódzkiego festiwalu fotografii, była przygodność ironii. Ironii traktowanej jako fakt, który koniecznie trzeba ujawnić, rezygnując z imaginacyjnej zdolności postrzegania świata, nie próbując nawet odkopać głęboko ukrytych pokładów wrażliwości. Pokazanie rzeczywistości w jej obiektywnych przejawach i subiektywnym doświadczeniu było celem do osiągnięcia. Tak postawiony cel można osiągnąć nie za pomocą rozumowych dociekań, lecz przez aktywną wyobraźnię, pozwalającą dostrzegać w zwykłych rzeczach obraz prawdy. Tej prawdy nie odkrywa się dzięki refleksji: stwarza ją medium obrazu. Zakładając „pragnienie obecności” w reprezentacji *mimesis* i stałą ambiwalencję między tym, co przedstawione, a tym, co przedstawić się nie daje z prostej przyczyny, że figura reprezentacji nigdy nie stanie się tożsama z możliwościami percepcji zmysłowej, ujawnia się zakamuflowany obraz świata i system wartości proponowany przez autora. Fotografia – z natury swojej – jest bogato wyposażona w jakości zmysłowe, służące do wywoływania wrażeń wizualnych. Świat przedstawiony na zdjęciu fotograficznym kreowany jest przez obraz i artykułowany poprzez konteksty znaczeniowe. Sprawia to, że przesunięcie elementów ważności z doświadczenia wewnętrznego na inne składniki procesu percepcji, zmienia relacje między wszystkimi elementami i fotografia traci swój niezależny byt, ulegając mechanizmom opisu werbalnego. Dzieje się tak ponieważ ważną rolę w konstrukcji obrazu odgrywa wyobraźnia i pamięć. Walory konstytutywne dla „mowy świata”. Bo sztuka – a sztuka fotograficzna w szczególności – jest nie tylko komunikacją wewnętrzną. Jest również komunikacją z innymi. Inni w intencji artysty przeobrażają się z publiczności w odbiorców, którzy osiągną pełną reparację zarówno w rzeczywistości, jak i w fantazji, kiedy dzieło sztuki stanie się dla nich trwałym dobrem ofiarowującym światu – ich światu – realny akt przynależny tylko swojej całości. *Cóż zależy na całej naszej sztuce dzieł sztuki, kiedy zaginęła nam owa wyższa sztuka, sztuka odświętna! Niegdyś wszystkie dzieła sztuki ustawione były przy wielkiej, uroczystej drodze ludzkości, jako wspomnienia i pomniki wzniosłych i błogich chwil. Dziś chce się dziełami sztuki zwabiać biednych, wyczerpanych i chorych z wielkiego ludzkiego gościńca cierpienia na ubocze, dla rozkosznej chwileczki; ofiarowuje się im chwilowe odurzenie i szalerstwo* (Fryderyk Nietzsche).



Sztuka fotografii umiejętnie dokonuje inwazji na wszystkie sfery ludzkiego życia. Jej realność nie potwierdza już rzeczywistości – ona ją kształtuje według zasad reprezentowanych przez nią samą. Jej język ogranicza się do „milczącego porozumienia”, które stając się kontrolowanym źródłem napięcia między metodą poznawania świata a światem obejmującym całość życiowego doświadczenia człowieka, realizuje program przyswojenia samowiedzy, dokonując radykalnego uprzedmiotowienia myślenia w formule dialektycznej, która wycofuje się na pozycję takiej prawdy, która przestaje być prawdą świadomości i uświadomionego przeciwieństwa. Anektuje na potrzeby przedstawienia wartość tego, co widoczne i taką refleksję – uznając ją za zewnętrzną – stawia wyżej od refleksji inwersyjnej. Refleksja – rozumiana jako powrót do siebie tego, co samo się pokazuje – jest przeciwstawna w stosunku do pierwotnego doświadczenia estetycznego, które zawiera gwarancję prawdy podmiotowej. W charakter odbioru tego, co wzrokowe, wpisuje się żądanie zamiany pojęcia w wiarygodny i wiążący obraz. Ten obraz, estetycznie niejednorodny, wynika zawsze – z powodu swej instrumentalnej natury – z bezpośredniej manifestacji widzialnego. A widzi się w nim rzeczywistość, neutralizującą autentyczność życia. Jeśli przyjąć za prawdziwe zdanie Husserla, że fikcja jest reprezentatywna dla wszelkiej twórczości artystycznej, to estetyzującą kontemplację obrazu łatwo uznać za pokrewną doświadczeniu, wynikającym w prostej funkcji z natury percepcji wzrokowej. Chęć zrównania w dziele fotograficznym tego, co wymaginowane, z tym, co rzeczywiste, opiera się zadaniowo na fakultatywnej realności przedstawiania. Jest to warunek animacji własnego świata, który choć wykorzystuje zapożyczenia i motywy ze świata widzialnego, oddala obszar właściwej percepcji od jej rzeczywistych przedmiotów. Żyjąc w obiektywnym świecie na długo przedtem, nim zaczął żyć w świecie estetyki, człowiek – nie znając jeszcze pojęcia estetyki – doświadczał piękna w sposób zorganizowany i sformułowany w zakresie ekwiwalentnym do amorficznej mnogości doznań zmysłowych. To doświadczenie posiadało określoną strukturę poznawczą będącą w stanie zawładnąć zdarzeniowym charakterem produktu działalności estetycznej. Każdy byt estetyczny czynnie odwołuje się do intuicji w procesie aktu tworzenia. *Próba odnalezienia siebie w wytworze aktu estetycznego widzenia stanowi próbę odrzucenia siebie w nie-byt, próbę odżegnania się od swojej aktywności, prowadzonej z jedynej – leżącego poza wszelkim bytem estetycznym – miejsca i pełni jego urzeczywistnienia w zdarzeniu-bycie. Akt-czyn widzenia estetycznego wznosi się nad wszelkim bytem estetycznym – produktem tego aktu – i wstępuje do innego świata, do rzeczywistej jedności zdarzenia-bytu, włączając do niego również świat estetyczny jako jego moment* (Michaił Bachtin).

Będąc najbardziej widoczną oznaką ładu estetycznego, forma określa rzeczywistość tylko wtedy, kiedy ta ma swój substrat. Materia dla zmiany swego stanu i swojej formy potrzebuje interwencji z zewnątrz. Idea przyczyny działającej uwalnia w systemie doświadczenia sztuki znamiennej dwuznaczność. Dychotomię, która przeżyciu przeciwstawia jego wyraz naznaczony roszczeniem przetworzenia przeżyć.

Przeżycia wynikające z poznawczego dysonansu w zetknięciu się z tematem żartu i ironii w sztuce powodują przede wszystkim potrzebę wystopniowania cech



istniejących w rzeczywistości obrazu, który przedstawiają. Nienaruszalność właściwości w rozróżnieniu dzieła i świata może wynikać albo z przyjęcia abstrakcyjnego punktu widzenia, albo z dookreślenia atrybutów świata widzialnego w kontekście obiektu sztuki. Strategia interpretacyjna w odniesieniu do prac ironicznymi i groteskowymi opiera się na podporządkowaniu treści naturze medium warunkującym podmiotowość przekazu. Główne zadanie fotografii obciążonej gatunkowo żartem, będzie więc polegało nie na przedstawianiu swojej przedmiotowości, lecz oddaniu za sprawą obrazu jego pierwotnej idei. Idei, która uznając pozór za rzeczywisty przejaw istnienia, z czystej idiosynkrazji wyprowadza zjawisko tzw. naśladowczego powtórzenia. Zjawisko to obejmuje sobą niemal całą współczesną sztukę fotografii, gwarantując jej retoryce wizualnej werbalne echo. W obrębie świata obrazów obciążonych kpina i żartem świat obrazów sam nie jest światem iluzorycznym. Iluzją jest wiara w miarodajną rolę świadomości estetycznej. A dzieło artystyczne, pozostając wyłącznie określoną konwencją praktyki w dziedzinie sztuki, kształtuje swoją tożsamość w tym, w czym jest ucieleśnione. Tak samo jak człowiek. A prawdziwa ironia jest ryzykiem utraty wszelkiego sensu w praktyce powszechnej przemiany doświadczania piękna.

* * *

Tytuł tegorocznego Fotofestiwalu *Atak Łaskotek*, przynajmniej na pierwszy rzut – uwrażliwionego na fotograficzną estetykę – oka może być mylący (o ile sam w sobie nie jest autoironią i prowokacją). Żadna z wystaw w istocie nie skłaniała do rechotu; innymi słowy, nie zawierała w sobie mechanicznych sztuczek obliczonych na wywołanie śmiechu. Raczej dążenie do pewnego specyficznego typu ironii. Ironii, która bazując na często najprostszej modyfikacji i przedstawieniu przestrzeni przedstawionej, wywołuje w odbiorcy wrażenie śmieszności naszej codziennej – oficjalnej – rzeczywistości. Zaczynając od transformacji wertykalnej – od podwieszenia. **Ivo Mayr** stworzył fotograficzny obraz swojego miasta – Koblencji – oraz jego mieszkańców, przyklejonych do budynków na wysokości kilkudziesięciu centymetrów od ziemi, „najwidoczniej” niezauważających nienormalności sytuacji w jakiej się znaleźli. *Przechodnie* Meyra to właściwie sympatyczna autoironia bazująca na obrazie nieco sennego, starego miasta i jego mieszkańców. Podobną – chociaż niespreparowaną przez autora – transformację przestrzeni widać na zdjęciach **Matta Sibera**. Cykl *Lewitujące Logo* dokumentuje popularne w Stanach Zjednoczonych podwieszane na linach, bardzo wysoko nad ziemią platformy reklamowe, jarzące się w nocy neonami. Co ciekawe, Siber nie kadruje samych tylko platform, ale również uderzające swoją banalnością krajobrazy pod nimi. Krajobrazy przestrzeni usługowych: magazynów, parkingów, podwórek supermarketów. Na jednym ze zdjęć, nad torami kolejowymi i halą magazynową powiewa podwieszony ogromny baner z napisem „Jesus”. Groteskowość zdjęć Sibera, nasuwająca skojarzenia zarówno z religijną ikonografią jak i z futurystycznymi wizjami literackimi i filmowymi, podkreśla jeszcze zimne i matowe „jesienne” światło na fotografiach. **Jan von Holleben** – fotografik z Berlina – zaprezentował wystawę nawiązującą do świata wyobraźni dziecka: również dziecka nowoczesnego, z jego popkulturowym *background*. Cykl *Marzące*



o *lataniu* opiera się tutaj na iluzji optycznej, iluzji zresztą – zapewne rozmyślnie – czytelnej a co więcej opartej na podobnej, jak w przypadku dwu poprzednich wystaw, transformacji świata przedstawionego na zdjęciu. Holleben fotografuje z góry leżące na ziemi postacie dzieci. Z punktu widzenia kadru wydają się one unosić się w przestrzeni. Chłopiec w stroju superbohatera leci ponad wyobrażonymi wieżowcami, zbudowanymi z wywróconych kulbów na śmieci, dwoje kilkulatków w kaskach porusza się w przestrzeni kosmicznej czarnego materaca wśród piłek przypominających ciała niebieskie, a aniołek ze skrzydłami z pantofli fruwa jak gdyby w rajskiej arkadii na tle łąki, słuchając grającego na flecie fauna. Wyobraźnia w tej estetyce nie zna granic, igrając z tym co poważne oraz z tym co niepoważne. Zamienia miejscami te dwa, utrwalone kulturowo stereotypy. Być może właśnie takie przedstawienie jest istotą ironii, również co do jej wartości formalnej. Wartością dodaną jest tutaj bowiem proste uświadomienie sobie, że czasem mała transformacja codziennych oczywistości, drobne zakłócenie ich potrafi ujawnić zupełnie inną postać rzeczy: śmieszna, groteskową, niepoważną. Właściwie cały czas, nawet w najbardziej poważnych okolicznościach, przy drobnej modyfikacji rzeczywistość może pokazać swoją maskę błazna.

Fotofestiwalowe wystawy nie były wolne od społecznego zaangażowania. **Symon Kliman** i **Carlo Gianferro** równolegle pokazali cykle zdjęć przedstawiających Cyganów; ich portrety oraz wnętrza ich domów. Wcale jednak nie z punktu widzenia ich relatywnej deprivacji, upokorzenia i biedy, a raczej dążenia do nadania życiu pewnej specyficznej estetyki, czasem kiczowatej i pełnej przepychu, jednak głęboko przeżywanej i z pietyzmem celebrowanej. Wyjątkowo sugestywny cykl zdjęć pod tytułem *Domesticas* pokazał na festiwalu **Andrej Balco**. Wystawa ta prezentuje portrety brazylijskiej klasy pracującej, zatrudnionej jak służba w rezydencjach biznesmenów. To co uderza w tych fotografiach to ciągła dialektyka – charakterystyczna zresztą dla Brazylii – świata biedy i bogactwa. Rezydencja to miejsce w którym konfrontują się emocje tych spełnionych i mających władzę, z tymi którzy zazwyczaj nie mają nic. Na codzienną krzątanie w willi składa się nie tylko praca fizyczna sprzątaczy, lokai i pokojówek, ale również praca ich wyobraźni i pamięci. Praca, której wynikiem może być bunt bądź pogodzenie się z losem. Te emocje widać na twarzach portretowanych przez Balco ludzi – emocje, które na tle bogatych wnętrz i przepychu Rio de Janeiro pokazują głęboko groteskowe i cyniczne oblicze miasta. Zdjęcia Balco mają jeszcze jedną zaletę, artysta operuje niezwykłą dla fotografii wyobraźnią, którą można porównać chyba jedynie do malarstwa alegorycznego, pełnego metafor i zamierzonych kontrastów. Na fotografii *Marinhos House* widzimy willę w stylu kolonialnym, przed którą stoi służba, a dalej na horyzoncie symbol Rio – górująca nad miastem rzeźbę Chrystusa Zmartwychwstałego. Dopiero przy dłuższym spojrzeniu dostrzegamy nowy element, odwracający zupełnie optykę zdjęcia: wizerunek schowanego w cieniu, ubranego na czarno i otylego właściciela willi, uchwyconego na tle bramy do rezydencji, atrybutu swojego panowania nad przedstawionym na zdjęciu światem.

Ciekawy cykl fotografii pokazali artyści z Japonii **Midori Mitamura** i **Masanori Ikeda**. Na zdjęciach Ikedy, widzimy kobietę dziergającą szal w scenerii jednej

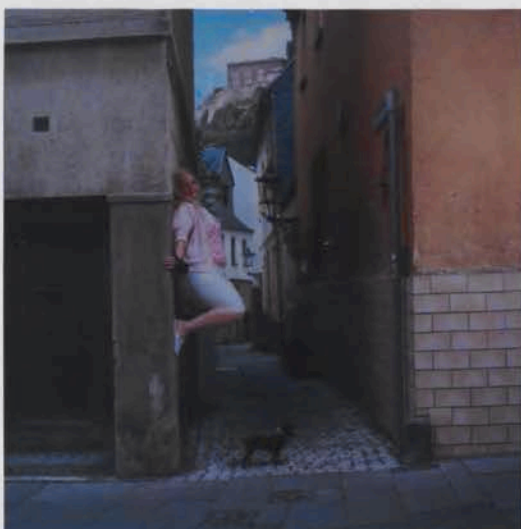
z zapomnianych dzielnic Tokio. Kobieta jest Midori Mitamura, a szal robiony z wełny pozyskanej od mieszkańców dzielnicy ma stanowić symbol ulotnej pamięci miejsca zamieszkałego przez ludzi starych, ludzi których pamięć należy już do innej epoki. **Marja Pirila** swój cykl *Mówiący dom* oparła na eksperymencie formalnym *camera obscura*. Jest to zjawisko z zakresu optyki w którym światło przechodzące do miejsca, w tym wypadku wnętrza pokoju, przez otwór, daje na ścianach pokoju odwrócony obraz rzeczywistości na zewnątrz. Stosując aparat wielkoformatowy oraz bardzo długie czasy naświetlania, Pirila stworzyła wyjątkową medytację nad ciszą i przemijaniem. Na jej zdjęciach odbite we wnętrzu opustoszałego i zrujnowanego szpitala psychiatrycznego refleksy budynków i drzew układają się w abstrakcyjne obrazy, przesuwające się po jego ścianach. Obecna była podczas festiwalu fotografia inspirowana wątkami jeśli nie feministycznymi, to na pewno feminizującymi. **Lilly McElroy** eksponuje fotograficzną dokumentację swojego projektu *Rzucam się na facetów*. Autorka bezpretensjonalnie i jak najbardziej dosłownie rzuca się w objęcia przypadkowo napotkanych mężczyzn (oczywiście takich, którzy wydają się wystarczająco stabilni, aby takie natarcie na siebie przyjąć). Rzucanie się na facetów, to swego rodzaju feministyczna demonstracja kobiecej gotowości do otwartej i świadomej realizacji siebie, a przede wszystkim potrzeby spontanicznej bliskości. Co więcej żart estetyczny – na fotografii widzimy zawieszoną w powietrzu w zastygłym impecie kobietę oraz zdezorientowanych mężczyzn usiłujących w mgnieniu oka zebrać się na odpowiednią reakcję wobec takiej napaści. **Elodi Pong** na prezentowanym filmie swojego autorstwa wykonuje erotyczny taniec w stroju pandy po czym wygłasza przed kamerą pochwałę kobiecości w jej ambiwalencji i skrajnych uczuciach. Ta swego rodzaju groteska pokazuje temat bardzo poważny i jak najbardziej intymny w estetyce absurdu. Absurdu, który w proveniencji uwarunkowań społecznych widzi przyczynę wszelkich szowinizmów.

* * *

Ironia nie jest pojęciem. I jeżeli rzeczywiście jest tak, jak chciał Kierkegaard, że ironia jest tropem, wiodącym w pole semantyczne, to prace pokazane w tym roku na Fotofestiwalu zdecydowanie pozbawione były przymiotnika „wielki” przed określeniem „dzieło sztuki”. Wielkość dzieła sztuki najczęściej objawia się tym, że naszej czasowej egzystencji dostarcza ponadczasowej esencji. Idea każdego dzieła sztuki – niekoniecznie wielkiego – zawiera się w takiej organizacji wrażenia, której środek przedstawienia jest ściśle podporządkowany formie narracji. Zamiast narracji wystawa dostarczyła niewinnych pogadanek na temat, którego definicja pozostała w bezpiecznym oddaleniu od jego retoryki. Kiedy retoryka obrazu odsyła wyłącznie do samej siebie, głównym problemem staje się jak wizualnemu przedstawieniu nadać dystans wyobraźniowej mediacji. Świat na współczesnych fotografiach powiela się bez końca. Powiela na nich nawet swoją obecność. Staliśmy się świadkami narodzin widoku bezproduktywnego. W fotografii na pewno.

Marek Strąkowski

Laboratorium śmiechu





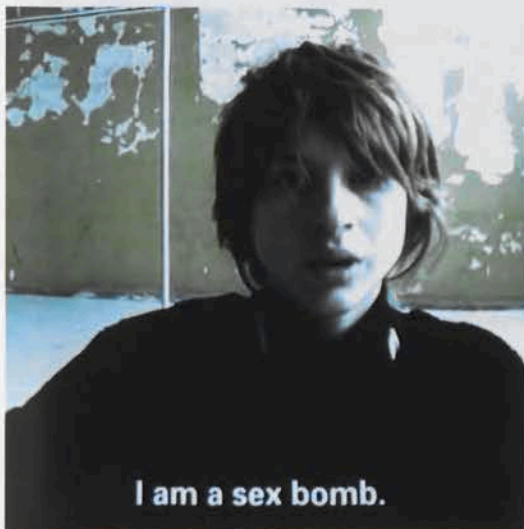
Jan von Holleben – *Marzyc o lataniu*



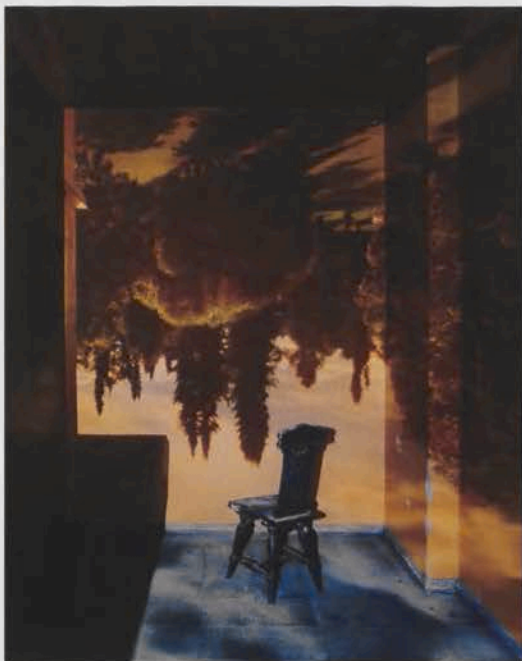
Lilly Mc Elroy – Rzucam się na facetów



Midori Ikeda – Dziergająca kobieta w kamienicy



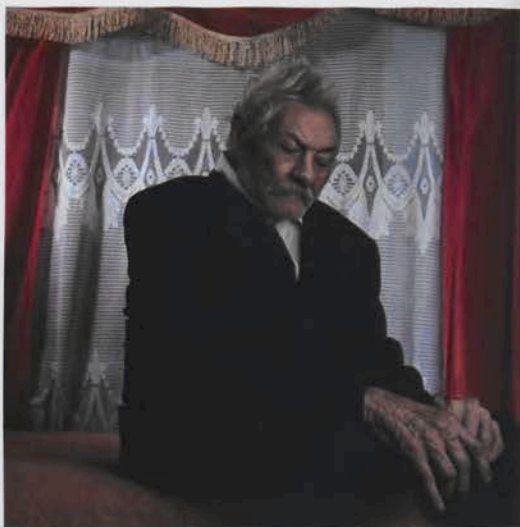
Elodie Pong – *Jestem bombą* (film 6 min 12 sek)



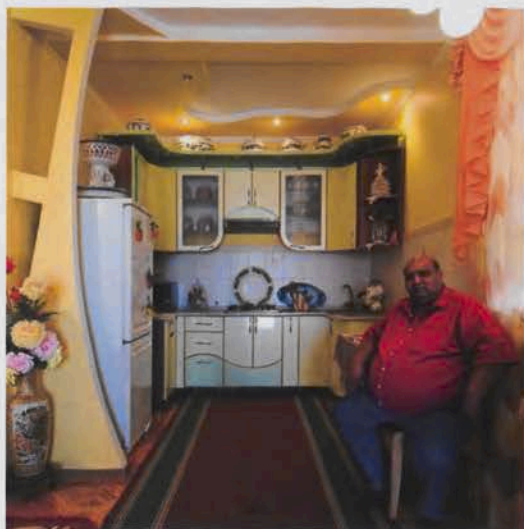
Marja Pirilä – *Mówiący dom*



Andrej Balco – *Doméstica*



Symon Kliman – *Piękni Cyganie*



Carlo Gianferro – *Cygańskie wnętrza*

historia

Nowe tytuły, stare nawyki

Prasa łódzka po transformacji ustrojowej

Joanna Mikosz

str. 105

Łodzianin z morzem związany

Od marynarki wojennej do żeglugi handlowej

Włodzimierz Kupisz

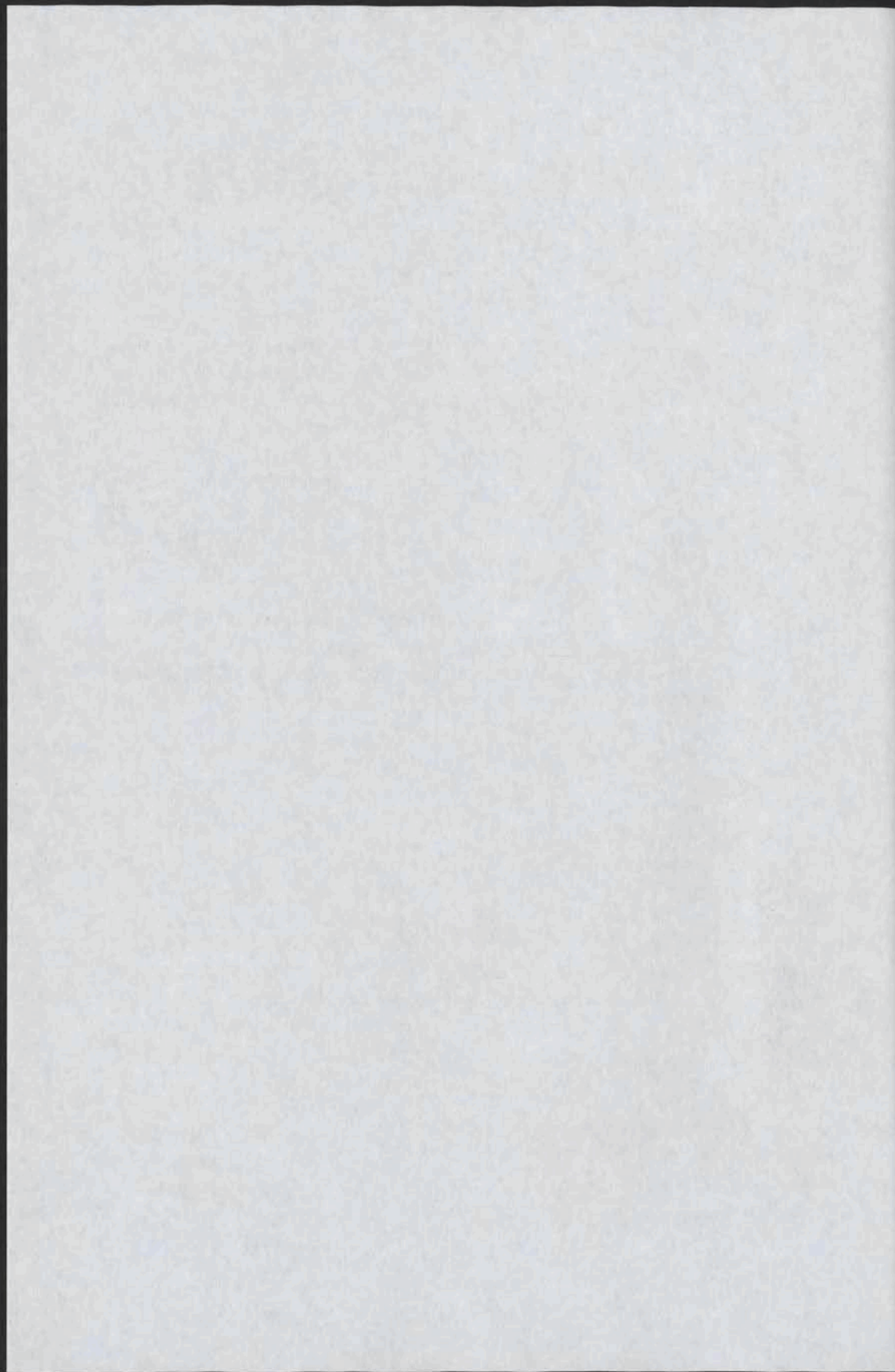
str. 115

Zapomniane zasługi Mariana Dienstl-Dąbrowy

Początki Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Irena Jaworska

str. 124



Nowe tytuły, stare nawyki

Prasa łódzka po transformacji ustrojowej

historia

Zakres zmian, jakim uległa prasa po upadku komunizmu, odpowiadał głębokości przemian politycznych w Polsce po 1989 roku. W 1990 r. uchwalono nowe regulacje prawne związane z wydawaniem prasy: zniesiono cenzurę i zlikwidowano Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Dotychczasowy licencyjny system prasowy zamieniono w rejestracyjny. Warunkiem ukazywania się tytułu zaczęła być jego sądowa rejestracja, co przyspieszyło zakładanie nowych pism, o których egzystencji zaczął decydować rynek. Na mocy uchwały sejmowej rozwiązano także koncern partyjno-państwowy RSW „Prasa – Książka – Ruch”, likwidując przy tym monopol państwa w dziedzinie kolportażu, a wydawane przezeń pisma zostały sprzedane spółkom należącym do wydawnictw polskich i zagranicznych.

Likwidacja monopolu państwa

Dzięki tym zmianom prasa w Polsce, po raz pierwszy od 1945 roku, zyskała możliwość w pełni swobodnego rozwoju i ekspresji, oficjalnie zaczęły ukazywać się pisma wydawane dotąd w podziemiu, a prawo obecności w kraju zyskały periodyki wydawane poza Polską. Nowego charakteru nabrały tytuły publikowane przed 1989 rokiem, w których doszło do zasadniczych zmian w składach redakcji. Powstawały nowe pisma – zwłaszcza informacyjne. Systematycznie rosła liczba tytułów. Likwidacja monopolu państwa i prywatyzacja spowodowała, że po 1989 r. powstawał rynek prasy zróżnicowany politycznie i merytorycznie. Zaczęły na nim działać prawa popytu i podaży, co doprowadziło do zjawiska konkurencji. Wymusiło to na wydawcach dostosowanie się do gustów i oczekiwań czytelników, uatrakcyjnienie treści i formuły graficznej.

Efektom zmian kulturowych w Polsce było pojawienie się komercyjnej prasy masowej (jak np. „Super Express”), opartej na pomysle tabloidów, a także innych pism sensacyjnych i erotycznych, odwołujących się do czytelnika oczekującego niewybrednej rozrywki. Efektom ich istnienia stała się wulgaryzacja przekazu i brutalizacja języka (np. tygodnik „Nie” Jerzego Urbana).

Z drugiej jednak strony, ukazywały się eleganckie magazyny ilustrowane adresowane do środowisk lepiej sytuowanych. Poza tym pojawiło się wiele pism związanych z nowymi partiami i ugrupowaniami politycznymi. Stałe grono odbiorców zyskała również prasa katolicka.

Istotne zmiany nastąpiły w finansowaniu wydawnictw prasowych, ich głównym źródłem dochodów stały się płatne ogłoszenia reklamowe. Trudności pie-

nieżne doprowadziły do znacznej płynności na rynku prasowym i częstych zmian własnościowych, na ogół wiążących się z pozyskiwaniem kapitału zagranicznego. Zdawano sobie przy tym sprawę, że wejście na rynek obcych przedsiębiorstw prasowych jest koniecznością. Bez zachodnich inwestorów nie można było zmodernizować prasy ani w sferze technologicznej, ani w organizacyjnej. Nie bez znaczenia było także uratowanie części tytułów zagrożonych likwidacją.

Przemiany polityczne po 1989 roku umożliwiły powstanie także nowych tytułów prasowych w Łodzi. Pojawiły się nowe dzienniki m.in.: „Gazeta Łódzka” jako lokalny dodatek „Gazety Wyborczej”, „Wiadomości Dnia”, „Kurier Ilustrowany”, łódzkie wydanie „Super Expressu” oraz „Świata z Piotrkowskiej”.

„Gazeta Łódzka”

„Gazeta Łódzka” – lokalny dodatek „Gazety Wyborczej” powstała z inicjatywy Sp. z o.o. „Agora”. Od maja 1992 roku wydawcą jest „Agora – Gazeta” Sp. z o.o. Lokalne dodatki tej gazety ukazywały się też w 11 miastach Polski: Bydgoszczy, Gdańsku, Katowicach, Kielcach, Lublinie, Poznaniu, Szczecinie, Wrocławiu, Częstochowie i Płocku¹. Twórcy „Gazety Wyborczej” – której główna siedziba mieści się w Warszawie – dostrzegli, że w celu zdobycia rynku czytelniczego należy szukać także odbiorców poza stolicą. Dzięki tym zabiegom wydawniczym pismo odniosło sukces finansowy i umocniło swoją pozycję na rynku prasowym. W celu zwiększenia atrakcyjności dziennika stopniowo rozbudowywano zawartość gazety (wkładki, dodatki) oraz wprowadzono system monitoringu konkurencji. Intratnym przedsięwzięciem okazała się też współpraca z innymi mediami w celach promocyjnych (zwłaszcza z radiem RMF FM i radiem ZET)².

„Gazetę Łódzką” redagowała od początku doświadczona dziennikarka – Iwona Śledzińska-Katarasińska: *Redakcja pisma cieszyła się dużą autonomią, gazeta nigdy nie identyfikowała się z określoną partią polityczną, choć wyrażała zdanie swoje opinie polityczne*³.

Początkowo łódzki dodatek „Gazety Wyborczej” wydawany był dwa razy w tygodniu (środa i piątek) w objętości czterech stron, z kilkoma stronami reklam i dwoma dodatkami tematycznymi („Gazetą Łódzką Rynkową” i „Gazetą Komputerową”). Redakcja borykała się też z trudnościami lokalowymi. Dwa lata później zmodernizowano sprzęt redakcyjny i wprowadzono nowoczesny skład komputerowy. Gazeta zwiększyła swoją objętość i wzbogaciła się o dwa kolejne dodatki tematyczne („Gazetę Auto – Moto” i „Gazetę Dom”). Dalsze zmiany przypadły na rok 1994. Wówczas dziennik rozszerzył swój zakres tematyczny oraz ilość dodatków („Gazeta i Dom”, „Verte”, „Gazeta Pracy” i „Gazeta Finansowa”)⁴.

Dzięki postępującym zmianom i udoskonaleniom pismo stopniowo wzmacniało swoją pozycję, stając się jedną z najbardziej poczytnych i cenionych gazet na łódzkim rynku prasowym.

„Wiadomości Dnia”

Drugim „nowym” dziennikiem, który pojawił się w naszym mieście, były „Wiadomości Dnia”. W historii gazety można wyróżnić dwa okresy. W pierwszym, trwającym 6–7 pierwszych miesięcy, „Wiadomości Dnia” były dziennikiem ponadpartyjnym o sympatiach centroprawicowych. Gdy niezależnym redaktorem naczelnym został Krzysztof Kocel, pismo zaczęło ograniczać tematykę polityczną i dostosowywać się do oczekiwań czytelników. Nastąpiło przesunięcie akcentów z ogólnopolskiej problematyki politycznej na lokalną i ekonomiczną, relaks, sport i kulturę.

Drugi okres w historii pisma nastąpił wówczas, gdy w czerwcu 1991 roku rozdzielono stanowiska prezesa spółki i redaktora naczelnego. Redaktorem naczelnym została wówczas Ewa Kluczkowska, która zadeklarowała utrzymanie *zasady neutralności politycznej i niezależność*⁵.

Na sukces rynkowy „Wiadomości Dnia” miała niewątpliwie wpływ zmiana techniki druku. Pismo na początku lat 90. XX wieku miało znakomitą pozycję na rynku prasowym i osiągało nakład 100 tysięcy egzemplarzy⁶. Gazeta była *pewnym ewenementem. Można było ją kupić nie tylko w Łodzi, ale także w Warszawie*⁷. Skomputeryzowano skład i łamanie tekstu oraz obróbkę zdjęć. Zaczęto poszerzać tematykę gazety, wprowadzając stałe dodatki: „Budownictwo”, „Motoryzacja”, „Dom od A do Z”. Atrakcyjność gazety podniosła także gra „Bingo”, która cieszyła się dużym zainteresowaniem czytelników.

„Wiadomości Dnia” w krótkim czasie zdobyły nasz rynek prasowy. Ponadto rozszerzono zasięg terytorialny pisma, które oprócz ówczesnego województwa łódzkiego objęło także miejskie warszawskie, piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie, płockie, kaliskie, konińskie i częstochowskie (według podziału terytorialnego obowiązującego do 1997 r.) i stało się pismem o największym zasięgu centralnym. Gazeta ta w 2000 r. została połączona z „Dziennikiem Łódzkim” pod wspólnym tytułem „Dziennik Łódzki – Wiadomości Dnia”.

Przez krótki czas w mieście (ale także w województwie piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim) ukazywał się również „Kurier Ilustrowany”. Było to pismo prywatne, wydawane wspólnie przez Marka Mamosa, Łódzki Bank Rozwoju S.A i Zakład Ubezpieczeniowy „Westa”. Debiut gazety nastąpił 19 września 1992 roku. „Kurier Ilustrowany” nie utrzymał się jednak długo na rynku prasowym. Pismo upadło w październiku 1992 roku z powodu trudności finansowych.

„Świat z Piotrkowskiej”

Dużą poczytnością cieszyło się także łódzkie wydanie „Super Expressu” (od 21 grudnia 1992 roku), popołudniówki o charakterze informacyjno-sensacyjnym o zasięgu ogólnokrajowym. Twórcą i redaktorem naczelnym dziennika był Grzegorz Lidenberg, który w celu umocnienia pozycji pisma tworzył oddziały terenowe, usprawniał kolportaż i robił „zdrapki”⁸. Dzięki zabiegom technicznym gazeta szybko stała się kolorowa i jako

pierwsza została wzbogacona o barwny dodatek telewizyjny. Pismo do stycznia 1995 roku wydawane było przez Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe – Express Sp. z o.o., a od numeru 28. (2 lutego 1995) – przez „Media Express”.

Kolejnym pismem był „Nowy Świat z Piotrkowskiej”. Gazeta ukazywała się od 15 września 1992 roku do 5 stycznia 1993 roku jako dodatek terenowy do dziennika „Nowy Świat”. Po zaprzestaniu wydawania „Nowego Świata” pismo przejęło jego rolę jako samodzielna gazeta codzienna. Jednak 13 marca 1993 roku w związku z reorganizacją Niezależnego Instytutu Wydawniczego została ona zawieszona. Jej działalność została reaktywowana 15 marca 1993 roku. Wtedy bowiem zaczął ukazywać się w łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim „Świat z Piotrkowskiej”. Było to pismo codzienne o orientacji centroprawicowej, niezwiązane z żadną partią polityczną. Jego redaktorem naczelnym, podobnie jak w „Nowym Świecie z Piotrkowskiej”, była Małgorzata Bartyzel. Jednak z powodu kłopotów finansowych gazeta nie utrzymała się na łódzkim rynku prasowym i przestała się ukazywać w czerwcu 1993 roku.

„Głos Poranny”

Tytułem tylko formalnie nowym był „Głos Poranny” – organizacyjna kontynuacja „Głosu Robotniczego”. Pierwszy numer ukazał się 30 stycznia 1990 roku⁹. Dziennik miał charakter socjaldemokratyczny i swym zasięgiem obejmował województwa miejskie – łódzkie, piotrkowskie, płockie, sieradzkie, i skierniewickie. Jak podkreślał ówczesny redaktor naczelny „Głosu Porannego” – Andrzej Hampel: *Mamy świadomość złej tradycji (manipulowanie propagandą), decydując się na zmianę tytułu pragnę dokonać wyraźnej zmiany formuły pisma, układu treści i linii programowej [...]*¹⁰. Nowa inicjatywa miała zapewnić wiarygodność gazecie przez odcięcie się od partyjnej (były organ PZPR) przeszłości¹¹. Hampel, były sekretarz KŁ PZP od spraw propagandy, nie był jednak dobrym symbolem odnowy tej gazety.

W historii dziennika można wyróżnić trzy okresy. W pierwszym – pismo kontynuowało linię lewicową. Starano się stworzyć taką formułę, która mogłaby służyć dialogowi, a z czasem także współpracy różnych formacji polskiej lewicy. Ten etap, tak bardzo związany z obawami o fizyczne przetrwanie gazety w nowych warunkach, nazwano „fazą uciekającego zająca”¹². Co ważne, w tamtym okresie nie powołano w redakcji spółdzielni dziennikarskiej (sprawa się przeciągała, aż wreszcie stała się nieaktualna), która mogłaby ubiegać się o przejęcie tytułu, ponieważ część zespołu redakcyjnego nie miała przekonania do nowych inicjatyw gospodarczych. Odwołano wówczas ze stanowiska redaktora naczelnego – Andrzeja Hampla (1 sierpnia 1990).

Jego miejsce zajął Gustaw Romanowski, co otworzyło nowy okres w historii „Głosu Porannego”. Trwał on do maja 1992 roku. Wtedy nastąpiła też zmiana linii ideowo-programowej gazety. Redaktor naczelny miał koncepcję realizacji pojemnej formuły pisma obywatelskiego¹³. Zwieńczeniem tych wysiłków stało się wprowadzenie podtytułu „dziennik obywatelski”. Gustaw Romanowski zmienił charakter lewicowej

ortodoksji tego pisma. Chętnie sięgano na jego łamach do tradycji Kościoła katolickiego i podkreślano jego znaczenie w społeczeństwie obywatelskim. Pismo dużą wagę przykładało do budzenia różnych inicjatyw społecznych, apelując do patriotyzmu lokalnego mieszkańców.

Zmiany te zbiegły się też z koniecznością sprywatyzowania gazety. Kiedy Państwowa Komisja Likwidacyjna RSW wystawiła ją na przetarg, pojawiło się ogółem 20 oferentów. Wśród nich znaleźli się wydawcy z Niemiec, Francji i Włoch. „Głos Poranny” był najdłużej prywatyzowanym dziennikiem dawnego koncernu RSW. Ostatecznie właścicielem pisma stało się Ludowe Towarzystwo Gospodarcze założone przez grupę posłów PSL popieranym przez działaczy SdRP i ZChN. Wówczas ze stanowiska redaktora naczelnego odszedł Gustaw Romanowski, a część dziennikarzy zrezygnowało z pracy w tej gazecie. Nowym redaktorem naczelnym został Ryszard Poradowski, którego celem stało się realizowanie formuły pisma „zdroworozsądkowego”¹⁴.

W połowie lipca 1992 roku powołano Spółkę „Głos Press” do wydawania gazety. Pod nowym wydawcą gazeta szybko okazała się deficytowa, a jej właściciel nie tak zasobny jak obiecywał. Konsekwencją było pogorszenie się sytuacji finansowej „Głosu Porannego”. Rosły długi wobec Drukarni Prasowej S.A. Od marca 1993 roku coraz wyraźniejszy stawał się upadek gazety. Drukarnia odmówiła współpracy, co spowodowało jednodniową przerwę w wydawaniu tytułu. Druk wznowiono w drukarni „Westa – Graf”, a następnie „Rentsch Polska”. Ludowe Towarzystwo Gospodarcze okazało się efemerydą. Na skutek niekorzystnych zmian powstała nowa spółka kapitałowa pod tą samą nazwą z udziałem SHZ „Galtex” (60%), PSL (20%) i SdRP (20%). Dzięki nowemu wydawcy gazeta na krótko wróciła do Drukarni Prasowej. Dziennik był wykorzystywany jako *forum propagandowe dla kandydatów z list SLD i PSL przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi, które odbyły się 19 VI 1994 roku*¹⁵.

Pomimo wprowadzonych zmian, redakcja wciąż borykała się z ogromnymi kłopotami finansowymi. Nowi wydawcy „Głosu Porannego” nie mieli bowiem na uwadze względów ekonomicznych, a gazeta stała się jedynie środkiem służącym doraźnym celom politycznym. Zyski stale malały, a zwroty sięgały rzędu 70 procent. Ratunkiem nie było nawet dołączanie do wydania głównego kolorowego dodatku telewizyjnego pt. „Arathos”.

Na skutek pogłębiających się problemów finansowych 18 sierpnia 1994 roku podjęto decyzję o zamknięciu pisma.

Przemiany „Dziennika Łódzkiego”

Zmiany, jakie nastąpiły po 1989 roku, miały także wpływ na „Dziennik Łódzki” – czyli najstarsze pismo w naszym regionie. Wówczas gazeta jako jeden z dzienników poczytelnikowskich została wystawiona na przetarg. Do oferentów zdecydowanych na wykupienie „Dziennika Łódzkiego” należało wiele firm. Pismo było także obiektem zainteresowania centroprawicowego Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, które

przejęło władzę w mieście w związku z majowymi wyborami do samorządu w Łodzi w 1990 roku. Waldemar Bohdanowicz z ZChN, który jesienią 1989 roku został prezydentem Łodzi, wystosował do premiera teleks i zadeklarował gotowość Rady Miejskiej do przejęcia „Dziennika Łódzkiego”. Gazeta miała stać się pismem ŁPO. Swoją prośbę motywował faktem, że: *tytuł gazety nie jest obciążony szyldem byłego organu PZPR i nekrologi były w niej drukowane zawsze z nagłówkiem Ś.p¹⁶*.

Odpowiedzi ze strony premiera jednak nie było. Waldemar Bohdanowicz zaproponował więc szefom gazety drukowanie w piśmie cotygodniowej, przedwyborczej kolumny. Argumentował to potrzebą zaprezentowania programu politycznego ugrupowania preferującego tradycyjne wartości moralne chrześcijaństwa.

Dziennikarze „Dziennika Łódzkiego” byli niechętni tej zmianie, wyrażając sprzeciw wobec próśb Waldemara Bohdanowicza: *Chcemy być gazetą prawdziwie niezależną [...] a jednocześnie otwartą na wszystkie orientacje i nurty demokratyczne. Podporządkowanie gazety jakiegokolwiek sile zewnętrznej – w tym również samorządowi miejskiemu – niezależność tę ograniczy. Nie jesteśmy spółdzielnią nomenklaturową. Pragniemy być samodzielni w interesie naszych czytelników. Nie chcemy redagować gazety według dyrektyw czy też zaleceń z góry. Czy w państwie demokratycznym nie ma miejsca dla niezależnego „Dziennika Łódzkiego?”¹⁷.*

Wchodzenie kapitału zagranicznego do prasy budziło emocje i obawy także redakcji „Dziennika Łódzkiego”, że wskutek siły tego kapitału gazeta zatraci swoją odrębność. Dlatego też z inicjatywy redakcji na początku marca 1991 roku założono Fundację Wolnej Prasy Łódzkiej, której pierwszym celem miało być *stworzenie z „Dziennika Łódzkiego” instytucji wyrażającej opinię społeczeństwa, niezależnej od jakichkolwiek wpływów na warunki życia i funkcjonowania całej aglomeracji*¹⁸.

Projekt ten został poparty przez prof. dr. Marka Zirk-Sadowskiego – lokalnego pełnomocnika Komisji Likwidacyjnej RSW „Prasa” w Łodzi oraz przez Polskie Centrum Demokratyczne i Komitet Obywatelski Łódź-Górna.

„Dziennik Łódzki” podał numer konta, na który czytelnicy mogli wpłacać pieniądze. Fundacja została także wsparta finansowo m.in. przez Bank PKO i Polski Czerwony Krzyż (około 100 mln zł).

Pomimo starań mających na celu niedopuszczenie do przejęcia „Dziennika Łódzkiego” przez kapitał zagraniczny (wówczas redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego” był od niedawna Konrad Turowski), gazetę kupiła w czerwcu 1991 roku za 25 mld ówczesnych złotych Spółka „Polska – Presse”. Był to koncern Roberta Hersanta z Francji, który oprócz „Dziennika Łódzkiego” został współwłaścicielem dzienników w Łodzi („Express Ilustrowany”), Katowicach, Gdańsku, Krakowie i Warszawie („Rzeczpospolita”).

Nowym redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego” został Maciej Rosiak. Pełnił tę funkcję od 1 lipca 1991 roku do 21 marca 1992 roku. Rok później odsprzedano jednak tę gazetę Spółce „Prasa Łódzka” za taką samą kwotę. Wówczas funkcję

redaktora naczelnego (od 22 marca 1992 do 31 maja 1992) przejął Zdzisław Szczepaniak, a następnie (od 1 września 1992 do 31 maja 1995) Maciej Wojciechowski.

Efektom zmian, jakie nastąpiły po przejęciu „Dziennika Łódzkiego” przez zachodni koncern, była modernizacja bazy technicznej i sposobu redagowania gazety. Zaczęto korzystać z nowoczesnych technik wydawniczych. Dziennikarze prezentowali teraz informacje w sposób bardziej atrakcyjny. Zmodyfikowano także dodatki tematyczne i hobbystyczne, które niewątpliwie zwiększyły atrakcyjność i poczytność dziennika. Należały do nich: „Tele Dziennik”, „Wokół domu”, „Gratka”, „Praca w Łodzi”, „Bliżej medycyny”, „Mops” oraz informacje „Urlop z Dziennikiem”. Mutowane wydanie „Dziennika Łódzkiego” miało sześć edycji (wydań i podwydań): „Dziennik Piotrkowski”, „Dziennik Sieradzki”, „Dziennik Skierniewicki”. Podwydania wychodziły w Pabianicach i Zgierzu. Odrębne mutacje utworzono dla Zduńskiej Woli i Wielunia w Sieradzkim.

We wrześniu 1994 roku niemiecki koncern prasowy – „Verlagsgruppe Passau” („Polskapresse”) odkupił udziały (68%) w „Dzienniku Łódzkim” od Roberta Hersanta. Wydawca ten, który rozpoczął działalność w Polsce od 1994 roku, nabył jeszcze udziały w siedmiu innych dziennikach regionalnych.

Koncern „Verlagsgruppe Passau” kontynuował sposób redagowania „Dziennika Łódzkiego” podjęty przez poprzedniego właściciela. Wprowadzono jednak zmiany w rozkładzie kolumn (przesunięcie kolumn regionalnych na czołowe pozycje). W 1995 r. „Verlagsgruppe Passau” zwiększył pakiet kontrolny w „Dzienniku Łódzkim” z 68% do 100% udziałów. Redaktorem naczelnym gazety (od 1 lutego 1995) był Andrzej Wójtowicz, następnie (od 22 stycznia 2002) funkcję tę piastował Julian Beck.

1 lipca 1995 roku „Prasa Łódzka” Sp. z o.o. (wydawca „Dziennika Łódzkiego” oraz „Prasa Ilustrowana” Sp. z o.o. (wydawca „Expressu Ilustrowanego”) utworzyły Spółkę z o.o. „Inmedio”, która stała się wyłącznym dystrybutorem tych gazet.

„Verlagsgruppe Passau”, dążąc do stworzenia własnej sieci firm poligraficznych i kolportażowych, stał się właścicielem siedmiu drukarni, pracujących głównie na potrzeby dzienników. Starał się także przejąć Spółkę „Inmedio”, która została sprzedana w 1999 r. (udział w przetargu na zakup „Ruchu” w ramach Unii Wydawców Prasy).

„Verlagsgruppe Passau”, będąc także właścicielem „Expressu Ilustrowanego”, starał się o to, aby oba tytuły ze sobą nie konkurowały; tak np. „Dziennik Łódzki” ma w sobotę większy nakład niż „Express Ilustrowany”, ale w piątek „Dziennik” oddawał pole „Expressowi” (co jest praktykowane do dziś). Reforma administracyjna kraju, którą wprowadzono 1 stycznia 1999 roku, wymusiła kontynuację strategii rozwoju rynku prasowego. Rozbudowano system mutacji oddziałów terenowych.

Erupcja inicjatyw prasowych

Transformacja ustrojowa doprowadziła także do przeobrażeń na gruncie łódzkiego czasopiśmiennictwa. Stopniowo rosła liczba nowych tytułów o dużej rozpiętości te-

matycznej. W 1989 r. powstało 20 tytułów, rok później – 32, a w 1991 r. – 34 tytuły. Potem liczba nowo wydawanych pism stopniowo zaczęła się zmniejszać.

Wśród łódzkich czasopism dominowały głównie periodyki informacyjne, informacyjno-publicystyczne, edukacyjno-hobbystyczne, rozrywkowe i opinio-twórcze, wydawane przez spółki, związki zawodowe, urzędy państwowe, towarzystwa kulturalne, osoby fizyczne, partie polityczne oraz związki wyznaniowe.

Według danych statystycznych w ciągu pięciu pierwszych lat po transformacji ustrojowej powołano do życia w Łodzi łącznie 150 tytułów¹⁹. Wśród nich możemy wyróżnić:

- pisma o treści ogólnej
- pisma o tematyce politycznej:
 - samorządowe
 - parlamentarne
 - związków zawodowych
 - organizacji młodzieżowych
 - organizacji kombatanckich
 - partii politycznych
- pisma o treści kulturalno-obyczajowej
- sztuk plastycznych
- teatru
- społeczno-kulturalne
- edukacyjno-hobbystyczne
- satyryczne
- naturystyczne i ekologiczne
- pisma młodzieżowe i szkolne
- pisma telewizyjne
- informatory kulturalne i biuletyny organizacji oraz stowarzyszeń kulturalnych.

Ponadto wśród nich znalazły się pisma związane z kulturą fizyczną i sportem. Periodyki o tematyce biznesowej i gospodarczej, czasopisma o treści fachowej i zawodowej, dotyczące zawodów związanych ze sztuką i rzemiosłem artystycznym, przemysłem tekstylnym, poradami dla gospodarzy, problemami bezrobotnych, poradami meblarskimi, zagadnieniami motoryzacyjnymi, problemami zawodowymi bibliotekarzy, nauczycieli, instruktorów, pisma o treści religijnej, popularnonaukowej i erotycznej.

Nową inicjatywą – nie tylko na gruncie łódzkim, ale też w całej Polsce po 1989 roku – było wydawanie pism bezpłatnych. Warto jednak dodać, że prasa o tym charakterze ma długą tradycję wydawniczą. Jej korzenie sięgają XIX wieku. Zjawisko publikowania pism bezpłatnych było znane w Polsce jeszcze przed wejściem na nasz rynek kapitału zagranicznego. Najstarsza polska „gratisówka” pojawiła się w 1987 r. w Warszawie i nosiła tytuł „Pasma”.

Pierwsze bezpłatne łódzkie pisma związane były z rynkiem towarowo-pieniężnym i najlepiej odzwierciedlały „wolnorynkowy charakter gospodarki”²⁰. W Łodzi taką bezpłatną gazetką była „Gazeta Reklamowa”. Jej właściciel – Marek Mamos – nie nastawiał się na ambicje dziennikarskie, ale wyłącznie finansowe. Wydawca szybko dostrzegł, że koncepcja ta okazała się przedsięwzięciem dochodowym, co wpłynęło na dalszy rozwój pism w Łodzi o tym charakterze. Pod koniec 1994 roku ich liczba wzrosła do 22²¹.

* * *

Transformacja ustrojowa odcisnęła swoje piętno także na łódzkim rynku prasowym. Po 1989 roku istniała tu nieustanna konkurencja i rywalizacja między „starymi” tytułami takimi jak: „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany” a „nowymi”, do których należą łódzki dodatek „Gazety Wyborczej” oraz lokalne wydania „Super Expressu” i „Faktu”. W początkowym okresie przemian doszło do osłabienia pozycji „starych” tytułów. Sytuacja ta nie trwała jednak długo. W krótkim czasie wzmocniły one swoją pozycję, wyprzedzając w rankingach „nowe” tytuły. Tu pewnym fenomenem okazał się „Dziennik Łódzki”, który (według danych podawanych przez SMG/KRC Poland Media²²) nieustannie utrzymuje pozycję lidera na łódzkim rynku prasowym.

Pojawia się więc pytanie – co powoduje, że przy tak szerokim wachlarzu tytułów prasowych czytelnicy pozostają wierni ukazującym się od wielu lat regionalnym gazetom, nawet kiedy ich poziom merytoryczny nie zwiększa? Wydawcy „nowych” pism przecież kuszą często niższą ceną, różnymi prezentami – od płyt po książki i proponują atrakcyjniejszą tematykę.

Sukces pism regionalnych zapewne tkwi w przywiązaniu czytelnicy do określonego tytułu. „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany” od początku swojego istnienia zachowują tę samą nazwę. Tradycja czytania ma bowiem charakter rodzinny i przekazywana jest z pokolenia na pokolenie.

dr Joanna Mikosz

– adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Uniwersytetu Łódzkiego

Przypisy:

1. Z. Bajka, *Polska prasa codzienna 1990–1991*, [w:] „Zeszyty Prasoznawcze”, 1991, nr 3–4, s. 35.
2. Ibidem, *Prasa codzienna w Polsce pod koniec lat 90*, [w:] „Zeszyty Prasoznawcze”, 2000, nr 3–4, s. 140.
3. A. Drożdż, *Nowa prasa łódzka (1989–1994)*, [w:] „Zeszyty Prasoznawcze”, 1996, nr 1–2, s. 163.
4. Ibidem, s. 163.
5. Op. cit., s. 164.

6. Z. Bajka, *Polska prasa codzienna...*, s. 34.
7. Ibidem, s. 35.
8. P. Spodenkiewicz, *Brukowiec. Warsztat reporterski w praktyce*, Łódź 2006, s. 13.
9. A. Drożdż, *Nowa prasa łódzka*, s. 165.
10. Ibidem, s. 165.
11. Op. cit., s. 165.
12. Op. cit., s. 166.
13. A. Drożdż, *Nowa prasa łódzka*, s. 166.
14. Ibidem, s. 166.
15. Op. cit., s. 167.
16. *Gra o organ*, [w:] „Przegląd Tygodniowy”, 1990, nr 29, s. 7.
17. Ibidem, s. 7.
18. „Dziennik Łódzki”, 04.07.1991, s. 1.
19. A. Drożdż, *Nowa prasa łódzka...*, s. 169.
20. Ibidem, s. 175.
21. Op. cit., s. 176. .
22. Dane statystyczne dotyczące poczytności łódzkich gazet codziennych przedstawione są w artykule *W czym tkwi sukces „Dziennika Łódzkiego” jako pisma regionalnego?*, który opublikowany został w 2006 r. w piśmie pt. „Media – Kultura – Społeczeństwo”.

Łodzianin z morzem związany

Od marynarki wojennej
do żeglugi handlowej

historia

Henryk Grunert, komandor porucznik rezerwy, kapitan żeglugi wielkiej to jeden z wielu tysięcy łodzian związanych z morzem. Jego karierę w Marynarce Wojennej przekreślił sprzeciw przeciwko niegodziwemu postępowaniu niektórych wyższych dowódców w okresie poprzedzającym Sierpień 1980 roku i postawa w stanie wojennym. Na dodatek w oczach władzy „pogrążyła” go ówczesna żona – dziennikarka znana na Wybrzeżu z wywiadów z Lechem Wałęsą i mająca świetne kontakty wśród członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Podejrzany Kubańczyk

Przyszły kapitan żeglugi wielkiej z drugą lokatą ukończył w 1962 r. studia na Wydziale Nawigacji i Uzbrojenia w Wyższej Szkole Morskiej Marynarki Wojennej w Gdyni. Jak przewidywał statut uczelni, z tak dobrym wynikiem miał prawo wyboru pracy. Staż odbył na niszczycielu ORP „Grom” i dlatego marzył o objęciu dowództwa działu nawigacji na tej jednostce. Niestety, komandor Grodzicki (również łodzianin), szef Oddziału Kadr Marynarki Wojennej, skierował go do niezbyt szacowanej służby, polegającej na musztrowaniu rekrutów w Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce.

Już w trakcie studiów interesowałem się okrętami raketowymi, zarówno zachodnimi jak i radzieckimi – wspomina kpt Grunert. Publikacji na ten temat było niewiele. Poszukiwanie ich od razu zwracało uwagę przełożonych. Po 9-miesięcznej pracy w usteckim centrum zaproponowano mi w głębokiej tajemnicy specjalizację w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej im. S.M. Kirowa w Baku w ZSRR w związku z planami zakupu okrętów raketowych dla naszej floty. W Baku kształcono głównie starszych oficerów rosyjskich i kadrę sojusznicych flot. Słuchacze pochodzili z NRD, Rumunii, Bułgarii, Wietnamu, Indonezji, Egiptu, a nawet z Somalii. Tam zaprzyjaźniłem się z moim imiennikiem, czarnoskórym Kubańczykiem. Świetnie parzył małą kawę, która w mgnieniu oka stawiała człowieka na nogi.

Każdy dzień rozpoczynał się od przekazania przez wykładowców najświeższych informacji na temat sytuacji politycznej i militarnej na świecie. Któregoś dnia prowadzący zaczął przynudzać o rasistowskich Stanach Zjednoczonych. Henryk z Kuby nie wytrzymał i zaczął bronić... imperialistów. Opowiedział o swoim czarnoskó-

rym wuju, który został dowódcą amerykańskiego niszczyciela bazującego w Guantanamo na Kubie. Z takimi powiązaniem nie miał czego szukać w Baku. Został z miejsca odesłany do kraju.

Kutry raketowe

Poza tym zgrzytem, program studiów, a szczególnie zajęcia praktyczne były pasjonujące, a wykładowcy na wysokim poziomie, kompetentni i życzliwi – wspomina. Nie miałem najmniejszego kłopotu z językiem rosyjskim dzięki profesorowi Supernakowi, mojemu wychowawcy z łódzkiego III Liceum Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki, który wykładał ten przedmiot. Prawdę mówiąc, język miałem najlepiej opanowany z całej 10-osobowej grupy. W Baku ukończyłem specjalizację z zakresu automatyki uzbrojenia raketowego. Do Polski wróciłem w 1966 r. i awansowałem na porucznika marynarki. Przesiadłem się na wymarzone małe okręty raketowe – MOR-y, które w terminologii NATO-wskiej nosiły nazwę „Osa”.

Te kutry raketowe były na wskroś nowoczesnymi okrętami. Rozwijały oszałamiającą prędkość 40 węzłów, czyli ponad 74 km/godz. W Zatoce Gdańskiej zwrot zespołu kutrów, pędzących z maksymalną szybkością, był praktycznie bardzo trudny do wykonania z uwagi na szczupłość akwenu. „Osy” miały zaledwie po 200 ton wyporności. Ich długość wynosiła 38,5 metra, a załoga „liczyła” 30 ludzi. Podstawowe uzbrojenie stanowiły cztery rakiety klasy woda–woda. Od salwy takich pocisków przeciwookrętowych zatonął m.in. niszczyciel izraelski „Eljat”, zaatakowany w październiku 1967 roku przez dwa egipskie kutry raketowe. Na MOR-ach przeszedł Grunert przez wszystkie stanowiska oficerskie od dowódcy działu raketowo-artyleryjsko-radarowego przez zastępcę dowódcy – do funkcji dowódcy ORP „Gdynia”.

Każde wyjście w morze i powrót do portu odbywały się o zmierzchu ze względu na tajemnicę wojskową. Wszystko było tajne. Początkowo okręty stały przy nabrzeżu za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Przejścia bronił wartownik uzbrojony w kałasznikowa. Dochodziło do takich absurdów, że wartownik, będący członkiem załogi, musiał zobaczyć i skontrolować przepustkę każdego wchodzącego członka kadry. Załoganci z kutrów raketowych nie mogli zaprosić na pokład nikogo z rodziny, a nawet kolegów z trałowców czy ścigaczy okrętów podwodnych bazujących w tym samym porcie. Przeładunek rakiet odbywał się tylko nocą za potrójnym ogrodzeniem. Teren portu był patrolowany przez wartowników z psami.

Szczytem dbałości o zachowanie tajemnicy były tablice z wymiennymi numerami burtowymi. Na nadbudówce mieli zamontowane prowadnice, w które wsuwało się tablice z pojedynczymi cyframi. Numer noszony w porcie zmieniali natychmiast po wyjściu w morze i to pod warunkiem, że w pobliżu nie było żadnego statku handlowego, na którym mógł płynąć szpieg. A wszystko po to, żeby zmylić wroga co do faktycznej ilości MOR-ów. Nawet dowództwo flot ZSRR i NRD takich pomysłów nie miało.

Spóźniona rakietą

Na ORP „Gdynia” nie było łatwo w pierwszych miesiącach po wcieleniu do Marynarki Wojennej – opowiada komandor Grunert. Nocne alarmy, ćwiczenia ogólnokrętowe, treningi na stanowiskach bojowych i inne zajęcia przewidziane metodyką szkolenia, dawały dopiero co skompletowanej załodze mało czasu na złapanie oddechu. Przez pierwszy miesiąc kadra zawodowa prawie nie bywała w domach, ale nastrój na okręcie był znakomity. Kapitan jednostki Romuald Waga (od 1995 r. admirał – przyp. autora) był nie tylko dowódcą, ale także kolegą i przyjacielem, do którego można było zgłosić się z prośbą i każdym problemem. Wymagał od nas maksymalnego wysiłku i zaangażowania, ale siebie też nie oszczędzał. To zaczęło szybko procentować. Na poligonie artyleryjskim podczas strzelania do celu powietrznego, z 30-milimetrowej armatki AK 230 trafiliśmy w linę, na której samolot holował „rękaw” pełniący rolę tarczy strzeleckiej. „Rękaw” spadł do morza. To był snajperski strzał. Na poligonie morskim w Bałtyjsku na wysokości przyładka Taran (od rosyjskiej strony Zalewu Wiślanego – przyp. autora) w maju 1966 roku wykonaliśmy pierwsze w historii ORP „Gdynia” strzelanie raketowe – przypomina łodzią. Rakietą z głowicą bojową, zawierającą około pół tony materiału wybuchowego, miała 80-kilometrowy zasięg, ale my ćwiczyliśmy tylko na dystansie 48 kilometrów. Emocji było aż za dużo. Procedura startu pocisku przewidywała jego zejście z prowadnic wyrzutni po maksimum 15 sekundach od naciśnięcia przycisku „start”. Siedziałem w centrali raketowej. Kontrolowałem funkcjonowanie sieci odpalania i pracę aparatury pokładowej rakiety.

Byłem cały czas w łączności z dowódcą – Romualdem Wagą. Pogoda fatalna. Boczna fala, silny wiatr, stan morza 5 w 10-stopniowej skali Beauforta, czyli duże kiwanie. Procedury ataku raketowego przebiegały normalnie, ale zdrowie załogi daleko odbiegało od normy. Na chorobę morską nie było mocnych, zwłaszcza wśród świeżego narybku. Wreszcie usłyszałem komendę „start”.

W centrali na pulpitych zgasyły czerwone sygnalizatory i zapaliły się zielone. Tylko jeden palił się na czerwono – ten sygnalizujący zejście rakiety z wyrzutni. Strzałka stopera nieubłagalnie biegnie naprzód, czerwona lampka pali się, ale nie słyhać grzmotu startującego pocisku. Mija piętnasta sekunda. Konsternacja, co się dzieje?



Melduję na bieżąco, chyba mocno podenerwowanym głosem: 17 sekunda – startu brak, 20 sekunda – startu brak, 25 sekunda – startu brak. Na to dowódca spokojnym głosem: „To nic groźnego. Włączyłem blokadę startu rakiety ze względów pogodowych. Chcę sprawdzić, jak działa ta radziecka automatyka”. I prawie w tym samym momencie gaśnie czerwona lampka i rozlega się huk silników startującej rakiety. Wyskakujemy na pokład. Zdążyliśmy zobaczyć pióropusz ognia i spalin, wydobywający się z dysz i znikający pocisk. Spalona farba na pokładzie, na wyrzutni, odchylaczu gazów i nadbudówce, ale cóż tam, zadanie wykonaliśmy. Po około 5 minutach z radzieckiego śmigłowca otrzymujemy informację: „Rakieta w celu, zdjęcia dostarczę do bazy”.

Okręt wraca do Bałtyjska. Przed wejściem do portu dowódca zaczął zebrać załogę w największym pomieszczeniu. Stawiają się wszyscy poza wachtą. Załoga słyszy serdeczne, wręcz ojcowskie podziękowanie. I znowu do obowiązków. Skrobaczki, szczotki, pędzle i farba w garść. Bo okręt musiał wrócić do Gdyni bez śladów strzelania.

Gdy 21 listopada 1969 roku Henryk Grunert objął dowództwo ORP „Gdynia”, postanowił nie zawieść zaufania Romualda Wagi – swego pierwszego dowódcy na okręcie. Pod nowym dowództwem jednostka zdobyła wkrótce miano Najlepszego Okrętu Marynarki Wojennej w swojej klasie. (Co do dalszych jego losów – to w 1991 r. po wycofaniu ze służby w Marynarce Wojennej, kuter został przebudowany na jednostkę patrolową. Jako SG-301 „Gdynia” służył do 1995 r. w kaszubskim dywizjonie Morskiego Oddziału Straży Granicznej w Gdańsku).

Za dużo nie wiedzieć

W latach 1973–1977 skierowano Grunerta na dalsze studia do Akademii Marynarki Wojennej ZSRR w Leningradzie. *Próbowano wpływać na nasz sposób myślenia – przyznaje kapitan. Okazją do tego były wykłady z filozofii i polityczne seminaria. To „pranie mózgów” trafiało na opór co inteligentniejszych słuchaczy. Zresztą, sam skład grupy seminaryjnej już stanowił mieszankę wybuchową: 2 Jugosłowianie, 4 Niemcy, 4 Bułgarzy i 6 Polaków. Metodyka seminariów polegała na pisaniu referatów i kontrreferatów np. jeden z nas pisał o korzyściach współpracy w ramach RWPG, a drugi o jej wadach. Autor publicznie musiał obronić tezy swojej pracy. Pierwsza awantura, jaką pamiętam, wybuchła z powodu referatu o wyższości polityki gospodarczej Jugosławii nad dokonaniami radzieckimi w zakresie tworzenia kolchozów i sowchozów. Jugosłowiańska kolektywizacja miała charakter dobrowolny, dzięki czemu spółdzielnie rolnicze i państwowe gospodarstwa rolne odniosły tam jakiś sukces. Druga afera była związana z referatem o polsko-radzieckiej współpracy ekonomicznej. Autor metodą statystyczną wykazał, że na wymianie węgla za ropę naftową wychodzimy jak Zabłocki na mydle. Wykładowca się wściekł, słysząc takie twierdzenie. Mieliśmy wielki ubaw, ale i satysfakcję, gdy autor referatu zdradził, że oparł się na statystykach zaczerpniętych z najnowszego wydania „Nowych Dróg” – oficjalnego organu prasowego KC PZPR.*

Komandor mówi, że zarówno podczas studiów w Baku, jak i w Leningradzie odczuwało się strach władz uczelni przed swobodnym przepływem informacji oraz idei między studentami – sojusznikami z różnych krajów. Z żelazną konsekwencją przestrzegano podziału na grupy według rodzajów uzbrojenia. I tak specjaliści od rakiet lądowych nie mieli np. kontaktu z fachowcami od pocisków przeciwokrętowych. Izolacja grup dotyczyła bowiem wszystkich rodzajów zajęć, a nie tylko przedmiotów zawodowych. Spotkał się też z wielką podejrzliwością kadry akademickiej wobec zwykłego głodu wiedzy. Pasjonowała go wtedy nawigacja inercyjna, a także inne sposoby określania pozycji okrętu podwodnego, na przykład według gwiazd przy pomocy radiosektansu w peryskopie. Miał cały czas wrażenie, że każde zapytanie w bibliotece o specjalistyczne publikacje na ten temat budzi podejrzenia, że może być natowskim szpiegiem. Bo przecież zgodnie z narzuconą specjalizacją powinien interesować się tylko skryptami na temat rakiet morskich!

Degradacja za papieża

Kiedy zaczął pracować w sztabie głównym Marynarki Wojennej, gdyńską kawalerkę zamienił na własnościowe mieszkanie w bloku, do którego wprowadził się z żoną Ewą (dziennikarką z Warszawy) i dwoma synami. Miał rocznie 45 dni urlopu. Wykorzystywał go przede wszystkim na wyjazdy z chłopcami w góry i nad jeziora. Nauczył ich pływać, żeglować, jeździć na rowerze, deskorolkach i na nartach. W ten sposób chciał zrekompensować synom brak czasu dla nich podczas służby na okrętach. *W 1977 r. 20-letnia córka mojego kolegi, wyższego oficera, podobnie jak ja – absolwenta Akademii Marynarki Wojennej w Leningradzie – postanowiła wyjść za mąż za Szweda, który budował hotel „Gdynia” – wspomina Henryk Grunert. Na posiedzeniu komitetu PZPR w sztabie komandor Piotr Kołodziejczyk (później, za prezydentury Lecha Wałęsy: minister obrony narodowej – przyp. autora) był jednym z tych, którzy zażądali wydalenia ojca dziewczyny z partii, a co za tym idzie – i ze służby zawodowej. Nie przekonał go mój argument, że ojciec nie może odpowiadać za czyny dojrzałej córki. Jak się jednak okazało, stalinowskie metody były wciąż żywe w naszej marynarce.*

Studia w Baku i Leningradzie miały niewątpliwie wpływ na przyspieszenie kariery Henryka Grunerta. W 1974 r. awansował do stopnia komandora porucznika. W 1977 r. objął stanowisko szefa sztabu silnego zespołu okrętów, jakim był II Dywizjon Kutrów Rakietowo-Torpedowych. Funkcję tę pełnił do czasu pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce. Praca sztabowca na dłuższą metę mu nie odpowiadała. Po dwóch latach poprosił więc kontradmirała – Henryka Pietraszkiewicza, szefa sztabu Marynarki Wojennej, o przeniesienie z za biurka na pokład okrętu. Objął dowództwo II Dywizjonu, złożonego z 7 małych okrętów rakietowych projektu „205” i 5 kutrów torpedowych polskiej produkcji.

Ten awans był jak grom z jasnego nieba, bo wiązał się z nieoczekiwanym odwołaniem mojego poprzednika – komandora porucznika Bronisława Świercza –

przyznaje Grunert. *Chodziło o błahostkę. Broniek ofiarował synowi aparat fotograficzny. Korzystał też z naszej nowo zorganizowanej ciemni dla celów kulturalno-oświatowych. Chłopak pasjami uwieczniał wizytę papieża z... relacji telewizyjnych. Kiedy film trafił do naszej dywizjonowej ciemni do wywołania – zrobiła się afera. Na każdym kutrze raketowym działał przecież oficer kontrwywiadu. Jeden donos wystarczył, żeby utraćć doświadczonemu dowódcę za niewłaściwe – pod względem ideologicznym – wychowanie syna.*

Przerażeni NRD-owcy

Dziś komandor twierdzi, że w dowództwie dywizjonu nic nie zapowiadało gorących wydarzeń 1980 roku na Wybrzeżu. Jego żona Ewa, która znakomicie orientowała się w działalności Wolnych Związków Zawodowych, nie wiedziała, co miał przynieść najbliższy miesiąc.

W sierpniu 1980 roku z żoną i dziećmi zostałem zaproszony przez Volkera Saibta, mojego kolegę ze studiów w akademii leningradzkiej, do Rostocku w NRD na tygodniowy urlop. Gospodarz był oficerem wschodnioniemieckiej Marynarki Wojennej. Wyjechaliśmy samochodem z Gdyni bardzo wcześnie rano, ponieważ miałem do pokonania nie tylko około 590 km, ale niezbyt miłą odprawę niemiecką. Gdy dotarliśmy do Szczecina, zaskoczyła nas dziwna cisza w porcie, stoczniach i w mieście. Nie pracowały dźwigi portowe, nie porykiwały syreny holowników i statków. To był pierwszy dzień strajku w Szczecinie. Na przejściu granicznym było pełno samochodów wyjeżdżających z Polski – same niemieckie. Byliśmy jedynym samochodem z polską rejestracją. Niemieccy strażnicy graniczni bardzo skrupulatnie sprawdzili czy dzieci, które wieziemy są nasze. Ponieważ znam niemiecki, a moje nazwisko nie ma polskiego rodowodu, udało nam się szczęśliwie przebrnąć zarówno kontrolę graniczną, jak i celną.

Już na terenie NRD wysłuchali w radiu przemówienia Stanisława Kani, kilka tygodni przed jego wyborem na I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. W związku z sytuacją strajkową przez dłuższy czas zastanawiali się, czy aby nie wracać do domu. Zdecydował jednak, że nie. Po prostu chciał odpocząć od stałych odpraw i informacji politycznych, jakimi nasycony był prawie każdy dzień w jednostce wojskowej. Gdy przybyli na miejsce, Volker i jego żona Karin już wiedzieli o strajkach w Polsce. Byli przerażeni. Pytali, jak mogliby pomóc w zażegnaniu „rewolucji burżuazyjnej”, która może doprowadzić do przewrotu politycznego.

Jakoś ich uspokoił, szczególnie dzięki znajomości faktów przez Ewę – kontynuuje opowieść. Spotkałem się wtedy jeszcze z innymi kolegami „ze szkolnej ławy” z Akademii Marynarki Wojennej w Leningradzie. Oni byli mniej spanikowani niż Volker i wydaje mi się, że inaczej patrzyli na polityczne wydarzenia w Polsce. Jak mi się wydaje, jeden z nich był wyraźnie zadowolony z powstania głębokiej rysy w zastraszonym, wschodnim obozie. Jednak gdy przebywali w grupie, nie można było

z nimi otwarcie porozmawiać, bo byli zastraszeni. Bali się, że ktoś zawsze donosi: pracuje dla Stasi – Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD lub szpieguje dla KGB. Tak samo zachowywali się Rosjanie. Pamiętam jeszcze inne charakterystyczne dla tych czasów zdarzenie. Jeździliśmy na plażę do Warnemunde i cały czas mieliśmy z żoną wrażenie, że jesteśmy śledzeni. A już bardzo nas rozbawił fakt, że na morską plażę nie mogliśmy wnieść materacy dmuchanych. Gdy zapytałem Volkera dlaczego, odpowiedział, że były przypadki ucieczki plażowiczów do RFN.

Wkrótce pojechali na wczasy do wojskowego domu wypoczynkowego w Karwicach na Pojezierzu Drawskim. Zamieszkali w hotelowcu, gdzie byli zakwaterowani także inni oficerowie z rodzinami. Spragnieni wiadomości z pierwszej ręki, słuchali radia. Okazało się, że najlepiej słuchało się Radia „Wolna Europa” na ławeczce przed budynkiem. Z prawie każdego otwartego okna dolatywała audycja RWE. Nikt nikogo już się nie bał.

Po powrocie z urlopu został skierowany na praktykę nawigacyjną na handlowym statku m/s „Krutynia” w Polskiej Żegludze Bałtyckiej. Żona tymczasem uzyskała wstęp na posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Udało jej się przeprowadzić kilka wywiadów z Lechem Wałęsą. Jej publikacje zwróciły uwagę przełożonych komandora porucznika Grunerta. Nakłaniali go do pisania notatek służbowych na temat pracy żony, a w szczególności do opisywania, czego dowiadywała się na bieżąco o Wolnych Związkach Zawodowych. Wymigiwał się od tego żartem, że wszystko ukaże się nazajutrz drukiem.

W połowie 1981 r. popłynęliśmy na wspólne ćwiczenia z marynarką wschodnioniemiecką – opowiada łodzianin. Przed odpaleniem rakiet przeciwskrętowych współpracowaliśmy ze śmigłowcem Mi-24. Dzięki niemu nasze pole widzenia celu powiększało się trzykrotnie. Problemem była szybka wymiana informacji z pilotem za pośrednictwem radia pracującego na falach UHV. Udało mi się wprowadzić specjalny kod umożliwiający przekazywanie ważnych danych bez podawania pełnego tekstu. Polski zespół spisał się na medal. Osobiste gratulacje odebrałem od admirała Ehm'a, ówczesnego dowódcy Marynarki Wojennej NRD. Gdy rzuciliśmy cumy w Gdyni, przygotowałem się na podziękowania dla załóg okrętów, a tymczasem mój przełożony komandor Kołodziejczyk czekający już na molo spytał mnie wprost: „Henryk, ty chcesz służyć w Marynarce Wojennej czy nie?”. Okazało się, że podczas jego nieobecności, żona opublikowała artykuł krytykujący admirała Ludwika Janczyszyna za zamknięcie dla marynarzy stadionu WKS „Flota” na Oksywiu.

Pożegnanie z Marynarką Wojenną

W nocy wprowadzenia stanu wojennego, komandor porucznik Henryk Kaszubowski, zastępca Grunerta ds. politycznych, kazał mu się ubierać w związku z alarmem w jednostce. Przenieśli się do sztabu na Oksywiu, z którego okien było widać kutry rakietowe i torpedowe II Dywizjonu. W gabinecie można było przespać się na kanapie. Przez

pierwszych kilkanaście dni stanu wojennego obowiązywał bezwzględny zakaz wyjścia do domu. Dopiero w Boże Narodzenie 1981 r. admirał wydał zarządzenie o wypuszczeniu na przepustki jednej trzeciej oficerów, podoficerów i chorążych. Było to jednak obwarowane ograniczeniami. Trzeba było się odmeldowywać co kilka godzin u oficerów dyżurnych. Grunert odpowiadał za wyjścia dowódców okrętów.

Którejś nocy zatelefonował oficer inspekcyjny garnizonu z pytaniem, czy w II Dywizjonie Kutrów Rakietowo-Torpedowych służy pewien oficer. Według inspekcyjnego – znaleziono go pijanego przed komendą garnizonu. Był w mundurze moro. Miał przy sobie pistolet. Na pierwszy rzut oka – wszystkie okoliczności świadczyły przeciwko niemu...

Wsiadłem szybko do samochodu, żeby wyjaśnić sprawę na miejscu. Oficer, o którego chodziło, był nerwowo. Łykał środki uspokajające. Tej nocy wypił nie więcej niż dwa kieliszki wódki. Nawet tak niewielka ilość alkoholu w połączeniu z tabletkami spowodowała utratę przytomności. Badanie krwi pobranej w 7 Szpitalu Marynarki Wojennej wykazało tylko obecność śladowej ilości alkoholu. Wpisano to do jego zaświadczenia lekarskiego. Zabrałem go ze szpitala prosto na jego kuter rakietowy ORP „Władysławowo”. O godzinie drugiej w nocy zatelefonowałem jeszcze do dowódcy III Flotylli – komandora Kołodziejczyka i zreferowałem krótko sprawę. W odpowiedzi usłyszałem, że nie będzie z tego żadnej sprawy. Po 9 godzinach dowódca zmienił jednak zdanie.

Henryka Grunerta wezwano pilnie do dowództwa flotylli. Myślał naiwnie, że to kolejna odprawa. A tu na jego powitanie zebrał się cały zespół: dowódca, szef sztabu, szef kadr i sekretarz partii. Piotr Kołodziejczyk „zapomniał”, że jeszcze w nocy byli na „ty”: *Obywatelu komandorze, na rozkaz dowódcy Marynarki Wojennej, zawieszam obywatela w pełnieniu obowiązków służbowych.*

Normalnie czułem jak krew odpływa mi z głowy – kontynuuje opowieść kapitan Grunert. Zacząłem machinalnie odpinąć kaburę pistoletu. Zauważył to Czesław Rudzki, bardzo przyzwoity człowiek, mimo iż był zastępcą dowódcy III Flotylli do spraw politycznych. Zaczął mnie uspokajać zapewnieniem, że na pewno wszystko się wyjaśni. Absurdalność tej sytuacji była po prostu powalająca. W hierarchii służbowej oficer, który stracił przytomność na ulicy, nie był nawet bezpośrednio moim podwładnym. Człowiek przewrócił się, zrobili z niego degenerata, a mnie de facto dyscyplinarnie zwolniono po ponad 20 latach nienaganej służby w Marynarce Wojennej. Takie zwolnienie oznaczało też pozbawienie prawa do emerytury. Trafiłem do szpitala na neurologię. Wykryto tam chorobę, uprawniającą do otrzymania emerytury oraz III grupy inwalidzkiej.

Wszystko od nowa

Henryk Grunert zamierzał poszukać pracy w marynarce handlowej. Rozstanie z flotą wojenną nie było łatwe tak z powodu jego zainteresowań, jak i przeszkód, stawianych



przez Wojskową Służbę Wewnętrzną. Przy okazji upokarzających rozmów z szefem kontrwywiadu floty powiedział, że gdyby tak naprawdę chciał uciec na Zachód, to już dawno, gdy był dowódcą ORP „Gdynia” czy ORP „Darłowo”, skierowałby okręt z załadowanymi rakietami i pełną dokumentacją na Bornholm. Wywiad Paktu Północnoatlantyckiego potrafiłby się odwdziżyć za taki prezent. Dopiero w listopadzie 1982 roku uznano, że już nie zdradzi wrogowi żadnych poważniejszych tajemnic wojskowych z powodu długiej przerwy w służbie.

Służbę na statkach handlowych i promach Polskiej Żeglugi Bałtyckiej musiałem rozpocząć od najniższego stopnia jako III oficer pokładowy – mówi łodzianin. Pensje były marne. W latach 1988–2003 pracowałem dla armatorów zagranicznych. Uzyskałem dyplom kapitana żeglugi wielkiej. Sześć lat temu przeszedłem na emeryturę. Starszy syn Krzysztof poszedł dokładnie w moje ślady.

Uzyskał stopień komandora podporucznika. Dowodzi grupą okrętów rakietowych i jednocześnie jest dowódcą ORP „Metalowiec” tj. korwety rakietowej. Młodszy, Wojciech został prywatnym przedsiębiorcą.

Pod koniec 2001 r. Henryk Grunert powrócił na stałe do rodzinnej Łodzi. Został wiceprezesem Stowarzyszenia Byłych Wychowanków III Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki. Zorganizował już parę udanych Złotych Matur w 50-lecie uzyskania świadectwa dojrzałości. Działa w Lidze Morskiej i Rzecznej. Bierze udział w uroczystościach Marynarki Wojennej, niekiedy o smutnym charakterze, gdy opuszcza się banderę na zbędnych kutrach rakietowych, przeznaczonych przedwcześnie na złom.

Włodzimierz Kupisz
– dziennikarz
„Expressu Ilustrowanego”

Zapomniane zasługi Mariana Dienstl-Dąbrowy

Początki Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi



W roku 2009 mija 85 lat istnienia Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi. Tę samorządową instytucję powołano do prezentowania polskiej i zagranicznej sztuki współczesnej. W jej programie znalazła się również działalność wydawnicza i oświatowa, oraz organizacja wystaw plastyki polskiej za granicą. Warto dodać, że w 2005 r. gmach przedwojennej Miejskiej Galerii Sztuki poddano generalnej modernizacji, dzięki której jest to obecnie jeden z najnowocześniejszych pawilonów wystawienniczych w Polsce. Dysponuje salą wykładową, nowoczesnym sprzętem audiowizualnym, zapleczem magazynowym, klimatyzacją i jest przystosowany dla osób niepełnosprawnych.

Miejska Galeria Sztuki powołana została w 1924 r. dzięki staraniom Oddziału Sztuki i Kultury Województwa Łódzkiego oraz ławników z Wydziału Oświaty i Kultury łódzkiego Magistratu. Inicjatywę tę poparli prezydenci miasta – Aleksy Rzewski i Marian Cynarski. Na siedzibę galerii przeznaczono pawilon kawiarni, położony w parku im. Henryka

Sienkiewicza, który zaadaptowano na potrzeby wystawiennicze. Prowadzenie instytucji powierzono Marianowi Dienstl-Dąbrowie, historykowi sztuki i publicyście. Konkurował on z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych „Zachęta” o poprowadzenie łódzkiej galerii. W zamian za dotację w wysokości 8 tys. zł rocznie Dienstl-Dąbrowa zobowiązał się do organizowania wystaw plastycznych, ze szczególnym uwzględnieniem artystów łódzkich oraz do stworzenia kolekcji dzieł sztuki i propagowania szeroko pojętej kultury plastycznej.

Pierwszą wystawę (jeszcze przed zawarciem umowy z miastem na prowadzenie MGS), złożoną z prac malarzy warszawskich i krakowskich, Dienstl-Dąbrowa otworzył w kwietniu 1924 roku, w lokalu Związku Pracowników Miejskich przy ul. Piotrkowskiej 53. Następną łódzka publiczność mogła zobaczyć już w prowizorycznie przystosowanej (na razie tylko w trzech pokojach) siedzibie Miejskiej Galerii Sztuki w parku Sienkiewicza. Był to zbiorowy pokaz prac 44 artystów łódzkich, w którym udział wzięli m.in.: Szczepan Andrzejewski, Franciszek Łubieński, Zenobiusz Poduszko, Roman Radwański, Marceł Sprusiak, Maurycy Trębacz i Stefan Wegner.

Opracowany misternie plan rozbudowy pawilonu zaprojektował architekt miejski – Wiesław Lisowski. Projekt obejmował 2 hale o długości 36 metrów, opatrzone górnym światłem oraz sześć obszernych sal, które miały pomieścić *czytelnie, pracownie, sztuki stosowane itd.* Jednak z uwagi na brak funduszy projekt Lisowskiego nigdy nie został zrealizowany.

Galeria z radiem

Z końcem września, za sumę 28 tys. zł, ukończone zostały prace remontowe w galerii, obejmujące m.in.: zamurowanie portyku, wstawienie okien, naprawę drzwi i posadzek, zainstalowanie pieców. Zbiegły się one z uruchomieniem w Łodzi stacji radiotelegraficznej, dzięki której można było w MGS słuchać audycji radiowych i koncertów. Działał tu bowiem jeden z pierwszych w Łodzi radioaparatów odbiorczych firmy „Marconiophon”, z anteną powietrzną o wysokości 45 m, na montaż której zgodę musiała wyrazić Dyrekcja Poczty i Telegrafów w Warszawie. Radio było wtedy nowością techniczną. Koszty związane z instalacją poniósł Dienstl-Dąbrowa, przeznaczając dziesięć procent wpływów ze słuchania audycji i koncertów muzycznych, odbieranych z Londynu, Berlina, Paryża, Moskwy i Rzymu, na fundusz dla najbiedniejszych mieszkańców miasta.

W prowizorycznie przystosowanym do celów wystawienniczych obiekcie Dienstl-Dąbrowa urządził we wrześniu retrospektywną wystawę malarstwa polskiego XIX wieku, na którą złożyły się 43 prace: Teodora Axentowicza, Józefa Brandta, Juliana Fałata, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Jana Matejki, Alfreda Wieruszkowskiego i innych. Kolekcję tę, szacowaną na 500 tys. zł, oddało w depozyt na trzy miesiące Muzeum Wielkopolskie z Poznania. Otwarcie inauguracyjnej wystawy miało miejsce 30 września. Składał się na nią pokaz prac Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego, na którym dominowały pejzaże oraz prezentacja drzeworytów tatrzańskich i akwarel Władysława Skoczylasa. Poza tym w galerii można było obejrzeć oleje, akwarele, rysunki i projekty scenograficzne łódzianina – Izaaka Lichtensteina. W dziale zdobnictwa – ceramikę, inkrustacje, tłoczone skóry, stylowe hafty polskie, wyroby z kości słoniowej i rzeźby (m.in. Henryka Kuny), natomiast w dziale grafiki – szkice do obrazu *Trzech Króli* Michała Elwiro Andriollego. Uzupełnieniem całości była wystawa kwiatów i roślin przygotowana przez Zarząd Plantacji Miejskich. W uroczystości otwarcia uczestniczyli: dyrektor Departamentu Sztuki w Warszawie – Jan Skotnicki i delegacja



związków artystycznych. Od listopada odbywały się regularnie comiesięczne wystawy indywidualne i zbiorowe, zbliżone charakterem do propozycji wystawienniczych Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych „Zachęta” w Warszawie. Na początku listopada 1924 roku Diensti-Dąbrowa otworzył wystawę Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka” z Krakowa złożoną z 90 obrazów m.in.: Teodora Axentowicza, Władysława Jarockiego, Stanisława Kamockiego, Józefa Mehoffera, Stanisława Nowakowskiego, Franciszka Pautscha, Kazimierza Sichulskiego, Leona Wyczółkowskiego i Wojciecha Weissa oraz wystawę zbiorową Wacława Dyzmańskiego z Warszawy.

Pod koniec roku na wystawie sztuki podhalańskiej, obok przeważających ilościowo krajobrazów tatrzańskich Alfreda Terleckiego, Adama Malickiego, Maksa Hanemana, Stanisława Kamockiego i innych artystów, eksponowane były dwa formistyczne obrazy Rafała Malczewskiego, *Zazdrosny mąż* Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz stylizowane prace Angielki – Wilfrid Cooper.

W połowie marca 1925 roku staraniem dyrektora oraz specjalnie powołanego komitetu pamięci zorganizowana została pośmiertna wystawa prac Franciszka Łubieńskiego (ucznia Matejki i Stanisławskiego), całe życie związanego z Łodzią i wywierającego przemożny wpływ na kształtujące się tu środowisko artystyczne. Współcześni najwyżej cenili jego pejzaże. Wystawa zgromadziła 259 prac obejmujących portrety, martwe natury, akty, sceny historyczne i miejskie.

W kwietniu z ofertą sprzedażną pojawiła się okężna wystawa grafiki polskiej, ciesząca się dużym sukcesem za granicą, na którą składało się 198 rycin 36 autorów. Wysoką wartość artystyczną miały zwłaszcza drzeworyty, akwaforty, litografie i suchoryty takich artystów jak: Konstanty Brandel, Feliks Jabłczyński, Józef Mehoffer, Józef Pankiewicz, Franciszek Siedlecki, Władysław Skoczylas i Leon Wyczółkowski. Latem odwiedzający park Henryka Sienkiewicza natknęli się zapewne na afisz anonujący wystawę dwojga twórców z Krakowa. Była to Barbara Rychter-Janowska – przedstawiająca studia z Włoch, malująca także dwory polskie, ich wnętrza, kościółki, pejzaże i Wincenty Wodzinowski – tworzący sceny alegoryczne, kompozycje religijne,

a przede wszystkim sceny związane z folklorem wsi podkarpackich. W Łodzi artysta zaprezentował monumentalny obraz *Zaduszki w katedrze na Wawelu*, przedstawiający królów i herosów narodowych. Jak doniosła prasa, na wystawie doszło do owacji, *obraz zarzucono pękami kwiatów*. Część wpływów ze sprzedaży biletów dyrektor postanowił ofiarować na zakup obrazu do dekoracji sal sejmu Rzeczypospolitej. Po otwarciu ekspozycji Towarzystwa Artystów Malarzy Warszawskich „Pro Arte”, październikowe wystawy w MGS dopełnił zbiór 170 grafik i 25 obrazów Feliksa Jabłczyńskiego oraz 41 prac Zenobiusza Poduszeko, scenografa Teatru Miejskiego w Łodzi, malującego pejzaże Podola i Wołynia oraz widoki Łodzi i okolic. W listopadzie zagościło w MGS 30 obrazów profesora Państwowej Szkoły Przemysłowej we Lwowie – Kazimierza Sichulskiego oraz 59 obrazów i rysunków Wlastimila Hofmana, ucznia Jacka Malczewskiego. Prace Hofmana to cykl *Madonn*, liryczne portrety dzieci, pejzaże, kompozycje religijne i rodzajowe.

Z okazji gwiazdki 1925 r. na miłośników techniki czekała wystawa radiofoniczna z działem amatorskim, połączona z odczytami oraz zbiorowa prezentacja „Grupy IV” (Marian Puffke, Stanisław Szygell, Leon Michalski, Stanisław Podgórski). W marcu 1926 roku wielkim powodzeniem (ponad 10 tys. zwiedzających) cieszył się pokaz prac Jana Styki i jego synów – Tadeusza i Adama Styków. We wstępie do katalogu wystawy Dienstl-Dąbrowa wysoko ocenił twórczość Jana Styki, który w okresie zaborów, obok Matejki i Grottgera, swą twórczością budził uczucia patriotyczne Polaków. W jednej z małych sal, obok twórczości Styków, zaprezentowano dzieła Romana Radwańskiego, nauczyciela malarstwa i rysunku w łódzkich gimnazjach, prowadzącego także własną szkołę rysunku, w pracowni przy ul. Piotrkowskiej 99.

Jubileusz Maurycego Trębacza

Z okazji 50-lecia pracy artystycznej Maurycego Trębacza w maju 1926 roku odbyła się zbiorowa wystawa 101 obrazów artysty. Należał on do pierwszego pokolenia twórców żydowskich, którzy nie podporządkowali się zakazowi przedstawiania postaci. Artysta ponad 30 lat mieszkał i pracował w Łodzi. W jego malarstwie znaleźć można było, jak pisała Maria Poprzęcka: *Życie intymne i życie światowe. Narodziny, zaręczyny, małżeńskie sprzeczki. Parki, teatry, operetki, café-chantants. Towarzyskie wizyty i potajemne schadzki. Szczęście rodzinne i pokusy półświatka...*, ale także świat pobożnych Żydów, biedoty, szweców, krawców i przekupniów. Wystawę Trębacza uzupełniał pokaz czterech artystek lwowskich: Zofii Albinowskiej-Minkiewicz, Anieli Czarnowskiej, Marii Gawelkiewicz-Chibińskiej i Anny Harland-Zajązkowskiej, działających w Związku Artystek Polskich.

Aby zróżnicować prezentowane dziedziny sztuki, Dienstl-Dąbrowa zaprosił do kolejnej wystawy Stanisława Jagmina, wybitnego projektanta i wytwórcę ceramiki, profesora Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu. Wyroby ceramiczne Jagmina prezentowane były razem z eksperymental-

nymi grafikami Feliksa Jabłczyńskiego, wystawiającego często w salonach Aleksandra Krywulca, Stefana Kuligowskiego i Cezarego Garlińskiego w Warszawie.

Na okres letnich wakacji 1926 r. przypadła wystawa 142 prac 15 artystów krakowskich, członków Cechu „Jednoróg” (Jan Hrynkowski, Jan Rubczak, Wacław Zawadowski, Felicjan Szczęsny Kowarski, Eugeniusz Eibisch, Jerzy Fedkowicz i inni). Ugrupowanie to głosiło ideę „walki o rzetelną formę”, podkreślając rzemieślniczy charakter organizacji. Od września do początku listopada trwała w MGS wystawa mistrzów malarstwa polskiego (Jan Matejko, Artur Grottger, Józef Brandt, Aleksander i Maksymilian Gierymscy, Juliusz i Wojciech Kossakowie, Henryk Siemiradzki, Julian Fałat) oraz zbiorowy pokaz prac Tadeusza Ajdukiewicza i Jacka Malczewskiego, pochodzących ze zbiorów marszanda Abe Gutnajera z Warszawy. W ofercie sprzedażnej znajdowały się także wyroby z brązu (Henryka Glicensteina i Henryka Kuny) oraz rzeźby w drewnie, płaskorzeźby, zegary, kandelabry, puchary i wazony. Miejskowa prasa szeroko rozpisывała się o tym wydarzeniu. W uroczystym otwarciu wystawy uczestniczyli m.in. wicewojewoda – dr Julian Ossoliński, prezydent miasta – Marian Cynarski i naczelnik Wydziału Oświaty i Kultury – Jan Waltratus.

Podobne powodzenie wśród miłośników sztuki zyskała trwająca od 13 do 27 listopada antykwaryczna ekspozycja wnętrz stylowych urządzona przez Dom Sztuki z ul. Chmielnej 5 w Warszawie. Spis katalogowy zawierał 82 obrazy i sztychy, m.in.: Józefa Brandta (*W stepie*), Józefa Chełmońskiego (*Wieczór na Polesiu*), Aleksandra Gierymskiego (*W altanie*), Wojciecha Gersona (*Akt*), Jana Matejki (*Portret żony artysty*), Jana Stanisławskiego – 3 pejzaże, Leona Wyczółkowskiego (*Rybak*), dwa oleje Albani Francesco i olej Camille Pissarro. Wśród 37 mebli znajdowała się szafa holenderska wykładana hebanem (I poł. XVII w.), szafa gdańska jesionowa (XVIII w.), sekretera z drzewa różanego, stoliki, lustra z epoki Ludwika XVI. W dziale ceramiki – 74 wyroby z porcelany saskiej, japońskiej, chińskiej, filiżanki i figury z Miśni, wazony kopenhaskie i belwederskie z XVIII w., najprzeróżniejsze wyroby szklane polskie i czeskie, zegary, kandelabry, żyrandole, patery, puchary, figury z brązu. Wśród wyrobów tkanych Dienstl-Dąbrowa oferował: dywany, kilimy, pasy polskie i słuckie, kapy, opony, serwety perskie. Varia stanowiły m.in.: szable, noże, skóry lampartów i tygrysa. Obok tej handlowej wystawy swoje prace malarskie o tematyce rodzajowej prezentował Karol Wierusz-Kowalski.

Pod koniec 1926 r., korzystając z pomocy łódzkich artystów oraz uznanych twórców sztuki stosowanej, Dienstl-Dąbrowa zaproponował władzom miasta urządzenie wystawy „złego i dobrego smaku”. Był to pokaz wnętrz mieszkalnych na przykładzie wzorowo zaprojektowanych i urządzonych mieszkań: robotnika, inteligenta i przemysłowca.

Od połowy stycznia 1927 roku trwał w galerii pośmiertny pokaz prac Władysława Ślewińskiego, przyjaciela Paula Gauguina, znanego reprezentanta nurtu postimpresjonistycznego. Zwiedzający łódzką galerię mogli obejrzeć 38 obra-

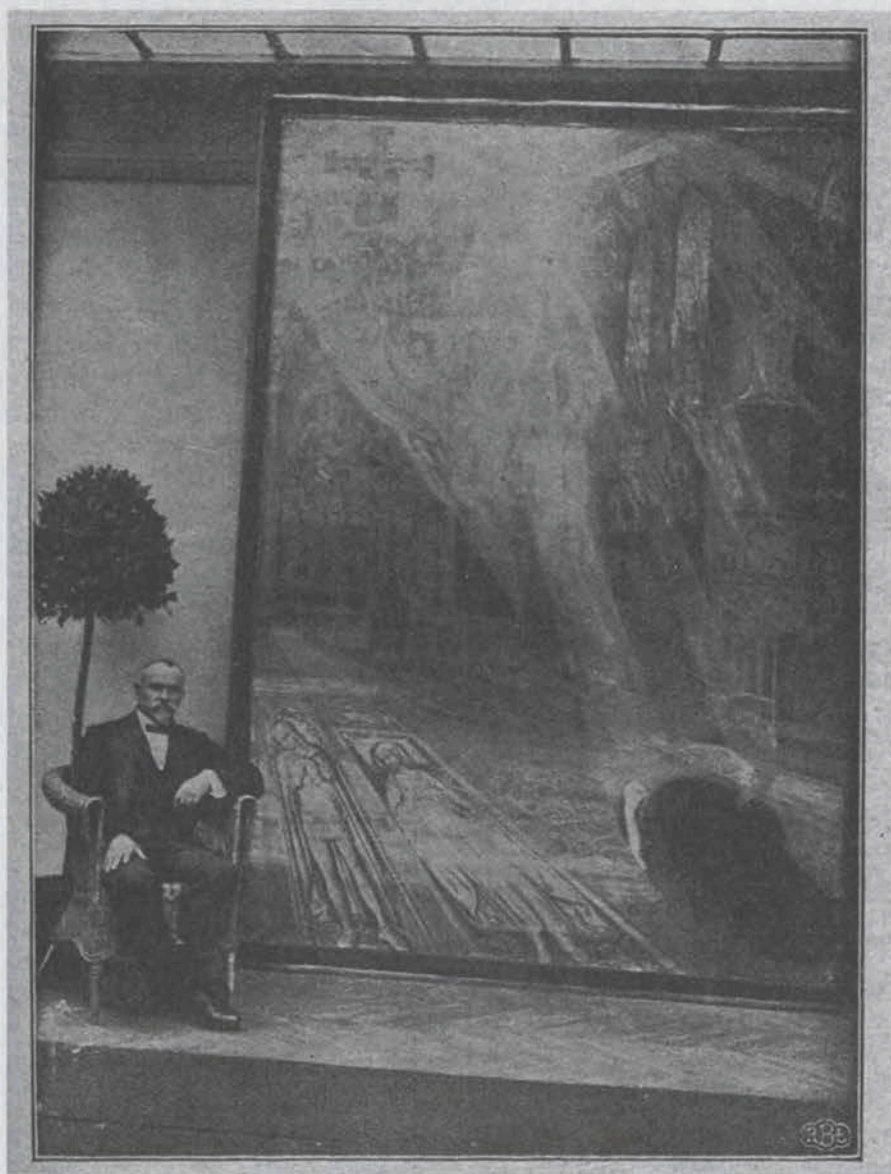
zów mistrza, wśród nich: *Szkice z Zakopanego, Widok z Tatr, Tatry – Giewont, Piaski w Bretanii, Widok morski, Dziewczynę – Bretonkę, Bretończyka i Anemony*. Równolegle trwał pokaz Grupy Poznańskich Artystów „Świt” oraz prac Konstantego Mackiewicza, scenografa Teatru Miejskiego w Łodzi, w którego twórczości odnaleźć można było wpływy kubizmu, futuryzmu i impresjonizmu. Mackiewicz, który od niedawna osiadł w Łodzi, zaprezentował 63 prace, w tym 47 obrazów powstałych w Zakopanem, Lwowie i Odessie. W czasie trwania wystawy doszło do nieprzyjemnego incydentu wywołanego przez uczniów Szkoły Malarstwa i Rysunku Szczepana Andrzejewskiego. Jeden z eksperymentalnych obrazów o tytule *K 17* wydał im się kontrowersyjny. Wezwali Dienstl-Dąbrowę. Andrzejewski spytał go: *Co to jest?! Będący świadkiem tej sceny Mackiewicz odpowiedział: Nic. Więc wy „nic” wystawiacie?!* Zaczęła się ostra wymiana zdań, która epilog znalazła w sądzie.

Pierwsza wystawa fotografii artystycznej

Luty 1927 roku przyniósł prezentację grafiki i jubileuszową wystawę fotografii artystycznych Klubu Miłośników Fotografii w Łodzi. Brały w niej udział pokrewne organizacje z Warszawy, Lwowa, Poznania i Wilna. 42 uczestników pokazu zaprezentowało 351 zdjęć wykonanych m.in. w technice bromowej. Przeważała fotografia krajobrazowa, zdjęcia przedstawiały także postaci i kompozycje kwiatowe. Na czele uczestników znajdował się Jan Bułhak, twórca wielce zasłużony dla fotografii polskiej, zwłaszcza krajo-brazowej. W spisie katalogowym odnaleźć można innych znanych uczestników wystawy – inż. Mariana Dederkę, wykładowcę warszawskiej szkoły fotograficznej, Janusza Kuczyńskiego z Krakowa, Bolesława Gardulskiego, Tadeusza Cypriana, Tadeusza Wań-skiego z Poznania, Adama Lenkiewicza, Józefa Neumana i Witolda Romera z Lwowa oraz Adama Kindermanna, Eugeniusza Grohmana i Ryszarda Kübritza z Łodzi. 201 prac *Z podróży po Palestynie* przedstawił w marcu malarz i rysownik żydowski – Abraham Behrman.

W związku z jubileuszem 40-lecia pracy twórczej profesora Kazimierza Stabrowskiego, Dienstl-Dąbrowa zwrócił się do Wydziału Oświaty i Kultury o zaproszenie do Łodzi zasłużonego dla kultury polskiej jubilata. Powołano Komitet Obywatelski z biskupem Wincentym Tymienieckim, wojewodą Władysławem Jaszczółtem i prezydentem Marianem Cynarskim. Otwarta w kwietniu ekspozycja liczyła 150 prac ułożonych wg następujących grup: „Włochy”, „Morze”, „Mieszkańcy morza”, „Wschodnie”, „Portrety”. Podczas trwania wystawy władze miejskie wyraziły zgodę na zakup płótna artysty pt. *Portret w fantastycznym stroju* za sumę 1500 zł. Udostępniono także dla zwiedzających salę z niewielką ekspozycją akwarel, akwatint, szkiców i batików Wandy Gentil-Tippenhauer, zamieszczającej w łódzkiej prasie recenzje dotyczące wystaw krajowych i zagranicznych.

W maju z okazji jubileuszu 45-lecia pracy zawodowej zorganizowano wystawę Wojciecha Salwy, właściciela dwóch świetnie prosperujących kwia-



ciarni (Narutowicza 27, Moniuszki 2), znanego w Polsce, a nawet za granicą ogrodnika i bukociarza, który wielokrotnie zdobył wyszukany kompozycjami sale wystawowe MGS. Po tej ekspozycji mieszkańcy Łodzi mogli podziwiać portrety kobiet autorstwa współczesnych malarzy: Alfonsa Karpińskiego, Heleny Teodorowicz-Karpowskiej, Józefa Kidonia, Lucjana Jagodzińskiego, Wacława Dobrowolskiego. Towarzyszyły im obrazy o zróżnicowanej tematyce Antoniego Markowskiego ze Lwowa, Wacława Piotrowskiego

i kilka prac Teodora Axentowicza i Jacka Malczewskiego. W sierpniu 2006 roku otwarto reprezentacyjny pokaz grafiki jugosłowiańskiej (180 prac), obejmującej rycinę znanego artysty chorwackiego – Ivana Meštroviča. Wcześniej wystawa ta gościła w TPSP we Lwowie i Krakowie. Jednocześnie z nią wystąpiło Koło Marynistów Polskich, na czele z prezesem Włodzimierzem Nałęczem, z XII wystawą *Polskie morze*.

Na przełomie października i listopada 1927 roku ponownie zagościły obrazy Wlastimila Hofmana z okazji jego jubileuszu. Jak podawał Dziennik Zarządu m. Łodzi *Łódź – pierwsza przed innymi miastami Polski – złożyła hołd ku uczczeniu 25-letniej jego działalności*. Wystawa obejmowała 65 prac, dając możliwość oceny indywidualności artystycznej autora. *Od swego Mistrza Malczewskiego – jak pisał we wstępie do katalogu wystawy Dienstl-Dąbrowa – przejął linearно plastyczną formę wyrażania głębokiej malarskiej treści, owianej zawsze czarem szczerzej poezji i mgłą sentymentalnej zadumy i melancholii*. Pod koniec 1927 r. dyrektor starał się o przeniesienie z Warszawy wystawy sztuki czechosłowackiej, ale z uwagi na odesłanie części eksponatów do Pragi, ekspozycja nie doszła do skutku.

W grudniu Dienstl-Dąbrowa przygotował dużą wystawę łódzkich artystów. Katalog obejmował 206 pozycji, na które składały się m.in. prace członków „Startu” – Samuela Finkelsteina (18), Karola Hillera (19), Natana Szpigla (42). Hiller zaprezentował tempery, grafiki, fotomontaże i rysunki. W pracach tych odnaleźć można było tematykę nowoczesnego przemysłowego miasta oraz motywy działalności robotniczej. Na wystawie znajdowały się także portrety, martwe natury i obrazy religijne autora. Finkelstein pokazał obrazy bliskie tendencjom z pogranicza realizmu i postimpresjonizmu, ograniczające się do tematyki pejzażu, w tym łódzkiego, martwych natur i portretów. Z kolei Natan Szpigiel, w obrazach którego przeważała tematyka społeczna i religijna, obok martwych natur i pejzaży z Kazimierza wyeksponował zdeformowane postaci starców.

„Czwartki literackie”

Oprócz działalności wystawienniczej i łączącej się z nią wydawniczej, Dienstl-Dąbrowa od marca 1925 roku prowadził w MGS szeroko zakrojoną działalność oświatową dla zwiedzających, ustanowił także cenne premie artystyczne. W sali głównej odbywały się odczyty z zakresu literatury, sztuki, estetyki, teatru, zwane „czwartkami literackimi”. Prelegentami byli znani pisarze, artyści, poeci, dziennikarze, krytycy sztuki. Gościli w tym charakterze: Aleksander Bolesław Cypś, Władysław Horbacki, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Cezary Jellenta, Leo Belmont, Juliusz Kaden-Bandrowski, Bruno Winawer, Adam Grzymała-Siedlecki, Leon Duffort, Aleksander Laszenko, Wilhelm Wachtel oraz sam Marian Dienstl-Dąbrowa i inni. „Czwartki literackie” cieszyły się dużym powodzeniem wśród inteligencji łódzkiej, pogłębiały zwłaszcza krąg zainteresowań ludzi młodych. Od 1924 r. działała w galerii bogato zaopatrzona czytelnia czasopism artystycznych (w latach 1925–1926 licząca ok. 100 tytułów) oraz dzienników krajowych i zagranicznych.

To wszystko było niewątpliwą zasługą energicznego dyrektora MGS, który jako wieloletni oficer WP miał duże doświadczenie organizacyjne. Pod jego rządami placówka stała się rzeczywistym, niezbędnym w Łodzi salonem artystycznym i literackim, centrum życia kulturalnego.

Wysoka frekwencja

Do 1927 r. wystawy miały zaskakująco wysoką frekwencję, potwierdzającą potrzebę funkcjonowania takiej placówki w mieście. W roku 1924 odwiedziło ją 26 549 osób, w roku 1926 – 60 283. Znaczny procent odwiedzających łódzką galerię stanowiła młodzież.

W 1927 r. dyrektor sporządził sprawozdanie, w którym wykazał, że subwencja ze strony miasta na prowadzenie galerii była niewystarczająca. Okres od momentu podpisania umowy dzierżawnej był dla niego wielce niekorzystny. „Materialne powodzenie” osiągnął tylko z jednej wystawy – Styków. Lata pracy nie przyniosły mu żadnych zysków, a rok 1927, wskutek spadku frekwencji i zaniku sprzedaży dzieł sztuki, podwoił straty i zmusił do zaciągnięcia pożyczki hipotecznej w wysokości 6 tys. zł w Banku Gospodarstwa Krajowego oraz dodatkowo 3 tys. zł w Banku Spółdzielczym i 3 tys. zł w Kasie Oszczędności w Stryju. Naczelnik Wydziału Oświaty i Kultury w Łodzi przyznał, że wcześniej ustalona kwota nie może pokryć wydatków związanych z funkcjonowaniem galerii. Podniesiono ją jednak nieznacznie (o 4 tys. w roku budżetowym 1927/1928). Po ponownej prośbie Dienstl-Dąbrowy, w marcu 1929 roku (kiedy już o sprawach kultury w Łodzi decydował socjalista Przeclaw Smolik) przysłała odpowiedź odmowna („ze względów zasadniczych”). Zaciągnięte pożyczki nadal obciążały odziedziczoną po ojcu Dienstl-Dąbrowy nieruchomości w Stryju.

W styczniu 1928 roku miał miejsce pośmiertny wernisaż wystawy Mariana Puffke, tworzącego bliskie impresjonizmowi obrazy, prezentowane były też prace Mieczysława Siemińskiego i Alfreda Terleckiego. Przez luty i marzec trwał zbiorowy pokaz prac Artura Markowicza z Krakowa, Józefa Krzyżańskiego z Paryża, Wilhelma Osseckiego z Poznania. Kolekcję tę uzupełniał Antoni Wippel z Łodzi – uczeń Wojciecha Weissa i Juliana Fałata, podczas studiów współpracujący ze Stanisławem Wyspiańskim i Antonim Gramatyką przy polichromiach w krakowskich kościołach. W ofercie sprzedażnej tego malarza znalazły się pejzaże, portrety, martwe natury i kwiaty. W marcu dołączył do tej wystawy Bolesław Szańkowski z Monachium, portrecista koronowanych głów i sfer arystokracji europejskiej. Szańkowski chętnie malował idealizowane portrety pięknych i wytwornych kobiet oraz dzieci. W MGS obok podobizn Haliny z Łabędzkich hr. Rzewuskiej, Michaliny Brodowskiej oraz córki Ady, zwiedzający mogli obejrzeć świetnie namalowany portret Ignacego Paderewskiego. Wspomnieć należy o dużym



historia

pokazuje prace Wojciecha Kossaka, na który złożyły się 44 obrazy olejne, studia koni i szkice. W zorganizowaniu tej prestiżowej prezentacji pomogli prezydent miasta – Bronisław Ziemięcki, Komitet TPSP oraz dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie – Bronisław Gembarzewski. Na wystawie przeważały dwudziestowieczne prace autora. Artysta odtwarzał w nich realia bitewne (bitwa pod Kircholmem, powstanie kościuszkowskie), budził uczucia patriotyczne (*Olszanka*, *Orlęta*, *Chłopicki*), głosił chwałę oręża polskiego (*Ranny ułan*, *Skok parami*, *Zdobycie baterii*), gloryfikował postać Napoleona (*Apoteoza Napoleona*). Można było znaleźć także prace o antyniemieckim wydźwięku złączone w cykl *Duch pruski*. Z tej serii publiczność mogła obejrzeć m.in. *Hold pruski* i *Krzyżaków*. Wśród pokazanych dzieł znalazły się również portrety pędzla Kossaka m.in. córek artysty: Magdaleny Samozwaniec i Marii Pawlikowskiej oraz hr. Tomasza Zamoyskiego i marszałka Ferdynanda Focha. *Jest to niewątpliwie malarz bardzo polski przez swój temperament i rozmach, przez swą brawurę, przez swe umiłowanie życia* – pisał o nim znany krytyk sztuki – Mieczysław Wallis. Wystawa cieszyła się dużym powodzeniem, zwiedziło ją ponad 10,5 tys. osób. Część z nich korzystała z biletów ulgowych (robotnicy, wojskowi, nauczyciele, pracownicy komunalni, urzędnicy państwowi, młodzież szkolna). Zgodnie z decyzją Dienstl-Dąbrowy około 2 tys. osób, podobnie jak

w przypadku wszystkich innych ekspozycji (z uwagi na trudne warunki ekonomiczne), zwiedzała wystawę bezpłatnie.

Drugą z ekspozycji prezentujących sztukę zagraniczną, po jugosłowiańskiej, była przeniesiona z warszawskiej „Zachęty” – *Reprezentacyjna wystawa współczesnej sztuki belgijskiej* (72 obrazy i 22 rzeźby). Na gwiazdkową prezentację dzieł sztuki 1928 r. składały się oferowane w przystępnych cenach prace: Antoniego Brade, Wacława Dobrowolskiego, Laury Dońskiej, Aleksandra Neumana, Romana Radwańskiego, Antoniego Wippla i innych. W połowie grudnia dołączył do nich z obrazami orientalnymi Aleksander Laszenko, absolwent studiów malarskich w Petersburgu, archeolog, etnograf i myśliwy, śledzący prace wykopaliskowe w Egipcie, który w realistycznych rysunkach, szkicach, obrazach i na fotografiach odtwarzał życie, kulturę i obyczaje Egipcjan (*Noc w Tebach, Tancerka, Głowa pasterza, Fatamorgana*). Jego obrazy, jak podawał „Kurier Łódzki”, zdobyły sale pałacowe króla Egiptu – Fuada.

Jednym z najciekawszych pokazów przygotowanych przez Diensl-Dąbrowę w 1929 r. była niewątpliwie pierwsza wystawa „Bractwa św. Łukasza” (Bolesław Cybis, Jan Gotard, Aleksander Jędrzejewski, Eliaz Kanarek, Antoni Michałak, Janusz Podoski, Tadeusz Pruszkowski, Czesław Wdowiszewski, Jan Wydra, Jan Zamoyski). Ugrupowanie to znane było z malowniczego trybu życia na plenerach w Kazimierzu n. Wisłą i pomysłowych ceremonii „wyzwolin”, które obowiązywały w średniowiecznych cechach. Artyści bractwa studiowali dawne techniki malarskie, dużą wagę przywiązując do rzetelności warsztatowej.

Jubileusz w cieniu kryzysu

Z okazji 5-lecia istnienia galerii i 50., jubileuszowej wystawy Diensl-Dąbrowa otworzył w kwietniu 1929 roku ekspozycję prac Edwarda Okunia, reprezentanta nurtu symbolicznego. Znalazło się na niej 38 prac olejnych mistrza w większym formacie, 15 miniatur pejzażowych oraz 17 akwrel i pastel. Obrazy Okunia cechowała wyszukana dekoracyjność i wspaniały warsztat malarski. Z jubileuszową wystawą łączył się katalog z okładką z czerpanego papieru, na której obok złotego logo galerii widniała liczba „50” otoczona w połowie wieńcem laurowym a w połowie dębowym.

Przy okazji jubileuszu galerii Diensl-Dąbrowa zamieścił w katalogu sprawozdanie z wydatków i wpływów galerii z minionych pięciu lat. Wykazał, jak na skutek niedostatecznego finansowania MGS, rosło jej zadłużenie. W 1924 r. deficyt wyniósł ponad 7,5 tys. zł, w roku 1928 już 12,2 tys. zł. Podsumowując swą działalność wystawienniczą, wydawniczą i oświatową, dyrektor galerii napisał: *Pięć lat prób i zmagani wykazało, iż nadal dyrektor nie może ponosić ciężaru utrzymania tej placówki kulturalnej jako jednostka, lecz czynić to musi samo społeczeństwo*. Dodawał także: *Jakakolwiek będzie ocena pięcioletnich zabiegów i dotychczasowej działalności Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi w zakresie rozbudzenia zamiłowania do twórczości plastycznej, śmiem twierdzić, iż instytucja ta stała się dziś żywożą potrzebą i koniecznością*

dla rozwoju intelektualnego życia 600-tysięcznego miasta, a nie jest efemerydą czy luksusem. Przez 1929 r. trwał spór na łamach prasy między Przemysławem Smolikiem a Marianem Dienstl-Dąbrową, dotyczący oceny działalności galerii. Obydwie zwaśnione strony starała się pogodzić redakcja „Sztuk Pięknych”, pisząc: *Pan Dienstl-Dąbrowa ma niewątpliwie duże zasługi w kierunku rozbudzania ruchu artystycznego w Łodzi.*

historia

KATALOG



PIERWSZEJ WYSTAWY
**„BRACTWA”
 ŚW. ŁUKASZA**

ORAZ PRAC N. ABÓWNY I K. WRÓBLEWSKIEGO

MIEJSKA GALERIA SZTUKI w ŁODZI
 STYCZEŃ 1929

Szereg wystaw o większym czy mniejszym poziomie musiał zrobić swoje. Publiczność łódzka zaczęła przywykać do wystaw i niemi się interesować. Praca p. Dienstl-Dąbrowy nie była łatwą, co podkreślamy i jesteśmy dla niej z uznaniem. [...] Miasto, tj. jego Zarząd, musi mieć wpływ na gospodarkę w Miejskiej Galerii Sztuki, będąc właścicielem gmachu i opłacając roczną subwencję. Należy utworzyć jakiś komitet opiekuńczy czy zarządzający tem przedsiębiorstwem, z ramienia którego p. Dienstl-Dąbrowa lub ktoś inny – o tem się nie mówi jeszcze – zarządzałby lokalem. Komitet ten powinien układać program wystaw, dbać o ich poziom...

Na majowo-czerwcowe wystawy składały się prezentacje prac warszawskich artystów – Kazimierza Lasockiego, Wacława Żaboklickiego i Stanisława Zalewskiego. Urządzona staraniem powstałego w styczniu 1929 roku TPSP w Łodzi retrospektywna wystawa mistrzów malarstwa polskiego obejmowała poważną ilość cennych dzieł znajdujących się w posiadaniu łódzkich miłośników sztuki (m.in.: Zygmunta Weyberga – lekarza, Gustawa Geyera – przemysłowca, Władysława Wścieklicy – właściciela drukarni, Adama Ossera – przemysłowca, Abrahama Majera – kupca). Ekspozycja ta wzbudziła poważne zainteresowanie w sferach artystycznych miasta. Kolekcjonerzy ci pokazali obrazy m.in.: Jana Matejki (*Portret córki*), Henryka Siemiradzkiego (*Idylla kapryjska*), Aleksandra Gierymskiego (*Kupiec wenecki*), Józefa Brandta (*Hołd sztandarów*), Józefa Chełmońskiego (*Czaple*), Leona Wyczółkowskiego (*Rybak*), Jacka Malczewskiego (*Autoportret*) i Stanisława Wyspiańskiego (2 portrety dzieci).

Jesienią 1929 roku rozpoczął się wielki kryzys gospodarczy, szczególnie dotkliwy dla przemysłu włókienniczego, z którym związana była większość mieszkańców Łodzi. Wpłynął on negatywnie na sytuację ekonomiczną większości rodzin, bowiem trudności płatnicze wielu zakładów spowodowały zakłócenia wypłat terminowych pensji urzędnikom i robotnikom oraz redukcję etatów i płac. Spadła wtedy znacząco ilość gości odwiedzających MGS oraz osób zainteresowanych zakupami dzieł sztuki. Tym samym zmniejszyły się wpływy do kasy, przeznaczone na funkcjonowanie galerii. Umowa dzierżawna zobowiązywała dyrektora instytucji (poza organizacją wystaw, tworzeniem kolekcji dzieł sztuki) do opłat podatków, kupna opału, opłacania personelu, prelegentów, ubezpieczenia i transportu wystaw, konserwacji eksponatów i reklamy. Brakowało na te wydatki pieniędzy.

W listopadzie otwarty został w MGS pokaz eksponatów samorządu łódzkiego z Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, podsumowującej dokonania pierwszego dziesięciolecia niepodległej Łodzi. Rok 1929 kończyła wystawa zbiorowa 60 prac Bolesława Nawrockiego, w którego twórczości szczególne miejsce zajmował portret. Wśród uwiecznionych przez malarza znanych postaci byli trzej prezydenci Francji, król Włoch – Wiktor Emanuel III, prezydenci RP – Gabriel Narutowicz i Stanisław Wojciechowski oraz wielu wybitnych mężów stanu, a także takich artystów jak: Auguste Rodin, Ignacy Paderewski, Leopold Staff. Na łódzkiej wystawie, obok pejzaży, twórca

zaprezentował kilka portretów znanych łodźian oraz potężną kompozycję symboliczną *Na progu życia*, nagrodzoną złotym medalem na Salonie Paryskim.

W lutym 1930 roku Dienstl-Dąbrowa przeniósł z Warszawy wystawę Teodora Axentowicza, przygotowaną z okazji 50-lecia pracy twórczej artysty. 29 marca przedstawiciele Wydziału Oświaty i Kultury łódzkiego Magistratu dokonali spisu 16 obrazów, znajdujących się w zbiorach MGS. Były to prace: Andriollego (*Portret Modrzejewskiej*), Wodzinowskiego (*Dziewczyzna i Grajek*), Stankiewiczówny (*Stare księgi*), Sichulskiego (*Siejba*), Zawadzkiego (*Portret Szopena*), Stabrowskiego (*Portret mężczyzny*), Rychter-Janowskiej (*Widok włoski i Wnętrze salonu*), Radwańskiego (*Krajobraz*), Łubieńskiego (*Portret muzyka*), Siedleckiego (*Fantazja*), Hirszenberga (*Urania*), Pocięcha (*Chłopi I, Chłopi II*) i Ślewińskiego (*Widok morski*). Zostały one przekazane Muzeum Historii i Sztuki w Łodzi, które w kwietniu uroczystie otworzyło Dział Sztuki w budynku ratusza przy pl. Wolności.

Rozgoryczony dyrektor

Okrężna wystawa Jana, Tadeusza i Adama Styków była ostatnią ekspozycją zorganizowaną przez Mariana Dienstl-Dąbrowę. Osiągnęła duży sukces u publiczności łódzkiej, a wcześniej warszawskiej (podobnie jak w Katowicach, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Gdańsku). Krytyk – Mieczysław Sterling sceptycznie skomentował to wydarzenie, podobnie jak wcześniej Tadeusz Boy-Żeleński. Polemizował z nim profesor Władysław Witwicki, który stanął w obronie wystawy, publikując broszurę pt. *O pewnej psychologii sukcesu* (Warszawa 1930).

1 lipca 1930 roku Wydział Oświaty i Kultury zawiadomił dyrektora galerii, że 30 września „ekspiruje”, czyli wygasa umowa na prowadzenie MGS. Rozgoryczony Dienstl-Dąbrowa, nie rozliczając się z miastem, powrócił do Warszawy. 16 września przedstawiciele miasta przejęli inwentarz MGS. Zadłużonemu dyrektorowi nikt nie podziękował za jego działalność.

Kilka dni później Wydział Oświaty i Kultury skierował do Magistratu m. Łodzi pismo, w którym wniósł o przyjęcie zasady, że MGS nie może być oddana do eksploatacji prywatnemu przedsiębiorcy. Zaproponował połączenie Miejskiej Galerii Sztuki z Miejskim Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów i prowadzenie ich pod wspólnym zarządem, w ramach jednego budżetu. Jednak ostatecznie 25 września 1930 roku, na posiedzeniu Zarządu Miasta, zdecydowano, że MGS przejdzie pod zarząd Wydziału Oświaty i Kultury, który zobowiązany został do opracowania planu wystaw na najbliższe miesiące, we współpracy z istniejącymi w kraju stowarzyszeniami i zrzeszeniami artystów plastyków. W związku z tą decyzją Wydział rozesłał do organizacji artystycznych listy z propozycjami urządzania wystaw w Łodzi. 13 listopada na zaproszenie przewodniczącego WOIK i zarazem ławnika Magistratu – Przeclawa Smolika, przyjechał na rozmowy w tej sprawie prof. Karol Stryjeński z Warszawy, przedstawiciel nowo powołanego Instytutu Propagandy Sztuki.

W następnych tygodniach trwały prace remontowe w galerii związane z naprawą przeciekającego dachu. Po ich zakończeniu, 7 grudnia, doszła do skutku zaplanowana wcześniej przez WOiK prezentacja współczesnej książki i grafiki polskiej zatytułowana *Dziesięciolecie książki polskiej*. Inicjatywę urzędnicy wystawy organizacyjnie wsparło – założone w 1927 r. w Łodzi przez Przeclawa Smolika – Towarzystwo Bibliofilów, którego członkiem zarządu był, interesujący się typografią, Władysław Strzeмиński. W trakcie trwania wystawy, Przeclaw Smolik i Jan Waltratus złożyli wniosek do Magistratu m. Łodzi o przekazanie Instytutowi Propagandy Sztuki w Warszawie z dniem 1 stycznia 1931 roku Miejskiej Galerii Sztuki w dzierżawę.

Wejście Instytutu Propagandy Sztuki

Na posiedzeniu Magistratu, 31 grudnia 1930 roku, odbytym pod przewodnictwem wiceprezydenta Stanisława Rapalskiego, zapadła decyzja w tej sprawie. 12 lutego 1931 roku Rada Miejska zatwierdziła umowę z IPS-em. Odtąd organizatorem wystaw w MGS stał się: „Instytut Propagandy Sztuki pod opieką Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i Spraw Wewnętrznych, Delegatura w Łodzi, Park Sienkiewicza”.

Miasto bez mieszczaństwa

Po 85 latach, które upłynęły od momentu powołania Miejskiej Galerii Sztuki, nadchodzi czas na ocenę przedsięwzięć Mariana Dienstl-Dąbrowy, który zorganizował placówkę i wyznaczył kierunek jej działań w zakresie wystawiennictwa, wydawnictw i pracy oświatowej.



Należy przypomnieć, że dyrektor rozpoczynał pracę w Łodzi zaledwie kilka lat po zakończeniu I wojny światowej. W 1923 r. miała tu miejsce znaczna ilość strajków, będących reakcją na hiperinflację, w kolejnym roku przyszła reforma finansowa Władysława Grabskiego, która doprowadziła do ostrego kryzysu i paniki na rynku wewnętrznym. Ilość zakładów i zatrudnienie w 1925 r. zmniejszyło się w Łodzi o połowę. Po przewrocie majowym gospodarka powoli wychodziła z kryzysu, dzięki sytuacji na świecie i umiejętnemu jej wykorzystaniu przez rząd sanacyjny. Pomyślny okres nie trwał jednak długo. Wielki kryzys gospodarczy z końca 1929 r. spowodował powszechną pauperyzację społeczeństwa.

Marian Dienstl-Dąbrowa, urodził się 1 marca 1882 roku w Przemyślu. Studiował historię sztuki i malarstwo. W 1910 r. założył pierwszy artystyczny teatr lalek (Teatr Kukiełek), scenograf i reżyser operowy (dyrektor teatru W.A. Mozarta). Od 1917 r. w armii gen. Józefa Hallera, najpierw we Francji, potem we Włoszech. Ppłk Wojska Polskiego. W latach 1924–1930 – pierwszy dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi. Publicysta, krytyk artystyczny. Zmarł 30 stycznia 1957 roku w Warszawie.

W myśl podpisanej z Magistratem umowy głównym celem działalności Dienstl-Dąbrowy było przygotowywanie wystaw prezentujących najwybitniejsze ugrupowania i artystów. Dodatkowym zadaniem było zorganizowanie działu składającego się z darów, depozytów i zakupów z funduszy Magistratu. Dyrektor miał także zabiegać o stworzenie funduszu na zakup dzieł sztuki. Jego dochód miały stanowić wpływy z biletów wstępu, z szatni (nigdy ich nie pobierał) i procentowe udziały ze sprzedaży dzieł sztuki. Dienstl-Dąbrowa zapewne pragnął sprostać tym zadaniom. Zamierzał prezentować sztukę polską i zagraniczną, także najnowsze jej kierunki i tendencje nie dyskredytując żadnych ugrupowań. Ale Łódź nie miała tradycji mieszczańskich, była miastem młodym. Olbrzymią większość mieszkańców stanowili robotnicy. Wielu z nich było analfabetami. Warstwa inteligencji w 1931 r. sięgała zaledwie 9,6% ogółu mieszkańców, a burżuazji – 2,1%. W mieście do tej pory nikt nie przywiązywał należytej uwagi do edukacji plastycznej. Toteż większość osób, nie mając odpowiedniego przygotowania do odbioru sztuki nowoczesnej, bardziej była zainteresowana sztuką dawną, przedstawiającą i uznaną, o czym świadczyło dobitnie powodzenie wystaw mistrzów malarstwa polskiego XIX w., Towarzystwa „Sztuka” z Krakowa, wewnątrz stylowych oraz takich twórców jak: Wojciech Kossak, rodzina Styków, Hofman, Szańkowski, Laszenko, Łubieński i innych. Kupujących raczej nie interesowały nowinki w sztuce.

Przy niewielkiej subwencji, licząc się z uwarunkowaniami łódzkimi, Dienstl-Dąbrowa jako dzierżawca musiał przygotowywać wystawy zbliżone do tradycyjnych prezentacji znanych z działalnością ówczesnego TPSP w Warszawie, Poznaniu, Krakowie i Lwowie. Taka działalność narażała go na krytykę progresyw-

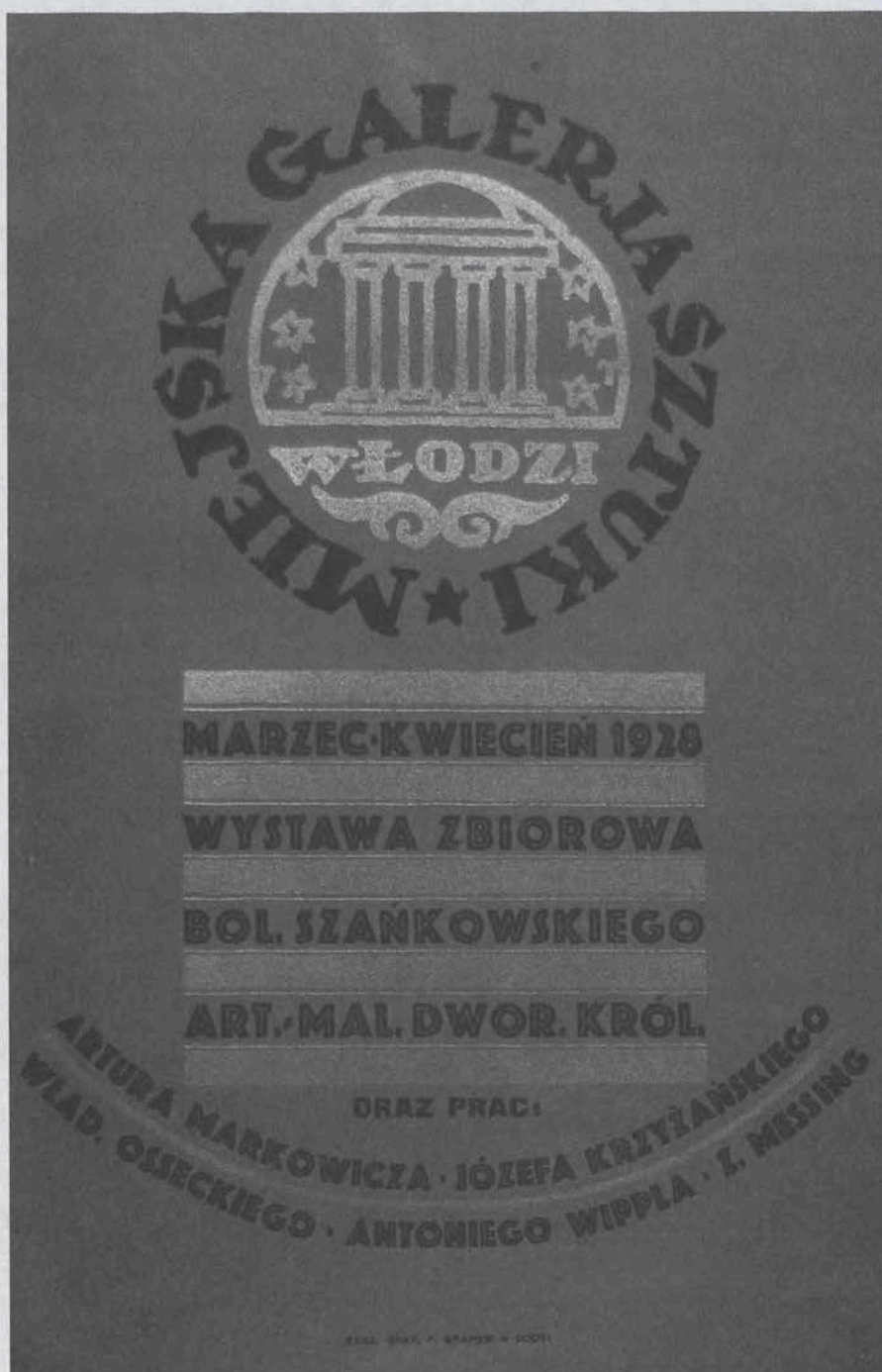
nie myślących publicystów, m.in. Witolda Wandurskiego (na łamach „Wiadomości Literackich”), Stefana Wegnera i Przeclawa Smolika, którzy zarzucali mu komercyjne nastawienie, wystawiane „dyletantów” i stwarzanie dla części malarzy łódzkich zbyt wysokich progów. W roku 1923 związany z ruchem komunistycznym Wandurski na łamach „Republiki” dość dokładnie wyłuszczył powody, dla których – według niego – Łódź mogła stać się centrum sztuki nowoczesnej: *Obecnie chodzi nam o podkreślenie faktu, że Łódź jest miastem odrębnym, i że jako centrum przemysłowe, jako ogromny zbiornik mas pracujących, ma wszelkie dane stać się ośrodkiem Nowej Sztuki, sztuki konstrukcyjno-maszynistycznej. Brak tradycji kulturalnych może w tym paradoksalnym mieście przyczynić się właśnie do ułatwienia propagandy rzeczy nowoczesnych, żywych, bezpośrednio z podłoża tętniącej pracą codzienności powstałych.*

Dyrektor zwiększonego ryzyka

Pomimo wielu przeciwności, Dienstl-Dąbrowa nie zrażał się, angażował czas, własne środki finansowe, wykorzystywał osobiste kontakty, by organizować ekspozycje coraz to nowych twórców, tych uznanych, jak i tych, którzy w dziedzinie plastyki stawiali pierwsze kroki (m.in. łódzkich studentów krakowskiej ASP). Zdawał sobie sprawę z tego, że ma poparcie wielu obywateli miasta. Najwięcej przygotował wystaw indywidualnych, często syntetycznych przeglądów twórczości poszczególnych artystów. Pokazywał cykle tematyczne i prace z wybranych okresów ich artystycznej działalności. W hołdzie zmarłym urządzał pośmiertne pokazy ich dorobku twórczego. Starał się wystawiać prace wszystkich czynnych artystycznie łódzian. Na wystawach ugrupowań, stowarzyszeń i związków twórczych prezentował prace z różnych stron kraju, artystów preferujących najrozmaitsze zjawiska w ówczesnej sztuce polskiej. Urozmaiceniem charakteru pokazów były ekspozycje związane z architekturą wnętrz, sztuką dekoracyjną, a także z nowinkami medialnymi, jak radiotechnika, nauka esperanta itp. Większości ekspozycji towarzyszyły starannie wydane foldery i katalogi, niektóre z reprodukcjami prac i wstępami, które dodatkowo popularyzowały sztukę. Reklamę wystaw dyrektor umieszczał w cotygodniowym dodatku do „Kuriera Łódzkiego” – „Łodzi w Ilustracji”. Można w nim było spotkać reprodukcje malarstwa, grafik, rzeźb, fragmenty ekspozycji oraz zdjęcia wystawiających twórców. Codzienna prasa informowała mieszkańców Łodzi o odbywających się wystawach, spotkaniach z plastykami, literatami, historykami sztuki, krytykami teatru i dziennikarzami w ramach tzw. „czwartków literackich”, zamieszczała recenzje z tych spotkań. Oryginalne dzieła sztuki były premiami dla odwiedzających galerię – posiadaczy rocznych biletów wstępu i wykupujących normalne bilety na niektóre bieżące wystawy.

Nie jedź pan do Łodzi...

Zgodnie z umową zawartą z Magistratem Dienstl-Dąbrowa starał się stworzyć zbiór dzieł sztuki, który byłby własnością Łodzi. Pomoc finansowa ze strony miasta była jednak



niewystarczająca i pomimo dobrego rozeznania w bieżącej twórczości artystycznej dyrektor galerii nie mógł zgromadzić znaczącego zbioru. Szesnaście obrazów autorstwa: Michała Elwiro Andriollego, Samuela Hirszenberga, Franciszka Łubieńskiego, Romana Radwańskiego, Kazimierza Stabrowskiego, Kazimierza Sichulskiego, Władysława Ślewińskiego i innych twórców urzędnicy miejscy uznali za niewystarczającą kolekcję. Z drugiej zaś strony trudno było stworzyć dyrektorowi specjalny fundusz na zakup dzieł sztuki w tak niekorzystnej dla miasta i jej mieszkańców sytuacji ekonomicznej. Z wyjątkiem Stanisława Silbersteina i Adama Watenberga zawiedli ofiarodawcy dzieł sztuki, na których liczył Magistrat.

Z perspektywy czasu nie wydaje się, by sprzyjający grupie „Start” – Przemysław Smolik sprawiedliwie ocenił wysiłki Dienstl-Dąbrowy i chciał mu pomóc. Redakcja „Sztuk Pięknych” podpowiadała możliwości zakończenia sporu, nie zostały one jednak wprowadzone w życie. Marian Dienstl-Dąbrowa opuszczał Łódź, mając przeświadczenie, że został skrzywdzony, że jego praca oświatowa i wystawiennicza nie zostały należycie docenione przez decydentów. W uszach dyrektora galerii brzmiały zapewne przestrogi Zygmunta Bartkiewicza, autora *Złego miasta*, który przed wyjazdem Mariana Dienstl-Dąbrowy z Warszawy mówił: *Nie jedź pan do Łodzi, stracisz, co posiadasz, a w zamian zyskasz sławę i uznanie*. Przez długi czas ciągnęła się za pierwszym dyrektorem MGS zła opinia, powtarzana bezkrytycznie m.in. przez dyrektora Muzeum Sztuki – Mariana Minicha, niemająca należytego uzasadnienia. W największej jednak mierze zaszkodził dyrektorowi Przemysław Smolik, oceniający negatywnie działalność Dienstl-Dąbrowy, a nie znajdując czasu przez ponad rok swego urzędowania, by odwiedzić MGS. Na spór merytoryczny nałożył się spór polityczny. Obaj panowie reprezentowali dwa różne światopoglądy, dwie odmienne wizje Polski. Marian Dienstl-Dąbrowa był konserwatystą, Przemysław Smolik – jak już wcześniej wspomniano – socjalistą, członkiem PPS o długim stażu partyjnym. Nie można jednak zapomnieć o zasługach tego twórcy pierwszej w Łodzi samorządowej galerii, przeznaczonej do upowszechniania szeroko rozumianej twórczości plastycznej. Nie były to bowiem zasługi małe ani warte zlekceważenia.

Irena Jaworska

– pracownica Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Fot. ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

historia

z cyklu: czarne dziury, białe plamy

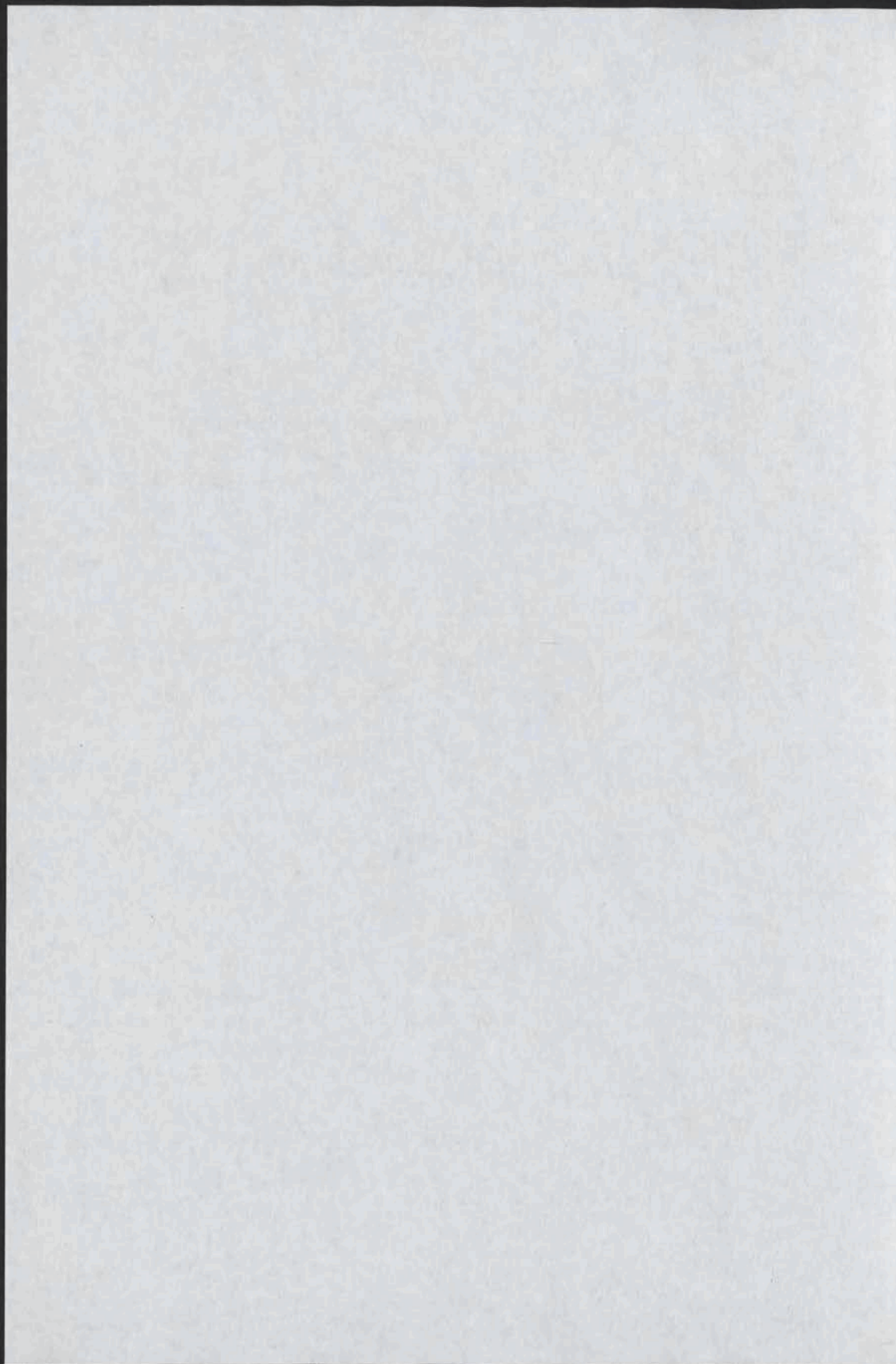


Przeszedłem przez Litzmannstadt Ghetto

Marek Bleiweiss – wspomina

Marcin Kieruzel

str. 145



Przeszedłem przez Litzmannstadt Ghetto

Marek Bleiweiss – wspomina

Jednym z Ocalałych, uczestniczącym w uroczystościach 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto był Marek Bleiweiss z Izraela. Ten 85-letni rodowity Łódzianin dobrze pamięta swój pobyt w getcie i sploty różnych okoliczności, które pozwoliły mu przeżyć. Jego opowieść jest na tyle ciekawa i oryginalna, że warto ją opublikować.

* * *

Urodziłem się 11 sierpnia 1924 roku, w żydowskiej rodzinie religijnej. Rodzice zajmowali się handlem, mieli sprzedaż hurtową towarów kolonialnych. Chodziłem do prywatnej szkoły żydowskiej, uznanej przez rząd za oficjalną szkołę, w której nauczano przedmiotów świeckich i religijnych. To był jednocześnie cheder – Gerszon Elie Lisa i szkoła państwowa. Uczyłem się do 1938 roku. Kiedy skończyłem pierwszą klasę gimnazjalną, otworzono w Otwocku żydowską szkołę handlową z internatem. Przeniósłem się tam i uczyłem się w tej szkole jakieś osiem miesięcy, do czerwca 39 roku. W czerwcu przyjechałem do domu na wakacje. Miałem 15 lat, ale wszyscy już czuliśmy, że wojna się zbliża.

Byliśmy w Wiśniowej Górze koła Andrzejowa; to było miejsce, gdzie religijni Żydzi przyjeżdżali spędzać lato i stamtąd właściwie wojna zabrała nas z powrotem do Łodzi. Wybuchła oczywiście wielka panika i zaczęło się bombardowanie. To było pierwszego września. Nastąpiła panika, a ludzie zaczęli gromadzić żywność. Czuliśmy, że Niemcy zbliżają się do miasta.

[...] Póki gestapo nie przyjechało, wojsko niemieckie zachowywało się normalnie, odnosili się do obywateli całkiem przyzwoicie; nie czuliśmy, żeby było coś przeciwko Żydom specjalnie ukartowane. Taka sytuacja trwała przez pierwsze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach Niemcy nagle zaczęli łapać Żydów, chodzili po mieszkaniach, zaczęli zabierać Żydów na przymusowe prace w Łodzi. Właśnie na Starym Rynku robiliśmy okopy. Z dnia na dzień było jednak coraz gorzej i ludzie – Żydzi nie wiedzieli, co zrobić, dokąd wyjechać. Część od razu wyruszyła do Warszawy, szybko jednak wracali nie dotarłszy na miejsce.

Myśmy nie wyruszyli. Ci, którzy nie mieli żadnych interesów, majątków, zobowiązań gospodarczych, próbowali przejść na rosyjską stronę, przecież

historia – czarne dziury, białe plamy



Rosjanie zajęli już wtedy Wilno. My jednak, mając wielkie składy, myśleliśmy, że to wszystko może się zmarnować. Prócz tego, do dzisiejszego dnia nie mogę tego zapomnieć, że jedyna stacja zagraniczna, która nadawała wtedy po polsku, to było BBC. I właśnie oni dołożyli się do tego, że mniej Żydów starano się przejść na rosyjską stronę, bo dawali nadzieję, że ta wojna potrwa nie więcej niż kilka miesięcy, bo wtedy Francja i Anglia wymówią już Niemcom wojnę.

Ale stało się inaczej i właściwie robiło się coraz gorzej; musieliśmy już nosić złote opaski i nie można było chodzić po ulicy bezpiecznie, bo każdy Niemiec, który przechodził ulicą – po prostu uderzył, kopnął bez powodu. Szczególnie Żydów brodatych z pejsami Niemcy poniżali, obcinali im brody, pejsy. I też strzelali do ludzi bez żadnego powodu. Pamiętam pierwsze moje wrażenie; to było wieczorem, było już ciemno, mieszkaliśmy na Starym Rynku pod numerem 4, z naszych okien widać było ulicę Nad Łódką – to była taka aleja, były tam drzewa, ławki. Nagle słyszymy okropne krzyki, podeszliśmy do okna i widzimy, że dwaj żołnierze zatrzymali Żyda z brodą i on z wielkiego strachu doznał szoku, krzyczał bez końca. Niemcy starali się go uspokoić, ale bez skutku. Więc po prostu zastrzelili go na miejscu.

Nie wiedzieliśmy, co z sobą robić. Mieliśmy rodzinę, to była rodzina mamy. Była to wielka rodzina – ośmioro dzieci i mnóstwo wnuków. Moim zdaniem, liczyła jakieś 70–80 osób. Uwierzyli, że w Warszawie jest większa szansa, by się uratować, opuścili wszystko, a żeby wówczas pojechać do Warszawy, trzeba było mieć dużo pieniędzy, bo już nie było komunikacji oficjalnej. Musieli wynająć taksówki... W każdym bądź razie wyjechali do Warszawy. I nie został po nich nawet ślad.

Ucieczka do Skierniewic

My postanowiliśmy zostać w Łodzi. Ojciec stwierdził: *Jesteśmy okrążeni i nic nam już nie pomoże, lepiej więc zostać w domu*. Na początku 1940 roku, w styczniu, ogłosili, że będzie getto, że trzeba będzie pójść do getta, termin był do 1 kwietnia tegoż roku. Zanim jednak Niemcy wydali rozporządzenie o konieczności przeniesienia się do getta, pojawiła się szansa wydostania się z Łodzi. Mieliśmy klientów w Skierniewicach i jeden z nich dzwonił do nas i radził, żeby zabrać droższe rzeczy i część rodziny i przenieść się do niego. Mówił, że słyszy, co się dzieje w Łodzi i uważał, że w Skierniewicach atmosfera jest o wiele lepsza. Trzeba wiedzieć, że Łódź została od razu dołączona do Rzeszy, a Skierniewice to była Generalna Gubernia. Tam w Skierniewicach mieszkał jeden folksdojcz – „dobry Niemiec”, który zbudował nowy dom, jeszcze nie całkiem wykończony. A był w przyjaźni z naszym klientem, który przyrzekł nam, że ten Niemiec da nam mieszkanie u siebie. I doprawdy zapakowaliśmy wszystkie drogocenne rzeczy, futra, kryształ w takie wielkie skrzynie i pojechaliśmy tam; ja, mama i siostrzyczka. Ojciec i mój starszy brat zostali w Łodzi. I rzeczywiście, w Skierniewicach można było chodzić po ulicy bez strachu. Byliśmy tam dwa miesiące, w międzyczasie skrzynie oddaliśmy gospodarzowi, który twierdził, że u niego będzie najbezpieczniej. W marcu ogłoszono jednak, że już na pewno zamykają getto w Łodzi; postanowiliśmy więc, że wracamy. Nie było sensu, żeby część rodziny została w Łodzi, a część w Skierniewicach. Daliśmy znać naszemu gospodarzowi o decyzji... wynajęliśmy ciężarówkę, zabraliśmy dobytek i wróciliśmy. W Łodzi otworzyliśmy skrzynię i okazało się, że zostały w niej same szmaty i połamane szkła. Taki to był „dobry” Niemiec.

Odbieranie majątku

Zaczął się getto – każdy, kto chciał dostać przydział jedzenia, musiał pracować. Stworzyły się produkcyjne resorty. Niemcy razem z Rumkowskim, bo Rumkowski współpracował z Niemcami i wcale nie był lepszy od nich. Fabryki w getcie produkowały odzież niemieckiego wojska i inne rzeczy. Mnie wzięli do resortu metalowego, do kuźni, do kowali. Tam pracowaliśmy. Dostaliśmy przydział; to było mniej więcej 200 g chleba dziennie, 100 g cukru na tydzień oraz trochę kartofli, kiedy były. Zaczął się głód, prawdziwy głód. Ludzie zaczęli puchnąć z głodu i umierać. Próbowano się zdobyć jakąś łączność za drutami, ale w Łodzi prawie już nie było Polaków, zostali sami folksdojcz. Dwóch z naszych – a byliśmy młodzieżą zorganizowaną – próbowało wyjść na zewnątrz za druty, zostali zabici na miejscu. Co było jeszcze bardzo niebezpieczne w getcie to to, że otworzyło się przy kościele na ul. Zgierskiej, na plebani gestapo – kripo – kryminal polizai. Oni mieli za zadanie wynajdywanie ukrytych żydowskich majątków; kiedy się dowiadawali, że była jakaś rodzina żydowska, która była bogatsza, to od razu wzywali ją na kripo. Mój ojciec był jednym z pierwszych – dlatego, że mieszkaliśmy na Starym Rynku, na terenie getta. Nie przenieśliśmy się – było więc łatwo nas znaleźć. Ci, co przybyli z miasta, zostali rozproszeni po całym getcie.

Mojego ojca zabrano i trzymano go cztery tygodnie. On za każdym razem wydawał część majątku, ale po tym, kiedy już prawie nic nie zostało, doszedł do wniosku, że im więcej będzie dawał tym więcej będzie torturowany i przestał dawać... i wtedy został tak pobity, że ledwie pozostał przy życiu. Wynieśliśmy go na noszach stamtąd i długo trwało, kiedy znów zaczął chodzić, a był człowiekiem wcześniej zdrowym i bardzo silnym. W 1942 r. to się zaczęło. Wzięli wszystkich – a kiedy wzięli już wszystkich, zaczęli brać jeszcze raz tych samych. Przyszli do nas, ojca nie było, więc zabrali wtedy mnie i trzymali tydzień czasu. Codziennie dostawałem bardzo silne bicie. Ten folksdojcz nazywał się Goligowski, a naczelnikiem kripo był Niemiec z Aleksandrowa. On był bardzo zaprzyjaźniony z Żydami przed wojną, tak że nie można było rozpoznać, że to nie Żyd, mówił nawet w języku żydowskim. Mówił do mnie: *Twój ojciec już tu był... W waszej biblii napisano – a znał dobrze religię – że trzeba majątek podzielić na trzy części: jedną w pieniądzach, jedną w nieruchomości, jedną w ziemi. Czyli kupować ziemię... ale po żydowsku to wychodzi tak, że to nie znaczy kupować ziemię, ale zakopać majątek w ziemi.* Mówił ten Niemiec dalej: *Pieniądze ojciec dał, nieruchomości Żydzi nie mają, a ja chcę – a mówił do mnie po żydowsku – żebyś mi dał to, co zakopaliście w ziemi.* Mówię – wszystko, co było zakopane też dostaliście i nic nie mamy... Tam był taki piec kaflowy, na tym piecu wisały różnej grubości kije. Ten Goligowski zdjął taki średniej grubości kij, kazał mi klęknąć i uderzył mnie siedem razy. Upadłem i nie mogłem wstać, on mnie podniósł. Ten Niemiec z Aleksandrowa nazywał się Sute. Kiedy ojciec się dowiedział, że tam jestem, od razu się stawił. W kripo już wiedzieli, że majątków nie ma, ale wiedzieli też, że ludzie niegdyś zamożni, mają jakieś tam jeszcze pieniądze. Po prostu wyznaczili więc sumę – jeśli zapłacisz tyle, to cię zwalniamy. No i jakoś trzeba był tę sumę zdobyć. W każdym bądź razie, tata był tam cztery razy, mama była dwa razy, wujek – nasz współnik – był trzy razy i ja byłem raz. Tak nas męczyli, żeby zabrać cały majątek.

Najgorszy był jednak głód w getcie. Ludzie umierali, codziennie zbierało się umarłych z ulicy. A z miasteczek dookoła, jak Pabianice, Brzeziny, Zgierz, kiedy likwidowano tam getta, przywożono do Łodzi resztki, żeby zapełnić getto i zapewnić ręce do pracy. Także do 1941 r. liczba ludności w getcie się nie zmniejszała.

Jesienią 1941 roku przybyli niemieccy Żydzi, którzy do tego czasu znajdowali się jeszcze głównie w Berlinie i również w dużej liczbie w Pradze. To byli ludzie nazywani przez Niemców *nytlisie juden* – czyli ludzie, którzy przynoszą korzyść swoją pracą. Byli to Żydzi, którzy zajmowali towarzyską pozycję, byli potrzebni. Himmler o tym nie wiedział, a było ich w Berlinie ponad dwa tys. i w Pradze może trochę mniej. W każdym bądź razie, kiedy Himmler się dowiedział, kazał wszystkich wynieść do getta Litzmannstadt. I kiedy my powoli wsiąkaliśmy w tę biedę – oni zostali rzućeni z samej góry, z relatywnie godziwych warunków życia na samo dno, i bardzo szybko wykańczali się.

Mój ojciec był bardzo obrotnym człowiekiem. Kiedy nasz skład towarów opróżnił się, znalazł inny sposób na przetrwanie – przebiegały tam rury z gazem – problemem w getcie był brak paliwa – my więc z wielkim narażeniem życia

wynajęliśmy ślusarza, który otworzył te rury i zrobił tam kran. Otworzyliśmy kawiarnię – Rumkowski nam na to pozwolił, nawet był zadowolony, że się otwiera w getcie kawiarnia. Mieliśmy takie dwa ogromne kotły po 150 litrów i w nocy zapalaliśmy gaz. Instalacja była zbudowana tak, że z kranu ciągnęła się rura do pieca, który właściwie był tylko ceglaną podstawką pod garnek, pod którą palił się gazowy płomień. W ten sposób gotowaliśmy kawę, właściwie namiastkę kawy. Ludzie, którzy nie mieli opału, żeby gotować cokolwiek, a przy okazji ogrzać się, przychodzili rano i kupowali na wynos tę gotowaną kawę. Oczywiście cukru nie było, kupowało się słodziki – kupowało lub szmuglowało. Dlaczego o tym wspominam? Bo ci Żydzi, którzy przyjeżdżali z Niemiec i Czech, przychodzili do naszej kawiarni, pili kawę i widziało się, jak z dnia na dzień oni zanikają. Nie trwało to – moim zdaniem – dłużej niż trzy, cztery miesiące, ale prawie nikt z nich nie został, poumierali bardzo szybko.

„Szpery” i apatia

Zaczął się okres wysiedleń; to się zaczęło w 1942 roku. Niemcy po prostu żądali od administracji getta, od Hansa Biebow, żeby im dostawić Żydów do obozów – po prostu na zagładę. To się nazywało, że biorą tych niezdolnych do pracy, którzy nie są produktywni. Robili po prostu „szperę”. Wtedy nie wychodziło się w ogóle z domu przez dwa–trzy dni. Niemcy chodzili z podwórka na podwórko, w grupach po czterech takich silnych, zdrowych esesmanów z rewolwerami w rękę. Kiedy wchodzili na podwórko, wtedy żydowscy policjanci wołali głośno wszystkich, żeby opuszczali mieszkania. Oczywiście, że ludzie się chowali. Ci, co wiedzieli, że mogą ich wziąć, próbowali się ukryć. Niemcy brali wszystkich. Myślę, że po prostu mieli określoną liczbę ludzi, których mieli zabrać z danego budynku i kiedy zebrali taką liczbę, zadawali się, a reszcie kazali wracać do mieszkań. Ale kiedy wchodziliśmy z powrotem na schody, oni po prostu strzelali za nami i ludzie spadali ze schodów martwi, a oni śmiali się w głos. Było kilka takich „szper” i była też tak zwana „wielka szpera”. Wtedy Rumkowski zwołał zebranie całego getta i przemawiał, że Niemcy żądają, żeby im oddać dzieci. Jak oddamy dzieci, to my się uratujemy. On stał i przemawiał, i przekonywał ludzi, żeby oddali dzieci. Ludzie nie chcieli i wtedy była właśnie „wielka szpera”. Trwała zdaje się 10 dni, kiedy Niemcy szukali dzieci, chodzili z domu do domu, wchodzili do mieszkań, strzelali i zabijali. Wtedy wywieźli z getta za jednym razem 10 tys. ludzi. Ludzie byli już wtedy zupełnie obojętni, już się nie bronili, większość była w takim stanie fizycznym, że było im wszystko jedno czy zostaną w getcie czy wyjadą gdzieś indziej, szczególnie jeśli im wmawiano, że pojadą do pracy. I rzeczywiście mała część wtedy została zabrana na roboty do Poznania, kilkaset ludzi dosłownie, z których zresztą i tak nikt nie przeżył wojny. Jakkolwiek dostaliśmy od nich listy z Poznania, że tam pracują i żyją.

W 1944 roku po powstaniu warszawskim Niemcy postanowili zlikwidować getto, Biebow bał się, że po powstaniu w getcie warszawskim, w Łodzi może wybuchnąć podobne, za które odpowiedzialność spadnie na niego. Bo on był tym,

który nalegał na przedłużenie działalności getta, widząc w nim korzyść gospodarczą dla Niemców. Biebow w sierpniu 1944 roku zaczął chodzić od fabryki do fabryki, z resortu do resortu i wszędzie przysięgał na swoje oficerskie słowo, że nic nam się nie stanie, że pojedziemy do Niemiec, bo brakuje tam pracowników i będziemy mieć tam cudowne warunki. Nikt się nie dał przekonać, oczywiście. Ci, co byli obojętni, w ogóle nie chodzili nigdzie, czekali w domach aż ich zabiorą. Kiedy Niemcy wiedzieli już, że ludzie się nie stawiają do transportów, to wymyślili taki plan, żeby podzielić getto na cztery części i ewakuować te części po kolei, ścieśniając pozostałych na coraz mniejszym obszarze, który mogli kontrolować.

Wtedy Niemcy nie strzelali już, można było nawet, kiedy się zostało złapanym, próbować uciekać, choć nie było gdzie. Jedynie za powrót do ewakuowanej części groziła bezwzględna kara śmierci. Bardzo dużo wojska zebrało się podczas ewakuacji. Niemcy rzeczywiście bali się powstania i tak trwało to do połowy sierpnia 1944 roku, kiedy ogłosili, że kto się nie stawi do końca miesiąca – zostanie zabity. Ale my nie stawiliśmy się. Ja byłem wtedy w takiej młodzieżowej organizacji gettowej, razem postanowiliśmy się schować. Znaleźliśmy jakiś schowek w fabryce, gdzie była piwnica, w której można się było ukryć. Zanim jednak dotarliśmy do niej, okazało się, że Niemcy już tam na nas czekali. Ale jakoś uciekliśmy i chowaliśmy się aż do ostatniego dnia, do 29 sierpnia – ja i mój przyjaciel. O rodzicach natomiast, moim starszym bracie i młodszej siostrzyczce wiedziałem, że też się ukrywają, ale nie wiedziałem gdzie. Ja z moim kolegą nie byliśmy w stanie się schować i siedzieć na miejscu beczynnym, więc wędrowaliśmy stale, jakoś omijaliśmy Niemców, uciekaliśmy też nie raz. Ale 29 sierpnia wiedzieliśmy już, że jest koniec, że musimy się stawić. Już wtedy wiedzieliśmy, że jedziemy do Auschwitz, ale nawet wówczas nie przypuszczaliśmy, że tam się zabija. Myślało się, że to jest ciężki obóz, że się pracuje. Ale że się gazuje, że jest krematorium, że się spala ludzi – nie wierzyliśmy.

Łut szczęścia w Auschwitz

Kiedy pierwsze wagony wyjechały ze stacji Radegast, umówiliśmy się z tymi, którzy pierwsi mieli być wywiezieni, żeby – kiedy przyjadą na ostatnie miejsce – włożyli kartki w szpary tych wagonów. Po dniu, kiedy te wagony wróciły, kartki mówiły „Auschwitz”. Byliśmy pewni, że wszyscy jedziemy do Oświęcimia. Rodziców moich nie znalazłem i myślałem, że oni zostali złapani i wywiezieni gdzieś wcześniej. Kiedy 30 sierpnia przyjechaliśmy do Oświęcimia, okazało się, że w wagonie obok była też moja rodzina. I kiedy wyszliśmy z tych wagonów, kobiety od razu oddzielili od nas na rampie, nie wiedzieliśmy, dokąd one idą. My, mężczyźni ustawiliśmy się w jednym rzędzie, dookoła było pełno żołnierzy. Na końcu rampy stał oficer SS, mógł to być sam dr Mengele. Stał, trzymając rękę ugiętą w łokciu i podpartą na drugiej ręce, kciukiem wskazując kierunek przechodzącym. Ojciec i wujek szli z przodu, potem mój brat i ja. Oni dwaj – ojciec i wujek – poszli na prawą stronę. Pamiętam jeszcze jak ojciec odchodził i tylko się od-

wrócił zobaczyć, że my idziemy na przeciwną stronę. Odwrócił się jeden raz i tak poszli razem ramię przy ramieniu. On z moim wujkiem. I tak samo widocznie moja matka i siostrzyczka, bo tylko my z bratem przeszliśmy tę selekcję.

Po selekcji rozpoczęła się gehenna. Ci, którzy zostali przy życiu, weszli od razu do pierwszego budynku, gdzie stał taki obrzydliwy młody Niemiec. Był kaleką, co robiło go jeszcze bardziej okrutnym. Stał z biczem i bił nas z wściekłością. My tam wchodziliśmy, żeby nas oczyścić, ogolić całe ciało, wszędzie, gdzie były jakieś włosy. Smarowali nas płynem oczyszczającym i musieliśmy wejść do wody siarkowej. To był tak zwany czyściec. Przeszliśmy tam i nawet stamtąd jeszcze Niemcy wybierali ludzi, których uważali za niezdolnych do pracy. Potem weszliśmy do baraków, mój brat się odłączył ode mnie, co okazało się jego szczęściem. Zostaliśmy z moim kolegą umieszczeni w bloku nr 2. Pośrodku bloku był taki lany piec, takie podwyższenie, na które wszedł bloker. Wołał do nas: *Oddajcie wszystko, jeżeli ktoś schował coś w dupie czy w ustach*. Kazał oddawać, bo jak złapią kogoś, to na miejscu zabiją.

Nazajutrz rano przyszedł jeden Niemiec i ogłosił, że potrzebni są ślusarze mechanicy, którzy mają się stawić na placu, na którym będą egzaminowani. Stawiliśmy się – ja i mój przyjaciel też. Niemiec pokazał nam mikrometr. On był naprawdę fachowcem. Kto rozumiał, co to jest, ten wszedł do specjalnego baraku, natomiast ja z moim przyjacielem nie zgodaliśmy, nie znaliśmy się na mikrometrze i wróciliśmy na poprzednie miejsce. Mój przyjaciel – Helmer to był bardzo odważny typ. Taki, co spojrzy diabłu w oczy. On, jak zobaczył ten komin krematorium, który się palił w dzień i w nocy, powiedział: *Marek my musimy stąd odejść, szczególnie, że nie zostaliśmy przyjęci do pracy*. Ten barak, który był przeznaczony nazajutrz na wyjście do pracy, był jego celem. Postanowił – a ja polegałem na nim zawsze – że w nocy wkradniemy się do tego baraku, mimo że nas nie uznali za fachowców, wkradniemy się tym łatwiej, że nie było jeszcze żadnej rejestracji. Poszliśmy więc zobaczyć, jak wygląda ten barak. Okazało się, że był z trzech stron pilnowany, a z jednej strony między jednym a drugim barakiem była taka niby fosa, rów, choć nie wiedzieliśmy dokładnie, jak głęboki. I właśnie ta strona nie była pilnowana, bo była odgradzona wodą. Postanowiliśmy, że wyjdziemy w nocy, przebrniemy wodę i wkradniemy się do baraku. Wróciliśmy do naszego baraku, bo o dziewiątej wieczorem trzeba było go zamknąć, natomiast o trzeciej w nocy wolno było wyjść załatwić się na jakieś 5 min, co było zapisywane według naszych numerów. Numerów nie mieliśmy już wtedy wytatuowanych. Były naszyte numery i po pięciu minutach, jak ktoś nie wracał to dostawał straszne *walanty*. My wyszliśmy i poszliśmy w tym kierunku, było ciemno o trzeciej w nocy. Zdjęliśmy spodnie, żeby wejść do wody, z obydwu stron były pochyłe brzegi. Ja wszedłem pierwszy, bo umiałem pływać, a mój przyjaciel nie umiał. Nie wiedzieliśmy, jak głęboki jest ten rów. Okazało się, że było to wszystkiego jakieś 80 cm głębokości. Przeszliśmy, ale wtedy okazało się, że trudno wdrapać się na tę pochyłość po drugiej stronie. Mój przyjaciel był bardzo sprawny i jakoś mu się udało. Kilka razy próbował złapać się brzegu, wszedł na górę, potem podał mi swoje spodnie,



chwyciłem się i wszedłem. Czekałiśmy aż strażnik, który pilnuje wejścia i kręci się dookoła, odejdzie kawałek i wtedy pojedynczo wkradliśmy się do środka. A ponieważ było około czwartej nad ranem położyliśmy się na wolnych pryczach i usnęliśmy. Nagle zaczęli nas budzić – okazało się, że strażnicy zaczęli sporządzać listę więźniów i przydzielać numery. Numery przydzielano według alfabetu, począwszy od A – ja byłem na B, a mój przyjaciel Helmer na H. Tyle że, kiedy się obudziliśmy, wyczytywano już więźniów na literę I. Na miejscu szybko postanowiliśmy, że jesteśmy bracia Iżbiccy. I tak też zostaliśmy zapisani: ja mam 8354 on miał 8353. I po kilku godzinach przyjechała ciężarówka, która miała nas zabrać do obozu w Gliwicach. Kiedy opuściliśmy Auschwitz, odczuliśmy jakąś ulgę, bo odsuwaliśmy się od komina, a poza tym jechaliśmy na roboty, jako fachowcy, mieliśmy dobre szanse przeżyć.

Marek Bleiweiss z obozu w Gliwicach został zabrany do Buchenwaldu. Stamtąd po wyzwoleniu w 1946 r. wyjechał do Izraela. Mieszka w Tel Awiwie. Do Łodzi wrócił po raz pierwszy w 1996 r. – ponad pięćdziesiąt lat po likwidacji Litzmannstadt Ghetto. Jego mówione wspomnienia zapisałem możliwie wiernie, bez daleko idących zabiegów redakcyjnych. Tytuły i śródtytuły pochodzą od redakcji.

*Spisał i opracował:
Marcin Kieruzel
– publicysta*

Fot. Adam Gregorek

Łodzianie

Primadonna

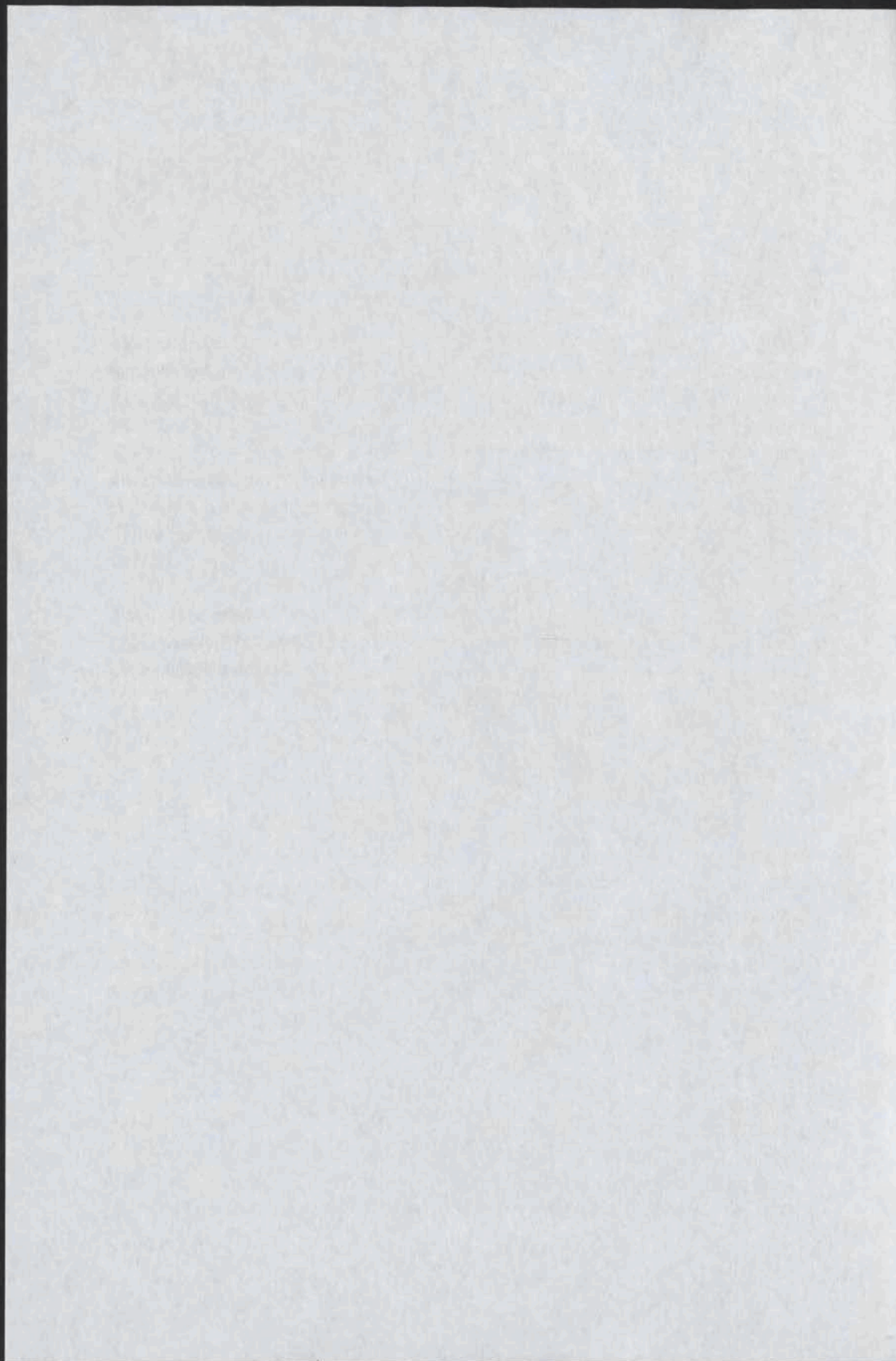
Krystyna Nyc-Wronko
Danuta K. Gruszczyńska
str. 155

Twórca łódzkiego bibliotekarstwa

Jan Augustyniak (1893–1971)
Krystyna Lewicka
str. 160

Artysta wielu pytań

Przypomnienie Bogdana Lisika
Monika Nowakowska
str. 168



Primadonna

Krystyna Nyc-Wronko

rodzianie

Urodziła się w 1923 roku, w niewielkiej podwarszawskiej wsi Czechowice (obecnie Ursus), jako najmłodsza z pięciorga rodzeństwa. Ojciec, Piotr Nyc był nietypowym rolnikiem, który... zbyt za rolnictwem nie przepadał. I choć gospodarstwo wcale nie należało do najmniejszych, ani też ubogich, miał różne pomysły na odmianę i poprawę bytu. Na przykład budowę na swoich ziemiach bocznicy kolejowej, gdzie odbywał się przeładunek różnych towarów. Dzięki temu rodzina nie musiała martwić się o chleb powszedni. Także na wykształcenie dzieci zwracano baczną uwagę i nie stawiano im przeszkód w zdobywaniu wiedzy. Być może fakt, że matka Krysi – Adela Makowska, sama mając piękny głos, czuła się niespełniona, sprawił, że zawsze popierała dążenia najmłodszej córki do zdobycia muzycznego wykształcenia. O śpiewaniu Krystyna marzyła prawie od kołyski. Podobno śpiewała stale i wszędzie. Jeszcze zanim poszła do szkoły, brała udział w przedstawieniach muzycznych urządzanych przez swoją starszą siostrę dla rodziny. Nic dziwnego, że szybko odkryto jej talent. Kierownik szkoły podstawowej, do której chodziła, matematyk – Stanisław Śliski, uczył także muzyki, grał na mandolinie i gitarze, więc jego wyczulone ucho natychmiast wyłowiło piękny głosik Krysi w chórkach innych dziewczynek. Krystyna chodziła wtedy do czwartej klasy. Kierownik zaprosił ją do udziału w szkolnym teatryku muzycznym, gdzie śpiewała z towarzyszeniem kolegi grającego na skrzypcach. Organizowano też występy dla grupki dzieciaków z sąsiedztwa. Za estradę służył dach ziemianki przeznaczonej do przechowywania ziemniaków. Po ukończeniu szkoły powszechnej Krystyna zaczęła naukę w warszawskim gimnazjum. Kiedy skończyła drugą klasę, wybuchła wojna. Mimo to zapisała się do Szkoły Handlowej. Należała już do harcerstwa i dość szybko znalazła się w strukturach podziemnych Szarych Szeregów i AK. Jej pierwszym dowódcą w AK był nauczyciel gimnastyki z rodzinnego Ursusa. Będąc uczennicą Szkoły Handlowej, Krystyna miała legitymację szkolną, która uprawniała ją do swobodnych przejazdów do szkoły. Korzystając z tego względnego zabezpieczenia, „Stynka” przewoziła bibułę a czasem szyfrogramy od swojego komendanta. „Stynką” została po części z powodu swojego imienia, w formie zdrobnień – Krystynka, a po części chyba też z powodu filigranowej budowy ciała i ruchliwości (*stynka* = mała, żwawa rybka). Miała mnóstwo szczęścia, bo przez całą okupację, aż do samego powstania warszawskiego, nie trafiła na żadną łapankę. Raz tylko najadła się strachu, kiedy oglądając wystawę jakiegoś sklepu, zobaczyła w szybie stojącego za nią gestapowca. *Zrobiło mi się gorąco. Pomyślałam – on wie, że mam w kieszeni szyfrogram! Zaraz mnie aresztuje!* – wspomina pani

Krystyna. Jednak opanowała się i powoli odeszła, a gestapowiec zainteresowany, jak i ona wystawą, pozostał.

Wojna nie nastrajała zbyt do śpiewania, został tylko chór kościelny, który zresztą składał się głównie z członków AK, komendantem był organista – sierż. Tadeusz Mrówczyński. Pewnego razu śpiew Krystyny usłyszała melomanka ze stolicy i zawiozła ją do profesora Grzegorza Orłowa. U tego wybitnego pedagoga dziewczyna uczyła się tylko trzy miesiące, bo w tym czasie nasiliły się łapanki i rodzice zabronili jej wyjazdów do stolicy.

Tuż przed powstaniem znalazła się w szpitalu na Woli. Jej starsza siostra, która wiedziała, do czego szykuje się Warszawa, zaprzęgnęła konia do bryczki i przyjechała po Krystynę. *To pewnie uratowało mi życie, bo Wola była potem strasznie zniszczona. Koleżanki i koledzy żegnali się ze mną, idąc do powstania. Żałowałam, że nie mogłam iść z nimi... Wielu z nich już nigdy nie zobaczyłam. A ja z oddalonego o 10 kilometrów Ursusa mogłam tylko oglądać te potworne łuny nad Warszawą...*

Po upadku powstania Krystyna wraz z rodziną i innymi mieszkańcami pomagała chorym, rannym, uciekinierom i wypędzonym z Warszawy. (W 1948 r. od Ministra Obrony Narodowej Rządu w Londynie dwukrotnie otrzymała za swoją działalność Medal Wojska. Ma także Odznakę „Akcja Burza” i Krzyż Armii Krajowej. W 2001 r. została mianowana na stopień podporucznika, a w 2008 r. na stopień porucznika.)

Po wojnie śpiewem Krysi zainteresował się kolejny organista w Ursusie – Tadeusz Paciorkiewicz, który wspólnie ze śpiewakiem Feliksem Rudomskim (nazwisko sceniczne Feliks Rud) organizował w Płocku Ludowy Instytut Muzyczny. Od maja 1945 do końca roku 1946 Krystyna szkoliła tam swój głos. Potem nauczyciele samokrytycznie stwierdzili, że oni już niczego więcej jej nie nauczą i wysłali ją do Łodzi do... profesora Orłowa. Tak nauka śpiewu Krystyny zatoczyła krąg.

Kariera

Już w trakcie studiów śpiewała wraz z chórem Teatru Wojska Polskiego w słynnej inscenizacji *Krakowiaków i Górali* Leona Schillera granej 238 razy, także poza granicami kraju. W 1948 r. Leon Schiller dał jej główną rolę w studenckim widowisku *Gody weselne*. Nie mając dublerki, zaśpiewała w 59 przedstawieniach. Jeszcze nie raz w późniejszym życiu zdarzało jej się stawać wobec niezmiernie wyczerpujących dla śpiewaka wyzwań. Dwukrotnie podjęła się trudnego zadania zagrania podwójnej roli, w *Zemście nietoperza* śpiewała partię Rozalindy i Adeli, a w *Wesołej wdówie* Walentyny i Hanny Gławari. Zawsze, także znacznie później, będąc już znaną i cenioną primadonną, pracowała bez taryfy ulgowej, bowiem jest perfekcjonistką. *Czasem bywałam niegrzeczna dla kolegów, którzy przychodzili na próby nieprzygotowani* – wspomina. Zapytana o źródło tej dyscypliny, odpowiada: *Myślę, że to AK tak mnie ukształtowało.*

W okresie studiów zaczęła także wieloletnią (1950–1954) współpracę z Łódzką Rozgłośnią Polskiego Radia, gdzie między innymi śpiewała w chórze,



zwanym żartobliwie „chórem solistów”, bo występowały w nim takie gwiazdy jak Teresa Żylis-Gara i Roman Sychalski. Swojego męża – Leszka Wronko, cenionego operatora dźwięku, filmowca, poznała przy okazji nagrywania zdjęć do filmu *Włókno*, w którym zagrała epizodyczną rolę. Dyplom ukończenia PWSM z odznaczeniem otrzymała w 1951 r. już jako Krystyna Nyc-Wronko.

We wrześniu 1954 roku zadebiutowała na deskach Teatru Muzycznego w Łodzi, który mieścił się jeszcze wtedy w słynnej „Lutni” na ul. Piotrkowskiej. Już w pierwszym sezonie zaśpiewała partie czołowe w *Wesołej wdówce* F. Lehara, *Zemście Nietoperza* J. Straussa i w *Tajemnicy Dedala* Cz. Aniołkiewicza. Krytycy od razu dostrzegli jej świetne warunki zewnętrzne, wdzięk, swobodę sceniczną, a przede wszystkim – piękny, liryczny sopran.

Dalsza błyskotliwa kariera Krystyny Nyc-Wronko opisywana była niejednokrotnie i komplementowana prak-

tycznie przez wszystkich recenzentów jej występów krajowych i zagranicznych. Nigdy nie przestawała pracować nad swoim warszatem wykonawczym, inspiracją były dla niej gwiazdy ówczesnych scen muzycznych, a także inni wielcy i sławni ludzie teatru i muzyki, jak dyrygenci: Henryk Debich, Karol Stryja, Bohdan Wodiczko, Kazimierz Skinder, Olgierd Straszynski, choreografowie: Stanisława Stanisławska i Feliks Parnell, czy reżyserzy: Danuta Baduszkowa, Tadeusz Cygler, Ireneusz Kanicki.

W 1964 r. Teatr Muzyczny otrzymał nową siedzibę na ul. Północnej. Tam, do 1968 r. artystka zagrała w dziesięciu premierowych przedstawieniach, niezmiennie spotykając się z gorącym przyjęciem u widzów i krytyków. Została uznana primadonną łódzkiej operetki i jedną z najlepszych aktorek operetkowych w Polsce. Opinię tę ugruntowały kolejne sezony i wielkie kreacje, jak słynna partia tytułowa w *Hrabinie Maricy* Emericha Kálmána, którą po raz kolejny udowodniła, że jest nie tylko wspaniałą śpiewaczką i aktorką, ale także odpowiedzialną, pracowitą i silną kobietą. Ponieważ teatr nie mógł zapewnić jej dublerki w tej forsownej roli, postanowiła, że będzie śpiewać sama. I śpiewała co wieczór przez trzy miesiące! *Codzienne śpiewa-*

nie tytułowej partii, to istotnie imponujący wyczyn – pani Krystyna jest jednak niezawodna, może się czuć nieco gorzej, ale gorzej śpiewać – po prostu nie potrafi – pisał Jerzy Panasewicz, recenzent „Expressu Ilustrowanego”. Jednak pewnego razu w trakcie spektaklu nastąpił wylew do struny głosowej, głos artystki ucichł, spuszczone kurtynę. Ta wymuszona przerwa trwała pół roku. Na szczęście udało się jej wrócić do zwykłej formy. Przytoczmy kilka fragmentów recenzji z jej występów: *Piękny i duży sopran. Przy swojej wrodzonej inteligencji muzycznej śpiewaczka włada nim świetnie* (Adam Dygacz, 1960); *Okazała wszystkie swoje umiejętności – doskonałą technikę wokalną, dobre aktorstwo, umiejętność rozgrywania sytuacji* (Jerzy Katarasiński, 1966); *To prawdziwie europejska klasa divy operetkowej. Duży, nośny głos, wdzięk, utancznienie, świetna aparycja, nieustanny kontakt z widzem i zabawa razem z nim, tyle że na scenie – oto główne walory tej artystki, niezaprzeczalnie królującej na tej scenie* (Anna Łżykowska, 1967); *Jak zawsze śliczna i wytworna* (Teresa Wojciechowska, 1969); *Urocza, pełna temperamentu, w szczytowej formie* (Lucyna Hoszowska, 1974). Opinie te całkowicie podzielała publiczność, była nawet moda „chodzenia na Wronko”.

Czasy, w jakich przyszło jej śpiewać i odnosić największe sukcesy, nie sprzyjały wojażom zagranicznym. Mimo to, wyjeżdżała wraz z kolegami na gościnne występy do NRD i do ZSRR. *Były to – jak opowiada ze śmiechem – ekipy partyjno-artystyczne, pięciu artystów i pięć osób z partii*. Dopiero po odejściu z teatru zaczęła prywatnie jeździć do USA na koncerty dla Polonii. Tam również zbierała entuzjastyczne recenzje.

Emerytura

21 lat trwało pasmo sukcesów Krystyny Nyc-Wronko na scenach muzycznych. Wystąpiła w 48 inscenizacjach różnego typu, co dało 47 ról głównych i pierwszoplanowych w repertuarze klasycznym, operetkowo-rewiowym, musicalach i komediach muzycznych.



Z okazji benefisu śpiewaczki 16 listopada 1975 r., w okolicznościowym wydawnictwie napisano: *Na wiele z tych premier nie tak łatwo byłoby zapewne zdecydować się teatrowi, gdyby tej miary artystki zabrakło nagle w zespole – to, co zwykliśmy nazywać talentem, wsparła bowiem p. Krystyna żelazną dyscypliną w pracy, pozwalającą jej nieprzerwanie, przez lata całe utrzymywać najwyższą formę wokalną i nieustanną gotowość do wejścia w światła sceny.* Specjalnie na tę okazję wznowiono na kilka dni *Wesołą wdówkę*, w której artystka ponownie śpiewała partię tytułową. Oczywiście, jak zwykle, pięknie.

W 1976 r. w Teatrze Muzycznym nastąpiły zmiany, także w repertuarze, na bardziej współczesny, w którym Krystyna Nyc-Wronko nie czuła się najlepiej. Nowy kierownik artystyczny nie obsadził jej w roli, która dla niej była stworzona; *dano tę rolę młodzieńczej śpiewaczce, którą trzeba było sztucznie postarzać.* Wtedy zrezygnowała z pracy w teatrze, w pełni sił fizycznych i artystycznych, mając 52 lata i nadal piękny głos. Dyrekcja nie składała jej żadnych propozycji, więc *aby nie zardzewieć i w celach zarobkowych, zaczęła jeździć po kraju i świecie.*

Po dwóch latach nowy kierownik artystyczny zaproponował jej współpracę z teatrem, jak również etat wykładowcy w PWSM. Odmówiła. *Ja się nie nadaję! Nie miałabym cierpliwości! Zresztą już wtedy jeździliśmy po Polsce z programem operetkowym i bajkami dla dzieci, bardzo mi się to podobało. Nie tęskniłam za teatrem. Może dlatego, że tak nie fair ze mną się rozstał –* opowiada pani Krystyna.

Dzisiaj wraz z mężem odpoczywają po pełnym wrażeń i sukcesów życiu w swoim skromnym mieszkaniu (*nigdy nie interesowało nas posiadanie domu, broń Boże!*) i cieszą się sukcesami dwóch synów i trójki wnucząt, z których wnuczka Joanna kontynuuje rodzinne tradycje muzyczne.

Fonografia artystki jest niezwykle bogata, nagrała około 60 utworów solowych i duetów, w większości arii z operetek i komedii muzycznych. Krystyna Nyc-Wronko otrzymała za swoje osiągnięcia artystyczne wiele odznaczeń: Honorową Odznakę Miasta Łodzi (1961), Złoty Krzyż Zasługi (1961), Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego (1966), Odznakę Zasłużony Działacz Kultury (1967), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1974), Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (1984), Odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej (2005), prestiżową statuetkę Związku Artystów Scen Polskich „Arion” za całokształt dorobku artystycznego (2007).

Danuta K. Gruszczyńska
– dziennikarka

Fot. archiwum rodzinne

Twórca łódzkiego bibliotekarstwa

Jan Augustyniak (1893–1971)

Czy Jan Augustyniak to łodzermensch? Spytany kiedyś o to, odpowiedział: *I tak, i nie. Ja jestem „osobny”*. Po chwili dodał: *Ale żyłem i pracowałem wśród łodzermenschów. Jestem więc – poniekađ – jednym z nich*.

Był wybitnym bibliotekarzem, znakomitym fachowcem, inicjatorem i wieloletnim dyrektorem centralnej łódzkiej ksiąźnicy oraz sieci rejonowych bibliotek publicznych, człowiekiem popularnym i cenionym w środowisku miłośników książek nie tylko w Łodzi, ale i w całym kraju. Jego dorobek oświatowy był ogromny. Pracą łódzkich bibliotek kierował od 1917 do 1962 roku, a więc blisko pięćdziesiąt lat. Przez cały ten okres był też przewodniczącym łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, opublikował blisko sto artykułów w prasie społeczno-oświatowej i bibliotekarskiej. Dla współpracowników był alfą i omegą bibliotekarstwa, „mistrzem Janem” i – jak to trafnie określił łódzki bibliofil dr Janusz Dunin – *panem na łódzkiej ksiąźnicy*.

Czas, w którym przyszło mu żyć i działać, to okres od przełomu XIX i XX wieku do lat 60. XX wieku. Rozpoczął swoją działalność jeszcze w okresie zaborów. Były to lata represji, egzekucji, wynaradawiania i zsyłek na Sybir. U schyłku XIX wieku kończył się też okres pomyślnej koniunktury dla „tekstylnego imperium”, kiedy to łódzkie fabryki czerpały ogromne zyski ze sprzedaży swoich produktów do zacofoanej gospodarczo Rosji. Rodziło to problemy społeczne: strajki, bunty, aresztowania; powiększały się obszary nędzy, a gruźlica i choroby zakaźne zbierały swoje żniwo w mieście, w którym połowę mieszkańców stanowili analfabeci. W ówczesnej Łodzi, w której grupę szczególnie uprzywilejowaną pod względem ekonomicznym, finansowym i politycznym stanowili właściciele wielkich przedsiębiorstw tej miary jak: Scheibler, Grohman, Geyer, Poznański, Heinzel i Kunitzer. Nieliczna grupa polskiej inteligencji nie odgrywała większego znaczenia.

Polacy dopiero w roku 1884 doczekali się własnej gazety. Był nią – istniejący do dzisiaj – „Dziennik Łódzki”. W ślad za prasą pojawiły się polskie książki i księgarnie, z których najbardziej znaną był „Pegaz” Ludwika Fiszera przy ulicy Piotrkowskiej 47. Natomiast pierwszą polską wypożyczalnię książek udało się uruchomić dopiero w 1911 r. – po latach wzmożonej rusyfikacji po powstaniu styczniowym. Zainteresowanie tą wypożyczalnią było nadzwyczajne. Jednakże władze carskie rychło zawiesiły jej działalność i dopiero w roku 1916 – a więc w czasie trwania I wojny



światowej – udało się powołać do życia Towarzystwo Krzewienia Oświaty, które zgromadziło własny księgozbiór. Następnie spośród świątłych radnych miejskich wyłoniono Towarzystwo Biblioteki Publicznej. Z tymi wydarzeniami ściśle wiąże się droga życiowa przyszłego dyrektora łódzkiej centralnej ksiąźnicy i sieci bibliotek miejskich.

Jan Augustyniak nie był łodzianinem. Urodził się 26 maja 1893 roku we wsi Chwalewice koło Jarocina. Był jednym z siedmiorga dzieci wiejskiego cieśli. Gdy miał pięć lat rodzice w poszukiwaniu pracy przenieśli się do Łodzi i zamieszkali w drewnianym domu na Widzewie. Komorne było tam trzykrotnie tańsze niż w innych dzielnicach, ale domy te miały mieszkania wyłącznie jednoizbowe, bez żadnych urządzeń sanitarnych, a brud, błoto i zaduch były codziennym utrapieniem mieszkańców.

Po ukończeniu szkoły początkowej, bo tak nazywała się wówczas szkoła podstawowa, młody Augustyniak pracował jako robotnik fabryczny, uczęszczając jednocześnie na kursy wieczorowe, po czym kontynuował naukę w średniej szkole handlowej. Gdy

miął 19 lat, awansował na urzędnika w Widzewskiej Manufakturze Oskara Kona. Nie porzucił dalszej nauki, ukończył kursy pedagogiczne prowadzone przez prof. Stefana Świdwińskiego i uzyskał uprawnienia nauczyciela ludowego. Podczas nauki znalazł przypadkowo, wśród bezładnie zgromadzonych książek, podręcznik bibliotekarski. W oparciu o zawarte w nim wskazówki opracował, sklasyfikował i udostępnił słuchaczom kursów potrzebne lektury. Bezinteresownie uporządkował także księgozbiór Towarzystwa Krzewienia Oświaty. Po latach tak wspominał ten czas wewnętrznego dojrzewania: *[...] od dawna marzyłem jednak o tym, aby zmienić swój rodzaj pracy: przejść do zawodu oświatowca, który był w swoim charakterze szlachetniejszy, bardziej odpowiadał moim wewnętrznym potrzebom i aspiracjom. Podświadomym bodźcem była chęć służenia środowisku robotniczemu, z którego wyszedłem. W środowisku tym widziałem wiele osób, które się marnowały z braku systematycznego wykształcenia.*

Nie został ani nauczycielem, ani urzędnikiem. Pełen pasji do pracy społecznej działał w tym czasie w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych, Związku

Strzeleckim, redakcji pisma „Naprzód”, stowarzyszeniu „Patronat nad więźniami”. Ta wszechstronna aktywność zwróciła uwagę działaczy łódzkiego magistratu na pełnego inicjatywy młodzieńca. W roku 1916, drogą konkursu ogłoszonego przez Towarzystwo Biblioteki Publicznej, spośród stu kandydatów właśnie Jan Augustyniak został wybrany na pierwszego w Łodzi etatowego bibliotekarza.

Warunkiem podjęcia tej pracy było odbycie dwutygodniowej praktyki w Bibliotece m. st. Warszawy pod kierunkiem dyrektora Faustyna Czerwijowskiego. Z małej biblioteki przy ulicy Piotrkowskiej 150 Augustyniak wyruszył do stolicy, gdzie znalazł się w wielkim gmachu mieszczącym bogaty, dobrze opracowany księgozbiór. Zgodnie z zaleceniami dyrektora Czerwijowskiego, miał odbyć praktykę według samodzielnie opracowanego programu. Od rana do wieczora, od szatni do poddasza, poprzez magazyny, czytelnie i pracownie penetrował pomieszczenia na wszystkich piętrach, skrzętnie wypytując i notując informacje uzyskane od pracujących tam bibliotekarzy oraz czytelników. Tak zgromadził notatki spisane w 12 zeszytach. Prowadził też wielogodzinne rozmowy z dyrektorem Czerwijowskim, którego do końca życia uważał za swego mistrza.

Już po roku, od czasu powrotu z Warszawy, widoczne były efekty pracy młodego bibliotekarza: wzbogacono księgozbiór, stale przybywało czytelników. Zarząd Towarzystwa Biblioteki Publicznej zdecydował się zatem przenieść zbiory do nowego, znacznie obszerniejszego lokalu przy ul. Andrzeja 14.

„Zły to uczeń, który nie przerasta swojego mistrza” – mówi stara grecka maksyma. A dawny praktykant dyrektora Czerwijowskiego wspaniale rozwijał łódzkie biblioteki, systematycznie ulepszając organizację ich pracy. W styczniu 1922 roku placówka przy ulicy Andrzeja 14 weszła w skład agend Wydziału Oświaty i Kultury magistratu jako Miejska Biblioteka Publiczna. Uzyskała wówczas stały budżet, a więc możliwość planowego rozszerzania księgozbioru, utrzymania stałego personelu, pojawiła się też szansa ugruntowania jej roli jako biblioteki centralnej, patronującej niektórym bibliotekom społecznym. W 1925 r. jej księgozbiór obejmował już blisko piętnaście tysięcy woluminów.

Szczególnie wyraźny rozwój łódzkich placówek nastąpił od połowy lat 20. ubiegłego wieku. Dyrektor stworzył statut sieci, opracował nowoczesne, nieszablonowe programy i metody pracy w zakresie czytelnictwa, a także specjalne instrukcje dla bibliotek dziecięcych i młodzieżowych, które jako pierwsza realizowała jego żona i niezawodny współpracownik – Irena Augustyniakowa. Dyrektor otwierał kolejne wypożyczalnie o charakterze beletrystyczno-naukowym dla dorosłych, a w wielu punktach miasta placówki przeznaczone specjalnie dla dzieci i młodzieży; we wszystkich nowo otwieranych obiektach wprowadzano również oryginalne, nowoczesne metody pracy oświatowej z czytelnikiem. W tamtym czasie zerwano też z zasadą opierania działalności bibliotek na honorowej pracy społecznej nierzadko przypadkowych ludzi na rzecz etatowego zatrudniania przeszkolonych, fachowych bibliotekarzy.

Znamienne, że już wówczas – z myślą o przyszłym rozwoju nauki i kultury w Łodzi – dyrektor ustalił ambitny przepis dotyczący kompletowania księgozbiorów w wypożyczalniach: zobowiązał kierowników placówek, aby przy zakupach nowości wydawniczych przestrzegali proporcji: 40% literatury pięknej i 60% literatury popularnonaukowej i naukowej. Sam bardzo skrupulatnie przestrzegał tej zasady; żartowano, że bez jego parafki na każdym egzemplarzu, żadna książka nie mogła być włączona do zasobów biblioteki. To rozporządzenie, choć nie zawsze spotykało się z aprobatą bibliotekarzy i czytelników, miało – w założeniu – rozwijać u mieszkańców naszego miasta zainteresowanie nauką i samokształceniem.

Stałemu pogłębianiu wiedzy Jan Augustyniak przypisywał ogromną wagę. Już w 1921 r. stworzył projekt i zorganizował w bibliotece przy ulicy Andrzeja „Poradnię dla Samouków” oraz opracował statut jej działalności. Była ona swoistym „konfesjonalem” dla czytelników – dyrektor wysłuchiwał ich problemów, dzielił się z nimi swoim doświadczeniem życiowym, a i sam był przykładem człowieka, który stale uzupełnia i rozwija swoją wiedzę i wykształcenie. W roku 1928 ukończył studia w Wyższej Szkole Nauk Społeczno-Ekonomicznych, a potem w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Pozwoliło mu to poznać m.in. metody badań naukowych, które wykorzystał, publikując regularnie materiały informujące o działalności biblioteki.

Wielką, autentyczną, trwającą całe życie pasją Jana Augustyniaka było doskonalenie kadr bibliotekarskich. Był zdecydowanym przeciwnikiem amatorszczyzny. Uważał, że [...] *bibliotekarzem może być jednostka traktująca swój zawód z zamiłowaniem. Musi być to osoba zdająca sobie sprawę z roli biblioteki i jej związku z całością zjawisk socjalnych i oświatowych. Bibliotekarz musi to być człowiek żywy, który kocha tak czytelnika, jak... książkę.* Kierował się zasadą, że praca bibliotekarza nie może ograniczać się do wypożyczania książek, ale winna realizować założenie: *odpowiednia książka, odpowiedniemu czytelnikowi, w odpowiednim momencie jego zainteresowań umysłowych.* Dyrektor był nie tylko organizatorem kursów podnoszących kwalifikacje pracowników, ale i wykładowcą; jako wybitny znawca przedmiotu był zapraszany na wykłady do wielu miast polskich. Znajdował się wówczas w doborowym towarzystwie intelektualistów tej klasy, co m.in. jego mistrz – prof. Faustyn Czerwijowski, prof. Jan Muszkowski, Ksawery Świerkowski czy Aniela Mikucka. Do 1939 roku, do czasu wybuchu II wojny światowej, dyrektor zorganizował dwadzieścia kursów bibliotekarskich.

Szczególnie ważny był w życiu Jana Augustyniaka rok 1936. Przedstawił wówczas w łódzkiej magistracie pomysł zgoła szalony, prawie nierealny: był to projekt budowy nowoczesnego, dużego gmachu centralnej łódzkiej księżnicy, która sprostaby potrzebom intelektualnym mieszkańców półmilionowego miasta. Władze Łodzi nie były w stanie sfinansować takiej budowy, podjęły jednak decyzję o... przyjęciu planu Augustyniaka do realizacji. Zapewne ogromną rolę odegrała tu pomysłowość i zręczna taktyka 43-letniego wówczas pasjonata bibliotekoznawstwa. Jak było w istocie,

przyznał po latach: [...] przypominał mi się ksiądz Baudouin, który zbierał jałmużnę na sierociniec. A czemużbym ja nie miał spróbować? I zacząłem składać wizyty fabrykantom i przemysłowcom. Wszak w Łodzi nie brak było bogatych ludzi. Wreszcie udało mi się zainteresować ideą budowy gmachu biblioteki jednego z bardziej uspołecznionych przemysłowców łódzkich, Aleksandra Heimana-Jareckiego. Ten przedstawił sprawę Zarządowi Związku Przemysłu Włókienniczego, który zdecydował o przeznaczeniu na ten cel kwoty 500 tysięcy złotych. Realizacją budowy zajął się Społeczny Komitet Budowy Biblioteki Publicznej, a Zarząd Miejski zakupił zaproponowany przeze mnie plac pod budowę gmachu na rogu ulic Gdańskiej i Kopernika.

Ponieważ budownictwo biblioteczne nie miało w Polsce tradycji – ogłoszono konkurs. Jan Augustyniak sprecyzował wymagania, którym najlepiej sprostał projekt inżyniera Jerzego Wierzbickiego z Warszawy. 14 maja 1936 roku wmurowano kamień węgielny pod gmach biblioteki, która miała dysponować 130 miejscami w czytelnicy, magazynami na 30 tysięcy książek i nowoczesnymi urządzeniami w pracowniach. Zakończenie budowy przewidywano na koniec 1939 roku.

Wybuch II wojny światowej i wkroczenie we wrześniu 1939 roku wojsk niemieckich do Łodzi przerwały budowę gmachu, który był już wówczas na ukończeniu. Jana Augustyniaka aresztowano; został przesiedlony do Krakowa i tam przetrwał czas wojny, pracując w Spółdzielni Spożywców „Społem” jako księgowy, instruktor, kasjer. Ale już w połowie lutego 1945 roku powrócił do Łodzi, by jak najszybciej wznowić przerwane prace budowlane. Tych kilka powojennych lat to w życiorysie Jana Augustyniaka kolejny etap, w którym jego zdolności organizacyjne, energia, wiedza i konsekwencja w działaniu przyniosły widoczne rezultaty.

Należało wszystko zacząć od nowa. Wprawdzie ocalało około 70% zbiorów, ale książki były bezładnie rozrzucone, całkowicie zniszczono wypożyczalnię. Trzeba było zabezpieczyć rozproszone zbiory, także niemieckie. Na szczęście oczekiwano dyrektora kilkusobowe grono dawnych, wiernych współpracowników.

W kraju wyzwolonym od hitlerowskiego okupanta trwały intensywne prace nad likwidacją analfabetyzmu, zbliżały się obchody 1000-lecia państwa polskiego, Rok Kopernikański; sprzyjało to wysiłkom związanym z dokończeniem budowy gmachu. Wkrótce gotowe było wnętrze budynku, racjonalnie uporządkowano zbiory, rozbudowano strukturę wewnętrzną, utworzono nowe działy: metodyczno-instrukcyjny, sieci bibliotek miejskich oraz zbiorów specjalnych, wprowadzono szereg udogodnień dla czytelników. Otwarcie księżnicy miejskiej przy ulicy Gdańskiej 102 nastąpiło 1 marca 1950 roku.

Ukończoną i uporządkowaną bibliotekę władze polityczne po II wojnie światowej nazwały imieniem Ludwika Waryńskiego. Jan Augustyniak nadal był jej dyrektorem. Mimo związanej z tą funkcją odpowiedzialności i licznych obowiązków zawsze znajdował czas, aby z ogromnym oddaniem i cierpliwością oprowadzać wycieczki nauczycieli, studentów, uczniów szkół średnich oraz bibliotekarzy z różnych miast Polski. Prezentował księgozbiory, uratowane po wojnie starodruki, objaśniał



łodzianie

zasady funkcjonowania tak ogromnego organizmu, jakim była biblioteka miejska, pokazywał nowe pracownie, a przy okazji przekazywał słuchaczom sporo wiedzy na temat powstawania książki. Często wplatał też w swój wykład ciekawe fakty z dziejów dawnej Łodzi. Wspominał postacie wybitnych łodzian, kojarzył je z nazwami ulic i placów. Słuchacze dowiadywali się przy okazji o zasługach nie tylko Rajmunda Rembieleńskiego, dr. Seweryna Sterlinga i Karola Jonschera, ale także wybitnych artystów i pisarzy: Artura Rubinsteina, Izaaka Singera, Władysława Reymonta. Mówił często o postaciach fabrykantów łódzkich, m.in. o: Karolu Scheiblerze, Ludwigu Geyerze, Izraelu Poznańskim, Ludwiku Grohmanie, Juliuszu Heinzlu, Juliuszu Kunitzerze, Robercie Biedermannie, Markusie Silbersteinie i innych.

Zwiedzający, zainspirowani tymi opowieściami oraz *Ziemią obiecaną* Władysława Reymonta, często pytali go o znaczenie słowa *łodźermensch*. Warto zatrzymać się tu na moment, bo do wartości związanych z tym pojęciem chętnie odwołujemy

się w ostatnim nam współczesnym czasie. Augustyniak wyjaśniał je tak: do połowy XIX wieku słowo *lodzermensch* miało bardzo pozytywny wydźwięk. Oznaczało człowieka przedsiębiorczego, pracowitego, uczciwego, tolerancyjnego, szanującego obowiązujące prawo, które pozwalało każdemu, bez różnicy, w Łodzi zamieszkać i bogacić się. Rozwijający się w ogromnym tempie przemysł włókienniczy oraz nowe miejsca pracy przyciągały mieszkańców nie tylko ziem polskich, ale i cudzoziemców. Na ulicach miasta obok języka polskiego słychać było niemiecki, rosyjski, jidysz, czeski, francuski. Obowiązywała tu specyficzna „łódzka” tolerancja. Zgodnie funkcjonowali obok siebie katolicy, prawosławni, protestanci, wyznawcy judaizmu, a nawet islamu. Łódź była miastem wielonarodowym, wielowyznaniowym i wielojęzycznym. Ta atmosfera sprawiła, że ukształtował się tu typ człowieka o specyficznych cechach charakteru i umysłu. Nie wypadało piętnować sąsiada, jego odmiennych obyczajów, innej narodowości czy religii. *Lodzermensche* żyli obok siebie, często w jednej kamienicy, wzajemnie się szanowali, chcieli uczciwie się bogacić i... zrobić coś dla miasta. Byli nimi fabrykanci, kupcy, rzemieślnicy, bankowcy, lekarze, nawet robotnicy. Różnili się między sobą, ale nie byli sobie obcy, byli „tutejsi”. To nie władze carskie, ale właśnie oni – oprócz budowania tkalni czy przędzalni – troszczyli się o sprawy publiczne, infrastrukturę Łodzi, wodociągi, bruki, szpitale, szkoły, przytułki dla ubogich itp. To oni zgłaszali wartościowe inicjatywy społeczne dotyczące zarówno gospodarki, jak i oświaty i kultury. Tworzyli wyjątkowe, nietypowe, wartościowe środowisko, różnorodną mieszaninę ludzką, prężną, przedsiębiorczą. Dopiero z biegiem lat niektórzy z nich uwikłali się w podejrzane interesy, pojawiały się nadużycia, wybuchały skandale i słowo *lodzermensch* straciło swoje dawne, pozytywne znaczenie. Człowiek określany tym mianem zaczął kojarzyć się z cwaniactwem, cynizmem – z kimś, dla kogo liczy się wyłącznie zysk, pieniądź, korzyść, a wartości duchowe i moralne nie mają żadnego znaczenia.

Powróćmy jednak do Łodzi z lat 1945–1950, która też była miastem specyficznym. Po zakończeniu II wojny światowej przez kilka lat pełniła bowiem, nie będąc stolicą, rolę centrum życia kulturalnego kraju. Była tymczasowym azylem dla ludzi nauki, sztuki i kultury. Wytworzył się tu m.in. klimat sprzyjający rozwojowi czytelnictwa. W mieście pojawiły się wydawnictwa, drukarnie, księgarnie. Odżyły tradycje przedwojennego bibliofilstwa. W kwietniu 1958 roku, po kilku latach starań, Jan Augustyniak powołał przy łódzkim Kole Stowarzyszenia Bibliotekarzy elitarną sekcję bibliofilów. Podejmowali oni starania na rzecz szczególnej ochrony książki wartościowej, łączącej walory treściowe z doskonałością formy zewnętrznej, dbali o podnoszenie estetyki druku i upowszechniali ideę twórczego zbieractwa oraz poszanowania dawnych, zabytkowych wydań. Koło Stowarzyszenia Bibliotekarzy darzył dyrektor wyjątkową sympatią i sentymentem. Gromadziło ono ludzi profesjonalnie związanych z książką, takich jak on pasjonatów i miało za cel pogłębianie wiedzy zawodowej, prace badawcze nad czytelnictwem, szkolenie kandydatów na bibliotekarzy. W latach 1945–1958 odbyło się ogółem 217 wykładów, prelekcji, konferencji i innych spotkań profesjonalnych bibliotekarzy.

Czasem miały charakter koleżeńsko-towarzyski. Dyrektor – często przy muzyce – lubił wspominać dawne dzieje, barwnie opowiadał żarty i anegdoty.

Przez cały okres aktywności zawodowej Jan Augustyniak prowadził działalność pedagogiczną. Między innymi dzięki jego staraniom powołano przy Uniwersytecie Łódzkim, w latach 1947–1948, Katedrę Bibliotekoznawstwa, gdzie współpracował z Heleną Radlińską i kierownikiem katedry – Janem Muszkowskim. Był też współzałożycielem i członkiem zwyczajnym Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, dla którego opracował wartościowe materiały dotyczące 60-letniego dorobku tej instytucji. Także w nowo powstałym przy Łódzkim Domu Kultury Studium Kulturalno-Oświatowym prowadził zajęcia praktyczne, przygotowujące do zawodu bibliotekarza.

Nieustannie zabiegał też o nowe pomieszczenia na wypożyczalnię dla dorosłych i młodzieży – otwierano je kolejno w różnych punktach miasta. Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku, mimo ogromnych w tamtych czasach trudności z uzyskaniem lokalu, było w Łodzi 51 bibliotek rejonowych: w Śródmieściu, na Bałutach, Polesiu, Górnej i Widzewie. Zbiory księżnicy miejskiej przekroczyły pół miliona woluminów.

Jan Augustyniak był jednym z nielicznych mieszkańców Łodzi, którzy piastowali to samo stanowisko przed i po II wojnie światowej. Choć nie żywił szczególnej sympatii do narzuconej krajowi ideologii, to jednak potrafił przekonać ówczesne władze – był bowiem znakomitym mediatorem – że pełniąc jedną z kluczowych funkcji w życiu kulturalnym miasta, winien unikać zaszeregowania i pozostać bezpartyjnym działaczem oświatowym.

Tuż przed przejściem na emeryturę w 1963 r., zawsze pełen nowatorskich projektów, rozpoczął akcję na rzecz rozbudowy biblioteki i opracował stosowną dokumentację.

Był typem klasycznego menedżera – przez wszystkie lata czuł się odpowiedzialnym za całokształt funkcjonowania placówki, którą zarządzał. W późniejszych latach życia dyrektora „życzliwi złośliwcy” pół żartem, pół serio twierdzili, że sylwetką i stylem pracy łudzaco przypominał postacie pryncypałów z powieści Dickensa czy Prusa, m.in. dbałością o swój autorytet. A ten – w środowisku ludzi związanych zawodowo z książką – miał rzeczywiście ogromny.

Myślę dziś, że gdyby cofnąć się w czasie, to doceniając prawość, pracowitość, przedsiębiorczość i liczne talenty tego pierwszego dyrektora „Łódzkiej Książnicy”, można by go zaliczyć do grona wybitnych łodzermenschów w pierwotnym, pozytywnym znaczeniu tego słowa. A gdyby cofnąć się w czasie jeszcze bardziej i poprosić rzymskiego filozofa Senekę o ocenę życia i pracy Jana Augustyniaka – to pewnie moglibyśmy usłyszeć słowa: *summa cum laude* – z najwyższą pochwałą!

Krystyna Lewicka

– emerytowana pracownica ŁDK, publicystka

Fot. archiwum autorki

Artysta wielu pytań

Przypomnienie Bogdana Lisika

Blisko dwa lata temu zmarł Bogdan Lisik – zapewne jeden z oryginalniejszych łódzkich malarzy średniego pokolenia. Artysta ten świadomie sytuował się na poboczu oficjalnego życia artystycznego. Nonkonformista i idealista, samotnik z natury i wyboru, a zarazem człowiek o bogatej osobowości i wszechstronnych zainteresowaniach, zbudował własny świat, którego odbicie można dziś znaleźć tylko w pozostawionej twórczości. Można powiedzieć, że Lisik żył sztuką i dla sztuki – z wszelkimi tego konsekwencjami – funkcjonując poza towarzyskimi i zawodowymi układami. A jednak jako jedyny Polak został zaproszony do udziału w 49. edycji Salon de Montrouge w Paryżu w 2004 roku, na którym zaprezentował kompozycję figuratywną *Dwoje na huśtawce*. To prestiżowe wyróżnienie przełożyło się na kolejny międzynarodowy sukces: grupa wpływowych francuskich krytyków sztuki postanowiła zorganizować łódzkiemu artyście indywidualną wystawę w Lyonie w 2007 roku. Niestety, z powodów organizacyjnych ekspozycja nie doszła do skutku.

W latach 80. i 90. XX wieku prace Bogdana Lisika pojawiały się na ważnych międzynarodowych imprezach m.in.: Międzynarodowej Ekspozycji Miniatur w Toronto (Kanada 1987, 1988), In Homage to Kossak Exhibition w Budapeszcie (Węgry 1987), zbiorowej wystawie malarstwa w Galerii Ahnlund w Umea w Szwecji (1990), uczestniczył także w czwartej edycji Konstrukcji w Procesie (Łódź 1993). Jednak najchętniej prezentował swoją twórczość na pokazach indywidualnych, najlepiej przybliżających jego złożoną osobowość i wielowątkowe, imponujące warsztatowo malarstwo. Ostatnią za życia wystawę przygotowała łódzkiemu twórcy Miejska Galeria Sztuki w Łodzi. W październiku 2006 roku w Galerii „Willa” przy ulicy Wólczańskiej 31 Bogdan Lisik pokazał sześć miniatur z lat 1987/1988 oraz wielkoformatowe malarstwo olejne i akrylowe na płytach i płótnach z lat 2004–2006. Zdaniem wieloletniego przyjaciela artysty, wykładowcy łódzkiej ASP – prof. Tomasza Chojnackiego, w tych ostatnich pracach Lisik osiągnął dojrzałość malarską, zwłaszcza w traktowaniu koloru, do którego powrócił po latach ograniczenia palety. Udało mu się też zapanować nad emocjami, co jednak nie ujęło jego obrazom ekspresji. Ekspozycja nosiła wymowny tytuł: *Why not? Pourquoi pas?* i była swego rodzaju podsumowaniem wieloletnich poszukiwań twórcy – poprzez odwołanie się do różnych doświadczeń artystycznych i osobistych.

Jaka jest zatem sztuka Bogdana Lisika?

Kontakt z nią wymaga od widza zanurzenia się w niedopowiedzianym, sensualnym świecie dziwnych postaci i wnętrzu, czasami krajobrazów – niejednoznacz-



nym, choć na swój sposób uniwersalnych. Artysta zawsze bowiem odwoływał się do bardzo osobistych przemyśleń. Fascynowała go literatura, najczęściej odwoływał się do Dostojewskiego, Tolstoja, Manna. Potrafił też godzinami dyskutować o muzyce, jak z sentymentem wspomina Tomasz Chojnacki: *Bogdan miał ogromną skłonność do mentalnej samokreacji, trudno się otwierał przed nieznanymi, ale wśród przyjaciół rozkwitał. Wiele nocy przegadaliśmy o kulturze, sztuce, filozofii, słuchając Mozarta – i tego mi najbardziej brakuje po jego przedwczesnej śmierci. Poznaliśmy się na początku lat 80. w łódzkiej PWSSP, w której ja byłem asystentem, a on studentem w pracowni malarstwa prof. Ryszarda Hungera. Bogdan malował wówczas kolorystyczne martwe natury, ale już wtedy interesował go akt kobiecy – pojmowany nie tylko w sensie eksperymentów formalnych, ale też poszukiwania w ciele i psychice ludzkiej*

pierwiastka piękna. To było chyba głównym mottem jego twórczości, choć z czasem dołączył do tego pewien element bolesnego oglądu rzeczywistości, w której Bogdan nie umiał się odnaleźć. Moim zdaniem, uczyniło to jego sztukę dojrzałą, pełniejszą.

Rzeczywiście, obrazy Lisika wprowadzają w nastrój tęsknoty za czymś nieuchwytnym i niesprecyzowanym. Odpowiedzi, czym to miało być, najlepiej chyba poszukać w sugestywnych portretach i aktach, sytuujących się na granicy abstrakcji i figuracji, malowanych na wielkoformatowych płytach. Dobrze wyczuwał duże płaszczyzny obrazów i potrafił nad nimi zapanować. Postać ludzką sprowadzał do samego obrysu-konturu lub fantomu wyłaniającego się z ekspresyjnego, rozmytego tła. Obecność tych bezimiennych postaci-widm jest zaledwie zasugerowana, a każda z nich to jeden wielki znak zapytania. W ten sposób prowokował widza do własnych przemyśleń: o samotności, o niespełnionych nadziejach, o poszukiwaniu swojego miejsca w świecie.

Problem oddalenia od drugiego człowieka, pomimo pozorów bliskości, jest częstym wątkiem w malarstwie Bogdana Lisika. Sztuka niewątpliwie była kwintesencją jego egzystencji – pomagała mu odreagowywać codzienne porażki i osobiste dramaty, ale i uskrzydlała, pozwalała zapomnieć o trudnej sytuacji materialnej.

Umiejętności malarskie artysty dawały mu możliwość utrzymania, bo Lisik malował realistyczne portrety na zamówienie. Było to wymuszone sytuacją, gdyż w trudnych ekonomicznie i politycznie latach 80. ubiegłego stulecia – jak wspomina Tomasz Chojnacki – postawienie na bycie artystą wymagało konsekwencji, wielkiego zaangażowania i wiary w to, co się robi. Bogdan Lisik z pełną odpowiedzialnością podjął ten trud i kontynuował go do końca życia.

Żyjąc w hermetycznym, wyizolowanym świecie, otoczony wąskim kręgiem rodziny i przyjaciół, Bogdan Lisik nie ulegał żadnym wpływom. Jego twórczość jest swoista i oryginalna, sytuująca się poza obowiązującymi modami i tendencjami. Także studia, rozpoczęte na Wydziale Grafiki w łódzkiej PWSSP, a ukończone w uczelni gdańskiej dyplomem w 1987 r. w pracowni malarstwa prof. Jerzego Zabłockiego, nie zaważyły na jego twórczych wyborach. *Przyznaję, że to z mojego poruczenia Bogdan przeniósł się do Gdańska. Po prostu w tamtejszej szkole miał więcej zajęć z malarstwa i możliwość zrobienia z niego dyplomu, inne dyscypliny mniej go interesowały. Obok wspomnianych martwych natur i pejzaży, od początku interesowała go figuracja, to w jej obrębie koncentrowały się wszelkie poszukiwania formalne i treściowe jego twórczości* – wspomina prof. Chojnacki.

Być może z kilkuletnim pobytem artysty na Wybrzeżu wiązać należy pojawiające się w jego miniaturach z lat 80. i 90. XX wieku wątki marynistyczne. Z kolei niezwykle plastyczny sposób traktowania faktury malarskiej, zwłaszcza w pracach monochromatycznych, pozwala dopatrywać się pewnych inspiracji sztuką Piotra Potworowskiego, tego związanego niegdyś z gdańską uczelnią wybitnego polskiego kolorysty. Największym źródłem inspiracji była jednak dla Lisika jego osobliwa wrażliwość, pozwalająca mu wychwytywać i interpretować niuanse rzeczywistości: piękno człowieka, atmosferę miejsca, ulotność chwili. Łódzki artysta wypracował wiele własnych, interesujących jakości malarskich: w traktowaniu faktury, kompozycji, koloru. Po pierwszym, studenckim okresie, w którym to stosował wielobarwne rozwiązania, na wiele lat ograniczył gamę barwną do czerni i bieli, ciepłych brązów i gamy przełamanych, miękkich szarości, które uzyskiwał za pomocą subtelnych, nakładających się na siebie laserunków, przetrąć i rozmyć. W takim klimacie utrzymane są monochromatyczne dyptyki z 2006 r., zestawiane w parach: wielki, poziomy prostokąt plus mniejszy kwadrat. Dominują w nich rozbielone szarości, przełamane akcentami chłodnego błękitu lub czerwieni. Jednak najciekawsza jest faktura tych prac: Bogdan Lisik nakładał farbę za pomocą niezwykle dynamicznych pociągnięć pędzla, raz impastami, raz cienką, ledwie przykrywającą płótno warstwą. Kładzione pod różnymi kątami plamy koloru wchodzą w interesujące zależności, dzięki czemu te abstrakcyjne, w jakimś sensie sensualne kompozycje, mają w sobie coś łódzkiego. Kojarzą się bowiem z postindustrialnym krajobrazem miasta, z którym związał swoje życie i twórczość Bogdan Lisik.

Artysta nie kontynuował konstruktywistycznych tradycji łódzkiej ASP, choć ceniał kilku pedagogów tej uczelni np. prof. Ryszarda Hungera, jego wie-

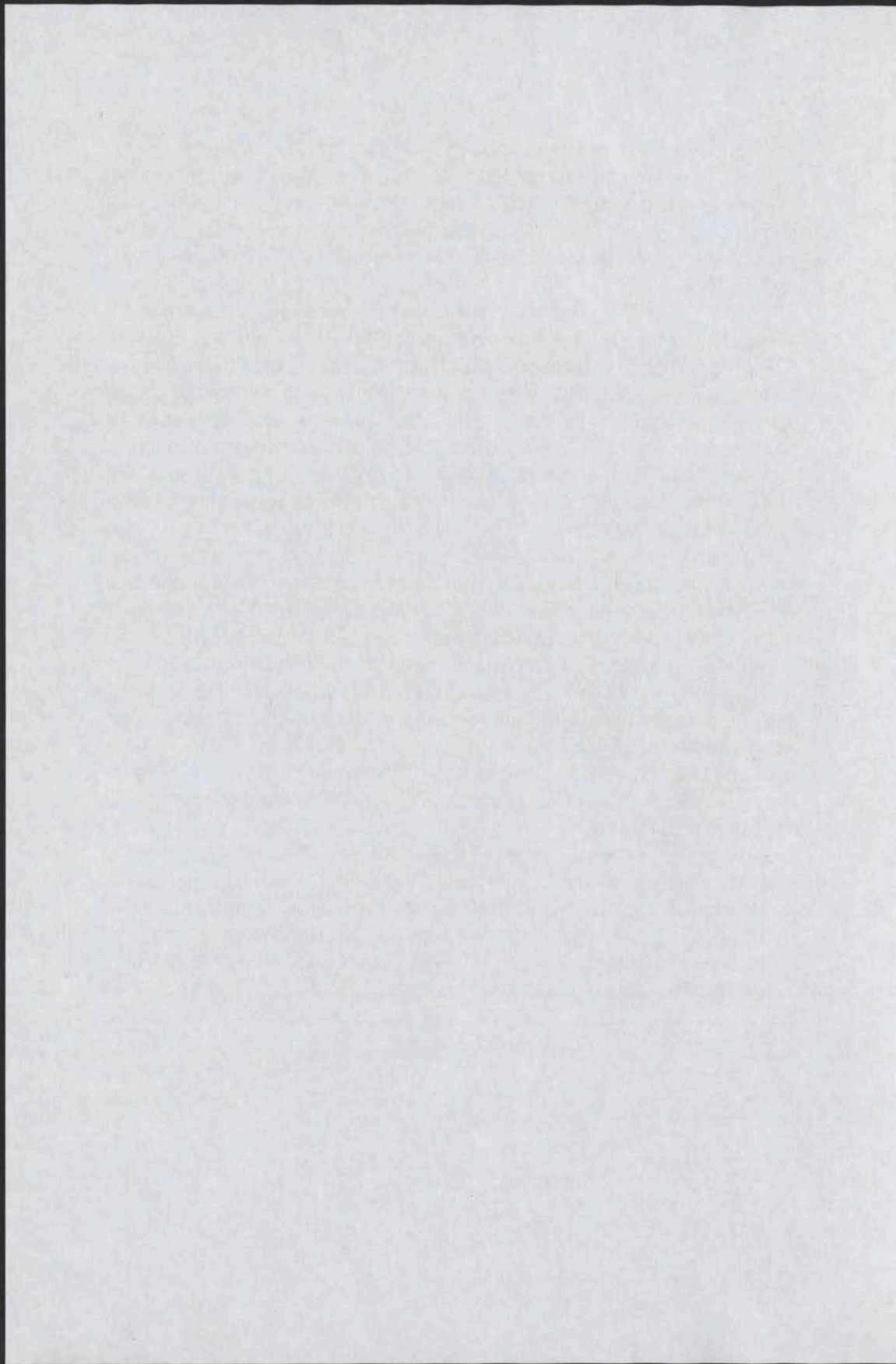
loalnym przyjacielem, oprócz Tomasza Chojnackiego, był inny profesor tej uczelni, wybitny grafik-plakacista – Sławomir Iwański. Złożona osobowość i wszechstronność zainteresowań zbliżyły Bogdana Lisika także do Ryszarda Riedla, legendarnego lidera grupy „Dżem”. Poznali się kiedyś przypadkiem w pociągu, na trasie z Kołobrzegu do Łodzi. Ich przyjaźń trwała wiele lat, dzięki Lisikowi Riedel zbliżył się do literatury, filmu i sztuki.

Choć Bogdan Lisik mistrzostwo i pełnię osiągnął w malarstwie wielkoformatowym, był też doskonałym miniaturzystą. Również w kameralnych formatach (7,5 x 10 cm, 10 x 14 cm), malowanych farbami akrylowymi lub gwaszami, najlepiej widać jego wielką wrażliwość i kulturę plastyczną. Powstały miniaturowe pejzaże inspirowane podróżami po Europie. W niektórych przewija się wątek marynistyczny – podobno artysta zawsze chciał zostać marynarzem... To prace niezwykle lapidarne formalnie: często sprowadzone do samej linii horyzontu rozgraniczającej spiętrzone plamy koloru. Malowane ciemnymi, nasyconymi barwami sprawiają wrażenie fantastycznych nokturnów, które – oglądane pod odpowiednim kątem – świecą! To efekt odpowiedniego nałożenia werniksu na farby akrylowe. Natomiast miniatury tworzone gwaszami utrzymane są w matowych szarościach, granatach i fioletach, a przejścia walerowe są ledwie uchwytnie dla oka – jest w nich jakiś spokój i wyrafinowana elegancja. Prace Bogdana Lisika należy oglądać niezwykle wnikliwie, aby zauważyć kody myślowe artysty, który całe życie wytrwale poszukiwał swojego niedoścignionego ideału.

Wystawa w Galerii „Willa” jesienią 2006 roku była ważnym, jak się okazało – podsumowującym momentem w twórczości Bogdana Lisika. Zaprezentowane wówczas prace – zarówno te najnowsze, jak i te z lat 80. i 90. XX wieku – ujawniły osobowość dojrzałą, świadomą, choć niewolną od wewnętrznych rozterek i niepokojów. Należy żałować, że nagła śmierć 25 stycznia 2008 roku zamknęła drogę twórczą 52-letniego wówczas artysty.

Wielkoformatowy obraz z cyklu „Spotkania” (VI) z 2004 r. został zakupiony przez Miejską Galerię Sztuki w Łodzi w 2008 r. w ramach dotacji Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi na poszerzenie kolekcji dzieł tej placówki, był też prezentowany na wystawie „Dary i nabytki Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi” w Galerii „Willa” w dniach 11 grudnia 2008–11 stycznia 2009.

*Monika Nowakowska
– historyk sztuki*



osiedla, domy, ulice

Cegielniana – Jaracza

Ulica kultury i rozrywki

Dariusz Kędzierski

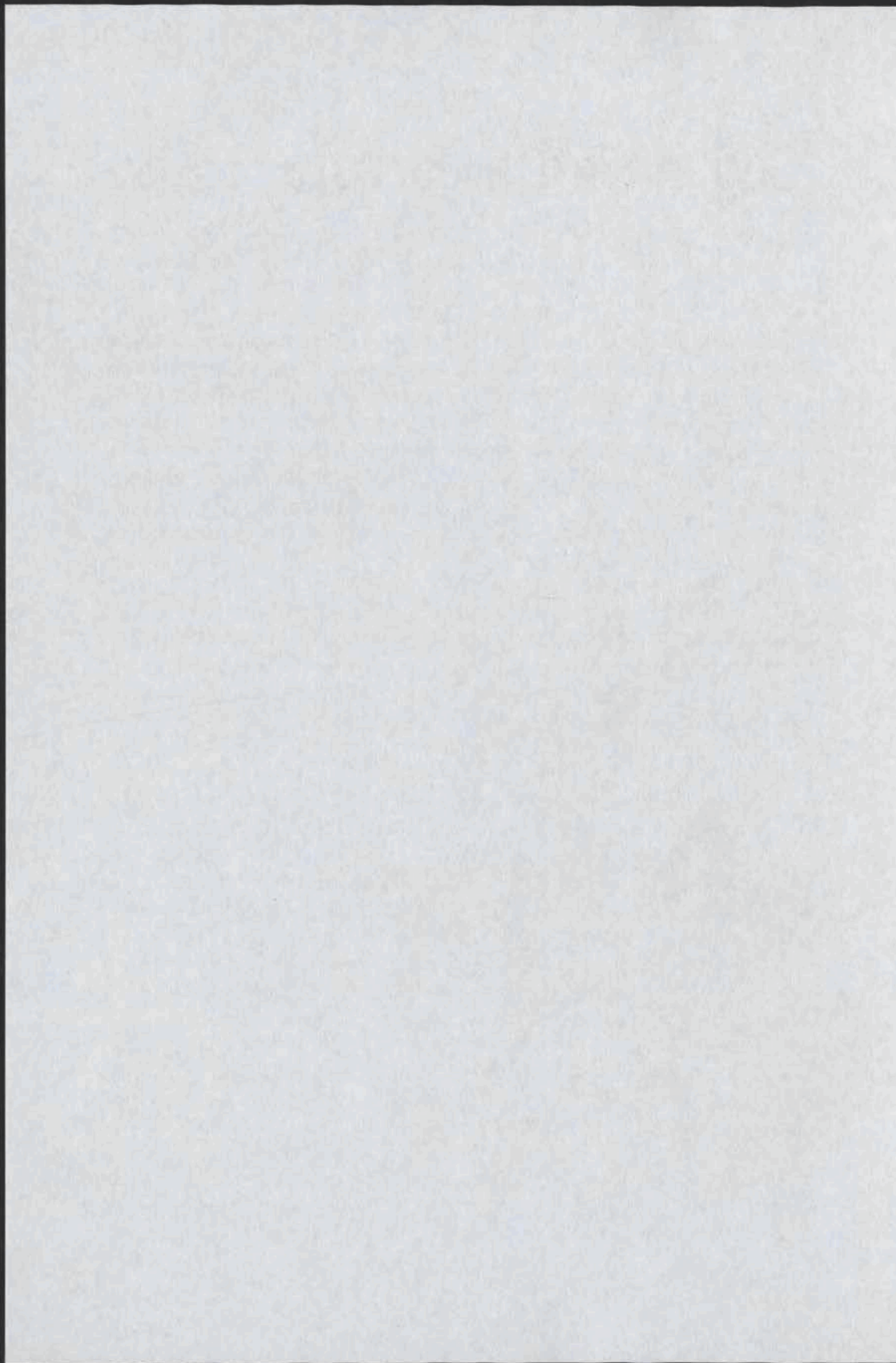
str. 175

Rozważania architekta

Doły – osiedle wykorzystanych szans

Krystyna Krygier

str. 195



Cegielniana – Jaracza

Ulica kultury i rozrywki

osiedla, domy, ulice

Nazwa obecnej ulicy Stefana Jaracza ewoluowała na przestrzeni lat, początkowo – w 1821 r. – nosiła nazwę Pod Cegielnią, później mówiono o niej – Podcegielniana a od 1845 r. stała się Cegielnianą. Swoje określenie wzięła od pierwszych miejskich cegielni założonych tu z polecenia Rajmunda RembIELIŃskiego. Dostyc wcześnie, bo jeszcze w roku 1860, ulica została wyłożona drewnianym brukiem. Przez lata swojego istnienia nie miała jednolitej numeracji. Wynikało to z faktu, że do 1931 r. ulica była dłuższa o odcinek między Gdańską a Piotrkowską. Następnie została o ten właśnie fragment skrócona, który dał początek nowej ulicy – Śródmiejskiej. W 1948 r. Cegielnianą – niejako zgodnie z jej nazwą – wyłożono cegłą klinkierową. Swoją obecną nazwę – Stefana Jaracza – przyjęła dopiero w 1949 roku.

Można odnieść wrażenie, że sam początek ówczesnej ulicy Cegielnianej (dziś po części Więckowskiego) wypełniały głównie obiekty dostarczające mieszkańcom Łodzi rozrywki. W miejscu, gdzie obecnie stoi budynek domu handlowego „Magda”, swoją siedzibę miał teatr „Urania” (wówczas była to Cegielniana 34). Był to długi, drewniany obiekt z miejscami siedzącymi i stojącymi. Obok znajdował się ogródek, w którym w porze letniej odbywały się przedstawienia, głównie typu *variétés*, organizowano tu także seanse kinematograficzne. Teatr kabaretowy „Urania” został zbudowany w 1907 r. przez Teodora Junoda, ojca znanego aktora filmowego z okresu międzywojennego – Eugeniusza Bodo, który tu właśnie uczył się zawodu i debiutował, mając niespełna 18 lat. Widownia tego teatru liczyła 250 miejsc. W okresie międzywojennym mieściły się tu kina „Chimera” oraz „Czary”. Po drugiej wojnie światowej budynek został rozebrany. Podobny charakter miał teatr „Variete”, istniejący w restauracji „Colosseum” przy Cegielnianej 16 (obecnie Więckowskiego 13), na rogu z Zachodnią 53 (obecnie Zachodnia 95). Tu również działał teatr zimowy i letni. Tu także, od 1912 r., to jest od momentu jego powołania, całością kierował Teodor Junod. Obecnie stoi tu dwupiętrowy budynek, w którym mieszczą się pracownie i magazyny Państwowego Teatru Nowego oraz Łódzki Oddział Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Podobnie, przy Cegielnianej 18 (Więckowskiego) w 1912 r., znany łódzki adwokat – Stefan Kobylński otworzył teatr rozrywkowy „Scala”. Zrobił to podobno dla swojej przyjaciółki, popularnej szansonistki – Loli Stamatti.

Okazuje się jednak, że ten fragment ulicy Cegielnianej służył nie tylko rozrywce. Miało tu również swój początek łódzkie księgarstwo. Jego historia sięga połowy XIX wieku. Pierwszą księgarnię w Łodzi otworzył w 1848 r. Jankiel Gutsztadt.



Nie była to w tamtym okresie działalność nazbyt opłacalna i najczęściej handel książkami stanowił jedynie uzupełnienie handlu sukniem lub innymi materiałami. Wybitną postacią wśród księgarzy tamtego okresu był Cezar Richter, który po odbyciu praktyki księgarskiej w Warszawie, w 1872 r. przyjechał do Łodzi. Tu kupił niemiecką księgarnię L. Heinricha, którą następnie, po dziesięciu latach użytkowania, odsprzedał Ludwikowi Fiszerowi. Sam natomiast, przy Cegielnianej 4 założył „księgarnię kolportacyjną”. W księgarni przy Cegielnianej można było nabyć zarówno dzieła napisane w języku polskim, jak również wydawnictwa zagraniczne. Książki w „księgarni kolportacyjnej” dostarczane były klientom na zamówienie. Richter był również wydawcą łódzkich kalendarzy w języku polskim i niemieckim. W 1894 r. dzięki niemu ukazał się też pierwszy przewodnik po Łodzi.

Gdy znajdziemy się na skrzyżowaniu ulic Jaracza z Piotrkowską, naszą uwagę na pewno zwróci kolorowa budka umieszczona na narożnej kamienicy. Była ona ściśle związana z organizacją ruchu drogowego na tym obszarze. To, co obecnie wydaje się sprawą zupełnie oczywistą, w latach 50. XX wieku było absolutną nowością – mowa tu o sygnalizacji świetlnej służącej regulacji ruchu ulicznego. W Łodzi dopiero w roku 1950 powstał projekt takiej sygnalizacji, początkowo tylko na dwóch ulicach krzyżujących się z ulicą Piotrkowską. Do kierowania ruchem ulicznym, oprócz świateł, potrzebny był również człowiek, nie było bowiem wówczas urządzeń sterujących sygnalizacją i trzeba było to robić ręcznie. Dlatego też, na skrzyżowaniach ze światłami instalowano tzw. „bocianie gniazda”, czyli budki dla milicjanta umieszczone kilka metrów nad ziemią. Zadaniem milicjanta, pełniącego dyżur w takim „gnieździe”, była nie tylko zmiana świateł, ale również prowadzenie obserwacji ruchu pojazdów oraz zapisywanie numerów rejestracyjnych tych pojazdów, których kierowcy dopuszczali się łamania przepisów. Obecnie jedyne takie „gniazdo” udało się przywrócić na skrzyżowaniu ulic Jaracza i Piotrkowskiej.

Bodaj najbardziej znanym miejscem na ulicy Jaracza jest teatr, noszący imię tego wybitnego aktora. Historia tej placówki sięga roku 1888 roku. Wtedy to, w maju, na Piotrkowskiej 67 swoją działalność zainaugurowała stała scena polska w teatrze „Victoria” (obecnie mieści się tu kino „Polonia”). Zapewne nie byłoby teatru przy ulicy Jaracza, gdyby nie płomień, które zniszczyły budynek przy Piotrkowskiej 67 a wraz z nim nieubezpieczoną garderobę, będącą prywatną własnością aktorów i dyrektora – Aleksandra Zelwerowicza. Dzięki ofiarności mieszkańców Łodzi garderobę udało się odtworzyć, gorzej było ze sceną. Zespół aktorski został więc bez siedziby. Padła wtedy propozycja przystosowania dla potrzeb teatru pomieszczeń magazynowych Towarzystwa Transportowego „Nadieżda”, mieszczącego się przy Cegielnianej 63. Prace remontowe trwały tylko 140 dni. W ten oto sposób powstał nowy teatr zwany „Polskim” z widownią na 836 miejsc. Nowa placówka swoją działalność zainaugurowała w październiku 1990 roku spektaklem *Klątwa*. Niestety, jakieś fatum zawisło nad Zelwerowiczem i jego teatralnymi działaniami w Łodzi, gdyż i ten teatr, równo po dwóch



latach działalności, w październiku 1911 roku, także stanął w płomieniach. Towarzystwo Teatralne, które usilnie dążyło do odbudowy budynku, nie miało na ten cel środków. Wobec odmowy przyznania pieniędzy przez Towarzystwo Kredytowe, Towarzystwo Teatralne zawarło porozumienie z łódzkimi inżynierami: Nebeskim, Millerem i Banaszem, którzy wykupili plac przy Cegielnianej za ponad 80 tysięcy rubli. Następnie odbudowali teatr i wydierżawili budynek Towarzystwu Teatralnemu, pobierając opłatę 7 tysięcy rubli za każdy sezon. W 1917 r. teatr został odnowiony zgodnie z projektem Dawida Landego i Gustawa Landau Gutentegera. Całość prac kosztowała 40 tysięcy rubli. W okresie międzywojennym działał tu Teatr Miejski, a w czasie okupacji budynek wzięli w posiadanie aktorzy niemieccy (Theater Zu Litzmannstadt). W latach 1945–1949 swoją siedzibę miał tu Teatr Wojska Polskiego, a później aż do chwili obecnej szanowany za swój poziom sceniczny – Teatr im. Stanisława Jaracza.

Po przeciwnej stronie ulicy znajduje się miejsce związane z Leopoldem Skulskim, człowiekiem raczej w Łodzi zapomnianym, którego osoba w sposób szczególny została uhonorowana w 2008 roku. Leopold Skulski urodził się w 1877 r. w Zamościu, w rodzinie inteligencko-szlacheckiej. W 1903 r. ukończył studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Warszawskim, a później w Niemczech – chemię. Do Łodzi trafił w 1907 r. jako pracownik filii Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego „Motor”. Zajmował się sprzedażą leków i preparatów farmaceutycznych. W 1910 r. Skulski wydzierżawił od Oswalda Gessnera aptekę przy Cegielnianej 64. Dwa lata później, w budynku obok otworzył fabrykę krochmalu. Udzielał się społecznie między innymi w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”. W 1917 r. wybrano go radnym miejskim, a we wrześniu został mianowany na nadburmistrza (prezydenta Łodzi). Przeprowadził

osiedla,
domy,
ulice





miasto przez niespokojny okres zakończenia wojny i odzyskania niepodległości. W styczniu 1919 roku Skulski został wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy. Był prezesem Narodowego Zjednoczenia Ludowego. W grudniu 1919 roku, po dymisji rządu Ignacego Paderewskiego, Naczelnik Państwa – Józef Piłsudski powierzył mu misję utworzenia nowego rządu. W ten oto sposób Skulski, w wieku 43 lat, stał się najmłodszym premierem RP. Był to trudny okres, gdyż w tym czasie toczyła się wojna polsko-bolszewicka. Niestabilna sytuacja polityczna zmusiła Skulskiego do ustąpienia po sześciu miesiącach sprawowania urzędu. Niejasne pozostają okoliczności jego śmierci. Najprawdopodobniej zginął z rąk NKWD na początku drugiej wojny światowej. W ramach obchodów 90. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej odsłonił pamiątkową tablicę poświęconą Leopoldowi Skulskiemu.

Dalej, na samym rogu ulic Jaracza i Kielińskiego, stoi zaniedbany budynek, który

w czasie swego istnienia pełnił wiele funkcji. Powstał w 1888 r. na posesji Wilhelma Landaua. Od początku mieściło się tu Miejskie Gimnazjum Żeńskie, oprócz tego znajdowały się też mieszkania dla nauczycieli. W 1894 r. budynek zmienił właściciela. W jego posiadanie wszedł Fryderyk Klukas. Do roku 1903 nadal znajdowała się tu szkoła, lecz kiedy podjęto decyzję o jej przeniesieniu na ulicę Pomorską (wtedy Średnią), budynek został poddany modernizacji. Po jej ukończeniu otwarto restaurację oraz hotel, od nazwiska właściciela zwany „Klukas”. W 1945 r. obiekt przekazano Uniwersytetowi Łódzkiemu. Mieściły się w nim mieszkania dla nauczycieli akademickich. Później natomiast, swoją siedzibę miała tutaj redakcja wydawnictw naukowych Uniwersytetu Łódzkiego.

Na Cegielnianej pod numerem 80, w roku 1875, Arnold Stiller wspólnie z Juliuszem Bielschowskim uruchomił przędzalnię, tkalnię, farbiarnię i wykończalnię wełny. Arnold Stiller był jednym z założycieli i członkiem zarządu Łódzkiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (1897), członkiem Komitetu Synagogi przy ulicy

Spacerowej, a także członkiem zarządu „Domu Ubogich” fundacji im. Hermana i Niny, małżonków Konstadtów.

Po przeciwnej stronie ulicy Cegielnianej, w głębi działki, na planie zbliżonym do kwadratu, Arnold Stiller wzniósł swój dom mieszkalny. Budowę rozpoczęto w 1891, a zakończono w roku 1893. Projektantem budynku nawiązującego stylem do francuskiego i włoskiego renesansu był Hilary Majewski. Prócz głównego obiektu zaprojektowany został dom ogrodnika oraz oranżeria, stajnia i wozownia. Kilka lat później, w latach 1899–1901, budynek został powiększony. Dodano skrzydło w południowej części willi, jak również wieżę i klatkę schodową. Architekt Dawid Lande, bo to on był autorem rozbudowy, w wystroju architektonicznym wprowadził elementy manieryzmu niderlandzkiego. Na parterze znalazł się salon, biblioteka, jadalnia, gabinet, pokoje gościnne, łazienka i sanitariaty, na piętrze zaś pomieszczenia mieszkalne.

Od niedawna uwagę Łodzian przykuwa odnowiona kamienica przy ulicy Jaracza 47. To dom Stefanusa, właściciela zakładu – Fabryka Aparatów Farbiarskich i Armatur, Odlewnia Żelaza, w której produkowano m.in. elementy armatury wodociągowej. To tu wykonano cztery studnie, które zostały zainstalowane na placu Wolności. W fabryce powstało również wiele hydrantów ulicznych. Pierwotnie zakład mieścił się przy ulicy Ciesielskiej 14, później w 1897 r., przy Cegielnianej powstała jeszcze Wytwórnia Kotłów Żeliwnych.

Wracając do kamienicy... Zaprojektowana została na przełomie XIX i XX wieku przez ówczesnego architekta miejskiego – Franciszka Chełmińskiego. Powstał budynek w stylu eklektycznym, z elementami neobaroku. Elewacje zdobią między innymi płaskorzeźby dzieci tzw. putta, a także bonie, gzymsy i akanty. Uwagę zwracają kariatydy, podpory architektoniczne przedstawiające sylwetki kobiece. Wewnątrz gmachu zachowała się bogato zdobiona balustrada, oryginalna stolarka, marmurowe schody, odkryto również cenne polichromie. Przez wiele lat budynek był wykorzystywany przez Teatr Wielki. Znajdowały się tutaj mieszkania dla artystów, a także rekwizytornia. Przez ostatnie lata lokal stał nieużytkowany i niszczał. Wysiłkami inwestora i konserwatorów przy-



osiedla, domy, ulice



wrócono mu dawny blask i to w dosłownym znaczeniu, gdyż elewacja frontowa otrzymała wspaniałą oprawę świetlną.

Z Edmundem Stefanusem, a właściwie z jego fabryką przy Cegielnianej, łączy się osoba Antoniego Szumana, który pełnił w niej funkcję kierownika. Szuman stał się jednym z aktywistów ruchu robotniczego. Na prośbę Juliana Marchlewskiego, jednego z założycieli Związku Robotników Polskich, przybyłego do Łodzi w 1891 r., zatrudnił w zakładach Stefanusa – Jana Ledera. Temu warszawskiemu robotnikowi Marchlewski powierzył agitację wśród robotników łódzkich. Swoją pracę związkową Leder rozpoczął od zakładów Stefanusa, gdzie za zgodą robotników, legalnie działająca kasa pożyczkowa przekształcona została w Kasę Oporu, która miała służyć strajkującym robotnikom. Szuman należał do tzw. „Latarników”, grupy młodej inteligencji łódzkiej, która za cel stawiała sobie zorganizowanie i pokierowanie rzeszą tysięcy niezadowolonych łódzkich robotników. Coraz aktywniejsze działania Związku Robotników Polskich nie uszły uwadze carskiej policji. W listopadzie 1891 roku doszło do pierwszych aresztowań. Szuman w obawie przed zatrzymaniem wyjechał z Łodzi. Pomimo aresztowań wysiłki podjęte przez członków ZRP nie poszedł na marne. W maju następnego roku doszło do wybuchu strajku powszechnego i choć został on stłumiony, to jednak fabrykanci poszli na pewne ustępstwa. Wyplacono robotnikom wynagrodzenie za czas strajku, podniesione zostały zarobki, skrócono także o godzinę czas pracy.

Inna, okazała rezydencja znajduje się nieco dalej, na skrzyżowaniu ulic Jaracza i Sterlinga. Jest nią rezydencja Kestenbergów. Jakub Kestenberg był synem Izraela i Rozalii Trybowicz. Jego ojciec był właścicielem fabryki wyrobów bawełnianych i półbawełnianych założonej jeszcze w 1864 roku. W 1880 r. Jakub Kestenberg kupił od małżeństwa Krystyny i Augusta Deringów część działki położonej przy ulicy Nowo Targowej (obecnie Sterlinga). Później, w 1883 r. wspólnie z żoną Dwojrą, nabył pozostałą część, stając się właścicielem całości. W miejscu tym została wybudowana tkalnia oraz inne zabudowania przemysłowe, a także dwukondygnacyjny dom mieszkalny wraz z kantorem. W ten oto sposób powstał charakterystyczny dla łódzkich przemysłowców zespół rezydencjonalno-fabryczny. Niestety, w 1896 r. fabryka spłonęła. Kestenbergowie zaciągnęli kredyt w Towarzystwie Kredytowym m. Łodzi, dzięki któremu mogli fabrykę odbudować a następnie rozbudować. Nad całością prac czuwał architekt Gustaw Landau Gutenteger. Prace zakończono w 1900 roku. Dwa lata później, inny znany łódzki architekt – Franciszek Chełmiński zaprojektował Kestenbergom okazałą rezydencję. Budowa trwała rok, a w 1903 r. na rogu Cegielnianej i Nowo Targowej stanął dwukondygnacyjny, podpiwniczony budynek z mansardowym poddaszem. Parter zajmowały pomieszczenia administracyjno-handlowe, piętro zaś stanowiła część mieszkalna i pomieszczenia reprezentacyjne. Elewacja budynku zawiera w sobie elementy klasyczne, a także elementy baroku, rokoka i secesji. Od strony ulicy Sterlinga nadano jej charakter pałacowy, zaś od ulicy Jaracza – willowy. Za murem rozciągał się rozległy ogród z drewnianą altaną. Reprezentacyjny wjazd do rezydencji znajdował się od strony ulicy Cegielnianej. W cza-

sie trwania pierwszej wojny światowej fabryka dosyć poważnie ucierpiała. Co prawda, syn Jakuba – Salomon Kestenberga zdołał odbudować zniszczenia, lecz firma wpadła w kłopoty w wyniku kryzysu finansowego. W tym momencie pojawił się inny przemysłowiec – Natan Eitingon, który był mistrzem w „dobijaniu” i w efekcie przejmowaniu przeżywających kłopoty przedsiębiorstw. Mający nóż na gardle Kestenberga, zgodził się na niekorzystną sprzedaż komisową wyrobów swojej firmy przez Eitingona oraz przekazał mu 52% akcji jako zastaw. W 1935 r. doszło do sprzedaży obiektów fabrycznych za cenę o wiele niższą od rzeczywistej wartości. Nabywcą była oczywiście Włókiennicza Spółka Akcyjna Natana Eitingona. Rodzina, a nawet wierzyciele, nie chcieli pogodzić się z warunkami sprzedaży i oddali sprawę do sądu. Na terenie fabryki faktycznymi gospodarzami byli Eitingonowie, a sprawa aż do wybuchu drugiej wojny światowej pozostała nierozstrzygnięta. Po wojnie, w 1955 r. przeprowadzona została adaptacja budynku rezydencji do potrzeb biurowych. Łączyło się to z istotną przebudową wnętrza. Budynek oddano w posiadanie Zakładom Przemysłu Odzieżowego „Emfor”.

Dalej, na Jaracza 70 znajduje się dawna fabryka Wienera. Co prawda, stoi ona w tym miejscu od 1906 r., lecz moment jej powstania datuje się na rok 1864. Wtedy to, przy Piotrkowskiej 34, powstała ręczna fabryka tkanin wełnianych, następnie przeniesiona na pasaż Meyera, gdzie produkcja odbywała się już w sposób mechaniczny. Później nastąpiła kolejna przeprowadzka – na Cegielnianą. W 1908 r. zakłady przekształcono w Towarzystwo Akcyjne Wyrobów Wełnianych M.H. Wienera. W tkalni i przędzalni pracowało ponad 1000 osób. W czasie pierwszej wojny światowej fabryka została poważnie zniszczona. Do jej ponownego uruchomienia doszło dopiero po prawie 15 latach. Obecnie budynek służy studentom. W jego murach mieści się Instytut Archeologii i Katedra Etnologii Uniwersytetu Łódzkiego.

Niemal na końcu ulicy znajduje się park im. Stanisława Staszica. Zajmuje on powierzchnię około 4 hektarów. Był to czwarty z kolei ogród miejski. Prace przy jego budowie rozpoczęto w 1899 r. według projektu ogrodnika miejskiego – Leona Grabowskiego. Posadzono wtedy 1174 drzew aż w 231 gatunkach i odmianach oraz 6200 sztuk krzewów należących do 254 gatunków i odmian. Oficjalne otwarcie parku nastąpiło w 1902 roku. Kilka lat później zbudowano tu szklarnię i inspekty, w których hodowano kwiaty na potrzeby miasta. Parki miejskie chronione były przez dozorców parków umundurowanych w szare uniformy i czapki z napisem GR (Grodskiej Sad). W 1912 r. w parku Staszica zorganizowana została wielka Wystawa Rzemieślniczo-Przemysłowa, po której pozostał Pomnik Pracy. Przedstawiał on postać robotnika wspartego o młot, stojącego na kamiennym cokole. Wybudowano również drewnianą muszlę koncertową. Po odzyskaniu niepodległości parkowi nadano imię Stanisława Staszica, a fakt ten upamiętniono ustawieniem popiersia wybitnego, polskiego uczonego. W 1923 r. swoją działalność, w przebudowanej muszli koncertowej, rozpoczął teatr letni. Wieczorem wstęp do parku mieli tylko nabywcy biletów na spektakle. W 1936 r. w parku odbyła się ponownie duża Wystawa Rzemieślnicza i Targi, później Wojewódzka



osiedla, domy, ulice

Wystawa Ogrodnicza. W czasie okupacji Niemcy zniszczyli oba pomniki, a także wycięli część drzew i krzewów. Obecnie, od kilku miesięcy trwają prace związane z powiększeniem powierzchni parku.

Dariusz Kędziński
– filmowiec, publicysta

Bibliografia:

1. Z. Konicki, *Ulice Łodzi. Ulice w szachownicę*, Wojciech Grochowalski, Łódź 2005,
2. W. Kowalski, *Leksykon łódzkich fabryk*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 1999.
3. W. Kowalski, *Łodzi dawnej lamus*, WIST, Łódź 2008.
4. S. Łukawski, *Łódzka secesja*, Towarzystwo Opieki Nad Zabytkami Oddział w Łodzi, „ZORA”, 1997.
5. W. Pawlak, *W cieniu ratuszowej wieży*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973.
6. W. Pawlak, *Minionych zabaw czar, czyli czas wolny i rozrywka w dawnej Łodzi*, Oficyna Bibliofilów, 2001.
7. *Parki Łodzi*, praca zbiorowa pod red. prof. dr. J. Mowszowicza, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, 1962.
8. L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, Oficyna Bibliofilów, 1999.
9. M. Laurentowicz-Granias, J. Manžett-Kubiak, *Pałace „Ziemi Obiecanej”*, TONZ w Łodzi, ZORA, Łódź 1997.
10. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi – Słownik biograficzny*, T-1, T-2, Oficyna Bibliofilów, 2002.
11. R. Bonisławski, J. Podolska, *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej, 2008.
12. *Teatr przy ulicy Cegielnianej – Szkice z dziejów sceny łódzkiej 1843–1978*, pod red. S. Kaszyńskiego, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980.
13. A. Kuligowska-Korzeniewska, *Scena Obiecana. Teatr polski w Łodzi 1844–1918*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1995.
14. Dr W. Giermaziak, www.bez-recepty.pl.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski



Piotrkowska / Jaracza



Kilińskiego / Jaracza



ul. Więckowskiego 13



ul. Więckowskiego 16



ul. Jaracza / pl. Dąbrowskiego



Wschodnia / Jaracza



ul. Jaracza 69



Piramowicza / Jaracza



ul. Jaracza 78



ul. Jaracza 80



ul. Jaracza 106



DH „Magda”



ul. Jaracza 53



ul. Jaracza 30



ul. Jaracza 52



ul. Jaracza 74



ul. Jaracza 27



Widok na Teatr Wielki z ulicy Stefana Jaracza



ul. Jaracza 4



ul. Jaracza 84



ul. Jaracza 19



ul. Jaracza 66



ul. Jaracza 95/97



ul. Jaracza 15



ul. Jaracza 3 (detal)



ul. Jaracza 7 (detal)



ul. Jaracza 5 (detal)



ul. Jaracza 13 (detal)



ul. Jaracza 83



ul. Jaracza 45



ul. Jaracza 47

Rozważania architekta

Doły – osiedle wykorzystanych szans

osiedla, domy, ulice

Użytkownicy mieszkań w tzw. „blokach” na ogół nie posiadają wiedzy o procesie powstawania osiedli. Na tym tle rodzą się nieporozumienia dotyczące autorstwa projektów przestrzennych osiedli. Często więc pomyłkowo przypisuje się projektantowi kilku budynków autorstwo całej osiedlowej struktury urbanistycznej.

Proces projektowania dużych skupisk mieszkalnych jest skomplikowany i wymaga udziału specjalistów wielu branż i wielu poprzedzających realizację decyzji. Jedną z ważniejszych – a właściwie najważniejszą – jest lokalizacja osiedla, czy dzielnicy. Plan ogólny miasta powinien bowiem zawierać wytypowane tereny pod budownictwo mieszkaniowe.

Aby uniknąć błędów, zanim dojdzie do projektowania obiektów kubaturowych, należy więc zapoznać się z planem ogólnym miasta. Zawarte są w nim informacje dotyczące układu komunikacji miejskiej, przewidywanych bądź istniejących instalacji, zaopatrzenie w wodę, gaz, energię elektryczną i odprowadzanie ścieków.

Ważna jest także technologia wznoszonych budynków. W okresie PRL o technologii decydowały władze miasta. W latach 70. XX wieku zapanowała moda na technologię uprzemysłowioną, a pierwszy w Łodzi system wielkopłytkowego budownictwa mieszkaniowego nosił nazwę Łódzkiej Sekcji Mieszkaniowej (ŁSM). Miał on przyspieszyć proces realizacyjny dużych skupisk mieszkaniowych. Wiadomo jednak, że do przygotowania zamierzeń realizacyjnych musi powstać zespół projektowy z kierującym całością urbanistą. Odtąd za proces projektowania jest odpowiedzialny ten urbanista lub zespół urbanistów z wybranym zespołem projektantów branżowych. Początek ich pracy to kolejne etapy sporządzania dokumentacji, a więc: koncepcja zagospodarowania przestrzennego w synchronizacji z uzbrojeniem terenu, komunikacją osiedlową oraz układem zieleni. Wszystkie te zabiegi zmierzają do prawidłowego funkcjonowania budynków, a co za tym idzie – do zapewnienia wygody przyszłym mieszkańcom.

Bardzo ważnym zagadnieniem jest nowo powstający pejzaż miejski.

Od umiejętności i wyobraźni przestrzennej projektującego urbanisty zależy spełnienie wyżej opisanych warunków we wznoszonych osiedlach. Walory użytkowe i estetyczne osiedla zależą w dużej mierze od naturalnych warunków terenu, na którym jest ono wznoszone. Nie jest więc dobrze, gdy teren wznoszonego osiedla jest położony niżej niż otoczenie. W takim osiedlu tworzą się bowiem zastoiny zimnego powietrza. Jednocześnie otaczająca komunikacja miejska o dużym ruchu lub bezpośrednio sąsiedztwo przemysłu może nawiewać spaliny i chemikalia.

W Łodzi przykładem dobrej lokalizacji jest osiedle „Konstytucyjna”. Położone wyżej od otoczenia sąsiaduje z zespołem parkowym i zabudową jednorodzinną, a więc niską i z dużą ilością zieleni. Do walorów lokalizacyjnych należy także rzeźba terenu. Zróżnicowanie i nachylenie w kierunku południowym pomnaża korzystne warunki kształtowania zabudowy.

Po 1956 r. zasadniczą formą kształtowania przestrzeni osiedli była tzw. „szkoła anglosaska”, polegająca na swobodnym układzie domów, bez dominacji linii ulic. Jednak w Polsce osobnym problemem było istniejące budownictwo na wydzielonych działkach. Po analizie stanu technicznego obiektu podejmowało się decyzję o wyburzeniu lub adaptacji budynku bez większego poszanowania własności prywatnej, której w PRL nie brano pod uwagę ze względów doktrynalnych. W przypadku wyburzenia domu właściciel dostawał mieszkanie zastępcze, którego wartość nie odpowiadała wartości rzeczylwej utraconej nieruchomości.

Dzisiaj relacjonowanie przebiegu realizacji osiedli wznoszonych w latach 1950–1980 nie jest proste. Większość osób współpracujących przy tych inwestycjach już nie żyje. Tylko niekompletna dokumentacja spoczywa w archiwach, a często została zniszczona. W chwili obecnej można więc opisać powstawanie tych osiedli, które się projektowało lub było świadkiem ich powstawania.

Byłam współautorką Osiedla „Doły”. To duże skupisko mieszkalne jest zespołem kilku odrębnych osiedli leżących po północnej stronie ulicy Wojska Polskiego. Centrum osiedli stanowią ulice: Wojska Polskiego, Sporna i Boya-Żeleńskiego. Do zespołu autorskiego należą: arch. Krystyna Krygier (Doły Wschód i Doły Górnicza), arch. Romuald Furmanek (Doły Południe), arch. Stefan Krygier (Doły Północ). W tym



przypadku głównego projektanta całej dzielnicy Doły nie było. Urbaniści – architekci poszczególnych osiedli uzgadniali między sobą zamierzenia projektowe. Ciało opiniujące stanowiła rada techniczna.

Program usługowy projektowany był wg obowiązującego wówczas normatywu. Niezależnie jednak od wytycznych program uzgadniano z odpowiednimi instytucjami. W tamtych czasach nie konsultowano projektowanych usług z przyszłymi użytkownikami. W okresie projektowania Dołów, Łódź nie dysponowała jeszcze na szczęście uprzemysłowionym systemem budownictwa. Dzięki temu – ku zadowoleniu projektantów – Doły mają strukturę mieszkaniową zrealizowaną w systemie tradycyjnym. Wyjątkiem jest tylko fragment Doły Górnicza. W latach jego realizacji był już gotowy system prefabrykatów ŁSM i musiał być obowiązkowo wdrożony w tym osiedlu. Cała dzielnica mieszkaniowa znana jest dziś jako osiedle Doły. Jej południową granicą jest ulica Wojska Polskiego, granicę północną stanowi nekropolia żydowska, a centralnie położone ulice Sporna i Boya-Żeleńskiego oraz Górnicza stanowią również układ komunikacyjny dzielnicy i jej urbanistyczny zarys.

Autorzy projektów branżowych dla osiedla Doły:

zieleni – arch. zieleni Janina Urbankiewicz,
 komunikacja – inż. Marian Deska, Jan Duda,
 woda i kanalizacja – inż. inż. Ryszard i Kazimierz Jurczyńscy,
 ciepło – inż. Piotr Śliwowski, inż. Zdzisław Strzałkowski,
 elektryczność – inż. Marian Wysokiński.

Obszary miasta po południowej stronie osiedla to tereny zielone z niewielką ilością budynków, takich jak gmach Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego, kościół oraz szpital dziecięcy. Dzisiaj w strefie osiedlowej Doły Wschód w spółdzielczych blokach mieszka ok. 4 tysiący osób. W rejonie ulicy Spornej ilość mieszkańców wynosi 6500 osób. Zaludnienie całego osiedla Doły nie przekracza 20 tysięcy mieszkańców. Osiedla Wschód oraz Południe mają sporo ulic wcześniej istniejących – zachowanych w obecnym projekcie. Łączą się one z ulicą Wojska Polskiego. To np. ulice: Przemysłowa, Harcerska, Nowopolska i Chryzantem. Dość znaczny spadek tych ulic w kierunku południowym wymaga odpowiedniego kształtowania zabudowy. W przypadku Dołów Wschód konieczne było zastosowanie budynków z uskokami zarówno poziomymi, jak i pionowymi. Ulice pod osiedla Południe są na ogół zabudowane częściowo, więc zabudowa nowa stanowi uzupełnienie starej. Warto tu dodać, że gabaryt ulicy jest gabarytem zabudowy mieszanej. Wymaga czasem kosmetycznego uzupełnienia dla uzyskania harmonii architektonicznej.

Zachodnia część pod osiedle Południe była wznoszona na części niezabudowanej, co pozwoliło na kształtowanie założonej koncepcji architektonicznej. W wielu budynkach tego rejonu na ostatniej kondygnacji zostały zaprojektowane

osiedla, domy, ulice



pracownie plastyczne. Doły Wschód, zwłaszcza ich część wschodnia, miały korzystne warunki fizjograficzne dla domów mieszkalnych. Sytuowane wzdłuż poziomnic tworzą nietypowe układy urbanistyczne.

Ulica Chryzantem jest historycznie uwarunkowana. U jej wylotu znajduje się główna brama prowadząca na Cmentarz Żydowski. Niewielki odcinek tej ulicy – od Brackiej do bram nekropolii – od niedawna nosi imię łódzkiego poety Abrama Cytryna. Przez wiele lat, po II wojnie światowej brama ta była zamknięta. Wejście na cmentarz prowadziło ulicą Zmienną, utwardzoną starym brukiem.

Ulice zadrzewione stanowiły dużą niedogodność dla wykonawcy. Przykładem była ulica Chryzantem, przy której rosły skupiny różanecznika. W projekcie urbanistycznym poprowadzono chodniki tak, aby nie naruszyć tego efektownego zadrzewienia. Niestety, wykonawca drogowy rozpoczął swoje prace od wycięcia istniejących naniesień roślinnych. Po zrealizowaniu ciągu ulicy posadzono w takim samym układzie takie same drzewa. Przykład marnowania czasu i pieniędzy.

Osiedle Doły Północ jest położone w rejonie ulic: Spornej, Boya-Żeleńskiego i Brackiej. Przy skrzyżowaniu Spornej i Boya-Żeleńskiego autor urbanistyki zaprojektował dwunastokondygnacyjny budynek z pocztą w parterze. W domach południowego gabarytu ulicy znajdują się wbudowane usługi – apteka oraz duże sklepy różnego rodzaju. Łącznie z pierzeją wschodnią ul. Spornej i ulicą Boya-Żeleńskiego oraz całym ciągiem usług w ulicy Wojska Polskiego zostało utworzone centrum usługowe Dołów.

Osiedle Doły Górnicza wzniesiono pod koniec lat 70. XX wieku w systemie uprzemysłowionym ŁSM. Były to mieszkania o gorszym standardzie, aniżeli realizowane w systemie tradycyjnym. Niestety, szybkość realizacji w tym systemie przestroniła jego wady i była propagandowo uważana za sukces budowlany.

Realizacja całej dzielnicy w zasadzie przebiegała bez zakłóceń. Już pod koniec lat 50. XX wieku pojawiły się pierwsze budynki mieszkalne. Równolegle lub z wyprzedzeniem realizowano pozostałe media i do 1962 r. większość budynków została wybudowana i zasiedlona. Sieć komunikacji oparta o istniejące uliczki została uzupełniona dojazdami. Dojścia do klatek schodowych i obiektów usługowych realizowano równolegle z zielenią. Dosadzanie nowych drzew i krzewów, z uwagi na już istniejącą zieleni było niewielkie. Obowiązujący wówczas wskaźnik miejsc parkowania wynosił 150 miejsc na 1000 mieszkańców. Parkingi lokalizowano przy jezdniach i dojazdach. Ilość ich jest teraz stanowczo za mała. W rezultacie uzupełnia się je kosztem terenów zielonych lub placów zabaw dla dzieci.

Komunikacja Dołów z centrum miasta, dzięki bliskości ulic takich jak: Wojska Polskiego, Sporna, czy Strykowska, jest wyjątkowo dogodna. Jednak sąsiedztwo ruchliwych ulic powoduje również uciążliwości. Pierwotnie ulica Wojska Polskiego i węzeł komunikacyjny przy Strykowskiej miały przebiegać dużo dalej od projektowanego osiedla. Oszczędności inwestycyjne wymusiły aktualny – w założeniu czasowy – przebieg tych ulic. „Czasowy” okazał się jak zwykle najtrwalszy. Budynki na

osiedla,
domy,
ulice





Dołach projektowali różni architekci. W ocenie mieszkańców pod względem estetycznym prezentują się najkorzystniej budynki autorstwa architekt Danuty Wochny. Pod względem funkcjonalnym wyróżniają się mieszkania projektowane przez architekta Józefa Mielniczka. Budynki projektowane przez innych architektów oceniane są różnie.

Negatywnym zjawiskiem na Dołach jest ciągłe wycinanie starych drzew. Uzasadnienie, że są to drzewa próchniejące, niejednokrotnie nie odpowiada prawdzie. Archiwalne zdjęcia dowodzą, że w latach 60. XX wieku zadrzewienie osiedla było obfitsze. Obfitość zieleni wokół dzielnicy nie usprawiedliwia tych wycinek. Dzielnica Doły, jak większość osiedli realizowanych w latach 50. i 60. ubiegłego wieku, należy do osiedli starzejących się. Wiek mieszkańców pociąga za sobą cały szereg zmian strukturalnych pierwotnego projektu. Nie dysponujemy analizami tych zmian. Nie da się zdefiniować ruchów migracyjnych mieszkańców, które z pewnością mają miejsce wskutek np. tworzenia nowych rodzin. Zmienia się też model rodziny. Rodzinę trójpokoleniową zastąpiła rodzina dwupokoleniowa. Wyższy standard życia spowodował zapotrzebowanie na większe mieszkania i dodatkowe usługi.

Samoistne korekty, dotyczące handlu i usług – mam nadzieję – okażą się trafne i pozytywne.

Krystyna Krygier
– architekt

Fot. archiwum autorki

recenzje

Wspomnienia Aleksandra Mogilnickiego

Świadek dawnych czasów opowiada

Andrzej Kempa

str. 203

Ambasador polskiej kultury

Karl Dedecius. Europejczyk z Łodzi

Andrzej Kempa

str. 207

Manufaktura pamięci

Trzy pokolenia Łodzi

Gustaw Romanowski

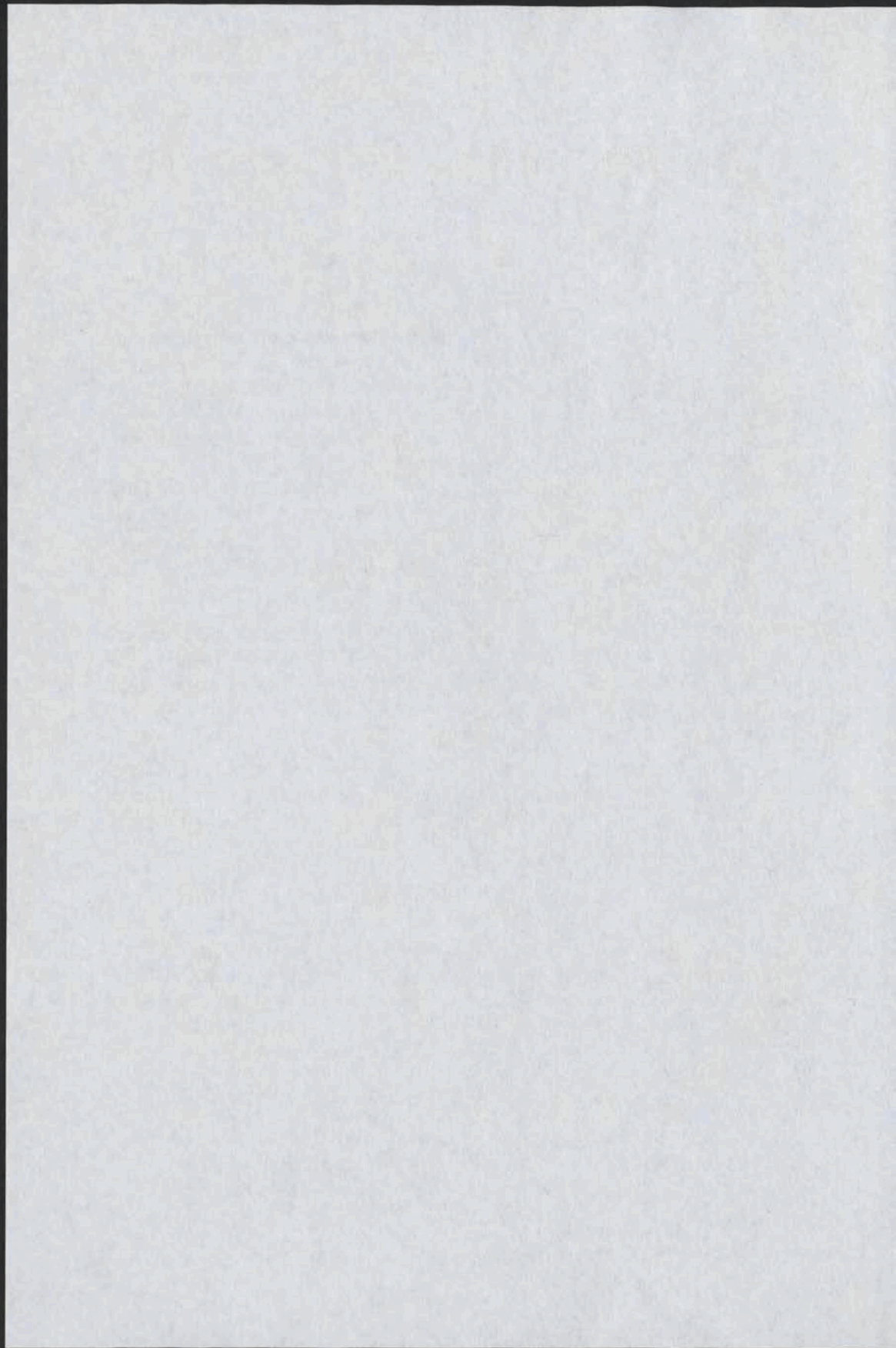
str. 211

Łódź żydowska

Prehistoria na szlaku miasta

Gustaw Romanowski

str. 215



Wspomnienia Aleksandra Mogilnickiego

Świadek dawnych czasów opowiada

recenzje

Po pięćdziesięciu z górą latach, zgodnie z wolą autora, ukazały się *Wspomnienia* Aleksandra Mogilnickiego, znanego ongiś prawnika, przez pewien czas związanego z Łodzią. *Wspomnienia* wydała wnuczka pamiętnikarza, Barbara z Mogilnickich Izdebska. Autor podjął się spisywania swych wspomnień w Łodzi w latach 1949–1955. Zmarł 1 września 1956 roku w Łodzi i został pochowany na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej.

Aleksander Mogilnicki urodził się 16 kwietnia 1875 roku w Warszawie, jako syn Konstantego i Henryki z Żarnowskich. Ojciec, uczestnik powstania styczniowego, przesiedział 10 miesięcy w grodzieńskim więzieniu, ale że władze rosyjskie nie zdołały mu udowodnić uczestnictwa w powstaniu, został zwolniony z więzienia bez prawa pobytu na terenie dawnej Polski. Gdy jego i jemu podobnych objęła amnestia, wrócił do kraju i bodaj w 1879 r. zdał egzaminy sądowe i uzyskał prawa obrońcy sądowego. Jedno z wystąpień obrończych Konstantego zwróciło nań uwagę prezesa Izby Sądowej, który zaproponował mu stanowisko rejenta II klasy w Łodzi (rejent to staropolska nazwa, zamieniona w 1917 r. na notariusza).

Aleksander kształcił się w gimnazjach warszawskich, a od roku szkolnego 1887/1888 w łódzkim gimnazjum rządowym. W pamięci autora pozostał nie tylko krój i barwa mundurów szkolnych, ale i systematyczna rusyfikacja uczniów kształcących się w osławionej epoce apuchtinowskiej. Nic dziwnego, że natychmiast po otrzymaniu świadectw maturalnych absolwenci łódzkiego gimnazjum pozrywali z uczniowskich czapek obowiązkowe palemki i litery, oznaczające nazwę gimnazjum, i rozrzućli ich szczątki pod drzwiami sali, w której odbyła się uroczystość rozdania matur. W Łodzi na czapkach gimnazjalnych widniały litery Ł.G. Autor krytycznie oceniał nauczycieli Rosjan i zrusyfikowanych Polaków, krzewiących wśród uczniów tak dziś wychwalaną „czwartą” kulturę.

Po maturze Mogilnicki odbył studia na Wydziale Prawa i Administracji Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego uwierczone stopniem kandydata praw (odpowiednik stopnia magistra). Później uzyskał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w 1896 r. rozpoczął aplikację adwokacką w kancelarii adwokata przysięgłego Leona Błaszковского i wkrótce aplikację sądową w warszawskim Sądzie Okręgowym. Około 1900 r. otworzył kancelarię adwokacką w Łodzi wspólnie z uniwersyteckim kolegą – Janem Czeraszkieviczem. To późniejszy dyrektor gimnazjum w Zgierzu, a następnie Gimnazjum Towarzystwa „Uczelnia” w Łodzi, wybitny działacz Towarzystwa

Krajoznawczego, który wkrótce zresztą został szwagrem autora, żeniąc się z jego siostrą – Jadwigą. Mogilnicki wymienia we *Wspomnieniach* z imienia i nazwiska współczesnych mu kilku łódzkich adwokatów przysięgłych, przedstawiając ich sylwetki na ogół korzystnie. Wyjątkiem jest niejaki Stefan K., którego charakteryzuje jako człowieka wybitnie zdolnego, ale pozbawionego zasad etycznych. Dziś bez trudu można ustalić, że chodziło tu o Stefana Kobylińskiego.

Niezależnie od praktyki zawodowej Mogilnicki uczestniczył w miejscowym życiu kulturalnym. Należał do grona członków założycieli Polskiego Towarzystwa Teatralnego (1903) i Towarzystwa Kultury Polskiej (1905). W skład prezydium TKP wchodził: Mogilnicki jako przewodniczący, Tadeusz Kamieński (późniejszy prezes Sądu Okręgowego w Łodzi) i Stanisław Łopatto. Żartowano sobie w Łodzi z tego skojarzenia, powiadając, że to zły znak: mogiła, kamień i łopata. Priorytetem dla Towarzystwa była idea utworzenia w Łodzi biblioteki publicznej, więc organizowano składki na ten cel. Mogilnicki zanotował, jak dwuosobowa delegacja udała się do bogatego przemysłowca łódzkiego – Jarocińskiego (pewnie Zygmunta) z prośbą o datkę.

– *Ile panowie chcą otrzymać?*

– *Ale może by pan dyrektor zechciał się dowiedzieć, na jaki cel zbieramy.*

– *Wybaczą panowie, ale nie mam czasu na dłuższe rozmowy; osoby panów dają mi rękojmię, że cel musi być pożyteczny. Mogę dać 500 rubli.*

Po likwidacji Towarzystwa Kultury Polskiej w lutym 1913 roku przez władze rosyjskie, zgromadzone aktywa zostały przekazane Towarzystwu Krzewienia Oświaty, które w październiku 1917 roku doprowadziło do otwarcia biblioteki publicznej – poprzedniczki księżnicy przy ul. Gdańskiej.

Mogilnicki był też poetą i publicystą. Współpracował z „Ateneum”, „Bluszczem”, „Krajem”, „Ogniskiem Rodzinnym”, „Ogniwiem”, „Gońcem Łódzkim” i „Kurierem Codziennym”. W 1903 r. ogłosił drukiem tomik poezji *Z jasnych dni*. We *Wspomnieniach* autor przytoczył kilka wierszy, nienadających się ówczesznie ze względów cenzuralnych na opublikowanie. W 1897 r. debiutował na łamach „Gazety Sądowej Warszawskiej” artykułem *Czy kara hańbi?*

W czasie pobytu w Łodzi Mogilnicki wykladał historię w jednym z gimnazjów oraz prowadził wykłady prawa handlowego na kursach buchalteryjnych Izraela Mantinbanda. Był naocznym świadkiem zaburzeń politycznych rewolucji 1905 r. i walk bratobójczych na ulicach Łodzi. Zaintrygowało mnie wydarzenie, w którym wprawdzie autor nie uczestniczył, ale wiele osób zapewniało go, że to była prawda. Podobno w pewnym domu znajdowała się wytwórnia czy skład prowizorycznych bomb. Wieczorem dom otoczyła policja i kilku żandarmów weszło do środka. Zanim jednak weszli, kilkunastoletni syn dozorczy zgarnął bomby do koszyka na sprawunki i wyszedł. *Przy bramie żandarm zapytał go: „Co niesiesz?”*. „*Bomby*” – *odpowiedział chłopak*. „*Idź do diabła*” – *powiedział żandarm, dając chłopcu lekko w kark, i wypchnął go na ulicę*. *Zrobiona w mieszkaniu rewizja nie dała żadnych wyników*. Okazało się, że niemal tak samo opisał to zdarzenie

Marian Gawalewicz w książce *Wir. Powieść z niedawnych czasów* (Warszawa 1908), z tą tylko różnicą, że u Gawalewicza zamiast żandarma występuje *dwornik* czyli dozorca.

W 1907 r. bez powodzenia kandydował Mogilnicki z Łodzi na posła do Dumy z ramienia Zjednoczenia Postępowego.

Mimo doskonale rozwijającej się praktyki adwokackiej w Łodzi, autor przeniósł się do Warszawy, gdzie miał szersze pole do działania. Wykładał w Wolnej Wszechnicy Polskiej (1913–1919), w Szkole Nauk Społecznych i Handlowych (1915–1919), w Uniwersytecie Warszawskim (1917–1921). W czasie I wojny światowej, początkowo internowany w Berlinie, powrócił w październiku 1915 roku do Warszawy i nadal prowadził praktykę adwokacką. Dalsza kariera zawodowa Mogilnickiego była już odąd związana z Warszawą. W 1917 r. został sędzią Sądu Apelacyjnego, w latach 1919–1923 był członkiem i sekretarzem Komisji Kodyfikacyjnej, w latach 1924–1929 – prezesem Sądu Najwyższego. W pozostawionym pamiętniku ujawnił niezmiernie ciekawe spostrzeżenia o ustroju i organizacji sądownictwa polskiego oraz o trudnościach z kodyfikacją prawa wobec rozbieżności w ustawach pozostałych po systemach prawnych trzech zaborów. Ta część wspomnień, ważna dla historyków prawa, obfituje w moc anegdot i ciekawych szczegółów dotyczących sądownictwa polskiego okresu międzywojnia.

Aleksander Mogilnicki był zdecydowanym przeciwnikiem Piłsudskiego i jego otoczenia, uważał też, iż rządy sanacji, za pośrednictwem ministra sprawiedliwości – Stanisława Cera przyczyniły się do degradacji ustroju sądownictwa w Polsce. W swojej praktyce adwokackiej, do której powrócił po zwolnieniu go ze stanowiska prezesa Sądu Najwyższego, występował jako obrońca w procesach politycznych, w pamiętniku ustosunkował się krytycznie do organizatorów Berezki Kartuskiej, konstytucji z 1935 r. i przygotowań do obrony kraju. Powtórzył wyczytaną w hitlerowskiej prasie gadzinowej interpretację popularnego przed wybuchem wojny hasła: *Silni, zwarci, gotowi!* jako *Silni w języku, zwarci przy żłobie, gotowi do ucieczki*.

Okupację i czas powstania warszawskiego spędził w stolicy, wysiedlony, krótko przebywał w obozie przejściowym w Pruszkowie, a następnie został wywieziony do Działoszyc, skąd, po ustąpieniu Niemców, udał się do Zalesia Górnego pod Warszawą. W październiku 1945 roku przyjechał do Łodzi, gdzie otworzył kancelarię adwokacką. Siedemdziesięcioletni już prawnik nie mógł liczyć na etatowe zatrudnienie w Uniwersytecie Łódzkim, ale życzliwy rektor Uniwersytetu – Tadeusz Kotarbiński powierzył mu wykłady zleczone z zakresu monograficznego kursu wojskowego postępowania karnego, które prowadził w latach 1946–1952. Jako obrońca występował w procesach politycznych okresu bierutowskiego, w których postępowanie sądowe nie miało nic wspólnego z elementarnym poczuciem sprawiedliwości, a prokuratorzy wcześniej ustalali wyroki skazujące, zanim wysłuchali zdania obrońców. Może dlatego pamiętnik sprawia wrażenie niedokończonego, bo autor nie chciał lub raczej obawiał się oceniać działalność tzw. wymiaru sprawiedliwości początkowych lat Polski Ludowej, tym niemniej wart jest na pewno uważnej lektury.

Wspomnienia Mogilnickiego posiadają dużą wartość literacką i poznawczą, a zostały wydane zaledwie w 75. egzemplarzach, z których część trafiła do ważniejszych krajowych bibliotek naukowych i publicznych, reszta rozeszła się wśród rodziny i znajomych wnuczki pamiętnikarza, ani jednej pozycji nie przekazano do obrotu księgarskiego. Dobrze byłoby, gdyby władze Łodzi życzliwie dostrzegły tę ważną dla dziejów naszego miasta książkę i wspomogły finansowo wnuczkę Mogilnickiego, która pragnie wydać omawiane dzieło w większym nakładzie, co należy uznać za niewątpliwie potrzebne dla poszerzenia wiedzy o łódzkim środowisku prawniczym w dwu różnych okresach historii naszego miasta. Może też warto byłoby, aby tematem zainteresowała się obecna łódzka palestra.

Andrzej Kempa

– publicysta



Aleksander Mogilnicki
Wspomnienia

Aleksander
Mogilnicki,
Wspomnienia.
Spisane w Łodzi
w latach
1949–1955,
Warszawa 2008.

Ambasador polskiej kultury

Karl Dedecius. Europejczyk z Łodzi

recenzje

To dobrze, że Karl Dedecius, Honorowy Obywatel Miasta Łodzi, obdarzony tą godnością 8 kwietnia 1998 roku, zdecydował się na publikację wspomnień z długiego i pracowitego życia. Dzięki jego zapiskom czytelnik może prześledzić drogę życiową niezwykle człowieka i splot wydarzeń, które towarzyszyły jego przodkom, zanim przyszło im osiedlić się w podłódzkim Żelowie.

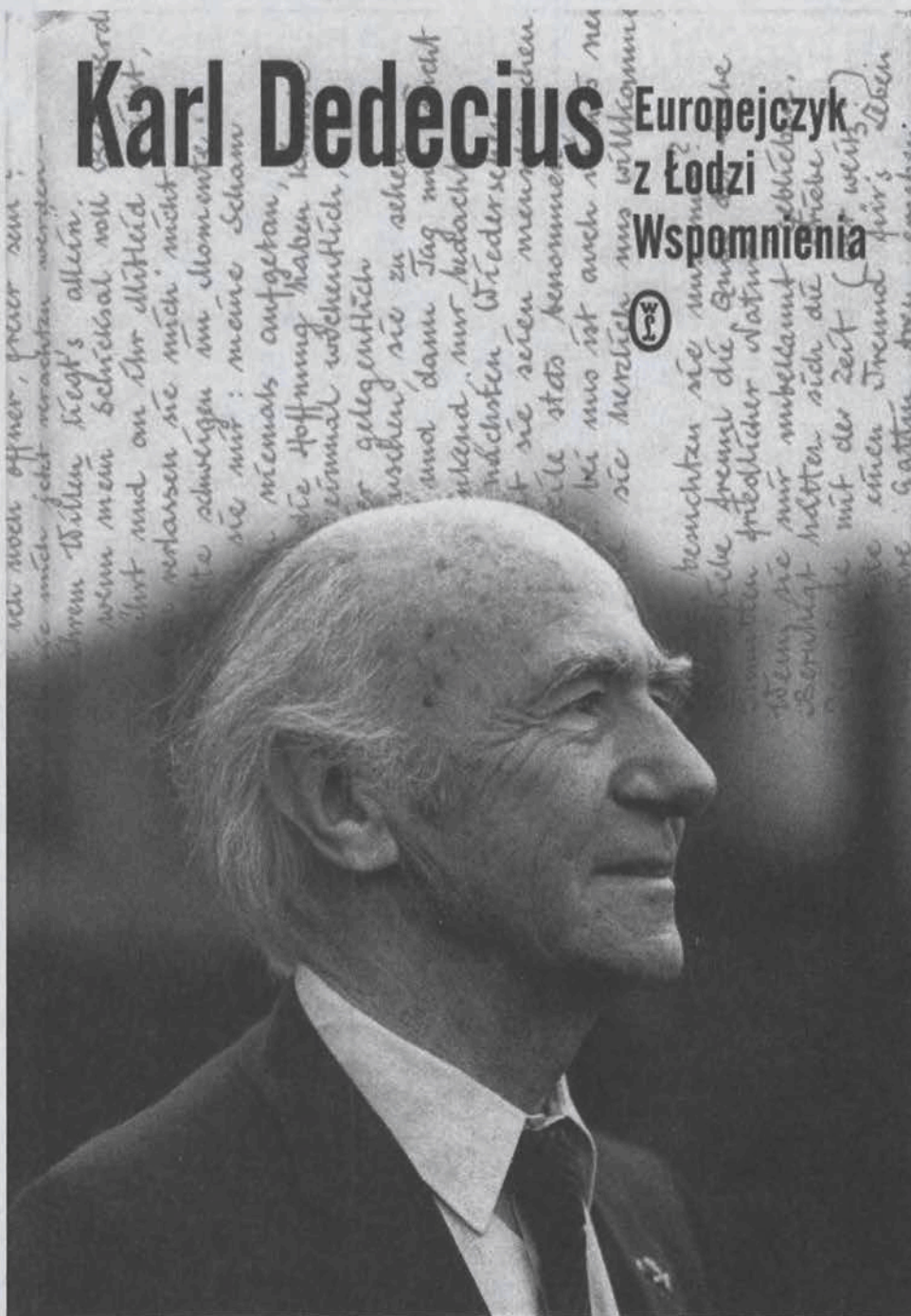
Rodzina Dedeciusa ze strony ojca pochodziła z dawnych Czech i Moraw, skąd w obawie przed kontrreformacją zbiegła na Śląsk. Przodkowie matki wywodzili się ze Szwabii. Gdy Łódź stawała się przemysłową metropolią Królestwa Kongresowego, osadnictwo niemieckie w Łodzi i jej okolicach stawało się coraz powszechniejsze. Ojciec Karla urodził się we wsi Pożdżenice, w powiecie bełchatowskim, w gminie Żelów, matka pochodziła z Żelowa. Pobrali się w Żelowie w 1912 r., a potem przenieśli do Łodzi, gdzie 20 maja 1921 roku przyszedł na świat autor wspomnień.

Gruntowne wykształcenie odebrał najpierw w elitarnym gimnazjum Aleksego Zimowskiego, potem w gimnazjum im. Ignacego Skorupki, a świadectwo maturalne uzyskał w gimnazjum im. Stefana Żeromskiego przy ówczesnej ul. Ewangelickiej (późniejszej Pierackiego, obecnie Roosevelta). Grono jego szkolnych przyjaciół rekrutowało się spośród Niemców, Polaków, Żydów i Francuzów, w grupie uczniów znalazł się też jeden Rosjanin. Dedecius wykazywał duże zainteresowania muzyczne i zdolności lingwistyczne. Jeszcze w szkole przełożył jeden z wierszy łańciskich Kochanowskiego na język niemiecki. Wydaje się, sądząc po lekturze *Wspomnień*, że młody Dedecius czuł się bardziej Niemcem niż Polakiem, zaś jego ówczesne kontakty z młodocianymi przedstawicielami mniejszości narodowych przyczyniły się do jego przyszłej europejskości.

W maju 1939 roku autor ukończył 18 lat i po uzyskaniu świadectwa dojrzałości udał się na kilkutygodniowe wakacje na Hel, przerwane powołaniem do młodzieżowego hufca pracy w Łomży. Kiedy rozpoczęły się naloty lotnictwa niemieckiego, wraz z hufcem wyruszył na południe i znalazł się w zajętych już przez wojska sowieckie Lwowie. Pod koniec 1939 roku przedostał się do Łodzi, gdzie ojciec, dawny funkcjonariusz polskiej policji obyczajowej, po przesłuchaniu przez gestapo, pozostał nadal w służbie, jednak już na niższym stanowisku, gdyż odmówił wstąpienia do NSDAP i był podejrzewany – nie bez racji – o kontakty z polskimi przyjaciółmi i sąsiadami. W 1940 r. Karl poznał nieco młodszą od siebie Elvirę Ruth, przyszłą towarzyszkę życia.

Karl Dedecius

Europejczyk
z Łodzi
Wspomnienia



Nazistowska machina wojenna upomniała się wkrótce o młodego Niemca, który z przekonania był raczej pacyfistą i bynajmniej nie uwielbiał Hitlera i jego planów podboju Europy. Powołany do jednostki Arbeitsdienstu, stacjonującego w Tropawie nad Opawą, po kilkunastomiesięcznym szkoleniu został skierowany pod broń, a przed niemiecką nawałą Stalingrad. Wiadomo, czym skończyła się bitwa stalingradzka. Ranny Dedecius trafił do sowieckiej niewoli, w której spędził czas od lutego 1942 do grudnia 1949 roku. Okres pobytu w obozie przedstawił autor niemal jak sielankę, widać Rosjanie traktowali niemieckich jeńców inaczej niż swoich polskich sojuszników.

Po wypuszczeniu z niewoli trafił do Weimaru, odnalazł swoją Elvi, z którą zaręczył się jeszcze latem 1942 roku, a miał poślubić dopiero w lutym 1951 roku. Małżeństwo zamieszkało w Erfurcie, ale z obawy przed aresztowaniem przez Sowietów zbiegło do Niemiec Zachodnich. Po wielu przeprowadzkach Dedeciusowie zamieszkali we Frankfurcie nad Menem. Tutaj nastąpiła stabilizacja życiowa. Autor otrzymał niezłe płatną urzędniczą posadę w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Allianz”, z którym związał się na następne 25 lat. Tutaj też rozwinął swoją działalność translatorską. Przełożył utwory ponad trzystu polskich poetów i prozaików, m.in.: Mickiewicza, Przybosa, Baczyńskiego, Miłosza, Różewicza, Szymborskiej, Herberta i wielu, wielu innych. Ogłosił drukiem ponad sto antologii i tomów poezji. Spotykał się i zaprzyjaźnił z: Julianem Przybosiem, Stanisławem Jerzym Lecem, Czesławem Miłoszem, Tadeuszem Różewiczem, Zbigniewem Herbertem, Wisławą Szymborską. Pozostał też wierny poezji rosyjskiej, którą poznał w niewoli, a później przekładał wiersze Gennadija Ajgiego i Josifa Brodskiego – poetów otwarcie sprzeciwiających się sowieckiemu reżimowi. W grudniu 1979 roku powstało w Bonn z inicjatywy Dedeciusa Stowarzyszenie Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej (Verein Deutsches Polen-Institut) jako instytucja użyteczności publicznej. Przewodnicząca Instytutu, hrabina Marion Denhöff, życzliwie wspierała inicjatywy wydawnicze Dedeciusa, a w szczególności pomysł wydawania serii wydawniczej Polnische Bibliothek (Biblioteka Polska), która miała obejmować przekłady z literatury polskiej różnych gatunków literackich od średniowiecza po współczesność. Dedecius jest też inicjatorem i współautorem siedmiotomowej *Panoramy literatury polskiej XX wieku*.

Karl Dedecius przyczynił się waleśnie do odrestaurowania renesansowej willi Decjusza w Krakowie, w której 6 września 1996 roku otwarto Akademię Europejską.

Za swoje zasługi mistrz przekładu i ambasador polskiej literatury i kultury w Niemczech został uhonorowany doktoratami *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Łódzkiego (1990), Uniwersytetu Alberta Magnusa w Kolonii, odznaczony m.in. Orderem Orła Białego (2003) i wspomnianym już honorowym obywatelstwem Łodzi (1998), do której przyjechał po kilkudziesięciu latach nieobecności. Sentymentalna podróż do rodzinnego

miasta przypomniła mu śmierć matki (1942) i dokonane przez nieznaną sprawców zabójstwo ojca (1945), ale być może też zaręczyny z piękną Elvi (1942). Łódź postarała się godnie uczcić Dedeciusa. Oprócz wspomnianych już wyróżnień Gimnazjum nr 43 przy ul. Powszechnej 15 w Łodzi 19 listopada 2002 roku postanowiło przyjąć imię Karla Dedeciusa za patrona, zaś Muzeum Historii Miasta Łodzi w październiku 1999 roku zorganizowało w pałacu Poznańskiego stałą wystawę poświęconą wybitnemu łodzianinowi.

W swojej pracy translatorskiej Dedecius nie przeoczył osiągnięć łódzkich poetów starszego i młodszego pokolenia. W pierwszej antologii poetyckiej *Lekcja ciszy. Liryka polska (Lektion der Stille. Polnische Liryk)* pojawił się wiersz Jerzego Waleńczyka *Do nieznanego Niemca na Zachodzie*, po latach (2001) został wydany dwujęzyczny tom *Dialog z pamięcią. Wiersze o Łodzi (Dialog mit dem Gedächtnis. Gedichte aus Lodz)* w przekładzie Dedeciusa, pod redakcją Lucyny Skompskiej, zawierający 28 wierszy 26 poetów, wcześniej Dedecius tłumaczył również wiersze tragicznie zmarłego Jacka Bierezina.

Wspomnienia Karla Dedeciusa w świetnym przekładzie Sławy Lisieckiej wyposażone zostały w niezwykle pomocny w tego rodzaju lekturze indeks nazwisk.

Tę książkę należy trzymać w domowej bibliotece i często z niej korzystać, bo zawiera wiele faktów wzbogacających naszą wiedzę o polskiej literaturze i kulturze, a zarazem świadczy o przeogromnej pracowitości autora i przekraczających wyobraźnię dokonaniach tego niezwykłego Łodzianina i Europejczyka.

Andrzej Kempa

Karl Dedecius, *Europejczyk z Łodzi. Wspomnienia*,
przeł. Sława Lisiecka.
Kraków, Wydawnictwo Literackie, 2008.

Manufaktura pamięci

Trzy pokolenia Łodzi

recenzje

Łódź w obrębie fabryki Poznańskiego była budzona przez syrenę fabryczną, potem stukot drewniaków uderzających o bruk. To dziesięć tysięcy par nóg obutych w trepy zbliżało się do paradnej bramy z zegarem. Pierwszy lekki stukot natężał się, przechodził w drażniący, rytmizowany, wszechogarniający całą dzielnicę hałas. Ustawał, kiedy wskazówki zegara w bramie fabrycznej pokazywały szóstą. Te poranne odgłosy w mieście były znakiem zwyczajności i pospolitości dni, dawały poczucie bezpieczeństwa: świat szedł naprzód, znajdował się w normie. Żle, gdy trepy przestawały stukać o poranku – to oznaczało niepokój: strajk, lokaut. Tak było w czasie rewolucji 1905 roku i potem, kiedy nasiliły się walki pomiędzy narodowcami a socjalistami i padło wielu ludzi, bardzo wielu odniosło rany. Korzystali z zamieszania pospolicu bandyci. Czasy były niespokojne. Nawet stukot trepów wydawał się ponury. Szalał terror. Był rok 1908.

Tak zaczyna się *Manufaktura czasu*, najnowsza powieść Magdaleny Starzyckiej, zaświadcza ona może najbardziej o szczególnym miejscu Łodzi w świadomości tych wybranych – przez los lub przypadek, własną wrażliwość a może dar empatii – którzy potrafią czuć to miasto znacznie głębiej niż dziesiątki tysięcy innych jej mieszkańców. Starzycka – łodzianka od kilku pokoleń – ten nieomal dotykalny dar widzenia jej rodzinnego miasta budowała zapewne w sobie od dzieciństwa. *Manufaktura czasu* to jakby przesuwany się rytmicznie obraz filmowy snujący po kawałeczku dzieje pewnej rodziny, zapracowanej, mającej różne codzienne problemy, ale dążącej poprzez trzy pokolenia do lepszego życia – a może prawdziwiej – do lepszego zrozumienia siebie w tym marszu kolejnych generacji. Bo tak jak w goniącym czasie filmie, gdzie cięcia i ściemnienia obrazu przesuwiają akcję o dni czy tygodnie, tak i tu przeskakują miesiące, lata a nawet lat tych dziesiątki. I w tym rytmie narzuconym przez autorkę poznajemy krzyżujące się ze sobą skrawki historii miasta, jego zmieniającą się topografię i także przedziwną wędrówkę poprzez pokolenia jakiegoś bardzo osobnego, bo pewnie tylko z Łodzią związanego obyczaju, dziś zapomnianego. Poznajemy więc jakby „tyły” rewolucji 1905 roku, bo nie to, co się odbywa na ulicach i dziedzińcach fabrycznych i nie to o czym wiemy dziś z podręczników historii, ale atmosferę w domach robotniczych. Jakieś niespodziewane smutki u sąsiadów w tamtym czasie, jakieś autentyczne pamiętniki zapomnianych bohaterów sprzed stu lat.

Taki pamiętnik cytowany w książce spisał Antoni Michałkiewicz, robotnik od Poznańskiego (publikowaliśmy kiedyś fragmenty w „Kronice Miasta Łodzi”), który tak naprawdę nie był ani socjalistą, ani narodowcem, ale nie chował głowy w piasek,

kiedy trzeba było protestować i dlatego poszedł na syberyjską katorgę, zostawiając w Łodzi zapłakaną żonę z trojgiem małych dzieci. Bardzo przejmujący w swojej prostocie i naiwnej szczerości pamiętnik Michałkiewicza jest jednym z silniejszych impulsów tej sagi skromnej łódzkiej rodziny. Takich szczegółów, które zapisał przed wielu laty ten zapomniany przez wszystkich katorżnik pojmany w Łodzi i postawiony przed carskim sądem w gubernialnym Piotrkowie, nikt już nie pamięta, ale dla Starzyckiej stanowią one niejako punkty kontrolne jej *Manufaktury czasu*. Bo jest to powieść o rodzinie autorki, meandrach życia jej najbliższych przodków, codziennych troskach kobiet, niekonsekwencjach mężczyzn. Biegnie czas, ludzie dojrzewają do nowej świadomości, odkrywają jedną z prawd, potem drugą i następną. Odbijają się w ich życiu sprawy małej wagi, ale i tej większej, ogólnonarodowej. Ale przepływa to czasem tylko obok aktywnej obecności bohaterów powieści. Bo taka jest ich codzienność przerywana nagłymi wstrząsami. Więc bohaterowie są czasem tylko obok świata zdarzeń, których nie rozumieją. Jak wówczas, w 1922 r., kiedy w zawstydzającym Polskę zamachu ginie prezydent Narutowicz. Miał być prezydentem wszystkich Polaków, więc także robotników „od Poznańskiego”. *Wówczas w drodze do domu zauważył grupki robotników to tu, to tam gromadzących się przed bramą fabryczną. Chłód dnia widoczny był w kłębach pary unoszącej się z ust rozmawiających i głowach wciśniętych w ramiona – geście ludzi, którym jest zimno. Co to? Co się stało? Ktoś odpowiada mu, że zamordowano prezydenta Narutowicza. Nie rozumie. Słyszając o tym, widzi nagle wydarzenie zapamiętane z dzieciństwa – policjanta carskiego ściągniętego z konia – no tak, ale to był wróg, najeźdźca. Dlaczego prezydent? Jest zszokowany tą wiadomością i czuje, że niczego nie rozumie z tej nowej Polski, tak przez wszystkich oczekiwanej.*

Są też opowieści obyczajowe. Jak polscy chłopcy psocili, wybijając szyby w żydowskich mieszkaniach, jak złośliwie niszczyli „kuczki”, budowane na biednych łódzkich podwórkach przez pobożnych Żydów. Tak było, ale kto dziś w Łodzi pamięta, czym były owe „kuczki”, czyli klecone z drewna i mocowane pod gołym niebem małe budki, do których łódzcy potomkowie Mojżesza przenosili się na siedem dni w *Sukkot* czyli Święto Namiotów – najradośniejsze ze świąt żydowskich. I kiedy po latach bohater jednego z pokoleń *Manufaktury czasu* opowie żonie o tych sztubackich żartach wobec żydowskich sąsiadów, nie potrafi wytłumaczyć, po co to robił. *Ot, głupota młodości. „A co ci zrobili Żydzi?” Mnie absolutnie nic. Byli inni, obcy. To takie prymitywne odczucie, byliśmy wtedy prymitywni.*

Po wielu latach to zrozumie, kiedy przyjdzie czas wojny i niemiecki konduktor krzyknie do pasażerów pociągu *Juden raus!* I ci, do których się zwrócił, posłusznie opuszczają wagon. Ale bohater powieści Starzyckiej nie jest wielkim bohaterem niesprawiedliwej wojny, nie straci pracy w łódzkich tramwajach, Niemcy oderwą go tylko na jakiś czas od biurka i wręczą korbę motorniczego. Ale potem zresztą wróci do biura na swoje urzędnicze stanowisko i szczęśliwie doczeka końca wojny. Pod okupacją od czasu do czasu pomaga ludziom, czasem mocniej ryzykuje, ma też jakiś mało skuteczny związek z konspiracją.

Potem przychodzi wyzwolenie. Żydów już w Łodzi nie ma. Wysiedleni Polacy wracają do swoich mieszkań ogołoconych ze wszystkich cokolwiek wartych przedmiotów. Wtedy było na to nawet słowo, słowo precyzyjnie oddające istotę okradania czyjegoś opuszczonego domu czy mieszkania. To był *szaber*, dlatego powracający wracali do takich *wyszabrowanych* kompletnie domów.

Kiedy panuje doskwierająca powojenna bieda, trzeba coś robić, ale tak trudno jest zapomnieć o lękach. Autorka zna to z autopsji, jest kilkuletnią dziewczynką. *Wojna się skończyła, ale ona tkwi w każdym z nas, pozostały różne lęki, niczym powidoki wojenne, wypełzające z ciemnych kątów pokoju, szczególnie w momentach zasypiania. Często powtarzał się ten okrutny lęk, przeniesiony z odległego zimowego dnia, kiedy matka mnie zabrała na niebezpieczną wyprawę. Handlowała. A przecież za nielegalny handel polegający na przewożeniu pod ubraniem kawałka wełnianej tkaniny, można trafić do obozu koncentracyjnego, można też było stracić życie, jeśli mundurowy Niemiec zechciałby dla przestrogi posłużyć się bronią. I kiedy dziewczynka wie, że matka ukrywająca pod płaszczem niedozwoloną rzecz za chwilę może zostać zrewidowana, przeżywa szok. Ta chwila potwornego strachu trafia do podświadomości dziecka, gnębi je nawet po latach.*

W *Manufakturze czasu* jest wiele opisów Łodzi, której już dawno nie ma. Pojawiają się nazwy dawno zatarte w pamięci, kompletnie nieznane nawet bardzo dorosłym już łodzianom. Kto wie dziś, gdzie był plac Leonarda, kto pamięta, że na ulicy Zgierskiej był malutki drewniany kościółek? Może tylko niektórzy sobie przypomną, tak jak autorka, że w 1970 r. miało już być metro w Łodzi, a po alei Kościuszki miały przestać jeździć tramwaje, a ulica wróci do swego pierwotnego charakteru – eleganckiej promenady „Spacerowej” ze szpalerem drzew. Może tylko niektórzy zbliżający się do wieku emerytalnego będą pamiętała nazwisko Wandy Gościmińskiej, przodownicy pracy, o której rozpisywały się gazety przed sześćdziesięciu laty, bohaterki pracy socjalistycznej, wykonującej – wzorem radzieckich stachanowców – aż 280 procent normy. A przecież jeszcze 20 lat temu w Muzeum Miasta Łodzi, w Galerii Budowniczych Polski Ludowej wisiał jej portret namalowany przez Zdzisława Głowackiego, niegdysiejszego rektora łódzkiej uczelni plastycznej.

Manufaktura miele czas, a Magdalena Starzycka z dużą dokładnością potrafi wyplątywać z tych przemijających dni, tygodni i lat zapomniane fakty i odległe zdarzenia. Mijają lata pięćdziesiąte, nadchodzą sześćdziesiąte. Kolejne pokolenia tej rodzinnej minisagi zdobywają wykształcenie, stabilizują się, sięgają po zawodowe sukcesy. Rzeczywistość PRL jest taka, jaka jest, ale ludzie chcą jakoś godnie żyć, przystosować się, trwać. Ktoś z rodziny poświęca się pracy naukowej na uniwersytecie, inni trochę podróżują za granicą. Jest i WUML (Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu), ale zaraz po tym są poważne studia religioznawcze. Ktoś przedrzeźnia dla żartu Gomułkę. Potem przychodzi rok 1968 i marcowa heca, która wstrząśnie Polską, a szczególnie środowiskami polskiej inteligencji. Na uniwersytecie ludzie się boją, idą czystki. Wszystkim normalnie myślącym robi się niedobrze. Po wiecu studenckim przed

Biblioteką Uniwersytecką trwa nerwowe wyczekiwanie. *Życie w mieście* wydawało się nieznośne. Następnego dnia po południu, gdy Monika szła od matki ulicą Nawrot, mijala tłum robotników, których władza zwolniła z pracy i prowadziła na masówkę na Wodny Rynek. Po bokach szli „organizatorzy”, pilnując, żeby robotnicy się nie rozeszli. Było dużo transparentów i tablic z hasłami. „Precz z rewizjonizmem Kołakowskiego” – niósł jakiś człowiek o tępej twarzy, odziany w waciak. Rewizjonizm i syjonizm odmieniane były bez przerwy. Reszta wyglądała jak towarzystwo szykujące się na masówkę.

Chwilę po „Marcu” kończy się ta z dużą wrażliwością napisana książka. Bardzo łódzka, ale też bardzo inteligencka. Dobra, aby zrozumieć, jak żyło się w Łodzi i co trzeba było robić, aby przeprowadzić trzy pokolenia przez niełatwą rzeczywistość. Książka bez upiększeń i przymilności do czytelnika. Ale lekko napisana i bardzo wiarygodna.



Gustaw Romanowski

Magdalena
Starzycka,
Manufaktura czasu,
Projekt graficzny
okładki
Andrzej Chętko,
redakcja
Krystyna Stołecka,
Biblioteka
„Tygla Kultury”
2009.

Łódź żydowska

Prehistoria na szlaku miasta

recenzje

Przed tegorocznymi uroczystościami 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto ukazała się książka bardzo ważna dla umacniania tożsamości Łodzi. Tożsamości często zupełnie zatartej w świadomości wielu mieszkańców miasta, a nawet – przykro to przyznać – uważanej za zbędną wobec ich leniwej wiary w prymitywny stereotyp, że Łódź jest miastem szarym, nudnym i bez historii. Joanna Podolska od kilkunastu lat dociera z uporem do innej prawdy o tym mieście. Robi to z niedającym się ukryć entuzjazmem do odkrywanych faktów z historii, ale i z powagą badacza szukającego głębszych potwierdzeń dla sensu tych odkryć. Podolska jest dziennikarką, ale oprócz rozmów z ludźmi chce i potrafi pracować w bibliotekach i archiwach. Nie jest to częsta cecha ludzi tego zawodu, bowiem współczesne dziennikarstwo, goniące za jednostkowym faktem chwili, jest na ogół pośpieszne, więc i nieuchronnie banalne. I powierzchowne.

Problematyką żydowską Joanna Podolska interesuje się od lat. Mogli to zaobserwować czytelnicy łódzkiej mutacji „Gazety Wyborczej”, macierzystej redakcji dziennikarki, na której łamach zamieszczała wyjątkowo często teksty traktujące o miejscach, ludziach i wydarzeniach związanych z żydowską spuścizną Łodzi, poszerzając jednocześnie konsekwentnie zakres swoich zainteresowań i coraz wyraźniej dając upust własnym fascynacjom z tej spuścizny płynących. Dlatego *Spacerownik. Łódź żydowska* jest nie tylko zwykłym przewodnikiem po śladach żydowskiej obecności w Łodzi. Jest przede wszystkim niepozobawioną głębokiego sentymentu opowieścią o społeczności, która była w tym dużym mieście przez ponad sto lat pełnoprawnym współgospodarzem, tworząc jego materialną pomyślność, a potem ginąc nagle w wyniku tragicznego wyroku historii. Choć przecież wyrok ten wydali także tylko ludzie. Tyle że pochodzący z innej nacji, wcześniej także to miasto z rozmachem rozwijającej.

Podolska nazwała swoją książkę *subiektywnym przewodnikiem*. To dobrze, bo przewodnik po miejscach, gdzie ledwie kilkadziesiąt lat temu toczyło się w Łodzi żydowskie życie, harmonijnie współgrające z toczącym się równolegle życiem polskim i niemieckim, nie może być jeszcze jednym standardowym, beznamiętnie zobiektywizowanym bedekerem. Bo żyją jeszcze ludzie, którzy tamtą Łódź współistnienia trzech narodów pamiętają, bo nadal myślą o tym mieście i odwiedzają je ci, którym udało się przeżyć zgotowaną przez faszyzm hekatombę. Bo tkwi także to miasto w bardzo żywej pamięci tych, których w 1968 roku pozbawiono złudzeń, że mogą się bezpiecznie czuć Polakami, skoro udało się wypomnieć im obcoplemienne korzenie i przymusić do opuszczenia swojej ojczyzny.

To wszystko jest w *Łodzi żydowskiej* Joanny Podolskiej. Początki osadnictwa żydowskiego w sielskim, bo przypominającym jeszcze wieś, miasteczku nad Łódką, potem szybko rosnącą, gwarną dzielnicę drobnych kupców, a wreszcie imponujący rozwój przemysłu tekstylnego, którego najpotężniejszym przedstawicielem był Izrael Poznański – twórca imperium przemysłowego – dający pracę dziesiątkom tysięcy łódzkich robotników. O Żydach przemysłowcach pisze autorka zresztą dużo więcej, wymieniając ich rodzinne koneksje, wskazując różne miejsca na mapie Łodzi, gdzie pracowali, mieszkali, realizowali działalność filantropijną. Przybliża też czytelnikowi te dobra kultury materialnej, które stworzyli malarze, rzeźbiarze, architekci wywodzący się z żydowskiej społeczności miasta. Pisze o artystach, których znaczenie jeszcze za ich życia przekroczyło granice Łodzi czy Polski. Dowie się więc czytelnik i o Arturze Szyku, Jankielu Adlerze i wielu jeszcze innych ważnych postaciach w historii sztuki XX wieku. Przeczyta o łódzkim incydencie Arego Sternfelda, pioniera idei lotów kosmicznych, który mieszkał przed wojną w Łodzi przy dzisiejszej ulicy Więckowskiego pod nr 21 i tu napisał swój *Wstęp do kosmonautyki*, prekursorski traktat o ruszeniu człowieka ku innym planetom.

Dużą część tego *subiektywnego przewodnika* stanowi przypomnienie Litzmannstadt Ghetto. Podolska oprowadza po ulicach i domach, gdzie mieściły się urzędy i instytucje tego stworzonego przez Niemców niewolniczego minipaństwa. Przypomina kolejne fazy wysiedleń i dramatyzm nieludzkich wyborów, których musiał dokonywać Chaim Mordechaj Rumkowski, licząc, że poprzez bezwzględne postuszerstwo wobec ludobójczych nadzorców getta, uratuje od śmierci kilkadziesiąt tysięcy skazanych na zagładę łódzkich Żydów. Autorka przypomina ludzi, którzy zginęli i tych, którzy dla zachowania pamięci o Holokauście pozostawili świadectwa najważniejsze. Pisze o autorach *Kroniki Getta Łódzkiego*, która stała się bardzo ważnym śladem dokumentowania tego zamkniętego tragicznie czasu i o młodocianych poetach gettowych, z których żaden nie przeżył Zagłady.

Odniesień do czasów wojny, będącym dla Żydów czasem zagłady ich narodu, jest zresztą w książce Podolskiej więcej. Łączą się z tym tematem informacje o ocalałych z getta łódzianach, którzy – przebywając dziś daleko za granicą – piszą o mieście swego dzieciństwa i młodości książki, organizują zrzeczenia dawnych mieszkańców, pomagają władzom miasta w podtrzymywaniu żywej pamięci o żydowskiej obecności w Łodzi.

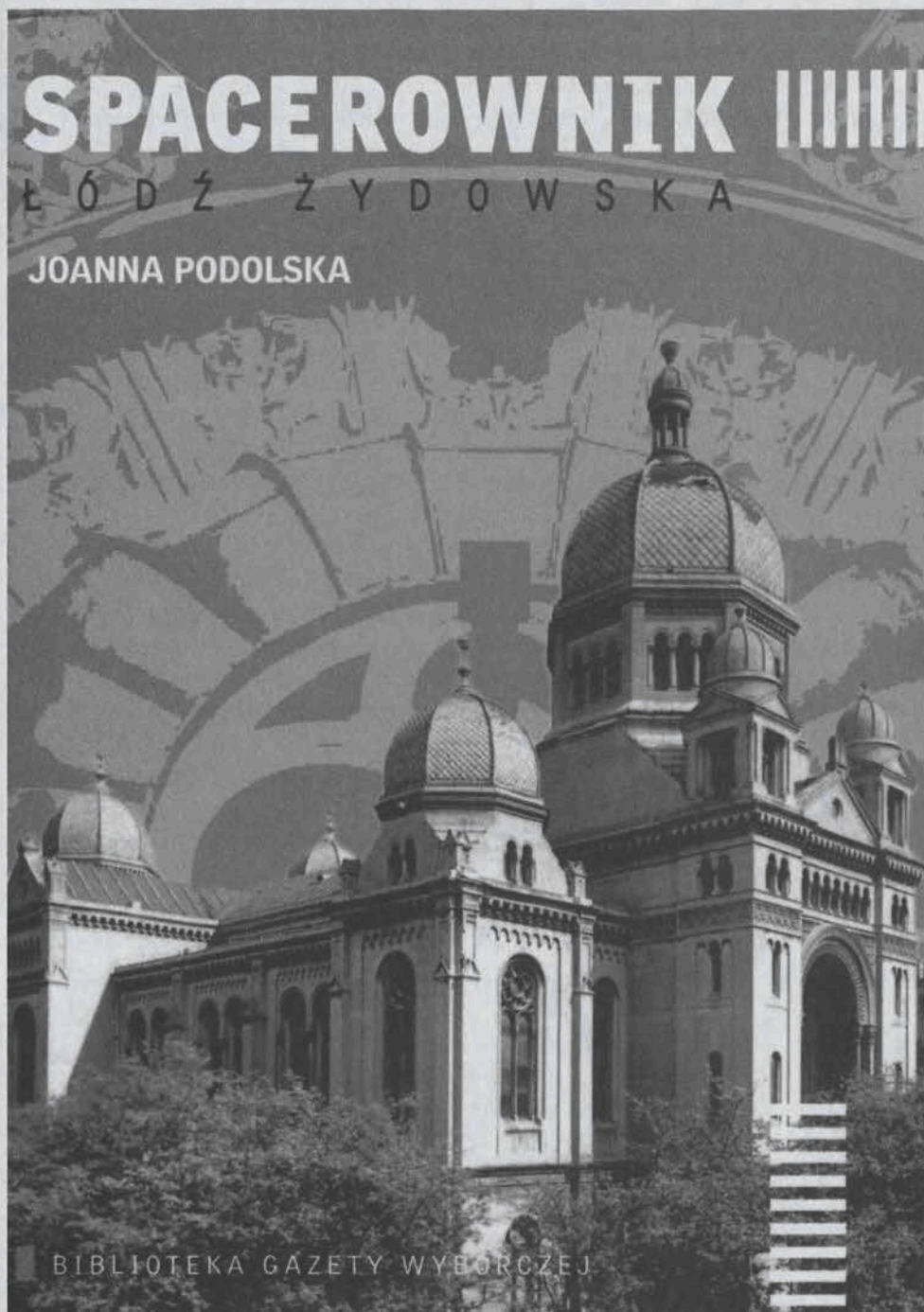
Jest też w *Łodzi żydowskiej* rozdział poświęcony cmentarzowi – tej największej w Europie nekropolii wyznawców judaizmu, na której spoczywa ponad 150 tysięcy dawnych łódzian. To miejsce autorka zna szczególnie dobrze, bo już w roku 2001 opublikowała wspólnie z historykiem – Jackiem Walickim przewodnik po żydowskim cmentarzu. Jest to w *Spacerowniku* Joanny Podolskiej miejsce wyraźnie sentymentalne, któremu autorka – poruszona osobliwym pięknem tej cmentarnej przestrzeni utworzonej z dzikiej przyrody i setek wyrafinowanych w swoim artystycznym kształcie grobow-

SPACEROWNIK IIIIII

ŁÓDŹ ŻYDOWSKA

JOANNA PODOLSKA

recenzje



BIBLIOTEKA GAZETY WYBORCZEJ

ców i mauzoleów – oddaje najpełniej swój bardzo osobisty podziw. Rozdział *Spacer po ogrodzie wieczności* jest ze zrozumiałych względów tylko skrótem informacyjnym o wybranych miejscach spoczynku wybitnych Łodźian i wojennych śladach tragedii narodu żydowskiego. Ale nawet w tym skróconym przewodniku znajdzie czytelnik wiele czułych pochyleń nad niezwykłością tego dziedzictwa kultury i historycznej pamięci.

Niewątpliwym walorem *Spacerownika* jest przybliżenie dziedzictwa największych łódzkich fabrykantów pochodzenia żydowskiego, szczególnie zaś rodziny Poznańskich. Podolskiej udało się uzupełnić – znane już wcześniej z innej publikacji – bogate drzewo genealogiczne tego rodu. A jest to ród bogaty nie tylko we wspomnienia o dawnej świetności. Od protoplasty Kalmana Poznańskiego z miasteczka Kowal poczynając, poprzez twórcę przemysłowego imperium Izraela i jego synów Maurycego, Karola i Ignacego, po najmłodszą progeniturę noszącą już tylko francuskie i angielskie imiona, wniósł on wkład w życie społeczne kilku krajów. Bo różne były dzieje tej zasłużonej dla Łodzi rodziny. Warto tylko odnotować, że mieszkający już przed wojną we Francji prawnuk Izraela – Leon Hertz zginął jako kapitan polskiej I Dywizji Pancерnej generała Maczka w bitwie pod Caen-Falaise. Ten fakt także przypomina Joanna Podolska.

I na koniec kilka uwag ogólniejszych. Książka *Łódź żydowska* ukazała się w serii *Spacerowników* pomyślanych jako długi cykl przez „Gazetę Wyborczą”. Ujednolicony układ typograficzny, projekt okładki i sposób redagowania tekstów odcisnął swoje piętno na pracy autorki, często wyraźnie niechętnie tylko dostosowującej się do tych narzuconych przez wydawcę ram. To na pewno zubożyło pierwotny zamiar Podolskiej dysponującej niewątpliwie znacznie większą wiedzą przedmiotu niż udało się to zmieścić w treści tego wzbogacanego jedynie różnymi ciekawymi dygresjami przewodnika. Przewodnik powstawał na pewno pod ciśnieniem chwili, aby zdążyć z wydaniem książki przed kulminacyjnymi uroczystościami 65. Rocznicy Litzmannstadt Ghetto. Stąd trochę w nim niewielkich błędów, powtórzeń, czasem pewnie korektorskich przeoczeń, jak przypisanie jońskiego stylu korynckim kolumnom na pięknym grobowcu łódzkiego bankiera Ignacego Sachsa. Nie odbiera to jednak temu ważnemu przewodnikowi walorów książki bardzo potrzebnej dla wzbogacania wiedzy o Łodzi i jej niezwyklej historii.

Gustaw Romanowski

Joanna Podolska, *Spacerownik. Łódź żydowska*,
Biblioteka „Gazety Wyborczej”, Łódź 2009.
Pozycja wydana dzięki wsparciu finansowemu
Urzędu Marszałkowskiego Łodzi.

Z łódzkiego raptularza

LIPIEC 2009

Z łódzkiego raptularza

1 lipca

→ Śródmiejskie Forum Kultury zaprosiło łodzian na letni przegląd teatralno-kabaretowy. W środy i czwartki łodzianie mogli zobaczyć i posłuchać m.in. recitali Krystyny Tkacz, Krystyny Sienkiewicz i Barbary Drożdżińskiej. Wystąpiły też kabarety: Moralnego Niepokoju, Teatr „Syrena”, kabarety studentów z Warszawskiej Akademii Teatralnej.

2 lipca

→ Miasto sparaliżował strajk MPK, który trwał od godz. 4 do 6 rano. Pracownicy spółki domagali się podwyżki. Strajk organizowała „Solidarność”, która jest jednym z siedmiu związków zawodowych w przedsiębiorstwie.

3 lipca

→ Rozstrzygnięty został otwarty konkurs urbanistyczny na opracowanie koncepcji zagospodarowania przestrzennego terenu w rejonie placu Niepodległości, ogłoszony przez Miejską Pracownię Urbanistyczną w Łodzi. Na konkurs wpłynęło 16 prac. Sąd Konkursowy pod przewodnictwem dr hab. inż. arch. Tomasza Ossowicza z Wrocławia nie przyznał I nagrody. II nagrodę zdobyła Pracownia Architektoniczna „DIEHL” Architektki z Łodzi. Dwie III nagrody zdobyli: arch. Jacek Wnuk i arch. Małgorzata Domagała z Łodzi, oraz studenci – Joanna Jaskułowska z Łodzi i Michał Wołski z Płocka.

→ W Ośrodku Propagandy Sztuki otwarto wielką wystawę twórczości Zbyluta Grzywacza (1939–2004) jednego z najciekawszych malarzy powojennej Polski. Wystawę przygotowało Muzeum Narodowe w Krakowie.

→ W „Manufakturze” otwarto prywatny Teatr Mały z inicjatywy aktora i reżysera – Mariusza Pilawskiego, prezesa Stowarzyszenia „Komedia Łódzka” im. Ludwika Benoit. Teatr wystawia repertuar dla dorosłych i dla dzieci kilka razy w tygodniu.

→ Na parkingu przy Hali Sportowej uruchomiono letnie kino samochodowe, czynne w piątki i soboty od godz. 22.00.

7 lipca

→ Uniwersytet Łódzki podpisał umowę z Polską Grupą Energetyczną – Dystrybucja Łódź. Umowa związana z Wydziałem Prawa i Administracji zakłada wspólne projekty badawcze, konferencje i szkolenia. Powołane zostaną nowe kierunki studiów podyplomowych i specjalistyczne kursy.

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki oraz reprezentujący PKP – Jacek Derwisiński i Grzegorz Nita podpisali akt notarialny, dotyczący zamiany nieruchomości między miastem a koleją. Jest to pierwszy z dokumentów regulujący własność terenów, na których w przyszłości powstanie Nowe Centrum Kulturalne Łodzi.

8 lipca

→ Do 15 lipca obradowali w Łodzi uczestnicy Międzynarodowej Konferencji Promieni Kosmicznych. W obradach wzięło udział 1000 naukowców z całego świata. Konferencję zorganizowały Wydział Fizyki i Informatyki Stosowanej UŁ oraz łódzki oddział Instytutu Problemów Jądrowych. Tematem obrad były m.in. czarne dziury i efekty oddziaływania promieniowania słońca na ziemię.

9 lipca

→ W „Toya Studios” rozpoczęły się zajęcia II Letniej Akademii Jazzu. Ideą dwumiesięcznych spotkań jest połączenie atrakcyjnych koncertów z wykładami i warsztatami. Wystąpili m.in.: Leszek Cichoński, Marek Raduli, Tomasz Łosowski, Wojciech Pilichowski, trio Andrzeja Jagodzińskiego i Bobo Stenson Trio ze Skandynawii.

10 lipca

→ Szkoła Filmowa zorganizowała Pierwszy „Targowa Film Street Festiwal”. W ciągu trzech dni można było zobaczyć plan filmowy ze scenografią, oświetleniem, profesjonalnym sprzętem i zawodową obsługą, obejrzeć konkursowy pokaz etiud studenckich oraz posłuchać koncertów w wykonaniu Miki i Michała Urbaniaków oraz Emira Kusturicy z zespołem „No Smoking Orchestra”. Nagrody filmowe „Szafy” przypadły reżyserowi – Piotrowi Trzaskalskiemu, producentowi spółce „Sema-For” i studentowi – Jędrzejowi Bączykowi.

→ W ramach festiwalu „Przyjaciele Nowego wychodzą na ulicę” na Rynku w „Manufakturze” wystąpił Teatro Tascabile z Bergamo ze spektaklem *Historie gruszkowego ogrodu*, nawiązującym do średniowiecznej tradycji teatru ulicznego.

11 lipca

→ Teatr Lalki i Aktora „Pinokio”, podobnie jak w latach ubiegłych, przygotował w lecie wystawę pod hasłem: „Pinokio przyjmuje gości”, na której dzieci i dorośli mogli zobaczyć 120 eksponatów lalek i fragmenty scenografii. Ponadto „Pinokio”

pokazał spektakl w plenerze *Tuwimki* oparty na tekstach J. Tuwima. Reżyseria zbiorowa pod opieką Konrada Dworakowskiego. Scenografię przygotowała Katarzyna Gabart-Szymańska.

→ Kino Galeria „Charlie” i Kino Letnie w „Textorial Park” przy ul. Fabrycznej przygotowały na wakacje Filmobranie 2009. Od 11 lipca organizatorzy zapraszali na cykl horrorów pt. *Polskie kino straszny*, a następnie na przegląd Kino Gatunków Made In PL.

12 lipca

→ 13. rocznicę śmierci Grzegorza Palki, jednego z twórców „Solidarności”, prezydenta Łodzi w pierwszej kadencji odrodzonego samorządu i przewodniczącego Rady Miejskiej, uczczono mszą świętą w parafialnym kościele przy ulicy Skarbowej. Delegacja Urzędu Miasta z wiceprezydentem Włodzimierzem Tomaszewskim i rodziną zmarłego złożyła kwiaty na grobie tego zasłużonego łodzianina na cmentarzu na Dołach.

14 lipca

→ Dziewięć zespołów folklorystycznych w tym z Cypru, Grecji, Nepalu, Sardynii, Ukrainy, Tajwanu i Turcji przyjechało na XXVIII Międzynarodowe Warsztaty Folklorystyczne organizowane przez Widzewskie Domy Kultury i Centrum Kultury Młodych. Zespoły zaprezentowały się na dziedzińcu Urzędu Miasta Łodzi oraz przeszły w korowodzie ulicą Piotrkowską. W Pasażu Schillera odbyły się występy dla łodzian. Podczas warsztatów choreografowie i zespoły wymieniają się doświadczeniami, uczą się nowych tańców oraz poznają Łódź i miasta województwa łódzkiego.

→ Mirosław Orzechowski, b. wiceminister edukacji i b. wiceprezydent Łodzi, za jazdę po pijanemu otrzymał 3-letni zakaz prowadzenia samochodu i karę grzywny w wysokości 5 tys. zł.

17 lipca

→ Koncert w Teatrze Nowym w Łodzi zainaugurował VIII Festiwal Kultury Hiszpańskojęzycznej „Viva Flamenco”. Podczas inauguracji wystąpił zespół „Corazon Flamenco” oraz tancerki: Magda Navarrete i Noelia Sabarea. Dziesięciodniowy program festiwalu obejmował warsztaty flamenco, śpiewu, spotkania z kuchnią hiszpańską i filmem.

18 lipca

→ Dwa plenerowe spektakle przywiózł do Łodzi teatr Krystyny Jandy „Polonia” na festiwal Teatru Nowego. Były to: *Lament na placu Konstytucji* wg dramatu Krzysztofa Bizio i (reż. Krystyna Janda), *Starość jest piękna* wg tekstu Esther Vila (reż. Łukasz Kos). Spektakle wystawiono w „Manufakturze”.

→ Pokazy tańca uczestników II Ogólnopolskiego Festiwalu Tańca rozpoczęły cykl imprez organizowanych w lipcu i w sierpniu na ulicy Piotrkowskiej przez Urząd Miasta Łodzi. Projekt objął m.in.: pokazy wybranych filmów trójwymiarowych Wydziału Artystycznego AHE, warsztaty wikliniarskie prowadzone przez Poleski Ośrodek Sztuki, koncerty różnych zespołów, warsztaty filmu animowanego.

19 lipca

→ Na podwórku kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 17 teatr „Provisorium” z Lublina wystawił spektakl według Tadeusza Różewicza *Do piachu*, w reżyserii Janusza Opryńskiego i Witolda Mazurkiewicza.

→ Wyniki pierwszej międzynarodowej matury, do której w IV Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi przystąpiło w maju 29. uczniów świadczą o wysokim poziomie nauczania i trafnej decyzji szkoły. Maturę z sześciu przedmiotów w języku angielskim zdali wszyscy uczniowie. Prace oceniały komisje złożone z nauczycieli innych państw. Egzaminacje ustne podlegały ocenie nauczycieli z IV LO. Największą ilość punktów (43) uzyskała Martyna Kostacińska. Matura zezwała na podjęcie studiów na uczelniach na całym świecie. Egzamin taki kosztuje ok. 1200 złotych.

→ 1200 uczniów z gimnazjów i liceów – stypendystów Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” – przyjechało do Łodzi. Stypendyści, popularnie zwani „Dziećmi papieża”, zwiedzali miasto, uczestniczyli w zajęciach kulturalnych i sportowych. Zapoznali się też z możliwościami studiów na Uniwersytecie i Politechnice Łódzkiej. Młodzież wzięła udział w ekumenicznym spotkaniu modlitewnym na Starym Rynku. Modlitwom przewodniczyli: Mieczysław Cieślar – bp. Kościoła ewangelicko-augsburskiego, Symcha Keller – przewodniczący łódzkiej gminy żydowskiej, abp. Szymon Romańczuk – prawosławny biskup łódzki i poznański, oraz abp. Władysław Ziółek – metropolita łódzki.

20 lipca

→ Uczniowie z Gimnazjum nr 43 im. Karła Dedeciusa w Łodzi podczas zagranicznej wycieczki odwiedzili swojego patrona we Frankfurcie. Gimnazjaliści byli pod wrażeniem osobowości i pracowitości wybitnego tłumacza, który skończył 88 lat. Dzięki pomocy tego wybitnego łódzianina uczniowie z 43 gimnazjum otrzymali stypendia z Fundacji Roberta Boscha, a ich biblioteka szkolna aktualne pozycje literatury polskiej przetłumaczonej na język niemiecki przez K. Dedeciusa.

21 lipca

→ W 90. rocznicę powołania Policji Państwowej po raz pierwszy łódzcy policjanci przedefilowali przez centrum miasta. Defilowały poczty sztandarowe, piesze jednostki, motocykliści oraz policjanci na koniach i rowerach. Największą sensację

wzbudzali motocykliści z klubu „Knight Riders” założonego przez łódzką grupę Międzynarodowego Stowarzyszenia Policji. Defilującym przygrywała orkiestra Komendy Wojewódzkiej Policji z Katowic.

→ W Galerii Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego wystawiono plon konkursów organizowanych przez Towarzystwo w minionym roku. ŁTF co miesiąc wybiera najlepsze zdjęcie zgłoszone do konkursu. Jury wybrało 40 zdjęć.

→ W łódzkim Ogrodzie Zoologicznym gepard przeskoczył ogrodzenie wybiegu i pobiegł na przechadzkę. Personel ZOO znalazł drapieżnego kota w krzakach. Gepard został uśpiony i przetransportowany w bezpieczne miejsce. To wydarzenie alarmuje o potrzebach inwestycyjnych Ogrodu.

23 lipca

→ Z Dworca Łódź-Fabryczna o godz. 12.58 odjechał pociąg. Z jego odjazdem rozpoczęło się odliczanie czasu do zamknięcia Dworca Fabrycznego w dotychczasowym miejscu i rozpoczęcia budowy Nowego Centrum Specjalnej Strefy Sztuki – inwestycji o historycznym znaczeniu dla Łodzi.

24 lipca

→ Władze Łodzi uhonorowały zespół redakcyjny pisma „My Sybiracy”. Pismo ukazuje się od początku lat 90. X wieku, publikuje wspomnienia i materiały źródłowe. Wśród uhonorowanych znaleźli się: Ludwik J. Rossowski, Ryszard Michalczyk, Maria Worotyńska i Jerzy Oberman.

25 lipca

→ Ukazała się mapa Łodzi w języku angielskim, na której zaznaczono miejsca godne zwiedzania. Mapę opracowano z myślą o turystach w wieku od 18 do 35 lat, którzy przyjeżdżają z krótką wizytą do miasta. Projekt opracowało Biuro Promocji na zamówienie Warszawskiej Fundacji „Bęc Zmiana”. Mapa ukaże się także w wydaniu internetowym.

→ W ramach I Festiwalu Młodzieży Miast Partnerskich do Łodzi przyjechali studenci z różnych krajów europejskich. Ich wizyta łączyła się z promocją miasta jako kandydata do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

27 lipca

→ W Galerii Bałuckiej otwarto wystawę grafik i ubiorów Moniki Kostrzewy – laureatki konkursu „Intima Art”, organizowanego przez Krajową Izbę Mody. Kolekcja powstała z tkanin połączonych z papierem.

→ Po zapowiedzi prezydenta Łodzi, Jerzego Kropiwnickiego, o rezygnacji z dalszego zatrudniania dyrektora Teatru Nowego – Zbigniewa Brzozy powstał nieformalny ruch obrony dyrektora. Parlamentarzyści, dramatopisarze, kierownicy literaccy, krytycy,

aktorzy i widzowie wystosowali do prezydenta Łodzi list otwarty i zbiorowe petycje. W intencji pozostawienia w Nowym dyrektora Brzozy można było się także podpisać na stronie internetowej.

PERSONALIA:

3 lipca

→ Lech Dzierżanowski – dotychczasowy zastępca Andrzeja Sułka został dyrektorem naczelnym i artystycznym Filharmonii Łódzkiej. Nowy dyrektor jest absolwentem Akademii Muzycznej w Warszawie w klasie fortepianu. W latach 1997–2002 kierował działem promocji Filharmonii Narodowej oraz współpracował z Fundacją Kultury Polskiej i Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina.

26 lipca

→ Tomasz Rosset – dotychczasowy szef radia „Eska” będzie teraz dyrektorem hali wielofunkcyjnej w Łodzi. Nową halą zarządza spółka Miejska Arena Kultury i Sportu (MAKS) powołana przez Radę Miejską w kwietniu br. Hala nosi nazwę „Atlas Arena”.

ODESZLI:

24 lipca

→ Joanna Kadłubowska – em. prof. zw. dr hab. Uniwersytetu Łódzkiego. Twórcza i wieloletni kierownik Zakładu Algologii na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi, ceniony nauczyciel akademicki.

31 lipca

→ Włodzisław Łarionow – wieloletni, utalentowany operator filmowy łódzkiej TVP „Trójki” oraz TV Toya.

S I E R P I E Ń 2 0 0 9

1 sierpnia

→ Wiceprezydent Łodzi, Włodzimierz Tomaszewski, poinformował o szczegółach umowy zawartej między Urzędem Miasta Łodzi, PKP S.A. i PKP PLK S.A. a dotyczącej budowy nowego Centrum Specjalnej Strefy Sztuki oraz podziemnego Dworca Łódź-Fabryczna.

→ Maciej Sienkiewicz, absolwent I Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika, zdobył srebrny medal na Olimpiadzie Chemicznej w Cambridge. Laureat był uczniem Justyny Staluszki i Stanisławy Hejwowskiej.

3 sierpnia

→ Pod hasłem „Pamięć Łodzi” Urząd Miasta otworzył w al. Piłsudskiego galerię archiwalnych fotografii ilustrujących życie Żydów łódzkich w początkach XX wieku. Fotografie uzupełniały cytaty m.in. z *Ziemi obiecanej* Wł. Reymonta.

→ Ukazał się czwarty numer „Arterii” – pisma wydawanego przez Koło Młodych przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Łodzi. Numer zawiera wiersze, opowiadania oraz eseje krytyczne. Całość podporządkowana jest jednemu tematowi – dzieciństwu i dziecinadzie w kulturze. Redaktorem naczelnym „Arterii” jest poeta – Przemysław Owczarek. Pismo jest dostępne w księgarniach i „Empikach” w całym kraju.

4 sierpnia

→ Do Łodzi przyjechała ekipa filmowa z brytyjskiej telewizji internetowej VBS, realizująca film *From Poland with Love*. W Łodzi filmowcy filmowali Piotrkowską, „Manufakturę”, Białą Fabrykę i Szkołę Filmową. Spotykali się z młodymi artystami, którzy pomagali im zrozumieć przemiany w naszym kraju.

5 sierpnia

→ Łódzki Regionalny Park Naukowo-Technologiczny otrzyma dofinansowanie z Ministerstwa Rozwoju Regionalnego w wysokości 90 mln zł. Fundusze te zostaną przeznaczone na budowę trzech laboratoriów związanych z biotechnologią.

6 sierpnia

→ Do księgarni trafiła książka Joanny Podolskiej *Spacerownik. Łódź żydowska*, wydana przez „Gazetę Wyborczą”, a sfinansowana przez Urząd Marszałkowski. Autorka przedstawiła historie łódzkich Żydów, ich kulturę i miejsca związane z obecnością jednej trzeciej mieszkańców Łodzi, których życie zakończył Holocaust.

→ W najdłuższym bloku w Łodzi, w falcu przy ul. Julianowskiej, liczącym 262 m długości wybuchł pożar. Nie było ofiar w ludziach, ale doszczętnie spłonęło mieszkanie na XI piętrze.

7 sierpnia

→ Na Dworcu Fabrycznym uroczystie otwarto punkt Informacji Turystycznej działający w obcych językach.

8 sierpnia

→ Krzysztof Zanussi był gościem „Kina w Starym Tramwaju”, które podczas wakacji zaprasza na wieczory filmowe. Reżyser opowiadał o swoich studiach w Łodzi i postaci artysty w czasach stalinowskich. Widzowie zobaczyli dwie etiudy Zanussiego i pracę dyplomową *Studenci* z 1963 r. za którą został wyrzucony z Filmówki. Zainteresowanie widzów było tak ogromne, że projekcję przeniesiono w plener.

10 sierpnia

→ Łodzianka, Marianna Nowakowska obchodziła stoletnie urodziny. Życzenia jubilatce złożył osobiście prezydent Jerzy Kropiwnicki.

13 sierpnia

→ W Klubie „Wytwórnia” przy ul. Łąkowej wystąpił Al Di Meola – jeden z najsławniejszych jazzowych gitarzystów. Artysta spotkał się także z uczestnikami Warsztatów Letnia Akademia Jazzu.

15 sierpnia

→ Obchody Święta Wojska Polskiego – na pamiątkę Bitwy Warszawskiej w 1920 r. rozpoczęły się przy pomniku Ofiar Katynia. Wieńce złożyli tam przedstawiciele Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska” w Łodzi. Przy Grobie Nieznanego Żołnierza i pod pomnikiem Jana Pawła II kwiaty złożyli: prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki, marszałek województwa łódzkiego – Włodzimierz Fisiak, wicewojewoda łódzki – Krystyna Ozga i przedstawiciele organizacji kombatanckich.

16 sierpnia

→ 300 osób wzięło udział w spacerze organizowanym przez „Gazetę Wyborczą” śladami łódzkich Żydów. Wyruszono ze Starego Rynku, a potem zainteresowani przeszli w stronę parku Staromiejskiego do placu Wolności i ul. Pomorskiej. O historii łódzkiej społeczności żydowskiej opowiadała Joanna Podolska, autorka *Spacerownika. Łódź Żydowska*.

17 sierpnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki zdecydował, że o przyszłości dyrektora artystycznego Teatru Nowego zadecyduje referendum, w którym wezmą udział wszyscy pracownicy teatru, w tym również techniczni i administracyjni. Pod apelem o pozostaniu Zbigniewa Brzozy jako dyrektora artystycznego teatru na stronach internetowych podpisało się ponad 1000 osób.

18 sierpnia

→ Jak poinformował Wydział Promocji Miasta, BBC zakupiła reklamowy film o Łodzi, który był emitowany 483 razy w telewizji brytyjskiej w sierpniu i we wrześniu. Koszt promocji wyniósł 417 tys. dolarów, ale – jak pokazuje doświadczenie – poprzednie spoty w latach 2007 i 2008 przyczyniły się do wzrostu popularności miasta w Europie.

19 sierpnia

→ Dr Sylwia Romecka – adiunkt w ASP, założyła fundację „Future In Fashion Łódź” – „Przyszłość w modzie”, której celem jest promocja projektantów oraz Łodzi jako

stolicy mody. Partnerami fundacji są już m.in. Ambasada Republiki Włoskiej, Instytut Austriacki i ASP. W planach fundacji jest założenie Domu Mody, publikowanie wydawnictw związanych z modą, powołanie Muzeum Mody, a przede wszystkim – promowanie młodych projektantów. Fundacja liczy na pomoc miasta i fundusze unijne. W przyszłości ma funkcjonować dzięki własnym środkom finansowym ze sprzedaży odzieży pod własną marką.

→ Prof. Zdzisława Janowska – posłanka SdPL i John Godson – radny PO wystąpili z apelem do łodzian, aby pomogli im znaleźć pustostany w mieście. Okazuje się, że puste lokale w komunalnych kamienicach nie są zamieszkałe od lat, a osiem tysięcy łodzian mieszka w katastrofalnych warunkach i oczekuje na mieszkania.

→ Prof. dr. Zdzisław Orzechowski – absolwent Politechniki Łódzkiej z 1948 r., założyciel Zakładu Mechaniki Płynów, który całe życie związał z łódzką uczelnią, obchodził jubileusz 90-lecia. Dwadzieścia lat temu jubilat przeszedł na emeryturę, ale nadal prowadzi prace badawcze.

→ W parku Ocalałych odsłonięto ławeczkę Jana Karskiego, bohaterskiego kuriera Państwa Podziemnego podczas II wojny światowej, Honorowego Obywatela Miasta Łodzi. Podobne pomniki projektu Karola Badyña z ASP w Krakowie znajdują się w Waszyngtonie, Kielcach, Nowym Jorku. Wkrótce pomnik zostanie odsłonięty w Tel Awiwie. Postać kuriera na pomnikach jest taka sama, różnią się jedynie ławki.

→ Muzeum Fabryki w „Manufakturze” od dziś dysponuje audioprzewodnikami, z którymi można zwiedzać królestwo Izraela Poznańskiego. Pomysłodawcą i sponsorem przewodników w wersji językowej polskiej i angielskiej jest Regionalna Organizacja Turystyczna Województwa Łódzkiego. Koszt wypożyczenia wynosi 15 zł dziennie.

→ Tłumy łodzian ustawiły się w kolejce do Narodowego Banku Polskiego po srebrne dwudziestozłotówki wybite z okazji 65. rocznicy likwidacji łódzkiego getta. Monety zaprojektowała łódzka rzeźbiarka – Ewa Tyc-Karpińska. Sprzedawano je w cenie 104 złotych.

20 sierpnia

→ W Teatrze Nowym odbyło się referendum zwołane przez prezydenta miasta Jerzego Kropiwnickiego w sprawie zaufania do dyrektora artystycznego Zbigniewa Brzozy. W głosowaniu wzięło udział 58 osób, z czego 52 opowiedziały się przeciwko Brzozie. Większość aktorów zbojkotowała referendum. W tej sytuacji prezydent podjął decyzję o nieprzedłużeniu umowy z tym reżyserem. Obowiązki dyrektora artystycznego do czasu rozstrzygnięcia konkursu prezydent powierzył aktorce Teatru Nowego – Mirosławie Marcheluk.

21 sierpnia

→ Ze stajni w Prądzewie koło Łęczycy Pogotowie i Straż dla Zwierząt zabrało 10 poranionych i wycieńczonych koni arabskich. Zwierzęta były wychudzone, trzymane w fatalnych, niehigienicznych warunkach. W skórę źrebaków wrosła uprzęż, konie miały ropiejące, bolesne rany. Właścicielem złożonej z 56. koni stajni jest Krzysztof Kubasiewicz, właściciel i redaktor naczelny lokalnego radia „Parada”, b. łódzki radny z listy SLD.

22 sierpnia

→ 40 właścicieli restauracji i kawiarni mieszczących się przy ulicy Piotrkowskiej napisało list do prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego, w którym proszą o pomoc w odtworzeniu reprezentacyjnego charakteru ulicy i przywrócenie na Piotrkowskiej imprez miejskich. Twierdzą, że w ciągu trzech lat obroty restauracji na Piotrkowskiej zmniejszyły się o 60%, a reprezentacyjna ulica „umiera”.

23 sierpnia

→ Sylwester Bednarek z Rudzkiego Klubu Sportowego zdobył brązowy medal w skokach wzwyż na lekkoatletycznych mistrzostwach świata w Berlinie. 20-letni podopieczny trenera Lecha Krakowiaka był najmłodszym zawodnikiem w finałowym konkursie.

→ Z okazji 175. rocznicy urodzin Izraela Poznańskiego po jego fabrycznym imperium na terenie obecnej „Manufaktury” oprowadzali łodzian przewodnicy po Łodzi: Elżbieta Pędziwiatr i Piotr Machlański. Ubrani w stroje z epoki wcielili się w rolę fabrykanta i jego żony Leonii. Urodziny uświetnił olbrzymi tort z cukierni „Jaś i Małgosia”. W Muzeum Fabryki można było zobaczyć wystawę tkanin z XVIII i XIX w., a na wystawie sklepu Hexeline – XIX-wieczne suknie kobiece z prywatnej kolekcji.

24 sierpnia

→ O godz. 20.00 prezydent Jerzy Kropiwnicki oficjalnie otworzył nową fontannę przed Teatrem Wielkim zaprojektowaną przez architekta Rafała Szrajbera. Nowa fontanna o długości 35 m ma kształt ziarna fasoli. Całość zrealizował zarząd Dróg i Transportu wspólnie z ZWiK. Tłum łodzian obserwował pierwszy wodno-muzyczny spektakl. Woda „tańczyła” w takt muzyki, a kolorowe światła dodawały jeszcze atrakcyjności. Na spektakle przygotowano 11 utworów różnych kompozytorów.

→ Piotr Dejmek w liście otwartym do prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego wyraził sugestię o wykreślenie nazwiska swego ojca – Kazimierza Dejmka z nazwy Teatru Nowego w Łodzi. Syn twórcy sławy tego teatru wyraził obawę, że skandale i społeczne decyzje podejmowane w sprawach personalnych kierownictwa artystycznego Teatru Nowego szargają imieniem i dorobkiem Kazimierza Dejmka.

26 sierpnia

→ Rozpoczęły się uroczystości związane z 65. rocznicą likwidacji getta w Łodzi. Na Cmentarzu Żydowskim w Łodzi w obecności ocalałych z Holokaustu łodzian pochodzenia żydowskiego Jehuda Widawski odmówił kadsisz – hebrajską modlitwę za zmarłych. Wcześniej, w dawnej Kuźni Romskiej, odsłonięto pomnik upamiętniający śmierć w getcie 5000 Romów, oraz wystawę *I skrzypce przestały grać*. Obecni byli prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki, przewodniczący gminy żydowskiej w Łodzi – Symcha Keller i Rudolf Sarkozy – reprezentant Stowarzyszenia Romów i Sinty w Austrii, którego rodzice zginęli w obozie. Na zakończenie uroczystości goście przenieśli się do parku Szarych Szeregów, gdzie oddano pamięć dzieciom zmarłym w obozie dla dzieci, izolowanym od pozostałych części getta.

27 sierpnia

→ Msza św. w intencji ofiar Litzmannstadt Ghetto w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na placu Kościelnym, zainaugurowała główne obchody 65. rocznicy likwidacji getta w Łodzi. Przyjechało na nie ponad 2000 gości z Polski i zagranicy, w tym 92 osoby, które ocalały z getta. Po ceremonii na terenie stacji Radegast wyruszył Marsz Pamięci do parku Ocalałych. W parku prezydent RP – Lech Kaczyński i prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki odsłanili Pomnik Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej. Prezydent Lech Kaczyński odznaczył wysokimi orderami kilkadziesiąt osób – „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. Wieczorem w hotelu „Andels” odbył się koncert Andrzeja Krauzego *Sprawiedliwi na ziemi*.

28 sierpnia

→ W drugim dniu rocznicowych obchodów na Uniwersytecie Łódzkim odbyła się sesja naukowa *Rząd RP na uchodźstwie i Delegatura Rządu na Kraj wobec zagłady Żydów*. W tym dniu ocalali spotkali się z władzami miasta i młodzieżą szkolną w Pałacu Poznańskiego. Aleksandra Szyfman-Dziewulska i Ellezer Lolek Grynfeld zostali odznaczeni Medalami Zasłużonych Kulturze „Gloria Artis”. Wieczorem w łódzkich synagogach zebrano się na modlitwach szabatowych.

29 sierpnia

→ Ważnym wydarzeniem obchodów była premiera filmu *Perecowicze* – mówiącym o losach wychowanków żydowskiej szkoły im. Pereca w Łodzi. Wieczorem w Teatrze Wielkim odbył się uroczysty koncert, na którym Krzysztof Penderecki sam dyrygował. Napisał na uroczystość utwór *Kadsisz. Łódzkim Abramkom, którzy chcieli żyć. Polakom, którzy ratowali Żydów*. Następnie kompozytor poprowadził *Symfonię 7 bram Jerozolimy*. Wystąpili m.in. Olga Pasiecznik, Daniel Olbrychski, oraz połączone męskie chóry Opery, Filharmonii i Filharmonii Podlaskiej. Modlitwę

szabatową odśpiewali na scenie słynni kantorzy Benzion Miller i Moshe Schulhof. Istotnym wkładem w obchody stało się specjalne wydanie „Kroniki Miasta Łodzi” oraz pokazy filmowe w Muzeum Kinematografii i na Rynku Starego Miasta.

PERSONALIA:

4 sierpnia

→ Wiceprezydent Łodzi – Maria Maciaszczyk przedstawiła Komisji ds. organizacji Ruchu Drogowego skład Zarządu Dróg i Transportu. Dyrektorem pozostaje Lech Kwiecień, wicedyrektorami: Krystian Pamuła, Wiesława Murasik, Janusz Strąkowski, a rzecznikiem prasowym – Arnold Lorenc.

6 sierpnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki zwolnił czasowo z obowiązku pracy Dyrektora Muzeum Tradycji Niepodległościowych – Henryka Siemińskiego i jego zastępcę – Marka Czekalskiego. Tymczasowo pracami Muzeum pokieruje archeolog – Mieczysław Góra. Ta sytuacja potrwa do czasu zakończenia w Muzeum kontroli przez Urząd.

OODESZLI:

16 sierpnia

→ Jerzy Jonczyk – aktor, reżyser. Łodzianin, absolwent Szkoły Teatralnej w Krakowie, występował w Teatrze Ziemi Łódzkiej, w Teatrze Powszechnym i w Teatrze Nowym. W stanie wojennym założył Chrześcijańską Scenę Wędrującą, która dała 2000 spektakli słowno- muzycznych w kościołach całej Polski.

18 sierpnia

→ Hanna Bedryńska – aktorka. Przez 40 lat związana z teatrami łódzkimi, w tym najdłużej, bo w okresie 1964–1991 grała w Teatrze Nowym. Miała na swoim koncie kilkadziesiąt ról teatralnych, filmowych i telewizyjnych. Uhonorowana wysokimi odznaczeniami państwowymi.

WRZESIEŃ 2009

1 września

→ Muzeum Historii Miasta Łodzi zmieniło nazwę na Muzeum Miasta Łodzi, a filia przy placu Wolności 2 nazywa się odtąd – Oddziałem Kultur i Tradycji Wyznaniowych – Oddział Muzeum Miasta Łodzi.

→ W 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej łodzianie zebrali się przed pomnikiem Chwały Żołnierzy Armii Łódź przy ulicy Północnej. Obecni byli kombatanci, harcerze, delegacje organizacji społecznych, żołnierze i straż miejska. Uroczystość rozpoczęła się wspólną modlitwą prowadzoną przez duchownych chrześcijańskich i przedstawiciela gminy żydowskiej. Do młodzieży przemawiali prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki, przewodniczący Rady Miejskiej – Tomasz Kacprzak oraz Franciszek Matysik – przewodniczący Wojewódzkiej Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych. Dla uczczenia poległych Kompania Wojska Polskiego oddała salwę honorową.

→ Czterdziestu grafficiarzy z różnych stron świata zjechało do Łodzi na Outline Colour Festival. Motywem przewodnim festiwalu były barwy polskiej flagi.

→ W ramach Festiwalu Dialogu Czterech Kultur w willi Grohmanów: Henryka i Ludwika wystawiono prace 30. artystów należących do światowej czołówki m.in.: Pedro Cabrita Reis, Rita Sobral Campos, Adrain Paci i Kasia Fudakowski. Wystawę zorganizowano pod hasłem: *Anabasis. Rytuały powrotu do domu*.

2 września

→ W dniach od 2 do 5 września w Teatrze Nowym odbył się III Międzynarodowy Przegląd Teatrów Muzycznych Osób Niepełnosprawnych. Wzięło w niej udział 28 zespołów, w tym cztery z zagranicy. Przeglądowi towarzyszyły warsztaty artystyczne, prowadzone przez zawodowych aktorów.

3 września

→ Po raz drugi obchodzono w Łodzi Dzień Strażnika Miejskiego. Strażnicy pracują w mieście od 1991 roku. Obecnie w szeregach łódzkiej Straży Miejskiej jest 478 funkcjonariuszy, w tym 87 kobiet. Z okazji święta Mirosław Chatys, Piotr Czyżewski, Dariusz Janicki, Zbigniew Kamiński, Tomasz Sierakowski i Andrzej Starzyński otrzymali odznaczenia „Zasłużony dla Straży Miejskiej w Łodzi”.

4 września

→ Radni z klubu SLD w Łodzi zainicjowali zbieranie podpisów w sprawie referendum za odwołaniem prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego. Muszą ich zdobyć co najmniej 62 tysiące.

→ Marszałek Województwa Łódzkiego – Włodzimierz Fisiak podpisał umowę o współpracy między regionem łódzkim a ukraińskim obwodem odeskim.

→ Przez cały weekend na Piotrkowskiej „rządził” VI Jarmark Wojewódzki zorganizowany przez Urząd Marszałkowski. Były stragany z wyrobami sztuki ludowej i prostym wiejskim jedzeniem, występowały zespoły ludowe, kuglarze i bębniarze. Atmosfera przypominała wiejskie odpusty, ale wszyscy dobrze się bawili, a restauratorzy na Piotrkowskiej przestali narzekać na brak klientów.

5 września

→ Do imprez kończących obchody 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto należał koncert na Rynku „Manufaktury” w wykonaniu romskiej orkiestry „Kocani Orkestar”, specjalizującej się w muzyce cygańsko-balkańsko-tureckiej. Obok niej występował „Boom Pam” z Izraela, który oprócz rodzimej muzyki grał rockowe schematy ze Śródziemnomorza.

→ W Łodzi do I klasy Szkoły Podstawowej nr 218 poszło 5140 sześciolatków. Najwięcej, bo aż 16. dzieci będzie się uczyć w SP nr 2. Sześciolatki usiądą w klasach wspólnie ze starszymi o rok kolegami. Jedynie w Szkole Podstawowej nr 153 przy ul. Obrońców Westerplatte dla 18. sześciolatków utworzono osobną klasę. Osobna też, ale liczniejsza, bo złożona z 26. sześciolatków została utworzona przy Zespole Szkół Sportowych w Aleksandrowie.

7 września

→ Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego cofnęło Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi uprawnienia do prowadzenia studiów na kierunku informatyki zarówno w siedzibie uczelni w Łodzi, jak i w ośrodkach zamiejscowych. Kontrola w AHE ujawniła wiele rażących nieprawidłowości.

→ W teatrze „Logos”, przy kościele środowisk twórczych, odbyła się premiera spektaklu *Siedem słów o Ziemi*, opartego na powieści Clive'a Staplesa Lewisa *Podział ostateczny*. Spektakl reżyserowała Paulina Wycichowska.

8 września

→ W Kinematografie gościł Piotr Szulkin – reżyser, scenarzysta, wykładowca w łódzkiej Szkole Filmowej.

9 września

→ Ukazał się setny numer miesięcznika „Rynek Łódzki” – prywatnego periodyku wydawanego przez Jerzego Mazura.

10 września

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otworzono wystawę Almagi – łodzianki mieszkającej i tworzącej od wielu lat w Belgii. Almaga (Aleksandra Gaganaszwilli) pokazała cztery instalacje: *Album*, *Sukcesja*, *Pamięć* i *Natura*. Wszystkie łączy wspólny motyw – ogień.

11 września

→ Sezon artystyczny rozpoczął się w Filharmonii Łódzkiej pod nowym kierownictwem Lecha Dzierżanowskiego – dyrektora naczelnego i artystycznego w jednej osobie. Na inauguracji wykonano koncert skrzypcowy Feliksa

Mendelssohna-Bartholdy'ego i *Symfonię alpejską* Richarda Straussa. Jako solista wystąpił wiedeński skrzypek – Benjamin Schmid. Orkiestrą dyrygował Daniel Raiskin.

→ W Teatrze Jaracza odbyła się premiera *Bram raju* wg opowiadania Jerzego Andrzejewskiego, w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, scenografii Macieja Chojnackiego i opracowaniu muzycznym Rafała Kowalczyka.

→ Teatr Lalek „Arlekin” rozpoczął sezon premierą spektaklu *Niebieski piesek* węgierskiego autora Gyuli Urbana. Spektakl reżyserował Stanisław Ochmański, scenografię opracowała Joanna Hrk, muzykę – Michał Makulski.

12 września

→ Łodzi przybył nowy, unikatowy festiwal ludzi o „złotym uchu”. Oficjalna nazwa – Międzynarodowy Festiwal Producentów Muzycznych „Soundedit”. Imprezę zorganizowali dwaj pasjonaci: Marcin Tercjak i Maciej Werk. Nagrody – statuetki Człowieka ze Złotym Uchem otrzymali: Gareth Jones, pośmiertnie Grzegorz Cichowski oraz Daniel Lanois, który podczas uroczystości rozdania nagród wystąpił z koncertem.

→ *Niepokorni w kamasze* pod takim tytułem zorganizowano w Zespole Szkół Salezjańskich sesję popularnonaukową. Sesja przybliżyła historię represji stosowanych przez władze stanu wojennego w 1982 r. w postaci poboru do wojska przedstawicieli opozycji i działaczy „Solidarności”.

13 września

→ Złote Pióro – nagroda im. Jerzego Katarasińskiego przyznawana corocznie przez Iwonę Śledzińską-Katarasińską młodemu dziennikarzowi zajmującemu się krytyką artystyczną – przypadła w roku 2008/2009 Annie Pawłowskiej z „Dziennika Łódzkiego”. Wyróżnienia otrzymali Katarzyna Rakowska i Jędrzej Śłodkowski z „Gazety Wyborczej” w Łodzi.

14 września

→ W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się inauguracja sezonu kulturalnego. Tradycyjnie wręczono nagrody i odznaczenia. Złoty Medal za Długoletnią Służbę od Prezydenta ROP otrzymał Maciej Szczygieł, a Srebrny Medal Helena Rojek – oboje z Bałuckiego Ośrodka Kultury. Srebrny Medal „Gloria Artis” otrzymała Elżbieta Czarnecka, a Odznaki Zasłużony dla Kultury Polskiej odebrali: Bałucki Ośrodek Kultury, Janusz Barański, Tomasz Budziarek, Beata Wysokińska, Maria Głowacka, Władysław Jagiełło, Irena Jaworska, Marek Prus, Kazimierz Królikowski, Anna Mietlińska, Ewa Majchrzak i Alina Szwanke. 19 osób otrzymało nagrody pieniężne od prezydenta Łodzi.

15 września

→ W Muzeum Sztuki pokazano po raz pierwszy na wystawie indywidualnej prace Eduarda Steinberga pod hasłem *List do Malewicza*. Artysta od lat 90. XX wieku mieszka w Paryżu. Urodził się i wychował w ZSRR. Jego prace są bardzo osobiste, nawiązujące do historycznego okresu rosyjskiej sztuki konstruktywistycznej. Steinberg po wernisażu spotkał się z publicznością łódzką.

→ Komisja Europejska przyznała certyfikat „ECTS Label” tylko jednej uczelni wyższej w Polsce – Politechnice Łódzkiej. Ponadto Politechnika otrzymała wyróżnienie jako „wzór do naśladowania”. Certyfikat oznacza, iż Politechnika kształci na wysokim poziomie i studenci uczelni są przygotowani do podjęcia studiów zagranicą w ramach wymiany międzynarodowej, co pozwala uzyskać podwójne dyplomy.

16 września

→ Na terenie Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego przy ul. 6 Sierpnia 104 otwarto skansen militarny.

17 września

→ W 70. rocznicę wkroczenia Sowietów do Polski Urząd Wojewódzki uhonorował Krzyżami Zesłańców Sybiru ośmiu mieszkańców Łodzi, którzy w latach 40. ubiegłego wieku zostali zesłani na Syberię.

18 września

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki poprowadził w Paryżu posiedzenie Grupy Kontaktowej pomiędzy Komitetem Regionów i Kongresem Władz Lokalnych i Regionalnych Rady Europy. Posiedzenie poświęcone było m.in. problemom korupcji na szczeblu lokalnym i regionalnym oraz jej zwalczaniu.

→ XXXI Międzynarodowy Kongres Iluzjonistów zgromadził w Łodzi takie znakomitości jak: Wład Krivonogov, Jorgos, Kenjim Minemura. Najlepsi iluzjoniści wystąpili w teatrze Jaracza.

19 września

→ Dwudniowy IV Międzynarodowy Festiwal Sztuki Ulicznej „TrotyArt” zgromadził artystów z Belgii, Brazylii, Holandii, Niemiec, Słowacji, Włoch i Polski. Artyści zachwycili łódzian umiejętnościami lalkarskimi, tanecznymi i aktorskimi. Występy odbywały się w wielu punktach miasta. Festiwalowi towarzyszył plener malarski uczniów *Namalujmy Łódź* oraz konkurs na najlepszy żywy posąg i najciekawsze przebranie.

20 września

→ W Spale powrócono do tradycji dożynek prezydenckich, które po raz pierwszy zorganizowano 80 lat temu za prezydentury Ignacego Mościckiego. Na uroczystości

przybył prezydent Lech Kaczyński z małżonką Marią. Po mszy św. w Kaplicy Polowej AK barwny korowód udał się na stadion Ośrodka Przygotowań Olimpijskich, na którym odbyły się uroczystości dożynkowe oraz festyn pod hasłem *Tradycja integruje*.

21 września

- W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto Amerykańską Wystawę złożoną z reprodukcji 40 prac pochodzących z różnych epok historycznych. Najstarsza reprodukcja pochodzi z 1738 roku. Jest to portret amerykańskiego złotnika Paula Reversa, namalowany przez czołowego malarza epoki – Johna S. Copleya. Oprócz reprodukcji na wystawie można zobaczyć także ilustracje pokazujące rękodzieło Indian amerykańskich. Tę popularną wystawę przygotowała Amerykańska Agencja Rządowa z okazji 90. rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych między Polską a USA. Łodzianie oglądają ją pierwsi.
- Z okazji 60-lecia Wytwórni Filmów Oświatowych w Muzeum Kinematografii zorganizowano przegląd filmów zrealizowanych w WFO.
- Konsulat Brytyjski przeniósł się do nowej siedziby przy ul. Struga 2. Inauguracji towarzyszyła dyskusja na temat politycznych i gospodarczych kontaktów polsko-brytyjskich. Na otwarciu obecny był Ric Todd, ambasador UK w Polsce.
- W dniach 21–22 września na Uniwersytecie Łódzkim odbyła się międzynarodowa interdyscyplinarna konferencja naukowa pt. *Styl–dyskurs–media*. Organizatorami byli: Katedra Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UŁ oraz Komisja Stylistyczna Komitetu Językoznawstwa PAN. Konferencję dedykowano pamięci dr. Zygmunta Jaksa-Chamsa, pierwszego dyrektora Polskiego Radia.

22 września

- Zespół „Concerto Köln” zainaugurował w Filharmonii Łódzkiej cykl koncertów z muzyką dawną. Muzycy niemieccy wykonali utwory W.A. Mozarta, Henri-Josepha Rigela i Josepha Haydna.

25 września

- W Łodzi rozpoczęły się Mistrzostwa Europy w siatkówce kobiet. Miasto przygotowało się na przyjęcie tysięcy kibiców. Polki wywalczyły brązowy medal.
- W „Atlasie Sztuki” otwarto wystawę prac Wojciecha Fangora, jednego z twórców polskiej szkoły plakatu. Od 1961 r. artysta mieszkał w USA. W 1999 r. powrócił do Polski i do malarstwa figuratywnego.

26 września

- 70 lat temu w Łodzi rozpoczął działalność szpital Zakonu Bonifratrów im. św. Jana Bożego. Szpital nadal służy mieszkańcom Łodzi, a ponadto zakonnicy prowadzą

zielarską aptekę, opiekują się bezdomnymi i bezrobotnymi. Z okazji jubileuszu odbyła się msza św., piknik w ogrodach szpitalnych oraz uroczysta gala w Filharmonii Łódzkiej. Grono pracowników otrzymało odznaki „Zasłużony dla służby zdrowia”.

→ Honorowy obywatel Łodzi – Roman Polański został zatrzymany na lotnisku w Zurychu i osadzony w areszcie. Słynny reżyser od 31 lat ścigany jest listem gończym za przestępstwo seksualne z udziałem małoletniej. Reżyser czeka na ekstradycję do USA i proces sądowy. Roman Polański od ponad 50 lat związany jest z Łodzią. Absolwent Filmówki, doktor honoris causa tej uczelni, ostatni raz gościł w naszym mieście 2 lata temu. Prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki zwrócił się do prezydenta Lecha Kaczyńskiego z prośbą o wszelką pomoc prawną dla reżysera. O zwolnienie reżysera z aresztu zaapelowała także PWSFTviT. *Jego dramatyczne życie osobiste i artystyczne stworzyło wyjątkową osobowość, skomplikowaną obecnością dobra i zła. Ci, którzy zechcą go osądzać, nie powinni wyjmować pojedynczych wydarzeń z kontekstu jego skomplikowanego życia* – napisali pracownicy Filmówki w liście przekazanym PAP.

28 września

→ Dla uczczenia 70. urodzin prof. Leszka Wojtczaka – wybitnego fizyka, twórcy łódzkiej szkoły ciała stałego oraz rektora Uniwersytetu w latach 1984–1990 na Uniwersytecie Łódzkim zorganizowano trzydniową sesję naukową. Wśród gości znaleźli się naukowcy z licznych krajów Europy oraz uczniowie profesora.

→ Prezydent Lech Kaczyński wziął udział w inauguracji roku akademickiego w Uniwersytecie Medycznym w Łodzi. Prezydent RP dziękował uczelni za powołanie szpitala weteranów i za powrót do kształcenia lekarzy wojskowych. Prezydent wręczył indeksy 18. studentom I roku, którzy rozpoczęli studia z największą liczbą punktów.

ODESZLI:

6 września

→ Wojciech Bruszewski – reżyser, operator filmowy, fotograf, pisarz, prekursor sztuki video w Polsce. Uczestnik prestiżowych wystaw artystycznych w Kassel i Centrum Pompidou w Paryżu. Współzałożyciel awangardowej grupy Warsztat Formy Filmowej, profesor kilku uczelni artystycznych w Polsce. Laureat wielu prestiżowych nagród.

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska



W dniu 1 października 2009 r. odszedł

Andrzej Kempa

Nasz wieloletni autor, twórca bibliografii „Kroniki Miasta Łodzi”

Bibliotekarz, dyplomowany kustosz i wicedyrektor Książnicy Miejskiej,
wyborny znawca historii kultury Łodzi, niezwykle pracowity publicysta
o wielu zainteresowaniach, autor ważnych dla naszego miasta książek.

Przeżył 73 lata.

Redakcja
„Kroniki Miasta Łodzi”

